DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom XIV.

L W Ó W,

Druk i nakład E. Winiarza.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie XIV.

I. Żywoty Świętych, legendy i rozmaite historye święte:

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historyi polskiej:

III. Wiersze:

IV. Piękne przykłady:

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki:

VI. Różności:

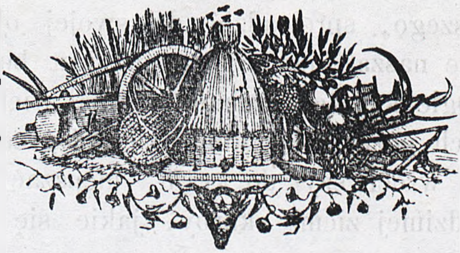
Tom XIV.

1. stycznia

Nr. 1.

1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Stanisław Staszic,

sławny Polak, przyjaciel i dobrodziej ludu wiejskiego.

Opowiem wam tu, kochani bracia, życie człowieka, u którego serce w miłości ludu wiejskiego równało się z miłością Kościuszki. Ten sławny człowiek, co się nazywał Stanisław Staszic, urodził się w 1755 r. w Wielkopolsce, nie z żadnych wielkich panów, ale z ubogiej mieszczańskiej rodziny, w miasteczku Piła. Że zaś Stanisław był najmłodszy z rodzeństwa, był też największym swojej matki kochankiem. To też słabe zdrowie synaczka, jakie miał od urodzenia, smuciło ją bardzo i dla tego umyśliła pobożna matka, poświęcić go Panu Jezusowi, to jest obiecała, że gdy się Stanisław uchowa, zostanie kapłanem — sługą Boga.

Prawda, że Stanisław nie mając wielkiego powołania do stanu duchownego, zostawszy księdzem, nie zajmował się ciągle służbą kościoła, ale za to był prawdziwie wiernym sługą Bożym, gdyż całe życie jego było ciągiem jednym miłości ludzi i obmyślania nad tem, aby rodakom a osobliwie ludowi prostemu było jak najlepiej w świecie.

W 18. latach życia swego puścił się za granicę, aby tam przejrzawszy świata, wyuczyć się we wszelakiej rzeczy, i co najpożyteczniejszego, sprowadzić do swojej ojczyzny Polski. A wiedząc, że nasza kochana ziemia jest bogata wewnątrz w rozmaite drogie kruszce i minerały, miał wielkie upodobanie w innych krajach poznawać gatunki ziemi i grzebać we wnętrzu jej, aby potem wróciwszy do kraju, ulepszać kopalnie i wynajdować w rodzimej ziemi skarby, jakie się w jej wnętrzu znajdują.

I tak oświecony wszelkiemi zdolnościami rozumu, a wielką miłością w sercu, wrócił Staszic do Polski. Tu poznał się z jednym bardzo wielkim i bogatym panem w Zamościu i u niego przystał na profesora do dwóch synów. W tym domu przebywszy czas jakiś, a będąc już kapłanem, dostał probostwo w Torubinie. Ale że jak-się rzekło, Staszic nie był z tych kapłanów, co jeno w jednem probostwie chcą dobrze i czynią dobrze, bo on chciał, bo on przemyślał, aby całemu ludowi wiejskiemu polskiemu dużo dobrego uczynić i ulżyć ile możności ciężkości. To też i nie chciał probostwa, ale pozostał w Zamościu, między wielkimi i uczonymi ludźmi, mając nadzieję, że swym rozumem i miłością serca potrafi dla całego kraju dużo dobrego uczynić.

A że widzicie wszystkie najlepsze zamysły ludzkie i wprowadzenie czegoś lepszego na świecie, przez nic innego się nie sprowadza, jeno przez książki, co mądrzejsi ludzie napiszą i doradzą, aby było lepiej, tak też i Staszic począł najsamprzód od tego, że się wziął do pisania mądrych ksiąg, w których dawał rady, jak postąpić, aby lepiej, aby dobrze było, aby się kraj zbogacał a biedni aby nie byli uciśnieni. Więc mówię, pisał mądre i z dobremi radami książki. Jednę z takich ksiąg, w której wiele było dobrego, napisał „Przestrogi dla Polski". Było tam szczególnie to i o tem, co się każdemu człowiekowi należy i aby jeden nad drugim nie przewodził. Wtedy poznał się z bardzo wielkim i dobrym panem księciem Czartoryskim, który za jego namową stawiał szkółki ludowe, ubierał się prawie po chłopsku i cały poświęcał się ku dobru swoich podda-

nych. A z tego serce Staszica przejęte miłością dla ludu, rozpływało się z radości.

W kilka lat potem, ponieważ Staszic był bardzo oszczędny a za swoje książki i nauki był dobrze płacony, uzbierał sobie był przeto ładną sumkę, a gdy rząd sprzedawał dobra, Staszic kupił starostwo Hrubieszowskie w ziemi Bełskicj i usunąwszy się od świata, zamieszkał w tych dobrach.

Tu dopiero zajął się pisaniem nowych ksiąg, a wszystkie prowadziły do tego, aby włościan uszczęśliwić, to jest usamowolnić ich, aby mieli byt dobry, nie robili pańszczyzny i byli sobie wolnymi obywatelami. I żeby z tego dać przykład ze siebie, po kilku latach całe starostwo Hrubieszowskie podarował gminom! Wtedy został wielkim urzędnikiem państwa, i dopiero się cieszył, że mu już łatwiej było ku dobru kraju pracować. A zawsze tylko nad tem przemyśliwał, co ku dobru cierpiącej ludzkości by było. I tak strasznie sobie życzył, aby taką szkołę założyć, coby w niej można głuchoniemych uczyć, jak to już było po innych krajach. No i jak zaczął ku temu namawiać, tak ci się znalazł taki jeden poczciwy ksiądz, co pojechał w obce kraje, wyuczył się tej sztuki i wrócił do Polski i założył za staraniem Staszica taką samą szkołę dla głuchoniemych w Warszawie. A co widzicie jest wielkiem dobrodziejstwem dla biednych takich kalek, że choć nie słyszy i nie mówi, a może się wyuczyć czytać, pisać i we wszelakiej rzeczy się oświecić, to mu potem przecie milsze życie, bo się z książki i z pisma o wszystkiem dowie i rozerwie się. Więc temu Staszicowi po wszystkie czasy od narodu wielka się wdzięczność należy i pamięć o nim powinna być drogą.

Potem znowu przyszło Staszicowi do myśli, że chałupy chłopskie w Polsce były bardzo ladajakie, bo tylko z chróstu i z gliny, a razem w izbach trzymali ludzie i swoje bydełko. Więc to bardzo bolało Staszica i prosił aby kto ma ku temu głowę i serce, wypowiedział, z jakiego materjału i jakie najlepsze będą chałupy dla włościan. Jakoż jeden wielki pan, Potocki, kazał natychmiast w całych dobrach stawiać swoim kosztem jaknajlepsze i wygodne chałupy dla włościan. Widzicie co to za poczciwa dusza był dla was ten Staszic!

*

Najgorliwiej także zajmował się dobrym porządkiem szkół tak wyższych jak i ludowych, bacząc na to, aby z takowych szkół wychodzili ludzie użyteczni dla kraju.

I tak naprzykład w szkółkach po wsiach były zaprowadzone nauki ogrodnictwa i sadownictwa, aby jak chłopek wyjdzie ze szkoły, umiał sobie robić koło drzew owocowych, i z tego także do majętności przychodził. A dziewczęta znowu musiały się uczyć robót i gospodarstwa, aby potem na swojej zagrodzie były gospodyniami jak się patrzy.

Na drugi raz opowiemy wam więcej o Staszicu.

Na nowy rok 1866.

Czas mija i mija jak woda
Ucieka i nigdy nie wraca,
Dzień każdy starości nam doda,
Dzień każdy nam życie ukraca.
Do śmierci nam bliżej o krok —
Na ten Nowy Rok!

Toż czasu użyjmy z pilnością
Niech nam się dnie życia wypłacą,
Rozstańmy się z grzechem i złością —
Pogodźmy się z cnotą i z pracą!
A doła przybędzie nam w skok —
Na ten Nowy Rok!

I z Nowym tym rokiem co żywo
Stańmy się my wszyscy też nowi:
Ogrzani miłością prawdziwą,
Do pracy i cnoty gotowi!
A biedy rozjaśni się mrok —
Na ten Nowy Rok!

Dla Boga i w Bogu i z Bogiem
Niech życie wam mija cnotliwie —
By rola nie legła odłogiem
Pracujcie kmiotkowie szczęśliwie!
A radość rozjaśni wam wzrok —
Na ten Nowy Rok!

Niech w duszach się waszych rozbudzi
Serdecznej miłości zdrój żyzny,
Dla Stwórcy, dla świata i ludzi
Dla naszej tej polskiej ojczyzny,
By nieszczęść porzucił ją tłok —
Na ten Nowy Rok!

Testament żołnierski

czyli

Sztuką wilka tłuką — a złych ludzi także.

Opowiedział Wojtek ze Smolnicy.

Jak Wydrzychów Wydrzychowem, tak niezapamiętali w nim jeszcze ludzie takiego setnego bogacza a strasznie chciwego człowieka zarazem, jak Szymon Zarwaniec! Miał ten Zarwaniec młyn we wsi, ale to młyn duży i piękny, jakich mało, bo na cztery mile do koła, nikt nie wiózł zboża do zmielenia gdzieindziej, jak tylko do Szymona.

To też bywało dniem i nocą kłapią pytle w młynie Szymonowym jak w piekle, a na podwórzu czeka mnóstwo fur z zbożem i ludzie doczekać się nie mogą, dopóki na nich nie przyjdzie kolej. A sam pan młynarz Szymon Zarwaniec chodzi sobie jeno jak pan pomiędzy czeladź i liczy na palcach i w głowie, ile też przypadnie mu miarek i pieniędzy za mąkę.

Strasznie bo też chciwy człowiek, ten młynarz Szymon i trzęsie się nad groszem, jak djabeł nad grzeszną duszą, choć jak o tem wiedzą wszyscy ludzie z Wydrzychowa i z całej okolicy, grosza tego ma huk wielki a białe cwancygiery czapkami mierzy! A im więcej przybywa Szymonowi pieniędzy do kabzy, tem bardziej on łowi za groszem, tem mocniej dusi papierki i srebro, choć Bogiem a prawdą nie ma dla kogo zbierać, boć sam niedługowieczny a nie ma ani żony ani dzieci.

Ani nawet kamienie młyńskie nie były tak twarde jak serce Szymona! Skrzynię z pieniądzmi zamykał na cztery kłódki, na pożytek ludzki nie dałby ani złamanego szeląga, żebraków szczuł psami z swego domostwa, a ludzie zwykli byli mawiać

sobie, że gdyby i sam jego rodzony ojciec wstał z grobu i prosił go o poratunek, to ani garści grysu lub osypki niedałby mu chciwy młynarz Szymon!

Zato dbał Szymon o siebie i o swój brzuch, który coraz bardziej mu rósł i coraz okrąglejszym się stawał, bo nieużyty młynarz nie żałował sobie niczego ale żył jak pan, jadł i pił za czterech i w miękkich pierzynach się wysypiał. Tymczasem zaś przyrastał brzuch i majątek, i jakby też nie miał był tęgo przyrastać, kiedy Szymon już po ojcu odziedziczył gotowiusieńki majątek i najpiękniejszy młyn na całą okolicę.

Nieboszczyk ojciec Szymona miał dwóch synów, ale gdy umierał, to jeden z nich tylko był w domu. Drugi bowiem młodszy syn a brat Szymona, co się nazywał Piotr, poszedł był w roku 1831 na wojaczkę i przystał do ułanów polskich, bo właśnie podówczas była bitka z Moskalami. Jak poszedł Piotr w ułany i na wojnę, tak też przepadł jak kamień w wodzie. Wojna się skończyła i wszyscy się wrócili, ale Piotra jak nie było tak nie było.

Stary ojciec Szymona nie doczekał się też swego młodszego syna przed śmiercią, ale gdy już umierał, powiedział na łożu śmiertelnem Szymonowi, że zapisuje obu swym synom cały majątek i tak mu prawił:

— Zostawiam wam piękny dobytek: młyn i w gotowiźnie niemałą sumę. Serce mi się ściska, że Piotr przepadł gdzieś na wojnie bez śladu i że go jeszcze przed śmiercią pobłogosławić nie mogę. Mówią ludzie, że pono gdzieś zginął, ale być to może, że jeszcze żyje, bo na wojnie dziwne przygody przebywa nieraz człowiek. Pamiętaj że synu Szymonie, abyś się dowiadywał zawsze o twoim bracie Piotrze i tymczasem rządź całym dobytkiem, a gdyby za łaską Bożą Piotr żył jeszcze i powrócił do domu, to oddaj mu połowę gotowizny i dzielcie się obaj dochodami z młyna!

Taka była ostatnia wola starego młynarza. Świadkiem tych słów był jego stary sąsiad i przyjaciel Jacenty. Ale Szymon nie wiele dbał o słowa ojcowskie i zamiast prosić Boga, aby brat jego młodszy powrócił, to myślał sobie zawsze:

— Jeżeli ten Piotr nie zginął jeszcze, to niechby sobie przepadł na wieki! Gdyby go licho nadniosło, tobym się musiał dzielić z nim gotówką i młynem, a ja przecież wolę zagarnąć wszystko dla siebie!

Ucieszył się też bardzo Szymon, gdy ów stary Jacenty, co był przy śmierci jego ojca, umarł niezadługo pożniej, bo to był jedyny świadek ostatniej woli nieboszczyka ojca — a gdy potem jeszcze killa lat minęło, a o Piotrze ani słychu ani dychu nizkąd nie było, to już był pewniusieńki śmierci swego brata i myślał sobie:

— Oho! chwała Bogu, brat mój Piotr już gdzieś dobrze ziemię gryzie! Niech sobie spokojnie spoczywa, a ja tymczasem będę miał cały majątek i znikim się dzielić nie będę potrzebywał!

Taki to był grzeszny i chciwy człowiek ten Szymon Zarwaniec, młynarz z Wydrzychowa! O bracie swoim rodzonym zapomniał na wieki, a gdy mu kiedy kto powiedział, że to być może, iż Piotr jeszcze wróci, to skakał jakby go osa ukąsiła i krzyczał z gniewem:

— Nie troszczcie się o mego brata Piotra, bo wam nic do tego! Wiem ja, dobrze, że Piotr nie żyje i kwita!

Domiarkowali się też powoli ludzie, że chciwy młynarz boi się okrutnie, aby kiedy przypadkiem nie powrócił brat jego młodszy i już na głos gadali, że Piotr żyje i że powróci nie długo, aby Szymona postraszyć. Toż kiedy bywało kto miał złość na młynarza, a nie lubiła go i tak cała gromada, to jeno mu powiedział:

— Ano Szymonie! Dobrą nowinę mam dla was, wasz brat żyje i już go co jeno nie widać!

Wtedy Szymon zgrzytał ze złości zębami jak kamień w jego młynie i mruczał sam do siebie potajemnie:

— A bodajżeś pękł i przepadł z taką dobrą nowiną!!

Tak minęło znowu coś ze dwa lata. Było to gdzieś w jesieni, a w młynie Szymona strasznie dużo było roboty, bo każdy się spieszył, aby zemleć sobie zboża na zimę. Szymon zbierał grosz duży i wielce się radował, że mu tak dobytek rośnie. Otoż pewnego wieczora siadł sobie Szymon na ławie

pod młynem, zapalił sobie fajkę z dobrym tytoniem i głaszcząc się po tłustym brzuchu rachował sobie w głowie, ile to on ma już razem pieniążków i ile to ich jeszcze z czasem się przymnoży. Gdy tak sobie duma młynarz, zaszczekały naraz psy na podwórzu i wprost ku niemu zbliżał się jakiś człowiek ubrany z żołnierska, ale ubogo i obdarto, z jedną nogą drewnianą i z małym tłumoczkiem na plecach.

Szymon się popatrzył na nieznajomego człowieka i strasznie się czegoś uląkł, bo się porwał z ławy jak oparżony a fajka wypadła mu z gęby na ziemię. Tymczasem ów człowiek z jedną drewnianą nogą przysztykulał prędko do młynarza i woła:

— Szymonie! Witaj kochany Szymonie!

Szymon zapomniał języka w gębie, wytrzeszczył oczy jak cebule na żołnierza, okrył się potem aż po czuprynę — a nareszcie wybełkotał:

— A ty co za jeden?

— Jakto! To ty mnie nie poznałeś! Wszakże to ja, Piotr, twój brat rodzony!

Szymon poznał na prawdę swego brata Piotra, bo to on był akuratnie, ale umyślnie udawał że go nie zna, bo go okropny strach zebrał, że się będzie musiał dzielić z bratem majątkiem. Do tego to złe serce i chciwość zysku i mienia prowadzi człowieka, że dla marnego grosza zapiera się własnego rodzonego brata! Tak też stało się i z Szymonem. Dla niego nie było nic miłego na świecie jeno pieniądz, a dla tej mamony zapomniał o ostatniej woli nieboszczyka ojca i wyrzekł się brata biednego. Zamiast się cieszyć z przybycia Piotra, tak jakby to był każdy inny poczciwy człowiek uczynił, Szymon jeno się zchmurzył i poczerwieniał od gniewu i zawołał:

— Co ty mój brat! Cha, cha, cha! A to mi pięknie! Czyś ty zwarjował! Toć mój brat dawno już nie żyje!

— Ależ bracie przypatrz mi się dobrze — rzecze na to ubogi żołnierz — Toć ja Piotr! Byłem jak wiesz na wojnie i tam to ciężko zostałem zraniony i wpadłem w ręce Moskalom i dopiero teraz mogłem się wydostać z niewoli i powracam do domu!

Szymonowi ani mów o tem. Piotr mu rozpowiada, przypomina, dowodzi, na nieboszczyka ojca się odwołuje — ale to wszystko, jakby groch o ścianę rzucał. Szymon udaje tylko gniew wielki i w końcu mówi:

— Idź pijaku i wyśpij się, bo cię każę wziąć wójtowi do ciupy! Co ty tu będziesz wmawiał we mnie, że ty mój brat! Patrzcie na włóczęgę!

Piotrowi krew zakipiała w żyłach, ścisnął pięść i już podniósł swój kij sękaty, bo go te słowa okrutnie rozgniewały, ale potem pomiarkował się i tylko łza zakręciła mu się w oku.

— Nie chcesz mnie uznać za brata! — rzecze — dobrze! nie będę ci się narzucać, ale to się już wykaże wszystko, poczekaj!

I Piotr odszedł od brata i skręcił ku wsi. Tymczasem we wsi rozbiegła się nowina o powrocie Piotra i zbiegło się mnóstwo ludzi do niego i, oto patrzcie, brat rodzony go się zaparł a obcy ludzie poznali w nim zaraz Piotra Zarwańca i zaczęli go z serca witąć wołając:

— Piotrze! Jak się macie Piotrze! A kędyście tak długo bywali?

— Jakto? — zawołał Piotr — to wy mię poznajecie, a przecież mój brat Szymon zaparł mi w żywe oczy, żem jego brat!

Na to mówi mu jeden stary gospodarz, Tomasz Plika:

— Mnie się widzi Piotrze, że was brat poznał dobrze, jeno się naumyślnie zapiera, bo to widzicie, młynarz Szymon człek bardzo chciwy i boi się, aby się nie dzielił z wami dobytkiem ojcowskim!

Biednemu Piotrowi aż się serce ścisnęło na taką nieczułość brata, bo nie pragnął on tak majątku, jak tylko dobrego przyjęcia po długiej tułaczce na świecie. Miał on z sobą troszeczkę grosza, więc też wprosił się na komorne do Tomasza Pliki a zaraz na drugi dzień począł się radzić ludzi, coby zrobić z niedobrym bratem. Wszyscy mu radzili, aby się udał po sprawiedliwość do urzędu.

— Przyskarzcie jeno Szymona — mówili mu ludzie — i upomnijcie się przed sądem o swoje, a cała gromada przyświad-

czy wam zaraz rzetelnie, żeście wy sprawiedliwy Piotr Zarwaniec, rodzony brat Szymona młynarza.

Stary Piotr zamyślał się bardzo a nareszcie mówi:

— Nie, ja się tam z tym poganinem po sądach włóczyć nie będę! Jeszcze by tego brakowało, abym się z rodzonym bratem miał prawować na zgorszenie ludzkie. Chwała Bogu mam z łaski dobrych ludzi trochę grosza, więc też obejdę się jakiś czas bez nieludzkiego brata i mego majątku a tymczasem wymyślę ja już sposób na niego i taką mu wyprawię sztukę, że mu aż w pięty pójdzie, bom na to przecież człek bywały i stary żołnierz polski!...

Jak też powiedział tak i zrobił. Złożył swoje manatki u starego Tomasza, zapłacił mu za komorne i mieszkał u niego. Do brata już nawet nie zaglądnął, jeno w kilka dni potem posłał do miasta po wino, nakupił mięsiwa i wyprawił u Tomasza tęgi obiad dla całej gromady a sam tego dnia ubrał się w piękny mundur ułański, przypiął sobie złoty krzyżyk, co go dostał na wojnie za wierność i waleczność, a gdy gromadę częstował, tak rzekł do niej:

— Dziękuję wam panowie gromada, żeście mnie starego kulawego wojaka przyjęli z serca, choć się mnie mój rodzony brat Szymon zaparł w żywe oczy! Będzie on też tego żałował! Szymon myślał, że ja przyszedł do niego jak dziad jaki po żebranym chlebie. Ale ja, chociem piechoto przywędrował, mam z sobą piękną sumę pieniędzy a chciwy mój brat Szymon pewnie by się był mnie nie wyparł, gdyby był wiedział, że ja mu więcej dać mogę gotowizny, niż cały jego młyn wart z resztą dobytku!

Zaraz na drugi dzień rozniosło się po wsi, że Piotr przywiózł z sobą z wojny okrutne pieniądze. I Szymonowi zaraz o tem donieśli i dopieroż zmartwił się chciwy młynarz! Uwierzył on, że Piotr ma grubą sumę i zrobiło mu się markotno, że się nie przyznał do brata:

— Myślałem, że on dziad, że chce tylko koniecznie swojej połowy po ojcu — mówił do siebie Szymon — a tu jak się okazuje ten szelma Piotr wyrwał zkądciś na wojnie gruby grosz. Już to co głupio zrobiłem to głupio. Byłbym od Piotra

zabrał pieniądze a za to byłbym go tam jak żywił, to by mnie i nie dużo kosztowało i zysk byłbym miał dobry!

Tak to sobie rozmyślał niecnota Szymon, bo mu nie chodziło ani o Boga ani o sumienie, jeno o pieniądze. I gdyby był wiedział na pewno, że Piotr ma dużo pieniędzy, to byłby go zaraz uznał za brata i przeprosił. Że jednak jeszcze całkowitej pewności nie miał, więc ciągle przed wszystkimi się zaklinał, że brat jego Piotr już dawno umarł na wojnie a ten stary żołnierz jest tylko oszustem i pijakiem, coby chciał tanim kosztem przyjść do majątku. Tymczasem zaś w całej gromadzie nikt już o niczem nie mówił, jak o wielkich pieniądzach Piotra a chciwy Szymon z zazdrości już sam niewie co począć i ciągle sam siebie przeklina, że z bratem inaczej nie zrobił i pieniędzy od niego nie wytumanił.

Tak minęło kilka tygodni i stary żołnierz Piotr cwancygiera po cwancygierze wydaje i wszyscy mówią, że okrutnie ma dużo pieniędzy. Ale naraz słychać, że bardzo zaniemógł i że mu śmierć już stoi nad karkiem. Jakoż po prawdzie Piotr położył się do łóżka i ciągle jeno stękał i stękał, a wyglądał tak, jakby już lada dzień miał zejść z tego świata Pewnego dnia Piotr jeszcze gorzej stękał i jeszcze bardziej skarżył się na bole i posłał jakoś z południa po wójta i księdza, a wójtowi tak powiedział:

— Proszę was mój szanowny wójcie idźcie do Szymona młynarza i powiedźcie mu, jako ja sam teraz przed śmiercią wyznaję, żem nie jest jego bratem, jenom tak naumyślnie mówił, aby mieć sobie w młynie wygodę Powiedźcie mu panie wójcie, że brat jego zginął na wojnie i że ja sam był przy jego śmierci. A proście go też bardzo, aby przyszedł tu do mnie, bo ja już lada dzień umrę i chciałbym zrobić testament a on jest najwalorniejszy człek w gromadzie i chciałbym koniecznie, aby się podpisał za świadka na moim testamencie.

Wójt poszedł do Szymona i mówi mu, jak mu kazano a Szymon zdziwił się na te słowa okrutnie, bo niecnota wiedział dobrze, że ten stary żołnierz jest sprawiedliwie jego młodszym bratem Piotrem. Poszedł Szymon po rozum do głowy i tak sobie myśli:

— A to przeklęta historja z tym Piotrem. Ja myślał, że on żebrak ostatni i dla tego nie chciałem się przyznać do niego a teraz się pokazuje, że on ma pieniądze i jeszcze się teraz sam zapiera, że jest moim bratem. Ktoby to się spodziewał, że on mnie tak zajdzie z mańki! Ale trzeba pójść koniecznie do niego za świadka do testamentu, a jak się pokaże, że akurat ma pieniądze, to go tam może jako przeproszę, bo jeźli tylko bogaty, to choćby nie był moim bratem, to ja go za brata uznam, bo mnie tam nie chodzi o głupiego brata jeno o mądre pieniądze!

Tak sobie myślał niepoczciwy młynarz, ale już to tym razem troszeczkę się przerachował, bo to właśnie brat był mądry a pieniądze głupie — jak się o tem zaraz dowiecie.

Szymon ubrał się w świąteczne suknie i poszedł akuratnie do starego żołnierza a zastał tam już i księdza proboszcza i dużo ludzi z gromady. Stary żołnierz Piotr leżał jak nieżywy i jeno stękał ciężko, jakby już ducha Panu Bogu oddawał. Kiedy chory zobaczył Szymona, jęknął ciężko i mówi do niego:

— Panie młynarzu Szymonie! Przepraszam was i sumituję się z całego serca, żem was chciał podejść i oszukać. Teraz już umieram i za lada godzinę stanę przed Panem Bogiem, więc też wyjawiam prawdę, że nie jestem waszym bratem jeno tak udawałem... Darujcież mi panie Szymonie!

I przy tych słowach chory żołnierz jęknął tak okrutnie, jakby go już śmierć dławiła — a Szymon tymczasem sam nie wie, co robić i kręci się na ławie, jakby mu kto ognia podsypał i myśli sobie:

— Macie teraz, już się teraz sam mnie wypiera, choć jest rzetelnie moim bratem. Jeżeli ma pieniądze, to już dla mnie przepadły na wieki! Otom się sam oszukał!

Tymczasem stary żołnierz stęka i jęczy dalej i tak leży mizernie, jakby już stygł do reszty a słabym głosem mówi jak umierający:

— Jestem okropnie chory i śmierć mi już zagląda w oczy. Rany, które dostałem na wojnie, pootwierały się znowu, a mówili mi lekarze w Warszawie, kiedym się tam goił w szpitalu, że jak się te rany odnowią, to już śmierć oczywista!

I znowu jęknął żołnierz jakby z wielkiego bolu a po chwili mówił dalej cichym głosem:

— Dla tego chciałbym pojednać się z Bogiem i zrobić testament, bo mam z czego.... A nie gniewajcie się panie Szymonie, żem się wydawał za waszego brata....

Szymon aż podskoczył na zydlu i poskrobał się tylko w głowę.

— Musicie wiedzieć — prawił dalej stary żołnierz — że gdym był na wojnie, to w jednej bitwie uratowałem życie memu pułkownikowi, który był panem strasznie bogatym. Potem dostałem się Moskalom do niewoli i tam długo byłem, aż się w końcu cudem Bożym jakoś wydostałem. Kiedym wracał do domu ukrycie, aby mnie Moskale znowu nie złapali, zaszedłem po drodze do jakiegoś bogatego domu, aby prosić o posiłek i jałmużnę, bom nie miał ani grajcara na drogę a straszniem był osłabł z wielkiego utrudzenia. Kiedy tak w tym dworze proszę o jałmużnę wychodzi sam pan i oto patrzcie, był to ten sam pułkownik, któremu uratowałem w bitwie życie!...

Młynarz Szymon poskrobał się znowu w głowę a wszyscy słuchali z wielką ciekawością tej historji.

— Pułkownik zaraz mnie poznał — opowiadał dalej stękając i jęcząc chory żołnierz — i przywitał mnie jak brata. Zaraz mnie wziął do pokojów, zaczął mnie ściskać i całować i mówił, że co tylko żądam, to mi da z wdzięcznością, żem go od śmierci wybawił. Ja go prosiłem jeno na drogę, abym się tu do Wydrzychowa mógł dostać. Pułkownik z razu chciał mnie koniecznie zatrzymać u siebie na łaskawym chlebie, ale że ja się uparłem koniecznie wracać do swoich, więc dał mi grubą sumę pieniędzy!

— Grubą sumę pieniędzy... — mruknął sam do siebie po cichu młynarz Szymon i uderzył się po czole całą pięścią.

— A czego tak gniewnie patrzycie na mnie, panie Szymonie — rzecze dalej stary żołnierz — toć proszę was, nie miejcie żalu do mnie, żem się wydawał za waszego brata! Darujcie mi to choć przed śmiercią!

Wszyscy popatrzyli się na Szymona a niejeden się i zaśmiał, a Szymon tymczasem siedział jak na żarzących węglach

i o niczem nie myślał, jeno jakby tu przyznać się do Piotra i zagarnąć jego pieniądze.

Chory żołnierz mówił tymczasem dalej:

— Z tych pieniędzy mam jeszcze cztery tysiące....

— Cztery tysiące! — mruknęli gospodarze z zdziwienia.

— Cztery tysiące! — wybełkotal przez zęby młynarz Szymon — a ja dureń go się wyparłem! Otom się sam oszukał!

A żołnierz jęknął jeno z bolu i mówi dalej:

— Te cztery tysiące muszę na coś pobożnego zapisać, bo nie mam żadnego krewnego. Wprawdzie ja się tam wydawałem za brata pana młynarza Szymona, ale pan Szymon zaraz poznał że to nie prawda. O nie gniewajcie się za to na mnie panie Szymonie!

Szymon już nie mógł wytrzymać a tak go chciwość paliła, że mało sobie włosów nie rwał za to, że się nie przyznał do brata. Zaś chory żołnierz prawi dalej:

— Ani dzień nie minie a już sobie pomaszeruję na drugi świat. Mam cztery tysiące w gotówce a nie mam ani sióstr ani brata... — i wyciągnął z pod poduszki gruby pęk, co tak wyglądał, jakby to był zwitek samych pieniędzy papierowych. Więc też trzeba wszystko zapisać na chwałę Panu Bogu....

Chciwy młynarz nie mógł się już dłużej powstrzymać. Pomyślał sobie, że lepiej się przyznać do Piotra i wziąć go do siebie a potem zagarnąć po nim pieniądze, bo i tak chory żołnierz lada dzień umrze z pewnością. Zerwał się tedy Szymon na równe nogi, biegnie do łóżka chorego żołnierza i woła udając wielką czułość i dobre serce:

— Jakto Piotrze! Piotrze! ty nie masz brata! A toć ja twój brat, Szymon, czyś mnie nie poznał!

Wszyscy się popatrzyli z zdziwieniem wielkiem na Szymona a chory żołnierz mówi na to:

— Jak to Szymonie! Co wy też mówicie?! Czyście się upili czy co? A gdzież ja wasz brat? Toć przecie sami się zaklinaliście, że wasz brat Piotr dawno umarł! Ja przecież wam się do tego przyznaję, żem się tylko za waszego brata Piotra wydawał!

— A nie gadajże tego Piotrze — woła chciwy Szymon, tyś mój brat młodszy sprawiedliwy, jenom cię z razu nie poznał, ale teraz to już cię dobrze poznaję. Tak kochany Piotrze, tyś mój brat rodzony i przepraszam cię bardzo, żem cię z razu nie mógł poznać!

— Ale co wy gadacie Szymonie! zastanówcie się! — mówi na to chory żołnierz.

— To gadam co prawda! — rzecze Szymon — i powiadam tu przy księdzu, przy wójcie i przy świadkach, żeś ty Piotr mój brat, któremu nieboszczyk ojciec zapisał połowę młyna i całego majątku.

Szymon już teraz umyślnie wszystko wyznał, ponieważ chciał koniecznie przeprosić brata i zagarnąć jego pieniądze, bo był pewny że Piotr umrze za jakich kilka dni.

— A kiedy tak, to co innego — odzywa się na to chory żołnierz — kiedy mnie poznajesz za brata przy świadkach, więc też i ja się nie będę ciebie wypierał. Proszę księdza dobrodzieja i was wójcie i was ludzie obecni za świadków, że Szymon przyznaje, że jestem jego bratem i że mi ojciec połowę młyna i całego dobytku zapisał!

— Przyznaję, przyznaję! — zawołał Szymon i takiem chciwem okiem popatrzył się na ową paczkę z pieniądzmi, jakby ją chciał połknąć od razu. A w duchu myślał sobie: „Zjesz kata chyrlaku. Kłapniesz jak mucha lada dzień, to co ci tam po połowie młyna — a pieniądze twoje pójdą do mojej skrzyni.“

Wtem nagle chory żołnierz wyskoczył z łóżka zdrów jak ryba i śmiejąc się z Szymona tak się odezwał:

— Otoż tego tylko chciałem Szymonie, niepoczciwy bracie, chciwy i niesumienny człowieku! Teraz ci powiem wyraźnie, oto widzisz najpierwej, nie jestem chory, jeno zdrów jak ryba w wodzie, a dalej musisz wiedzieć, że cała historja z tym pułkownikiem i pieniądzmi, to bajka wierutna i na to tylko, aby ci sztuką za sztukę zapłacić. Nie przyznałeś się ty niegodziwcze do mnie, ale do pienędzy a ja właśnie nie mam ani grosza, bo tych kilka cwancygierów, com je z sobą przyniósł, wydałem już dawno. Oto patrz co jest w tej paczce!

I rozwinął Piotr paczkę a w paczce tej były stare, podarte szmaty!

Szymona jakby piorun z jasnego nieba ugodził, zachwiał się jeno i zatoczył i aż rwał sobie włosy z głowy ze złości.

— Tak to, panie bracie tak! — zawołał Piotr — oto masz żołnierski testament! Sztuką wilka tłuką — a złych ludzi także! Teraz ja się do ciebie zabieram na ostro i musisz się podzielić ze mną całym ojcowskim dobytkiem.

Niedobry młynarz Szymon mało się w ziemię nie zapadł z wielkiego wstydu i z zgryzoty i wyniósł się jak pies oparzony z izby a wszyscy śmiali i radowali się okrutnie z całej tej historji. Dla Szymona nie było już teraz rady, bo na wszystko byli świadkowie a sąd byłby go jeszcze może ukarał za oszustwo, więc też zaraz na drugi dzień musiał się dzielić przy księdzu i wójcie majątkiem z swym bratem Piotrem. Piotr dostał młyn cały a Szymon wziął gotowiznę i większą połowę gruntu, a tak się chciwy młynarzysko zgryzł tym całym wypadkiem, że ciężko odchorował a potem sprzedał grunt i zabrał się z Wydrzychowa, bo nie miał tu co popasać po takim okrutnym wstydzie.

A młynarzem w Wydrzychowie jest już teraz stary wojak Piotr i doskonale mu się powodzi, a że jest człek bardzo poczciwy i usłużny, więc go też wszyscy kochają i szanują. On to sam opowiadał mi całą tę historję z swoim niepoczciwym bratem, a ja ją tu wam wypisałem, jak słyszałem, dla zabawy dla dobrych ludzi, dla przestrogi wszystkim tym, co nie mają tak sumienia i serca, jak ten chciwy młynarz Szymon!

Gadki.

1.

Z czynów tylko a nie z słów
Sądzi Pan Bóg — pozna świat:
Wiele działaj, mało mów,
Będzie z ciebie bracie chwat!

2.

Zapamiętaj bracie rad:
Abyś miernie jadł i pił,
Bo nie żyjesz: abyś jadł,
Lecz jesz na to: abyś żył!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. Nr. 2.

11. stycznia 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Stanisław Staszic,

sławny Polak, przyjaciel i dobrodziej ludu wiejskiego.

(Dokończenie.)

Dopowiemy wam tu jeszcze o tym sławnym Polaku Staszicu. Przezacny ten mąż mało dbał o siebie a myślał tylko o szczęściu ojczyzny i biedniejszych bliźnich. Miłość ojczyzny była u niego zawsze na pierwszem miejscu, a że to już podówczas nasza Polska była w opłakanym stanie, więc też było czem się frasować. To też Staszic przemyśliwał zawsze, jakby tu wydźwignąć kraj z upadku i bywało gdy się zjadą z panem naczelnikiem Kościuszką, to radzą obaj nad ratunkiem Polski.

Miłość jego dla bliźnich i biedniejszych była nadzwyczajna, tak dalece, że nawet dla tego za życia mieli go za dziwaka, bo jakże moi kochani, kiedy on taki pan i bogacz całą gębą, dla siebie był skąpcem okrutnym, a to wszystko dla tego, aby miał więcej dla biednych i aby po jego śmierci kilkadziesiąt rodzin ubogich włościan miało dobytek i swobodę.

I tak mieszkał sobie biedniutko w dwóch lichych stancyjkach, a lat kilkanaście chodził w jednem wytartem ubraniu. Jak się ubierał, tak i jeździł biednie, że aże jego samego wstyd było i nie lubił jeździć przez miasto Warszawę, tylko tyłami objeżdżał. Jednego tylko miał służącego, ten był u niego i furmanem i lokajem i gospodarzem; a żona jego gotowała Staszicowi jeść, które to jadło było także bardzo skromne. Rano ciepłe piwo z chlebem, a na obiad rosół i kawałek chleba, oto cały jego posiłek.

A kiedy mu to jego dla siebie skąpstwo przyjaciele wyrzucali, to on mówił, że każdy grosz, co wydaje dla siebie, to go kradnie ubogim.

A lubił poczciwiec okrutnie chodzić na teatr, gdzie to takie ładne sztuki przedstawiają i gdzie muzyka gra przepięknie. Ale cóż, gdyby był poszedł tam w to miejsce, jakie przystało jego honorowi i osobie, toby był musiał co dzień kilka i kilkanaście złotych wydać; to cóż on nie robił? oto ubierał się jak najbiedniej i poszedł do teatru w najostatniejsze miejsce, co go i złotówki nie kosztowało i dopiero skrył się za ludzi i tak niepoznany stał w kąciku. Co wszystko to czynił z tej wielkiej miłości dla biednych ludzi, dla których umierając, zostawił aż 6 milionów złotych polskich, to nie żart.

Bo też wiedział dobrze Staszic, że każdy człowiek pracować powinien szczerze i oszczędzać, aby sobie i drugim w biedzie mógł zaradzić. Gniewał się Staszic zawsze, jeżeli kto z lenistwa lub rozpusty tracił dobytek, bo trzymał się zawsze tego, aby każdy człek własną pracą dobijał się doli a nie spuszczał się na pieczone gołąbki. Toć też nawet swemu rodzonemu bratu nie dawał dużo pieniędzy lecz tylko tyle, aby miał o czem rozpocząć i poczciwie pracować, bo uważał tylko to za prawdziwą własność, czego się sam człowiek własnemi siłami dorobi. Brat ten Staszica był mielnikiem ale nie miał własnego młyna, jeno cudze wynajmował. Gdy się ten brat dowiedział, że Staszic został wielkim panem i ministrem, przyszedł do niego do Warszawy. Staszic powitał go z serdeczną miłością, zapłacił za niego dzierżawę młyna na wieczne czasy i tak mu powiedział:

— Oto dałem ci sposób do szczęścia, jeżeli będziesz pilny, uczciwy i sam o swoje dobro staranny. W młynie, w którym dotąd byłeś sługą, będziesz teraz panem. Gdybym ci więcej udzielił, rozpróżniaczyłbyś się a może i rozpił. Teraz masz byt zapewniony i od ciebie zależy, żeby ci na niczem nie brakło.

Miał też Staszic serce bardzo miłosierne i chętnie przebaczał ludziom, co mu coś złego wyrządzili. Kiedy już był najwyższym urzędnikiem, to jest ministrem, opadł go raz na drodze jakiś pijany urzędnik od rogatki i nie poznawszy znieważył go na ulicy. Urzędnika tego zaraz zrzucono z urzędu i skazano na więzienie, ale Staszica poruszyła litość i nie tylko, że go wyprosił i znowu mu chleb wyrobił, ale jeszcze zapłacił mu z własnej kieszeni tę pensję za kilka miesięcy, którą mu sąd był odebrał.

Ale osobliwym jego zamiarem i najusilniejszą jego chęcią było, aby jako pieniędzmi można było najwięcej wsi i gromad od pańszczyzny wykupić i aby ludzi, o ile można ze sobą porównać. Oto własne jego słowa, które w swych pismach zostawił:

„Przez lat 40 mych rozmyśliwań, zapytywałem się często sam siebie, jaki był zamiar Najwyższego Stwórcy, do czego przeznaczył człowieka i co najpewniej zabezpiecza szczęście ludzkie? I same słowa Boże, wyryte palcem na kamieniu dały mi na to odpowiedzi, a ta jest:

Będziesz kochał Pana Boga twego z całej duszy twojej, a bliźniego twego, jako siebie samego.

„Jakoż nie znajduje człowiek nic przyjemniejszego dla serca swego, jak w dobrych uczynkach i nikt nie dopełnia wiernej woli Stwórcy swego, jak kiedy przez całe życia przyczynia się do szczęścia drugich.“

„Przekonany o tej prawdzie, postanowiłem całe życie moje na to poświęcić, abym los kilkudziesięciu rodzin polepszył i życie ich swobodniejszem uczynił. Dla tego przez całe życie byłem skąpy w wydatkach dla siebie, aby oszczędzić dla biednych.“

„Z tej oszczędności zakupiłem dobra Hrubieszów, gdzie rozdawszy na wieczne czasy grunta, uszczęśliwiłem kilkadziesiąt rodzin; a dziękuję stokrotnie Bogu, że ludzie doszli już do tego poznania, że to jest dobrem i że za moim przykładem i drudzy tak postąpią.“

Otóż to takiemi świętemi uczuciami i taką miłością dla ludu prostego, było całe życie przejęte serce wielkiego człowieka, tego Staszica, a może to dusza jego świątobliwa, wyprosiła tam w niebie u Boga wszechmocnego, że się jego życzenia spełniły, że już dziś, gdzie tylko stopa jaka polskiej ziemi, ba i w całym świecie, nie ma już pańszczyzny i nie będzie jej jako życie, dla tego to widzicie, na początku naszego opowiadania słusznie nazwaliśmy Staszica największym przyjacielem i dobrodziejem ludu wiejskiego.

A wy kochani bracia wieśniacy uczcijcie często pamięć tego wielkiego i wielką miłością przejętego człowieka. A tylko jeno w krótkości jeszcze opowiem wam o jego śmierci. Zapadł on nagle w styczniu 1826 roku, na chorobę zwaną apopleksją. Dniem przed tem choć już był słaby, ale jeszcze zupełnie przytomny i żegnając się ze swymi przyjaciołmi, rzekł:

Może się jeszcze z tej choroby wydźwignę, lecz gdybym umarł, zostawiam wszystko w porządku. I potem znowu mówił do jednego przyjaciela tak: „Pisałeś za włościanami, pisz i pilnuj dalej, aby im swobody zapewnić.“ Tak w ostatniej chwili życia swego o was tylko myślał ludu prosty, wieśniacy! Na drugi dzień potem już nie żył. Sam powiedział gdzie chce być pochowanym, t. j. na Bielanach obok kościołka tamtejszego. Pogrzeb jego był taki, jakiego nie pamiętała Warszawa. Całe duchowieństwo i wszelkich stanów ludzie, wszyscy domów swoich odeszli, tak że sklepy i urzędy pozamykali, lud ciągnął od Warszawy do samych Bielan. Wiedzieli ludzie dobrze, że odprowadzają człowieka do grobu, który z taką miłością do kraju i dla ludzi nie prędko się zjawi na świecie, a który tyle dobrego zostawił po sobie.

Włościanie z powiatu hrubieszowskiego, którym on pańszczyznę darował i grunta wszystkie na wieczną własność zapisał, do dziś dnia zachowali w swem sercu pamięć swego do-

brodzieja, i nazywają go zawsze ojcem Staszicem. Co roku składają się wszystkie gromady tego powiatu na żałobne nabożeństwo w rocznicę jego śmierci i modlą się za „ojca Staszica“.

Panie świeć nad duszą jego i daj nam więcej takich wielkich ludzi, co mają taką miłość w sercu!

Ludka z Myślenic.

Król i kowal.

W małem mieście kuźnia stała,
I chałupka przy niej mała,
A w niej kowal wśród czeladzi,
Jako majster rej prowadzi.

Równo z świtem już miech huczy,
Stary kowal czeladź uczy,
Jak wygrzewać i hartować,
Jak nastalać i wykować.

Oj! kowalska ciężka praca
Ale za to i popłaca:
Boć to kowal do wszystkiego,
I do tego i owego.

Czy to przyjdzie pług nastalić,
Czy podkowę młotem zwalić,
Wykuć pancerz lub szablicę,
Choćby nawet i rusznicę —

Dla kowala nie zagadka,
Wnet wywiąże jakby z płatka,
I każdemu w duch usłuży,
Doma, w wojnie lub w podróży.

Zawsze ogniem i żelazem,
Z młotem w ręku raz za razem,
Po kowadle w takt przygrywa,
I junacką piosnkę śpiewa.

A jak słońce zejdzie z nieba,
To kowalom spocząć trzeba,
Wtedy majster czeladź bierze,
Do swej chaty na wieczerzę.

Po wieczerzy; jak to starzy,
Stary kowal z młodzią gwarzy,
Czeladź słucha, lulki pali,
Dawne czasy majster chwali.

— Inak u nas dawniej było,
Co się żyło, to się żyło,
Dzisiaj wszystko na wspak idzie,
Nie dopatrzeć końca biedzie,

Za podkowę talar bity,
To zarobek wyśmienity,
Bo też to za króla Sasa,
Było złota aż do pasa.

Dobrze wam o wszystkiem wiedzieć,
Więc wam muszę opowiedzieć,
Zajście króla i kowala,
Bo swój swego rad wychwala.

Król polując w swych dąbrowach,
Gdy chciał wracać już po łowach,
W róg zatrąbił raz i drugi,
Na swe strzelce, na swe sługi

Ruszył z miejsca w czwał dwór cały,
Wielki przepych, okazały,
Boć przy królu i hetmany,
I rycerstwo, radne pany.

Tak jechali kawał spory,
Wiodąc z sobą rozhowory,
Jak się komu poszczęściło,
Co zwierzyny się ubiło.

W tem, gdy minął już dąbrowę,
Król się wstrzymał, bo podkowę
Rumak zgubił. Aż tu zdala,
Słychać głośny młot kowala.

Więc do kuźni wnet przybędzie,
I co rychlej z konia zsiędzie,
Do kowala tak wyrzecze:
— Za podkowę talar człecze!

Kowal węgla wnet dołoży,
Miecha zadmie, ognia sporzy,
I żelazo w mig rozpali,
Po gorącem młotem wali.

Przez „Ojcze nasz“ już podkowa,
Do podkucia jest gotowa:
W tem król chwyci w silne ramię
I podkowę w dwoje złamie.

— Ot! nic potem, kuj na nowo!
Kowal kuje kręci głową,
I ramienia nie żałuje;
Co wykuje to król psuje.

Kowal na kieł wziął u licha,
Młotem wali, modli z cicha,
I udało się tą razą:
Król był słabszy niż żelazo.

Więc talarka sam król poda:
— Taka rzeknie była zgoda.
Na to powie kowal stary,
Łamiąc talar: — Złe talary.

Co król poda, to on złamie.
Król pomyśli, silne ramię!
Chwat z waszeci, w głos wykrzyknie,
Konia zepnie, z oczów zniknie.

Tak król zwan podkowołomca *)
Bisurmanów on pogromca,
Co panował narodowi,
Nie dotrzymał kowalowi.

Więc czmychnąwszy w ciężkiej dobie,
Król pomyślał tak sam sobie:
— Jeden Bóg nas wszystkich stwarza,
Tak kowala jak mocarza.

Jak bywało, wiedzą nieba,
Lecz już północ, spocząć trzeba,
A jak jutra doczekamy,
To znów sobie pogadamy.

Józef Jakubowicz.

*) Król polski August II., Sas, znany był ze swej nadzwyczajnej siły.

Złe języki.

Brzydka to i nie chrześciańska rzecz, moi mili, obmawiać kogo i czernić, a zły język rani jeszcze bardziej niż miecz najostrzejszy. Dobry i zacny człowiek, co ma sumienie i Boga w sercu, nigdy źle nie gada o swoim bliźnim, a choć się nawet przekona, że ktoś co złego zrobił, to go przed ludźmi nie czerni i nie obmawia, ale przeciwnie jeszcze ratuje, sławę cudzą, bo każdy poczciwy wie o tem, że każdy człowiek ma swoje wady a pismo święte mówi, że i sprawiedliwy codziennie siedm razy grzeszy.

Ale są znowu tacy ludzie bezbożni, co swemi złemi językami obgadują i spotwarzają wszystkich i plotą, co im ślina na język przyniesie. Tacy niedobrzy ludzie już z samego nałogu oczerniają wszystkich, na nikim jak to mówią nie zostawią nawet suchej nitki i choćbyś był najlepszym i najzacniejszym, to nakłamią i nawymyślają na ciebie najrozmaitsze niestworzone rzeczy.

Co to za ohydna jest wada, taki zły język, już wam o tem nawet szeroko prawić nie potrzebuję. Toć Zbawiciel nasz św. Chrystus Pan wziął nawet raz grzesznicę w obronę i kiedy na nią ludzie nastawali rzekł:

— Kto z was jest bez winy, niechaj pierwszy kamień na nią ciśnie!

Słowami temi dał nam naukę, żeśmy nawet grzesznych potępiać nie powinni, bo nikt nie jest bez winy. Cóż dopiero mówić o takich, co nawet na dobrych i sprawiedliwych ostrzą swe jadowite języki i czernią ich dobrą sławę? A kto drugiemu odbiera dobrą sławę, ten popełnia taki sam rozbój jak każdy prosty rabuś, co ludzi po drogach rozbija, bo dobra sława jest także majątkiem, a u niejednego biedaka to jedyne mienie i jedyna pociecha na świecie!

Opowiem wam tu historję o jednym takim złym człowieku, co wszystkich czernił i obmawiał aż w końcu był za to dobrze ukarany. Żył we wsi Świerczanach pewien wieśniak Tomasz Szczekuń. Był to gospodarz niczego, i nie był w gruncie du-

szy takim złym człowiekiem, nie oszukał i nie skrzywdził nikogo, nie upijał się i pracował pilnie koło swego gospodarstwa.

Ale miał za to Tomasz Szczekuń tę okrutnie brzydką wadę, że wymyślał i wygadywał na wszystkich, choć mu nikt nie był nic winien. Język Szczekunia był ostry jakby nóż jaki a jadowity jak gadzina i nikogo nigdy nie poszanował ale każdego hańbił i czernił po za oczy, że aż człeka strach zbierał słuchać te kłamstwa i potwarze.

Nie było w całej gromadzie człowieka, który by był bezpieczny przed złym językiem Szczekunia. Na każdego coś nakłamał, każdego obmówił, a jak Świerczany wieś duża i dużo ma gospodarzy, tak niepoczciwy Szczekuń zrobił z każdego choćby najuczciwszego gazdy pijaka, ladacę, złodzieja i Bóg wie co, bo już taką miał wadę, że o nic nie pytał, jeno plótł, co mu ślina na język nadniosła.

I w końcu tak się przyzwyczaił Szczekuń do swego obrzydliwego nałogu, że choć o kim w gruncie duszy był przekonany, że jest dobrym i poczciwym człowiekiem, to przecież bezbożnym swym językiem wygadywał na niego, co tylko mógł wymyśleć.

Nie potrzebuję wam mówić, jak za to cała gromada nie lubiła Szczekunia. Wszyscy się nań gniewali i nie miał w całej wsi przyjaciela, bo jakże się z takim człowiekiem przyjaźnić i bratać, co cię krzywdzi bez ustanku swym złym językiem?.... Bywało obraża Boga i zgorszenie wielkie we wsi, bo jeden i drugi dowiedziawszy się, że Szczekuń na niego wygaduje, chciał się pomścić i przychodziło nie raz do kłótni i do bójki, a zdarzało się czasem, że Szczekuń także areszty wycierał za swój zły język.

Ale tak to już u niego przeszło w nałóg niepoprawny, że choć go i łajano i wybito nie raz i do aresztu zamknięto, on zawsze swoje robił i ani po dobremu ani po złemu nie można go było oduczyć tej niecnoty.

A był we wsi Świerczanach dziedzic bardzo dobry, pan zacny i poczciwy, który całą gromadę kochał jak swoich braci a gromada znowu jego szanowała i lubiła, gdyby ojca. To też zawsze między dworem a gromadą zachodziły rozmaite sprawy,

czy kto chciał rady, czy jakiej nauki, czy pomocy i poratunku, szedł zaraz do dziedzica, a dziedzic co mógł to zrobił i nikt od niego nie odszedł z gołemi rękami. Otóż razu jednego i ów Tomasz Szczekuń, co to miał taki zły i bezbożny język, wybrał się był z prośbą do dworu. A była temu taka przyczyna.

Przyszedł jakoś twardy i ciężki rok na gromadę, a już najbardziej na Szczekunia. Na polu mu nie zrodziło, bydło padło na wymorek a grosza ani rusz było dostać. Do tego jeszcze takie nieszczęście przytrafiło się Szczekuniowi. Nie miał on budynków gospodarskich jak się patrzy i to mu zawsze ciężko domagało, bo to wiecie sami najlepiej, jak to nieskładnie i gorzko w gospodarstwie, jak nie ma potrzebnego budynku na dobytek i chudobę. Bez tego to wszystko nie na rękę i całe gospodarstwo nic nie warte. A znowu wiecie także, jak to się ciężko ściągnąć na postawienie choćby nędznego chlewu, boć to i budulec i majster i rozmaite inne koszta.

Kręcił się też i pocił okrutnie Szczekuń, aby się jakoś zdobyć na jakie takie budyneczki, ale długo mu to szło jak z kamienia. W końcu uzbierał tyle grosza, że sobie zakupił dużo pięknego materjału na budulec i poskładał pod chałupą, aby zaraz skoro przyjdzie wiosna, nająć majstrów i wziąć się do roboty. Ale oto patrzcie jakie się stało nieszczęście. Wieś Świerczany leżała nad bystrą rzeką a domostwo Szczekunia było najbliżej brzegu. Otoż gdy miała być wiosna i śniegi nagle puściły, wylała rzeka okrutnie i połowę wsi prawie tak jakby zatopiła.

Wiele szkody narobiła woda we wsi ale już najbardziej zniszczyła Szczekunia. Bo to jak powódź wylała, tak wyniosła mu het wszystek budulec z ciężką biedą zebrany i nie zostawiła ani jednej deski. Przepadło drzewo bez śladu i Bóg wie, gdzie je woda zaniosła — a do tego wszystkiego popsuła powódź do szczętu chatę Szczekunia. Ciężkie to było nieszczęście! Budulec przepadł, a tuż już nie tylko gospodarskie budynki trzeba było stawić koniecznie, ale i chatę samą prawie na nowo odbudować! A grosza nie ma nawet na pokaz, zboża

pod zasiew trzeba dokupić, przednowek ciężki — cóż tu robić w takiem okrutnem utrapieniu?...

Ciężka była rada — więc też Szczekuń nie wiele myśląc wybrał się do dworu po ratunek.

Dziedzic przyjął po ludzku Szczekunia, wypytał go się o całe nieszczęście i żałował go bardzo. Wiedział jednak dziedzic dobrze, jaki to ma zły język Szczekuń i jak na wszystkich lubi wygadywać i każdemu dobrą sławę popsuć bez sumienia, więc też aby się o tem przekonać, zaczął z Szczekuniem rozmowę o wszystkich gospodarzach, z ciekawości, czy też on ciągle jeszcze ma ten bezbożny nałóg.

Pyta więc dziedzic Szczekunia o jednego gazdę, a Szczekuń, jak rozpuści swój brzydki język, tak go zaraz obmówił i obgadał jak ostatniego — pyta o drugiego, i na tym Szczekuń ani słówka dobrego nie zostawił — pyta o trzeciego, ba i z tego zrobił Szczekuń ostatniego draba — pyta jeszcze dalej, a Szczekuń swoje i swoje, tak że już na całą gromadę nawymyślał ten niecnota najniesprawiedliwiej.

— Ale co też wy mówicie, Szczekuniu — rzecze dziedzic — toć nie może być, aby wszyscy byli tacy łotry i niecponie.

— O proszę wielmożnego pana — mówi na to Szczekuń — ja czystą prawdę mówię, to same draby, jakem wielmożnemu panu już wypowiedział.

A było we wsi dwóch bardzo poczciwych i zacnych gazdów. Byli to bardzo szanowani i starzy ludzie, co się nigdy ani na włosek nie dopuścili złego w całem swem życiu a wszyscy nawet i najgorsi musieli szanować ich cnotę i poczciwość. Obaj ci gospodarze zwali się Ignacy Motek i Paweł Zwór — a tacy już byli sprawiedliwi, bogobojni i zacni staruszkowie, że trzeba było, jak to mówią, mieć psi język, aby na nich choćby jedno niedobre słóweczko powiedzieć.

Myśli sobie tedy pan:

— Na wszystkich nagadał i nawymyślał Szczekuń, ale o tych pewnie nic złego nie będzie śmiał powiedzieć. Zapytam go teraz o Motku i Zworze, może choć tych nie będzie ruszał swym złym językiem.

I jak pomyślał tak też zrobił. Pyta się Szczekunia:

— Proszęż was moi Szczekuniu, już to tam wszystko tak być może, jak wy mówicie, ale Ignacy Motek i Paweł Zwór, to są pewnie bardzo poczciwi i zacni ludzie!

— Oho! Niechno wielmożny pan tylko wierzy — rozpuścił zaraz swój bezbożny język Szczekuń — toć to oni obaj ani odrobinki nie lepsi jak drudzy. Ho! ho! to także ładne ptaszki, już ja ich znam, co to za ludzie!

Rozgniewało to pana bardzo, bo sam szanował obu staruszków jak ojców i był o nich przekonany, że są najzacniejsi w świecie ludzie — i chciał już z razu złajać dobrze Szczekunia i wyrzucić go za jego gadanie za drzwi, ale ukrył swój gniew naumyślnie i mówi jeno dalej:

— Ale miejcież sumienie, toć przecież Motek i Zwór to bardzo zacni gospodarze.

— Łotry wielmożny panie i koniec — rzecze na to Szczekuń.

— Najzamożniejsi w całej gromadzie — mówi dziedzic dalej.

— Owa! — odpowiada Szczekuń — cały ich majątek tylko z krzywdy ludzkiej i z oszustwa a i oni pójdą wnet z torbami!

— Co wy też gadacie, toż u nich dobytek pański!

— Ej nie tak to tam, jak się zdaje — odpowie Szczekuń — rozpadnie się to tam w mig, będzie wielmożny pan widział, że to jeszcze nie zadługo obaj pod kościołem żebrać będą! Już ja wiem co mówię!

— Ale Motek i Zwór oszczędni i pracowici ludzie...

— Gdzie tam! to nicponie i leniwcy panie, jakich szukać — mówi Szczekuń.

— Wspomagają ubogich — prawi dalej dziedzic.

— Alboż to prawda, wielmożny panie, oni by jeszcze żebrakowi wydarli, tacy chciwi.

— Modlą się i żyją przykładnie.

— To obłuda tylko — odpowiada Szczekuń.

— Nie piją... — prawi dziedzic

— Chyba wtedy kiedy spią — wyrwie się Szczekuń — boć oni pokryjomu żłopią wódkę jak wodę.

— To może powiecie w końcu, że i kradną? — mówi dziedzic i aż mu się w środku gotuje na te bezbożne kłamstwa Szczekunia.

— Oj, jabym za to i złamanego grosza nie dał — odpowie Szczekuń — rozmaicie tam o nich mówią i ja tam wiem nie jedno, już jabym za nich pewno nie ręczył....

Markotno się bardzo zrobiło dziedzicowi i zamyślał się nad tem, jakby to niepoczciwego Szczekunia oduczyć tej bezbożnej obmowy — aż nareszcie pyta Szczekunia, czy ma do niego jaki interes.

Szczekuń skłonił się do nóg panu, rozpowiedział mu swoją biedę i prosił, aby go zapomógł drzewem na budulec. Pan wysłuchał mowy Szczekunia łaskawie i tak mu odpowiedział:

— Chętnie was poratuję w waszem nieszczęściu i nie tylko że wam dam zaraz cedułę na drzewo do lasu, ale nawet od was za to niczego żądać nie będę. Jednakowoż tylko wtedy to zrobię, jeżeli mi tu przyprowadzicie dwóch gospodarzy ze wsi, poczciwych, trzeźwych i zacnych, i żeby ci gospodarze za was zaręczyli, że zasługujecie na poratunek.

Szczekuń podziękował panu i wybiegł uradowany na wieś i począł myśleć nad tem, jakich by tu dwóch gospodarzy porządnych wziąć z sobą do dworu. Wstępuje więc zaraz po drodze do jednego i prosi go, aby przemówił za nim u pana. Ale gospodarz ten tak mu odpowiada:

— Jak to, ja mam za was ręczyć, a za co? Czyż to nie gadaliście na mnie wszędy, żem pijak i oszust ostatni? Idźciesz sobie teraz szukać kogo innego, a mnie dajcie pokój!

Poskrobał się Szczekuń w głowę i idzie do drugiego a ten mu znowu mówi:

— Co wy też odemnie chcecie Szczekuniu! A toć przecież nazwaliście mnie złodziejem i rozgadaliście we wsi, żem gdzieś na jarmarku buty ukradł. Ruszaj sobie na cztery wiatry!

Szczekuń idzie do trzeciego, do czwartego, do piątego — ale wszędzie mu to samo wymawiają a gdzieniegdzie i za próg

wytrącą i tak całą już prawie wieś schodził, a żaden gospodarz nie chce z nim iść do dziedzica!

Okrutnie się zmartwił Szczekuń i po raz pierwszy w życiu począł żałować z serca, że nie powstrzymywał swego bezbożnego języka, jeno wygadywał niestworzone rzeczy na ludzi.

— Miły Boże! — rzekł sam do siebie — gdybym był szanował dobrą sławę drugich ludzi, byliby mnie poratowali teraz w biedzie i byłbym od pana dostał za darmo budulec! A teraz cóż ja pocznę nieszczęśliwy!

Szczekuń już wszystkich gospodarzy był prosił, ale nikt go wysłuchać nie chciał. Jeszcze u dwóch tylko nie był, u Pawła Zwora i Ignacego Motka, co to jak wiecie byli najstarsi wiekiem i najzacniejsi gospodarze, a na których on we dworze tak wygadywał. Idzie więc do nich Szczekuń a po drodze lamentuje i narzeka. Gdy przyszedł do Piotra Motka, zapytał go tenże, czego potrzebuje. Szczekuń opowiedział mu wszystko, a wśród gadania aż łzy mu zaświeciły od frasunku w oczach. Staruszek wysłuchał z uwagą Szczekunia i tak mu powiedział:

— Bogiem a prawdą, to i nie powinienbym dać za was porękę we dworze, boście na to nie zasłużyli. Toż to nie dawno na mnie nagadaliście się różnych brzydkich rzeczy. Ale ja już stary i pamiętam na naukę Chrystusową, aby odpuszczać winy z szczerego serca. Może się też i poprawicie, to chyba i pójdę z wami do dworu!

Szczekuń aż podskoczył z radości, uściskał kolana sędziwemu Motkowi i mówi:

— Bóg wam zapłać, moiściewy Ignacy, ale to potrzeba jeszcze drugiego, coby także za mnie poręczył.

— No to chodźmy do sąsiada, do Pawła Zwora — mówi Motek — to może i on pójdzie z nami!

Zebrał się Motek, wziął Szczekunia z sobą i poszli obaj do Zwora. Zwór wysłuchał wszystkiego i mówi:

— Gadałeś na mnie rozmaicie, czerniłeś na wszystkie boki, ale ja ci powiem po szczeremu: psie głosy nie idą pod niebiosy! I nie chcę ci tego pamiętać, przebaczam ci i pójdę z tobą do pana!

Szczekuń począł okrutnie przepraszać i w duszy żałował serdecznie, że na takich zacnych staruszków wygadywał, a gdy szedł z Motkiem i Zworem do dziedzica, przysiągł sobie po drodze, że już swój język poprawi raz na zawsze.

Gdy przyszli do dziedzica mówi Szczekuń:

— Oto proszę wielmożnego pana przyprowadziłem z sobą wedle rozkazu dwóch gospodarzy, Motka i Zwora, co dadzą za mnie poręczenie.

Dziedzic zaś mówi na to:

— Nic z tego nie będzie Tomaszu, boście nie spełnili tego, czegom żądał od was, abyście przyprowadzili z sobą dwóch porządnych i zacnych gospodarzy.

— No dyć są — mówi Szczekuń.

— Ja także miałem zawsze Zwora i Motka za najzacniejszych gazdów we wsi, — mówi pan — ale wy sami Szczekuniu przed chwilą powiedzieliście, że to nie prawda.

Tomasz zczerwieniał cały ze wstydu jak burak i spuścił oczy na dół.

— Nie powiedzieliście może — rzecze pan — że obaj ci staruszkowie, Zwór i Motek są ludzie obłudni?

Tomasz mało się nie zapadł w ziemię.

— Nie powiedzieliście może — ciągnął dalej pan — że są pijacy i pójdą niezadługo na żebry?

Tomasz milczał i patrzył w podłogę.

— Nie powiedzieliście, że kto wie nawet, czy nie są złodzieje? Co nie Tomaszu?

Tomasz ani słowa nie odpowiedział, jeno stał ciągle bez ruchu, jakby z kamienia.

— Jakże wy chcecie — mówi pan dalej — aby ja zważał na poręczenie pijaków, złodzieji i obłudników? Nic z waszej prośby nie będzie a wy sami wynoście się ze dworu, bo nie chcę z wami dłużej gadać. Szczekuń wysunął się za drzwi z wielkim wstydem i zgryzotą — a wtedy pan opowiedział wszystko Zworowi i Motkowi, co na nich wygadywał Szczekuń.

I tak Tomasz sam siebie pognębił swym złym i bezbożnym językiem. Ciężka to była dla niego nauka, ale dobra, bo od tego czasu już o nikim źle nie gadał i nikogo nie czernił

przed ludźmi. Że zaś potem przepraszał wszystkich serdecznie i że obaj poczciwi staruszkowie Zwór i Motek prosili za nim u dziedzica, więc też dziedzic poratował potem budulcem Szczekunia. Ale od tego czasu, to już Szczekuń całkiem inny człowiek, tak mu pomogła nauka dziedzica.

Strzeżcie się ludzie przed taką brzydką wadą, jaką miał Szczekuń, a kto ma taki zły język jak on, niechże się co rychło poprawi, bo prędzej czy poźniej na złe mu to wyjdzie!

Wojtek ze Smolnicy.

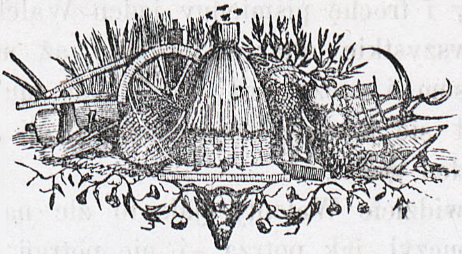
RÓŻNOŚCI.

Sądy nieludzkie. Donoszą tu do rozmaitych gazet, jako w niektórych wsiach wieśniacy razem z wójtem chwytają takich ludzi, o których myślą, że są złodziejami, i sami ich sądzą i okrutnie karzą. W niektórych miejscach tak niemiłosiernie męczyli tych winowajców, że jeden z nich aż ducha oddal. Taka historja zdarzyła się w Nisku, gdzie się tak nad pochwytanymi złodziejami pastwiono, że aż człowiekowi na same opowiadanie stają włosy na głowie od zgrozy. Nieludzka to rzecz i nie chrześciańska i na wielką karę zasługuje. Bo to najpierw nie godzi się pastwić niemiłosiernie nad nikim, choćby i nad złodziejem, bo już on za to od sądu surową karę odbierze. A po drugie, dzieje się tak w niektórych miejscach, że często zamiast złodzieja, chwytają niewinnego i póty go biją i dręczą, dopóki się nie przyzna, toć nie dziw, że choćby taki człowiek był najniewinniejszy, to pod kijami i okrutną męką przyzna się nawet do tego, czego nie zrobił. Bardzo to dobrze mieć baczność na złodziejów i chwytać łotrów, ale pastwić się nad nimi niemiłosiernie, to się nie godzi, bo jak go odstawisz do sądu, to już go tam zasłużona kara nie ujdzie. A tak gdy kogo bez przekonania i dowodów niemiłosiernie zbiją i skatują, to ciężka za to odpowiedzialność przed Bogiem i ludźmi, że niewinnego pokrzywdzono — zaś znowu, choć jest i winny, to nie każdemu wolno karę wymierzać, bo na to ustanowione są sądy i urzęda. A już na każdy sposób, niemiłosierdzia i niesprawiedliwości wystrzegać się trzeba!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. Nr. 3.

21. stycznia 1866.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Marcin Kromer,

biskup pobożny i uczony Polak.

W naszej polskiej Galicyi między Jasłem a Gorlicami leży nad rzeką Ropą miasto Biecz — a jest to miasto staropolskie, dawno za czasów polskich nazywali je nasi dziadkowie małym Krakowem, bo tu był wielki polski urzędnik, ni to starosta, co się zwał po dawnemu kasztelanem, i miał pod sobą Duklę, Żmigród, Dembowiec, Jasło, Gorlice, Kołaczyce i inne wsie i miasta polskie, był tu także dawno zamek królewski i ratusz gdzie sądzili i karali złych ludzi. A dziś został jeno z dawnych czasów farny kościół, wieża, klasztor i znaki murów, któremi było miasto obmurowane. A kościół farny to już taki wielki, żeby tam wlazło dorazu trzy kościoły, a ma ci na tyle ołtarzy, żeby tam i na największym odpuście mogli dorazu wszyscy xięża odpustowi odprawić mszę św. A zaś na jednej ścianie fary wymalowany jest obraz z jakimś xiędzem, ni to biskupem i stoi tam taki podpis:

„Roku pańskiego 1579 fundował syn Marcin Kromer tę pamiątkę dziadkowi Bartłomiejowi, ojcu Grzegorzowi i matce

Agnieszce.“ Otóż na jednym odpuście byli tam w tym farnym kościele gazdowie polscy z różnych wsi, a między nimi był bardzo ciekawy i trochę piśmienny jeden Walek Burda — ten też obzierał wszystkie ołtarze, organy, aż natrafił i na ten obraz z podpisem i zaczął go czytać, ale mu jakoś szło nie dobrze i zaczął się jąkać i coś bałamucić ni to ni owo, toż mu zagadał jeden gazda:

— Otóż widzicie Walenty, jak to źle na świecie, jeżeli kto się nie douczył jak potrza, i nie potrafi każdego druku przeczytać i drugim opowiedzieć.

A Burda zapyrzony gada:

— Toć ja przecie znam dużo na książkach, ale wy nie znacie ani dudu, choć w waszej wsi szkoła od tylu lat. Ale poczekajcie, ja sobie zaraz poradzę.

I poszedł do zakrystyi, ukląkł przed ołtarzem z Najświętszym Sakramentem, tam pogadał coś z starym kościelnym i przyprowadził go do tego obrazu i gada:

— No! panie kościelny, czytajcież wy ten podpis i opowiedzcie nam na wyrozumienie, kto tu stoi wymalowany?

A kościelny starowina założył sobie okulary, podniósł głowę do góry i przeczytał od początku do końca bez omyłki, co tam stało napisane i mówi:

— To ten obraz jest dawną pamiątką naszego krajana Marcina Kromera, który pochodzi z naszego miasta, co został xiędzem, potem biskupem i żył z królami polskimi, cesarzami ba! nawet z Ojcem świętym tak, jak to my jeden z drugim nieprzymierzając.

A Burda kiwając głową pyta się:

— Jak to? toby syn mieszczański wyszedł aż na takiego pana wielkiego?

Kościelny mu powiada:

— A wy jak myślicie? toż to mój bratku kochany dawno nie tak bywało w polskim kraju, jak dziś, bo co to? jak byłeś biedakiem, a chciałeś się uczyć, to się tam znalazła albo w pierwszym lepszym dworze, albo na plebanii zawsze jakaś dusza pobożna, co ci dała sposób do szkoły i tyś sobie ni z tego ni z owego wyszedł za jakiś czas na xiędza, biskupa

albo i pana, a jakeś był dobrym polakiem, to ci panowie i xięża pomogli i zostałeś szlachcicem, a to takim panem, że miałeś wszystkiego po uszy na chwałę bożą i dla siebie i dla drugiego. Takie szczęście dał Bóg miłosierny i temu Marcinowi. On miał tu w Bieczu ojca Grzegorza i matkę Agnieszkę, a byli to ludzie pobożni, prości mieszczanie, rzemieślnicy, co żyli z grajcara, ale całe miasto nawiedziło ich bardzo dla ich dobroci i uczynności. Dał ci im też Bóg kilkoro dziatek i to się wszystko chowało w posłuchu i wielkiej pobożności przy nich i żyło z wolą bożą i radziło sobie jakoś.

Ale Burda poderwał i gada:

— No! to jakże oni mogli tak wyuczyć tego Marcina Kromera, że on aż na biskupa wyszedł?

— O! jak mogli, mówi kościelny, jużci ten wiele może, komu Pan Bóg dopomoże, wszak to pod opieką Boga wszystko się robi na świecie i cuda i małe rzeczy, toż i człek tak samo, jak się garnie i garnie, to nie idzie marnie, jak się pcha i pcha, to się i przepcha, jak się uczy i uczy, to się wyuczy. Toż i ten Marcin chodził nasamprzód do szkoły w tem mieście, no! a to przecie nie kosztuje wiele jak masz szkołę pod nosem i posyłasz tam dzieci — a choć było i dalej do szkoły no! to od czegoż jesteś ojcem? toć nie od parady, to trza dziecko posyłać i daleko, jeźli chcesz, aby co dobrego z niego było.

A Burda mówi:

— To prawda święta, ale pono nie można było z takiej małej szkoły zostać xiędzem?

— A to co innego, gada kościelny, jak skończysz swoją szkołę w domu i masz Boga w sercu i dobrą wolę, to ci wolno iść dalej do innej szkoły, a i tam nie zginiesz, bo i tam są ludzie i zginąć ci nie dadzą, chyba że się sam zagubisz, jak zostaniesz zbijaczem i lampusem ostatnim. Toż widzicie i ten Marcin był walnym chłopakiem, nie miał ochoty być krawcem albo kowalem w mieście, jeno mu pachło coś lepszego na świecie, otóż razu jednego wyspowiadał się i pomodlił pokornie i stanął przed ojcem i powiada z płaczem:

— Mój ojcze! ja tu nie mam co robić w domu na kupie, a znowu nie chcę być lampusem jakim i nie chcę biedować do śmierci, oto świat wielki i są na nim ludzie dobrzy i źli, toż ja wybieram się aż do Krakowa, tam może znajdę sposób do życia, ale szkoły nie opuszczę, choćby mi przyszło i biedować.

— No! cóż ojciec na to powiedział? pytali gazdowie.

— A coby miał gadać, mówił kościelny, toć jeźli dziecko ma ochotę do dobrego, to go pogłaskaj, pomóż mu a jak nie stać cię na nic, to mu choć poradź, zaprowadź go między dobrych ludzi, proś za niem a Bóg dopomoże do reszty. Tak zrobił i ojciec z tym Marcinem. Odprowadził go do Krakowa, matka poszyła mu koszule, dała do kieszeni jakie takie grajcary i tam w Krakowie został nasz Marcin na zmiłowaniu bożem.

— I któż się tam opiekował nim? pyta Burda.

A kościelny powiada tak:

— Kto szuka dobrego, ten go znajdzie, a kto chce złego, ten go podybie na każdem miejscu. Toż Marcin biedował z początku, ale na egzaminie raz był sam biskup krakowski Chojeński i słyszał jego odpowiadanie mądre i powiada mu:

— A czyj ty jesteś moje dziecko?

A Marcin smutny gada:

— Ja jestem z Biecza, syn rzemieślnika.

— A kto na ciebie łoży? pyta biskup.

— Bóg się mną opiekuje, i ja sam zarabiam jak mogę ale bieduję i uczę się.

To mądre gadanie spodobało się strasznie biskupowi i kazał mu po egzaminie przyjść do siebie.

— To mu może co dał? pytali gazdowie.

— Oj dał, dał, mówi kościelny, odtąd już nie biedował Marcin, bo jadał na stole biskupim, mieszkał w pałacu a okrycie miał jak jakie pańskie dziecko. Ale on nie popsuł się ani na takiem jedzeniu, ani przy pańskiem odzieniu, ani przy pieniążkach, które mu biskup miłosierny dawał, jeno bojąc się Boga uczył się we dnie i w nocy i tak się uczył, że potrafił biskupowi pomagać w pisaniu, czytaniu i odsyłaniu różnych

rozkazów na parafie różne. A tak miłował swego opiekuna biskupa, jak syn ojca, toż jak raz temu biskupowi umarł ojciec i biskup strasznie żałował i płakał za nim, to ten Marcin wypisał biskupowi na pięknym papierze takie śliczne słowa, co się składały jedno do drugiego jak gałązki na szczepku, że biskup aż się rozradował z tego i pomiarkował sobie w swej głowie, żeby Marcina posłać do innych szkół.

A Burda dumając poderwał:

— Jak to? to go jeszcze ten biskup posłał do innej szkoły, jak była w Krakowie i łożył na to?

— A wy co gadacie, mówi kościelny, toć jak masz komu co zrobić, to mu zrób całe od początku do końca, jak masz komu dopomódz, to go nie zostawiaj na połowie, jeno zrób mu do końca, a jak kogo prowadzisz, to go nie odleć na środku drogi, ale zaprowadź na sam koniec i jeszcze mu poradź dobrze. Toż biskup taki wiedział to dobrze i posłał Marcina do krajów Ojca świętego, aby się tam wyuczył na dobrego polaka i xiędza, aby mógł być i biskupen, jak wypadnie. I uczył się dobrze na biskupim chlebie — ale nie zgadniesz Marcisiu, co nad głową wisi! toż umarł ten biskup krakowski, co się opiekował Marcinem przez tyle lat, i Marcin płakał i płakał i modlił się za duszę jego do Boga i miał już wracać do domu, aż tu znowu drugi biskup obrany w Krakowie, niejaki biskup Gamrat, wyświęcił Marcina na xiędza, zaprowadził go do króla Zygmunta I., pochwalił go przed królem mądrym i dobrym, a król jak pomiarkował, że xiądz Marcin miał dużo nauki, to go posłał z Krakowa aż do miasta Wilna, gdzie siedział syn młody króla i tam też xiądz Marcin pozostał, królewicowi Zygmuntowi Augustowi dobrze doradzał, był mu pomocny do wszystkiego i był bardzo od tego królewica polskiego lubiony. A jak po śmierci ojca został ten królewic polski królem, to już nie puścił od siebie xiędza Marcina, jeno go posyłał po całym świecie do Ojca świętego do różnych cesarzów — aby zaś dumne pany nie patrzali krzywo na niego za to, że był z Biecza synem mieszczańskim, to go król Zygmunt August zrobił szlachcicem, a rodzinę jego w Bieczu uwolnił od czynszów i posługi, jakie płacili i odrabiali inni ludzie.

Na to mówili gazdowie tak:

— No' toż to łaska boża dla tych ludzi, że ich krewniak został takim panem bogatym, bo to i król podarował im tyle, ale też i sam xiądz Marcin musiał im dawać na tyle....

A kościelny prawi dalej:

— A coby nie dawał, toć był tu w Bieczu jego rodny brat piwowarem, i miał tu dom murowany po ojcach, który do dziś jeszcze stoi blisko fary, a gdzie się xiądz Marcin urodził roku 1512 za króla polskiego Zygmunta I. potem byli tu inni bracia i siostry dwie, żyła i matka staruszka, to to wszystko utrzymywał ten miłosierny xiądz Marcin i przysełał dukaty to z Wilna, to z Krakowa, ale cóż? kiedy brat piwowar był nie ze wszystkiem dobry i dużo marnował. Toż sobie uważajcie dobrze, jak to w rodzinie nie wszystkie dzieci bywają jednakie, jedno do Boga, a drugie do głupiego świata, a kto ma rozum i boi się Boga, to się nie zepsuje i na marcypanach, a kto głuptakiem, ten i przy biedzie za złymi idzie.

A Burda ciekawy pyta znowu:

— I cóż się dalej stało z nim?

— Ja wam tu zaraz opowiem, mówi kościelny, jeno tabaki zażyję i was poczęstuję. I zażył tabaki z rożka, poczęstował gazdów, którzy rozkichali się na piękne, a potem otarł się chustką, poprawił okulary i gadał: Otóż widzicie, posłał król Zygmunt August xiędza Marcina raz do Ojca świętego a ten go tak polubił, że mu chciał dać jaki podarunek na pamiątkę, ale xiądz Marcin co miał od króla wszystko, nie był łakomy na to, jeno się skłonił Ojcu świętemu i powiedział pokornie:

— Mam tu i w moim polskim kraju na tyle wszystkiego, że mi nic nie potrzeba, jeno królestwa niebieskiego. I nie wziął tego podarunku.

A Burda powiada:

— A ja bym był wziął i zrobił co dobrego.

Na to kościelny tak:

— Toż jak wrócił do Krakowa od Ojca świętego, to znowu zabrał się do czytania różnych książek starych i napisał

taką mądrą książkę po łacinie, że go po całym świecie wychwalano pod niebiosa.

— A cóż to za książka taka? pytał Burda.

— W tej książce, gada kościelny, byli królowie polscy opisani, co oni robili dobrego, jak żyli — potem napisał katechizm dla Polaków, za co go znowu strasznie polubił biskup Hozyusz, co to był biskupem het na północy aż za Warszawą w kraju polskim Warmią przezwanym, a co zabrali potem Prusaki luteraki; potem był przez ośm lat na dworze cesarza Karola V. i Ferdynanda I. w Wiedniu, a jak biskup Hozyusz umarł roku 1579, to król zrobił xiędza Marcina biskupem Warmińskim i otóż dla tego on na tym obrazie stoi wymalowany w biskupim stroju i wtedy postawił on w tej farze ten pomnik dziadkowi, ojcu i matce. A znowu w rok jeden zjechali się panowie, biskupi z królem na sejm i tam wszyscy wypisali taki list do biskupa Marcina, w którym mu podziękowali za jego książkę o królach polskich, która książka zowie się Kroniką Marcina Kromera.

A gazdowie spytali się na końcu:

— A kiedy on umarł i co się stało z jego dukatami?

— Ho! ho! gada kościelny, on tam grajcara nie zmarnował, bo zrobił fundusz w Krakowie dla biednych szkolarzy z Biecza, potem kazał cały Biecz obmurować do około jak to dziś znaki z tych murów, potem dla dziewcząt fundował szkołę w Krakowie, potem łożył na kościoły w Bieczu, Krakowie, Kielcach, a dla krewnych dał resztę. Przeżył 77 lat, umarł 1589 i leży pochowany tam, gdzie był biskupem.

Potem rozeszli się gazdowie i opowiadali to wszędzie.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Rozmowa dziadka z młodzieńcem.

Młodzieniec.

Dziadku, gdzie tu dostać chleba?

Dziadek.

O, po chleb rano wstać trzeba,

Bo droga przykra i długa:
Najlepiej ująć się pługa;
Za pługiem będzie chleb znojny,
Ale zdrowy i spokojny.

Młodzieniec.

Gdzież tu są, dziadku, zabawy?

Dziadek.

Sześć dni drogi do nich będzie,
Sześć dni obchodź twoje sprawy,
Dom i przyszłość miej na względzie,
Zysk obrachuj, potem śmiele
Hasaj sobie przez niedzielę.

Młodzieniec.

A gdzież tutaj szczęście będzie?

Dziadek.

Nie tędy do niego droga;
Pytają się o nie wszędzie,
Ale nie znane nikomu.
Odszedłeś go w ojców domu,
A nie znajdziesz aż u Boga.
Cichym bądź w sercu i w mowie,
W cnych czynach szukaj wytchnienia,
Zresztą zapytaj sumienia,
Umie po polsku, toć powie.

K. Brodziński.

Nabożna pokuta.

Przed laty dwustu z okładem przyszedł na Kraków, okropny mór t. j. morowe powietrze, że ludzie byle gdzie, padali jak muchy. Niejeden od samego wielkiego strachu zaniemógł, i nie raz może tylko omdlał, a tu znów ludzie bojąc się, aby się choroba nie szerzyła, brali, pakowali na wóz, i dalejże z nim na cmentarz!

Grobarze nie mogli podołać, wszystko jeno chować a chować, taką moc ludu z każdej parafii, bo w Krakowie choć tylko jeden cmentarz, ale z każdej części miasta t. j. przy każdej parafii jest inny grobarz.

Otóż mówię, ci grobarze nie mogąc podołać pracy, przynajmowali sobie do pomocy ludzi. Jeden tylko grobarz z parafii Panny Maryi, przez całusieńki czas, jak ten straszny mór panował, nie przyjął sobie ani żywej duszy do pomocy, tylko tak się sam zwija, a zwija i grzebie bez ustanku.

A nazbierał widać z tej roboty w pańskiej oborze nie mało, bo dobytku jakby z ziemi przybywa u niego. Brzęka czerwonemi, że aż ludziom dziwnem się to zdało, że on zaś grobarz i do takiego wielkiego majątku przychodzi? I poczęli sobie różni różnie o tem przebąkiwać, i jakoś odtąd mieli go już na oku.

No, jak tak poczęli ludzie szperać i dochodzić, tak i doszli, że on niecnota jakiś, wiecie co robił? oto często gęsto jak mu się zdarzyło, że jeszcze kto mało wiele dychał, to go bez ceremonii i dodusił albo żywcem zagrzebał, a odzież obdarł.

Jak się taka sprawka na jaw wydała, i do zwierzchności doniosła, toć i pana brata złapali i bez pardonu powiesili, czego już ci był wart za taką okrutną zbrodnię.

A miał on żonę, która dobrą i pobożną była kobietą, i nic a nic o takich sprawkach swojego męża nie wiedziała. Musiała się więc jej dusza wielce rozżalić, jak się o tem dowiedziała, i przez to swego męża straciła. Nie wiedziała biedaczka, co począć od wielkiego żalu, boć to musi być żal wielki i straszna ciężkość na sercu, jeżeli się pokaże, że ten co jest najbliższy człowiekowi, naprzykład żona albo mąż, jest złym, jest zbójem.

I zeszło jej w tej żałości dni kilkanaście, modli się gorąco do Pana Jezusa, to za duszę męża, to o pociechę dla siebie. I wysłuchał widać Pan Jezus jej modlitwy, bo jednej nocy, kiedy w głębokim śnie usnęła, śni się jej, ale to jakby żywcem na jawie, że nieboszczyk jej mąż, straszliwie biedny, i znędzniały, a czarny jak głownia, przychodzi do niej i stanie przed nią i pocznie płakać rzewnemi łzami, i tak się do niej odzywa:

— O moja żono kochana, przewiniłem strasznie przeciw Panu Jezusowi, i przeciw bliźnim moim, żem takim nielitościwym i okrutnym był człowiekiem i zbójem, to też dla tego,

choć tam już na świecie odebrałem prawda karę zasłużoną, alem się jeszcze tą tam karą nie usprawiedliwił ze wszystkiego Panu Jezusowi, a jakem ja tam był bez litości, takem i tu jeno surową sprawiedliwość a nie litość otrzymał, bo jaką miarką mierzyłem tam na ziemi, taką mi tu odmierzą. O to też moja żono kochana, okrope, przeokropne męki cierpię tu, nawet ci ich opowiedzieć nie potrafię; a te straszne męki póty trwać będą, póki ich moja rodzina z pokolenia het w pokolenie nie odpokutuje, pokuta zaś ta ma się tem odbywać: aby począwszy od ciebie, zawsze jedna niewiasta z rodziny mojej, co dzień dwie godziny, zimę i lato, przeklęczała i przemodliła się za moją duszę, na progu pod wielkiemi drzwiami przy kościele Panny Maryi w Krakowie, nie uważając czy brzydko czy pięknie, i choćby niewiedzieć jaka burza była, i żeby niewiedzieć co się stało, aby tego nabożeństwa nie zaniechała, a dopiero jak już ostatnia niewiasta, co pójdzie z mego rodu, nie wiem za wiele tam lat, tę pokutę dopełni i umrze, a po sobie już żadnej córki nie pozostawi, na tedy dopiero moja pokuta się skończy, a ja czysty i szczęśliwy pójdę do Pana Jezusa. Dla tego moja ty najdroższa żono, zmiłuj się nademną i przyrzeknij mi, że do razu od jutra poczniesz tę za mną grzesznym pokutę, a jak będziesz miała schodzić z tego świata to niech ci znów twoja najstarsza córka przysięgnie, że dopełni święcie tej pokuty, i tak jedna drugiej, niechaj przykazuje to postanowienie, a takim jeno sposobem wydobędziecie z tej strasznej kaźni moją biedną grzeszną duszę!

Powiedziawszy jej we śnie nieboszczyk rzecz taką, znikł a ona kobieta obudziła się. O strach ją wziął niezmierny! Jezus Marya! dreszcz przeszedł ją od stóp do głów, od przelęknienia i żalu; ale że była dobra i pobożna, więc wzięła sobie ten sen do serca i przyrzekła Panu Jezusowi i nieboszczykowi, że dopełni tego, o co ją we śnie prosił.

Jakoż od tego samego dnia, poczęła tę pokutę, to jest klęczenie i modlitwę przez dwie godziny przy drzwiach wielkich u Panny Maryi; potem znowu przekazała to swojej córce, ta także swojej i tak to szło i szło, mówię wam dwieście lat okładem.

Jakiegoś najstarszego człowieka zdybał w Krakowie, to ci mówił, że od dziecka pamięta jak co wieczór widywał modlącą się pod kościołem Panny Maryi kobietę; a jego ojciec powiedział mu, że i on jeszcze od dziecka to samo tę kobietę modlącą pamięta.

Dosyć że trwała ta ciężka pokuta tych pobożnych białogłów, jak się rzekło przeszło dwieście lat, gdyż ostatnią, która tej świętej pokuty dokonała, znałam sama, mówiłam z nią i za mojej bytności w Krakowie, to jest tego roku, jak się Kraków spalił umarła i dopiero przed samą jej śmiercią, dowiedzieliśmy się o tej całej rzeczy, bo pierwej to nikt nie wiedział i nikomu i przez myśl nie przeszło, za co i po co te kobiety tak zimą i latem, klęczą wieczór dwie godziny, przed zamkniętemi wielkiemi drzwiami, kościoła Panny Maryi.

Już widać taka była wola Boża, aby się to dopiero przy tej ostatniej pokutnicy wydało na świat, i ta też nie mając dzieci, zakończyła pokutę i wybawiła duszę grzesznika od wiecznej zagłady!...

No cóż, prawda moi kochani, że to nie byle co, tak pięknie dotrzymać słowa nieboszczykowi, kiedy tu żywemu, a nie dotrzyma się często gęsto przyrzeczenia! A one do tego same kobiety, wytrwały w tej świętej wierze i pobożności, i tyle ich tam było w tem pokoleniu, a żadna nie złamała słowa i nie wydała się z tajemnicą.

A wy sobie z tego przytrafunku pobożnego bierzcie ten morał i tę naukę, że dla niemiłosiernych i okrutnych ludzi straszna jest kara zgotowana na tamtym świecie, jak znowu miłosiernych wielka łaska i miłosierdzie Boskie ogarnie, bo jaką miarką mierzysz, taką ci i tam odmierzą.

Miłość więc nasza i miłosierdzie powinno być wielkie, nieograniczone i nieskończone, a wtedy będziemy pewni, że takiego samego, nieskończonego, wiecznego miłosierdzia, dostąpimy i my w niebie!

Ludka z Myślenic.

Ogrodnictwo wiejskie.

Przy Boskiej i ludzkiej pomocy, a przy własnej chęci, nauczyło się już was wielu czytać i rozumieć co czytacie, ale nie potraficie jeszcze dobrze pojąć, na co to czytanie i pisanie głównie potrzebne. Otóż to co umiecie ze szkoły, jest dopiero kluczem, roztwierajacym drzwi do nauki i wiedzy, tak wam koniecznie potrzebnej. Dziś chcemy was zachęcić do zrozumienia i pokochania nauki, która ze wszystkich stanowi waszemu odpowiednich umiejętności, jest pewnie najważniejszą; nauki, którą zrozumiawszy głową, pokochawszy sercem, poparłszy wiedzą i pracą, z pewnością szybko doszlibyście, nie tylko do gruntownego zamiłowania porządku i pracy, poprzestania na własnem choćby szczupłem mieniu; — nie tylko do bytu dobrego i zamożności, ale i do moralności, do zamiłowania tego zagona polskiej rodzinnej ziemi, na której wyście się zrodzili i wzrośli, na którym żyli i złożyli swe kości dziady i pradziady wasze.

Nie każdy z was będzie tak szczęśliwym, aby miał gospodarstwo swoje i ziemię, ale każdy czy to zagrodnik, czy kopiarz, czy parobek, zawsze przy chacie dostaje kawałek ziemi pod warzywo, każdy zatem bez wyjątku, gdyby chciał i znał się, mógłby z tego morgowego kawałka dobrze obrobionej i umiejętnie obsianej lub zasadzonej ziemi, mieć tyle warzywa i owocu, że i dla swej rodziny byłoby do syta, i dla biednego, i dla gościa, ba, i na sprzedaż jeszcze.

Ale do wszystkiego potrzeba nauki i zamiłowania pracy, bo nieuctwo, lenistwo i z przymusu robota, jak to mówią, i torby sieczki nie warte; dadzą w zysku nędzę, spodlenie, głód; doprowadzą do pijaństwa i złodziejstwa, nienawiści do ludzi, do zbrodni i do kar za zbrodnie.

Jeżeli chcecie dojść do łaski Bożej, miłości bratniej i wdzięczności od dzieci i następców naszych, weźcie się do nakuki i oświecajcie; pracujcie dla siebie, bliźnich i przyszłych potomków waszych.

Zważcie-no tylko. Jeźli każdy z was założyłby ogródek i posadził drzewka, za 10 lub 15 lat, miałby już swój owoc, a gdy w przyszłości dochowawszy się dzieci i oddawszy im gospodarkę, kiedy zasiadłby z niemi w dzień świąteczny pod cieniem starej jabłonki lub gruszy, patrząc na ich wesołość i posilając się owocem z drzewa własną wypielęgnowanego ręką, czyż nie uczułby w sercu radości i zadowolenia? A gdy wdzięczny syn obejmie kolana rodzica i powie: Ojcze! niech ci Bóg da niebo za pamiątkę, rozkosz i wygodę, jaką mi dałeś wypielęgnowaniem tych drzew ogródka, czyż to nie byłaby największa nagroda, bo nagroda wdzięczności; ale Bóg najwyższy jeszcze nie dozwolił nam dojść do zrozumienia tej prawdy. Polski chłopek jeno w kartofle wierzy, i cały kawałek ogrodowej ziemi ziemniakami sadzi, a przeto spożywając wciąż jednę i tę samą kartoflaną strawę, i nie przeplatając jej innemi, szkoduje na zdrowiu; a nawet w dzisiejszych czasach, gdy zaraza na kartofle tak często panuje, zwykle i głód cierpi. Nie jeden powie, że nieurodzaj to wola Boża, i to prawda, ale Bóg zawsze wcześniej czy później nagradza obfitym plonem poczciwą i rozumną pracę. Ale za to kartofel najmniej roboty ręcznej wymaga, więc też najwięcej go uprawiamy, a inne tak pożyteczne ogrodowe rośliny, które spożywali ojcowie nasi, nie znając jeszcze dzisiejszych kartofli, rzuciliśmy w zupełne zaniebanie. Czas dziś, byśmy wynagrodzili to złe, i naprawili cośmy opuścili. Wierzajcie, że nawet mały kawałek ziemi, pilnie doprawiony i rozumnie użyty, może wyżywić człowieka, ale nie dość jest, tak jak się to dziś robi, cały ogród swój zaorać i zasadzić ziemniakami lub zasiać jęczmieniem; trzeba uwierzyć i samym przekonać się, że są i użyteczniejsze rośliny, które uprawiane na kawałku ogrodowej ziemi, jak brukiew, marchew, rzepa, buraki, cebula, pietruszka, selery i tyle a tyle innych, które zdrowszy i urozmaicony dałyby pokarm, większy plon i dochód ze sprzedaży do miast i dworów. Pojęli to dobrze i zdawna zagraniczne narody, Francuzi i Anglicy, a wiedzcie, że oni nie rzadko tam płacą po sto reńskich rocznej dzierżawy z morga, u nas za te pieniądze kupiłby mórg ziemi; a oni pomimo to wychodzą na swoje, i za-

rabiają jeszcze, ale bo też oni mają rozum, naukę i pojęli całą ważność pracy; przekonali się, że uprawienie i pielęgnowanie ogrodów, w małych szczególniej, tak jak wasze gospodarstwa, daje największe zyski.

Powiecie, że tam u nich za granicą strasznie duża ludność, to oni mogą tak drobiazgowo uprawiać i tak wysoko płacić; otóż ja wam powiem, że choć tam tak duża ludność, to przecież najemnik tam dwa razy droższy niż u nas, ale wart tego, bo robi z przekonania, nie z musu i robi sumiennie. A rozważcie sami, ile to u nas marnuje się pracy, raz przez głupotę, to znów przez lenistwo? Popatrzmy-no tylko na małych, młodych i starych, co tam zobaczy? — Słuchajmy: Dzieci wiejskie, jeśli we wsi nie ma szkółki, czemże się trudnią, nim ich rodzice napędzą do pasionki gęsi, cieląt lub świń, oto baraszkują, biją się, robią z błota placki, przez co koszule walają, a niby to piekąc owe placki, wydłubują na piece dziury w fundamentach budynków i przez to psują takowe, zakradają się do cudzych ogrodów, robią szkody, ale i któżby wyliczył wszystkie ich figle! Czyż nie lepiej, gdyby te dzieci po nauce poszły do ogródka, a tam się zajęły pieleniem, szczepieniem, sadzeniem, przez co wyrosłszy, mieliby swój owoc, a nie pragnęli i nie kradli cudzego.

Gospodynie nasze zamiast plotek i kłótni, chodzenia do karczmy z mężami po obrazę Boską i stratę zdrowia, czyż nie lepiej zrobiłyby, zająwszy się miłą pracą w ogródku dla korzyści i przyjemności.

Albo owi żebracy, co to bezwstydnie wyciągają rękę, choć zdrowi jeszcze, ci zamiast psy po wsiach drażnić, mogliby wiele jeszcze dobrego uczynić, zająwszy się jaką lekką wiekowi ich właściwą robotą w ogródku lub pszczołami.

Tak ludkowie, zamiłowanie ogrodów i rolnictwa nieopisane przyniosłyby wam korzyści, spojrzyjcie no tylko na te wioski, gdzie przy błogosławieństwie Bożem, nauka i praca kwitną, czyż nie ujrzycie, jak to tam wszysko miło aż się dusza raduje. Chatka porządna, wybielona, otoczona zieloniuchnemi drzewami pełnemi kwiatu lub owocu, co aż ślinka płynie patrząc na nie, usypane ścieżki, wygrabione podwórze, wszę-

dzie czysto i zamożnie. Wejdziesz do chaty, pozdrowisz Boga i ludzi, jesteś gościem więc „Bóg w dom, gość w dom“ posadzą na ławie pod cieniem drzew w ogródku, dają owoców słodziutkich i miodu, chleba i tyle innych potraw z warzyw i płodów ogródka, o jakich ani ci się śniło, żeby postać mogły na stole wieśniaka. A jednak tak jest, takby wszędzie było, gdyby chciano zamiłować ogrody, a w nich pracę tak przyjemną a łatwą. Jakżeby to ludzie i kraj się wzbogacił i upiększył, gdyby wszyscy mieszkańcy wsi, czy to gospodarze na hubach, czy komornicy, kopiarze, zagrodnicy, a nawet parobcy, przywiązali się do miejscowego kawałka ziemi, zakładali sady, uprawiali w ogródkach warzywa, obsadzali chaty kwiatami ku ozdobie. Pewno wtenczas mieliby i przyjemność i pożywne potrawy przez rok cały, mieli i co sprzedać w mieście, i grajcar nie jeden zachować; a dziewczyny nasze ubrane w wieńce, niosłyby co najpiękniejsze kwiaty do ozdoby obrazów w kościele, lub ołtarzy na Boże Ciało, a i sobie główki stroiły.

Skoro więc pożytek jest widoczny, przyrzeknijcie mi tedy, wy co to czytać będziecie, że dołożycie całej pilności do nauki ogrodnictwa, że je zamiłujecie, że kiedy wyjdziecie pracować na własną rękę, na własnym kawałku lub czynszowym, będziecie zakładać ogródki i pielęgnować drzewa, warzywa i kwiaty.

A gdy to przyrzeczenie spełnicie, bo słowo Polaka świętem być powinno; wtedy ja wam za to ile zdolnym będę, wypiszę choć później sposoby zakładania ogrodów wiejskich i ich uprawy.

(Nowiny ze świata.) *A. Mazur.*

RÓŻNOŚCI.

Odkryta zbrodnia. Jak to zbrodnia zawsze na wierzch wyjdzie! W pewnej wsi koło Szczerca udusił pewien parobek na polu swą dawną kochankę i zawlókł ją w krzaki. Nikt nie widział tej zbrodni jeno jak zawsze Pan Bóg. Kilka dni minęło nim ludzie znaleźli ciało za-

mordowanej dziewczyny. Kto wie, czy byliby tak prędko doszli mordercy, gdyby urzędnik nie był znalazł koło zamordowanej mały biały guzik od kamizelki. I patrzcie po tym guziczku wykryto zaraz parobka, bo on miał właśnie takie same guziczki. Snać kiedy zamordowaną wlókł do krzaków, ten guziczek mu się oderwał. Parobek wzięty do więzienia przyznał się do zabójstwa.

Za moje pieniądze! Do pewnej gospody w mieście przyszedł jakiś człowiek i pyta:

— Czy mogę ja tu dostać co zjeść za moje pieniądze?

— A czemużby nie, co tylko chcecie.

— A to proszę mi dać obiad za moje pieniądze — rzecze ów człowiek.

Dano mu tedy obiad smakowity a on zjadł i popił i potem wyjmuje stary grajcar i kładzie na stół.

— Panie gospodarzu, oto zapłata! — mówi.

— Jakto — woła gospodarz — toć mnie się należy cały cwancygier za obiad.

— A co ja temu winien — odpowie na to ów frant — ja was wyraźnie prosiłem o obiad za moje pieniądze, a ja innych pieniędzy nie mam.

Gospodarz widząc, że go ów oszust podszedł sztuką, mówi:

— No niech i tak będzie, ale proszę was idźcie do tego gospodnika, co ma szynk tu naprzeciw, i spłatajcie mu takiego samego figla, bo mam na niego złość, że mi gości do siebie odmawia.

— Oho! toć ja właśnie u niego w ten sam sposób zjadłem śniadanie, a on mnie posłał tu do was, abym i wam taką sztuczkę wypłatał — rzekł na to dowcipny oszust i wyniósł się za drzwi.

Zacni włościanie. Z Litwy donoszą, że tam teraz dzielą grunta między dziedzicami a włościanami. Otóż do jednej wsi, której dziedzic był w dalekich krajach, przyjechali moskiewscy komisarze, aby grunta dzielić. Gdyby gromada była niesumienna, toby była z tego korzystała, że dziedzica nie ma i byłaby go może nawet pokrzywdziła — ale trafiło to na zacnych wieśniaków i kiedy komisarze zabierali się do rozdzielania gruntów, wystąpiła gromada cała i tak rzekła:

— Mierzcie panowie sprawiedliwie i wedle sumienia, bo pana nie ma i nikt za nim tu gadać nie może, a my jesteśmy w domu i mamy języki. Dla tego też my musimy pilnować, aby broń Boże nie stała się krzywda dziedzicowi!

I tak też zakierowali, że choć owi komisarze przydzielili jaki grunt, to go nie przyjęli, skoro tylko wiedzieli o tem, że im się nie przynależał. Bóg też im za tę sumienność wynagrodzi sowicie!

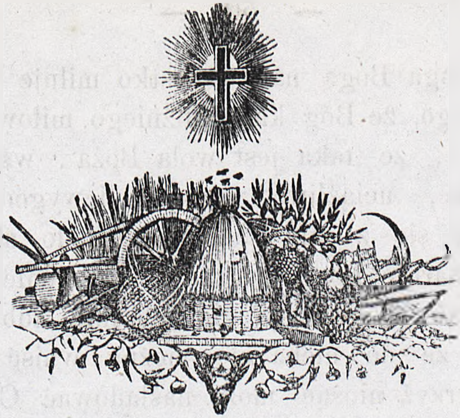
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV.

1. lutego

Nr. 4.

1866.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dobry i zły sługa.

Sługa cnotliwy, gdy dla ubóstwa do służenia zamożniejszym jest zmuszony, z potrzeby robi cnotę; wie że nierówność stanów pochodzi z najmędrszych rozporządzeń Boga, że Pan Bóg nie ceni człowieka podług stanu lecz podług wierności, z jaką wykonywa swoje powinności, że Bóg względu na osobę, na czcze tytuły nie ma, że przed Bogiem ten będzie miał większe znaczenie i w niebie stanie na wyższym stopniu chwały, który zebrał sobie większe zasługi na tym świecie.

Cnotliwy sługa najprzód szuka królestwa Bożego, stara się Bogu podobać a potem ludziom, wie o tem że Bóg jest najwyższym Panem, stwórcą nieba i ziemi i że trzeba słuchać Boga więcej niż ludzi, że ludzkiej woli nie można przenosić nad wolę Bożą, bo to pierwsze przekazanie Boże zakazuje: „Nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną,“ t. j. nie będziesz ludzi przenosił nad Boga, nie będziesz ludziom więcej się starał przypodobać niż Bogu. Nie będziesz ludzi więcej miłował niż Boga.

Cnotliwy sługa Boga nadewszystko miłuje a ludzi miłuje dla Boga, dla tego, że Bóg każe bliźniego miłować, służy więc ludziom dla tego, że taka jest wola Boża, wszystkie swoje czyny, utrapienia, uciążliwą pracę, niewygodę, poniżenie, cierpkie obejście się z nim Pana, prześlado ania ze strony drugich sług, ofiaruje Bogu na zadośćuczynienie Boskiej sprawiedliwości za swoje grzechy, na zebranie sobie zasługi do nieba, wiedząc że do nieba nie można wniść bez krzyża; cieszy się, że krzyż niosąc może naśladować Chrystusa Pana i cierpieć dla miłości Jego i za nim idąc osiągnąć wieczną szczęśliwość. Cnotliwy sługa służąc Panu nie zaniedbuje służyć Bogu; nie może on długo trwać na modlitwie, codziennie słuchać Mszy św., jak to ludzie wolni czynić mogą, lecz może intencję swą Bogu ofiarować, którą Bóg za czyn przyjmie, jeśli nie mógł rzeczywiście tego wykonać, co religia św. przykazuje. Szukając służby, nie patrzy gdzie jego ciału lecz gdzie duszy lepiej będzie, nie gdzie więcej płacą lecz gdzie mniej przeszkody do wypełnienia obowiązków cnoty i religii. U takich, którzy zgorszenie dają, gdzie jest okazya do zepsucia za żadną nagrodę nie odważyłby się służyć.

Jeśli zaś nie przewidziawszy zaciągnął się do takiej służby i ugodził się na czas dłuższy i trudno przed czasem służbę zmienić, wtedy powinien Boga błagać aby go zachował od zepsucia, w pokusach ma uciekać się do Boga a Bóg jako ochronił od ognia trzech młodzieńców, tak i jego od złego zachowa. Sługa cnotliwy woli raczej zrzec się zapłaty, woli raczej umrzeć, aniżeli cnotę, łaskę Boską i niebo utracić. Chrystus Pan mówi: *„Co pomoże człowiekowi, gdyby cały świat zyskał a duszę swą utracił.“*

Wierny sługa we wszystkiem, co się nie sprzeciwia prawu Bożemu wyższemu nad wszelkie ludzkie ustawy, święcie i sumiennie jest Państwu posłuszny, bez najmniejszego oporu wszystkie siły swoje obraca na ich korzyść, szanuje i kocha swoje Państwo tak jak własnych rodziców, strzeże się aby ich przez jakie uchybienie nie zmartwił, uprzedza ich życzenia. Dobro Państwa za swoje uważa, zapobiega złemu, nic sobie nie przywłaszcza, do czego nie ma prawa i komu innemu nie

wydaje. Przy kupnie lub sprzedaży ani grosza dla siebie nie zostawia. Daleki jest od tego mniemania fałszywego, jakoby mu wolno było brać co pokryjomu dla siebie pod pozorem, że jego praca jest za wielka a zapłata za mała, a choćby w samej rzeczy zapłata nie odpowiadała jego pracy, on przecież sumiennie trzyma się zgody, wiernie wykonywa pracę i poczciwie trwa w służbie aż do końca nie opuszczając państwa w największej potrzebie, w chorobie, w czasie żniw.

Wierny sługa Państwa swego nie obmawia, plotkami się nie trudni, dbały jest o ochędostwo i porządek, do usługi dziatek przeznaczony uważa na wszystko i to usuwa coby ich zdrowiu zaszkodzić mogło, strzeże się najbardziej tego, aby ich mową lub złym przykładem nie zgorszył. Sługa dobry nie obchodzi się po grubiańsku z drugimi służącymi, jeźli widzi że drudzy co złego czynią, państwo krzywdzą, upomina ich z łagodnością, a jeśli nie chcą poprawić się wtedy on państwu donosi. Jeśli sam szkodę uczynił, stara się krzywdę uczynioną wynagrodzić. Wierny sługa nie zmienia miejsca z chciwości większej płacy, lecz trzyma się jak najdłużej jednej służby.

Sługa bezbożny nie otrzymawszy od rodziców religijnego wychowania, nie mając w sercu zaszczepionej bojaźni Bożej, nie znając woli Bożej nie stara się Bogu przypodobać, przykazania Boskie i kościelne zuchwale przekracza, o zbawienie duszy swojej nie troszczy się, ćwiczenia duchowne zaniedbuje, Mszy św. i kazania nie słucha, do Sakramentów św. nie uczęszcza, a jeśli raz w rok w czasie Wielkanocnym spowiada się to tylko dla oka ludzkiego bez przygotowania, bez poprawy, świętokradzko. Taki potrzebą zmuszony do służenia szuka takiego pana który pobożności w słudze nie ceni, owszem zabrania Bogu służyć i o zbawienie duszy starać się.

Sługa bezbożny zamiast do kościoła udaje się do karczmy, gdzie się zabawia pijaństwem, tańcami wszetecznemi, miasto słuchania słowa Bożego, slucha mów gorszących, miasto zasilania duszy swej godnem przyjmowaniem Przenajśw. Sakramentu, używa trunków palących. Dzień niedzielny i świąteczny nie poświęca na chwałę Bożą lecz na obrazę Majestatu jego.

Sługa bezbożny żyje bez Boga, nie ma ani czci ani wiary ani miary, jest serca najpodlejszego, jest niewolnikiem złego ducha i daje się za narzędzie do złego używać, dziatkom niewinnym zgorszenie daje. Nie ma nic gorszego na świecie jak jeśli sługa bezbożny zostanie panem lub zła służebnica panią. Pismo św. mówi:

„Pod trzema rzeczami drży ziemia a czwartej znieść nie może. Pod sługą gdy zostanie Panem, pod głupim gdy się naje chleba, pod nienawistną niewiastą kiedy za mąż poszła, a pod służebnicą kiedy się stanie dziedzicką po pani swojej.“

Sługa, który nie służy wiernie Bogu nie może być wiernym swemu Panu, którego pod pozorem wynagrodzenia sobie za służbę, okrada, szkodę uczynioną tai; robi wszystko niedbale, do pracy leniwy, do jedzenia skory, żąda zapłaty niezasłużonej, opuszcza Pana w razie największej potrzeby i drugich do oddalenia się ze służby namawia, nie strzeże domu od szkody, od ognia, nad bydlętami pastwi się, niewierność swą podchlebstwem pokrywa, na złe milczy; drugim pozwala Pana krzywdzić, przez upor, lenistwo, zuchwalstwo Pana do złości pobudza.

Smutny stan duszy jest takiego sługi; jest on bowiem na tym świecie nieszczęśliwym, i po śmierci na sądzie usłyszy wyrok: „Idź przeklęty na ogień wieczny, który czartu i jego sługom jest zgotowany.“

Dla tego też każdy sługa, który chce wypełniać ku zadowoleniu Boga i ludzi swoje obowiązki, niech prosi Zbawiciela świata, który będąc Bogiem, dla miłości narodu ludzkiego przyjął postać sługi i wielce się poniżył, stawszy się posłusznym aż do śmierci krzyżowej, aby mu użyczył łaski, aby Panom ziemskim tak służył, iżby od służby Boskiej nigdy nie odstąpił, aby nie przenosił woli Panów ziemskich nad wolę Boską, aby dla nagrody doczesnej nie utracił wiecznej, przez wierne zaś dopełnienie obowiązków sługi i przez cierpliwe znoszenie dolegliwości i utrapień zasłużył sobie na nagrodę w niebie.

Na zakończenie podaję wam tu ku nauce następujące wiersze:

Pieśń o wiernym słudze.

Od mała zaczynając, na wielkim kończymy,
Strzegąc się zaś małego ciężko nie grzeszymy,
Tak jak ogień z iskierki w pożar się zamienia,
Kto się jej zarzyć nie dał wolny od spalenia —
Sercem więc wierny sługa nic małem nie mieni,
Co mu jest powierzone, to wszystko on ceni,
Pomnąc zawsze i wszędzie na Boską przestrogę,
Tylko w wierności widzi do zbawienia drogę,
W wierności całkowitej bez żadnych wyjątków,
Boć zbrodnie ród swój wiodą z maleńkich początków,
A kto im zapobiega, ten też i nie zgrzeszy,
Ten będzie z małej liczby a nie z mnogiej rzeszy,
Która drogą szeroką za drugimi bieży
I w księdze odrzuconych zapisana leży.
Słuchaj więc pilnie, co Pan o wierności mówi,
Bo słowo Jego wyrok na wieki stanowi:
„Sługo dobry i wierny, żeś był wierny w male
„Postawię cię nad wielu w mojej wiecznej chwale.“
Ceń więc wysoko wszystko, co państwo powierza,
Bo twojej sumienności jak sobie zawierza.
Zdradzając Państwo razem zdradziłeś i siebie,
Bo wiedz że zdrajca żaden nie powstanie w niebie,
Nie w złocie wierny sługa swą płacę zasadza,
Dobre jego sumienie wierność mu nagradza,
Jego pokój wewnętrzny, jego twarz wesoła,
Że jest szczęśliwy, głośno chociaż bez słów woła.
A choć biedno ubrany, ma wszystkich szacunek,
Nie zna zgryzot sumienia, nie wie co frasunek —
Wesoły i spokojny wśród Pańskiej opieki
Bez trosków choć w usłudze pędziłby i wieki.

Nie patrzy na zapłatę miłość szczera sługi,
Służy nawet w nieszczęściu a czasem wiek długi —
Miłość Państwa i szczerość za wszystko mu staje,
I ten pokój wewnętrzny który mu Bóg daje,
To świadectwo sumienia, że do Boskiej woli
Stosuje się, gdy służy swym Państwom w niedoli!
Nie ma prawda takowy zbiorów tego świata,
Ale go wielka czeka u Boga zapłata.
Której złodziej nie weźmie, a czas nie zepsuje,
Która przed tronem Boga z wybranym wiekuje.

Kto pracuje i Boga w swojem sercu nosi,
Kto jego świętą wolę wypełnia i głosi,
Kto szczerze Państwu robi, wiernie usługuje,
Tego państwo poważa i z serca miluje,
Tego w końcu opatrzy dostatecznie chlebem,
A Pan Bóg wierność jego wynagradza niebem.

Xiądz Jakób Nowakowski.

Ciekawa przygoda,

którą miał pan Kościuszko w swojej młodości.

Kiedy nasz pan naczelnik Tadeusz Kościuszko był jeszcze młodym chłopcem, uczył się w szkole wojskowej w Warszawie. Szkoła ta wojskowa była to jakby żołnierskie koszary, bo wszyscy studenci, co się w niej uczyli, ubrani już byli po wojskowemu, mieszkali razem pod nadzorem oficerów i uczyli się rozmaitych żołnierskich rzeczy, musztry, służby i wojennej nauki. To też każdy z tych uczniów, którzy się zwali kadetami albo podchorążymi, odprawiał służbę wojskową tak jak każdy inny żołnierz a przytem uczył się od starszych oficerów sztuki wojowania.

Kościuszko, który za młodu czuł już w sobie ochotę do wojaczki i o niczem nie myślał, jeno o tem, aby kiedyś w polskiem wojsku bronić szablą swej ojczyzny, był tedy także takim kadetem czyli podchorążym. Był on wtedy hożym młodzieńcem a już widać w nim było wielki rozum i wielkie serce, a jużto najwięcej miłości do Polski. Uczył się doskonale i wszyscy starsi oficerowie mawiali już wówczas, że z Kościuszki będzie kiedyś żołnierz dzielny i jenerał waleczny.

Za ten jego rozum i za szlachetność serca lubili pana Kościuszkę bardzo wszyscy i w całej Warszawie miał mnóstwo przyjaciół i życzliwych znajomych. A już to najbardziej pokochał Kościuszkę pewien wielki i możny a zacny pan polski, książe Czartoryski, co był podówczas także wysokim urzędnikiem polskim. Ten książe Czartoryski poznał się odrazu na rozumie i sercu Kościuszki i tak go polubił mocno, że się nim opiekował i we wszystkiem dobrze radził i czynił.

Otoż musicie wiedzieć, że młody Kościuszko poznał wówczas w Warszawie jedną młodą pannę, córkę bardzo wielkiego pana, ba nawet samego wojewody, który ją wysłał na wychowanie do Warszawy. Ta wojewodzianka była śliczną i hożą dziewczyną, gdyby najpiękniejsze malowanie — a Kościuszko też dzielnym i urodziwym młodzieńcem, więc jak się tylko poznali lepiej oboje, tak się już nawzajem pokochali serdecznie.

Kościuszko był wprawdzie ubogim młodzieńcem, a panna bogatą wojewodzianką, córką wielkiego pana — ale co tam młode serca dbają o majątki i honory, kiedy to w kochaniu wszyscy są sobie równi. Toć też i Kościuszko, pozyskawszy sobie serce panny, chciał się koniecznie z nią ożenić. Ale trudna była rada! Ojciec tej panny, pan strasznie dumny i bogaty, nie wydałby był w żaden sposób swej córki za Kościuszkę, który wtedy jeszcze nie miał żadnego znaczenia i sławy, bo był jeno młodym podoficerem, choć to już zaraz i wtedy można było przewidzieć, że z niego będzie kiedyś wielki człowiek i polski wojownik sławny.

Trapili się więc oboje młodzi zakochani bardzo, bo się kochali nawzajem miłością wielką a tu trzeba było wszystko ukrywać, aby się przypadkiem nie dowiedział ojciec. Zaś o pozwoleniu ojca na zamęźcie nie było nawet i mowy, bo go znali wszyscy z jego wielkiej pychy i uporu

Nie wiedział już więc Kościuszko innej rady, jak tylko wykraść skrycie swą kochankę, uciec z nią potajemnie z Warszawy do Galicyi, tu się z nią ożenić i jakiś czas przebyć, aż dopóki się wojewoda nie udobrucha i nie zgodzi się już na to, co się stało.

Zwierzył się Kościuszko z tem wszystkiem przed swoimi przyjaciołmi a osobliwie przed swym dobrodziejem księciem Czartoryskim. Odradzał mu z razu mocno Czartoryski, aby tego nie czynił i wystawiał mu wszelkie niebezpieczeństwa, coby z tego wyniknąć mogły, bo ojciec panny był bardzo możny i bardzo mściwy — ale Kościuszko nigdy się przed niczem nie uląkł, chyba przed jednym Panem Bogiem, więc też nie dał sobie tego w żaden sposób odradzić. Widząc Czartoryski, że Kościuszko tak mocno kocha wojewodziankę, uli-

tował się nad jego sercem, a że go lubił jak syna, więc w końcu przyrzekł mu nawet, że mu w całej sprawie pieniądzmi i radą będzie pomocnym.

— Ha, kiedy już inaczej być nie może — rzecze tak do niego — to niech się dzieje wola Boża. Uciekajcie razem z Warszawy do Galicyi, ja mam tam dobra Sieniawę, jedźcież tedy prosto do Sieniawy i tam poczekajcie, a ja tu tymczasem pamiętać będę o was a może się z czasem ojciec panny, wojewoda, da przebłagać i zgodzi się na wszystko.

Uradował się okrutnie Kościuszko, podziękował serdecznie księciu i zaraz zaczął robić przygotowania do potajemnego ślubu i ucieczki z swoją panną z Warszawy. I tak powoli, powoli wszystko układał, aby się cała sprawa lepiej udała — kiedy naraz taki zaszedł wypadek.

Z tej szkoły wojskowej podchorążych, w której był Kościuszko, codziennie szedł jeden podchorąży na straż do królewskich pokojów. A siedział jeszcze wtedy na polskim tronie król Stanisław August, ostatni król polski, co to był taki niedołężny i nieroztropny monarcha, że zaprzepaścił naszą nieszczęśliwą ojczyznę.

Otóż widzicie wypadła kolej na Kościuszkę iść na wartę do królewskich pokojów. Przyszedł Kościuszko na wartę, ale że miał głowę nabitą myślami o potajemnym ślubie i ucieczce z wojewodzianką, więc mocno był zadumany i jakoby smutny czegoś i frasobliwy. Król, co znał także Kościuszkę, poznał to zaraz, więc idąc mimo niego, rzecze:

— Oho, młody bratku, a czemużeś ty taki dziś smutny?...

Kościuszko poczerwieniał cały na twarzy i z wielkiego zakłopotania nic nie mówi.

— Ej kawalerze — nagli król dalej — musisz mieć jakiś wielki frasunek! Co? nieprawda? mówno, mów!

Kościuszko jeszcze bardziej się zarumienił i odpowiada:

— Najjaśniejszy panie! Ja nie mam żadnego frasunku...

Ale nie mówić tego królowi, który miał dobre oko i do razu poznał, że Kościuszko coś ma na sercu, bo się mocno rumieni i miesza. Więc też nagli na Kościszkę dalej i jak go pocznie wypytywać w rozmaity sposób — tak Kościuszko nie

mógł ukryć niczego, bo nie umiał kręcić i kłamać, i wyspowiadał się ze wszystkiego do reszty.

Kiedy król usłyszał tylko, że Kościuszko zamyśla wykraść wojewodziankę i uciec z nią z Warszawy, mocno się tem zdziwił i zadumał się bardzo, bo znał dobrze samego wojewodę, jako jednego z najmożniejszych panów polskich. Nic na to nie odpowiedział Kościuszko i nie zakazywał mu tego, bo mu to jakoś nie wypadało, gdyż Kościuszko zaufał mu jak ojcu — ale skrycie postanowił przestrzedz o tem wojewodę.

I otóż patrzcie, kiedy Kościuszko wyszedł z warty uradowany, że już i król sam jest za nim, to król zaraz jeszcze tego samego dnia wysłał z swej kancelaryi list do wojewody i wszystko mu opisał, jak i kiedy Kościuszko z jego córką chce wziąć ślub potajemnie i uciec z nią z Warszawy.

Skoro tylko wojewoda list ten otrzymał srodze się rozgniewał, bo jak już wiecie był strasznie dumnym i mściwym. Kazał tedy natychmiast wziąć córkę z Warszawy i tym sposobem udaremnić to wszystko, co sobie ułożył Kościuszko.

Ale nie dość było na tem wojewodzie. Wzięła go okropna złość na Kościuszkę, że śmiał mieć oko na jego córkę i nawet ją wykraść zamierzał — i dla tego też mściwy wojewoda chciał koniecznie dostać w swoje ręce samego Kościuszkę, aby się na nim pomścić w swej złości. Przejęty okrutnym gniewem nie myśli więc wojewoda długo, jeno woła swego poufnego sługę, daje mu worek dukatów i mówi:

— Pojedziesz do Warszawy natychmiast, wypytasz się tam o jednego młodego podoficera z wojskowej szkoły, co się nazywa Tadeusz Kościuszko i tu mi go przystawisz żywego. Zrób wszystko rozumnie, nie żałuj pieniędzy, zwab tego młokosa, i dalej z nim do mnie!

Komisarz wojewody wziął pieniądze i pojechał zaraz do Warszawy, aby tak uczynić jak mu pan rozkazał. Przyjeżdża do Warszawy i zaraz poczyna się potajemnie rozpytywać, jakby to najlepiej mógł się widzieć z Kościuszką. Ale że jakoś nie był z natury sprytny, więc nie mógł znaleźć dobrego sposobu, aby się gdzieś zejść z Kościuszką na osobności. Nie wiedział tedy komisarz innej rady, jak tylko pójść prosto do szkoły

wojskowej i z tamtąd wywabić Kościuszkę na miasto, aby go porwać i przystawić panu.

Sunie więc ten komisarz prostą drogą do szkoły podchorążych. Kiedy przyszedł przed bramę, widzi że jeden taki młody podchorąży stoi na warcie.

— Otóż to będzie najlepiej — myśli sobie — jak ja się wypytam tego podoficera o Kościuszkę! Może go tym sposobem najpewniej wywabię z sobą na miasto, a potem bądź zdrów bratku!

Przystępuje tedy komisarz prosto do podchorążego, co stał na warcie. Ale oto widzicie, był to właśnie sam Kościuszko, bo akuratnie o tej godzinie na niego była przypadła warta.

— Dzień dobry! panie oficerze! — wita się komisarz i podgartuje czuprynę, myśląc nad tem, jakby tu najlepiej wywiedzieć się o wszystkiem.

— A dzień dobry — odpowiada Kościuszko i przypatruje się uważnie nieznajomemu.

Komisarz wojewody podchodzi jeszcze bliżej i rzecze:

— Ej panie podchorąży, jabym miał pana o coś zapytać, ale tak sekretnie!

— A cóż to takiego? — pyta Kościuszko — mów pan prędzej, bo mnie tu na warcie rozmawiać nie wolno.

— Ej co tam — odpowiada komisarz — nikt nas tu nie widzi, niechno mi pan tylko to powie, co ja chcę wiedzieć, a ja już panu wynagrodzę fatygę.

Zdziwił się Kościuszko, coby to takiego być mogło, a komisarz pyta go z cichą:

— Pan pewnie musi znać Tadeusza Kościuszkę, co tu także jest podchorążym?...

Kościuszko wypatrzył się na nieznajomego sobie człowieka, dziwiąc się, czego on o niego samego się pyta. Zrazu chciał się przyznać, że on sam jest Kościuszko, ale na szczęście wpadło mu do głowy, że to może coś przeciw jego osobie. Bo musicie wiedzieć, że jak wojewoda zabrał swą córkę z Warszawy, to Kościuszko już zaraz się domiarkował, że go ktoś musiał zdradzić ze wszystkiego. Rozmyślał sobie to wszystko

Kościuszko i postanowił nie przyznać się, że on jest tym samym o którego się komisarz pyta. Odpowiada więc:

— Czy ja znam Kościuszkę? A jakżebym go znać nie miał, kiedyśmy przecież razem.

— Otóż widzi pan — mówi na to komisarz wojewody — jabym panu to wynagrodził dobrze, gdyby mi pan pomógł do tego, aby ja się mógł widzieć z panem Kościuszką na osobności!

— Oho — pomyślał sobie w duchu Kościuszko — coś tu się złego święci! Trzeba go będzie zajść z mańki, co też on ma na myśli!

Pyta tedy komisarza:

— A na cóż panu Kościuszki?

— A widzi pan — odpowiada komisarz — to historya delikatna, ja ją z nim sam muszę skończyć w cztery oczy.... Ja dla tego umyślnie tu przyjechałem ze wsi z daleka.

— A czy pan nie od wojewody? — pyta obcesem Kościuszko.

Komisarz na te słowa poczerwieniał i mówi z cicha:

— A jakże pan wie o tem? Niechże pan tego nie gada nikomu!

— No, no, nie bój się aspan — rzecze Kościuszko — już ja wiem, o co panu chodzi! Ho, ho! wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi! Niech pan będzie spokojny, ja pana nie wydam. Tu coś pewnie zachodzi względem córki pana wojewody, co to się w niej kochał Tadeusz Kościuszko!

— A to pan widzę wiesz o tem — mówi zdziwiony komisarz — bój że się pan Boga, pomóż mi w moim interesie, bo jabym się chciał widzieć koniecznie z tym panem Kościuszką.

— No kto wie, możebym ja aspanu i pomógł, byleby nie za darmo.... — mówi Kościuszko, rad z tego, że podszedł lisa i zamiast sam wpaść w łapkę, schwycił w sidła tego, co na niego dybie.

— Sto dukatów panu dam za to, panie podoficerze — rzecze komisarz, który znowu uradował się także, bo myślał, że mu się już teraz wszystko dobrze uda.

— A więc dobrze — odpowiada Kościuszko — ja już tak zakieruję, że jeszcze dziś będziesz się aspan widział z Kościuszką, zaraz z nim pomówię, jeno mnie zluzują z warty.

— Dziękuję panu bardzo — mówi uradowany komisarz — nie będziesz pan tego żałował! Niech go pan tylko przyprowadzi do gospody „pod lisem“, bo ja tam stoję. Ale prawda, jakże się pan nazywa?

— Rembiliński! — mówi Kościuszko nie myśląc długo. A przyszło mu to nazwisko na myśl, bo w wojskowej szkole był właśnie także jeden podchorąży, co się Rembiliński nazywał.

— Rembiliński! Dobrze, będę pamiętał! — odpowiada uradowany komisarz. A więc proszę pamiętać o interesie, panie Rembiliński.

I komisarz odszedł na miasto, myśląc, że mu wszystko jak z płatka pójdzie. Tymczasem Kościuszko dziękował w duchu Panu Bogu, że go takim szczęśliwym trafem wyratował z zasadzki i z rąk mściwego wojewody, i myślał już teraz tylko o tem, jakby tu dalej z sobą pokierować.

Skoro tylko zluzowali Kościuszkę z warty, chwycił zaraz płaszcz na siebie i natychmiast pobiegł do swego dobrodzieja, księcia Czartoryskiego i opowiedział mu rzecz całą.

— A to wielkie szczęście! — zawołał książe — to istny cud, że się tak stało! Inaczej byłby cię może schwytał w swoje ręce, i byłoby źle z tobą! Ale teraz nie masz co dłużej popasać w Warszawie. Dam ci pieniądze na drogę, jedź zaraz do Galicyi, do mojego miasta Sieniawy i tam przeczekaj, bo tu nie będziesz bezpiecznym. Wojewoda to pan wielki, i bardzo wiele tu może, a król jak wiesz, jest do niczego i sam z nim w zmowie, więc pewnie dostałbyś się w jego ręce! Uciekajże co rychło, a ja tu o tobie pamiętać będę!

Usluchał Kościuszko tej rady i zaraz tego samego dnia wyjechał potajemnie z Warszawy do Galicyi, do Sieniawy.

Tymczasem ów komisarz wojewody wrócił do swojej gospody „pod lisem“ i przygotował drabów, aby Kościuszkę zaraz pojmać i wojewodzie przystawić.

Gdy tak już był gotów ze wszystkiem, czeka i czeka komisarz na Rembilińskiego, który miał przyprowadzić mu Ko-

ściuszkę. Już minęła ta godzina, w której przyjść mieli, minęła i druga, i trzecia, a ani Rembilińskiego ani Kościuszki jak nie ma tak nie ma.

— A to dopiero mnie zawiódł ten Rembiliński! — myśli sobie komisarz — i nie ma go i nie ma! Toć chyba trzeba iść do niego!

Nie myśląc tedy wiele idzie komisarz do szkoły podchorążych, do środka, i pyta się:

— Czy jest pan Rembiliński?

— Jest — odpowiadają mu, i akuratnie wychodzi do niego jakiś młody podchorąży, co był na prawdę tym Rembilińskim, za którego się Kościuszko na warcie przed komisarzem wydawał.

— Ja jestem Rembiliński. Czego pan żądasz? — pyta się ten prawdziwy Rembiliński.

Komisarz popatrzył się na niego z wielkiem zdziwieniem, bo widzi, że to zupełnie kto inny i mówi:

— Ale gdzież to pan Rembiliński! Ja znam całkiem innego, chyba tu może dwóch jest Rembilińskich!

— Nie ma tylko ja jeden — mówi ów Rembiliński.

— Ale jakże to być może — woła komisarz — toć ja przecie rozmawiałem z rana na warcie z jakimś Rembilińskim.

— To nie był Rembiliński, bo Rembiliński to ja, a ja jako żyw nie byłem dziś na warcie!

— A któż to był taki na Boga? — wrzeszczy zdziwiony komisarz i powiada godzinę o której to było.

— Aha! to był Kościuszko! On wtedy akuratnie stał na warcie!

— Co Kościuszko!!! — zawołał z okrutnem zdziwieniem i frasunkiem komisarz i aż posiniał z wielkiej złości, że sam popadł w łapkę, zamiast w nią schwytać Kościuszkę.

— A gdzież ten Kościuszko! — woła strapiony komisarz — gdzie ten Kościuszko?

— Nie ma go! Jak go tylko zluzowano z warty, gdzieś wybiegł na miasto i dotąd go nie ma!

Komisarz wybiegł na miasto a wściekły był sam na siebie, że się tak sam zdradził i natychmiast wypisał list do swego pana wojewody, że Kościuszko gdzieś się ukrył. Wo-

jewoda napisał pędem do króla, aby mu koniecznie kazał wyszukać Kościuszkę i tak szukano go po całej Warszawie przez dni kilka a on tymczasem siedział sobie w Sieniawie.

Niedługo potem Kościuszko wyjechał z Polski daleko, bardzo daleko, bo aż w inną część ziemi, do Ameryki, bo tam właśnie była wielka wojna o wolność. Tam odrazu poznali wielkie serce i rozum pana Kościuszki, i choć był jeszcze młody, rychło został jenerałem amerykańskim. Gdy się tam wojna szczęśliwie ukończyła — pisali z Polski panowie a potem i sam król do Kościuszki, aby powracał do Polski na jenerała i Kościuszko też wrócił niebawem.

Wojtek ze Smolnicy.

Rady gospodarskie.

Karmienie kur.

Doświadczono, że najlepszym pokarmem dla kur jest cebula, a razem jest ona środkiem przeciw ich chorobie szczególniej przy zapaleniu gardzieli, oczu i głowy. Daje się kurom tak młodym, jako też starym drobno posiekaną cebulę z mąką umięszaną po dwa, lub trzy razy na tydzień tyle, ile chcą spożyć. A że tego roku wiele kur już zniszczało, więc radzę użyć powyższego środka, aby je zabezpieczyć od tej choroby.

Niesienie jaj.

Kury zwykle przestają nieść jaja, skoro zatyją, niech się tylko wygłodzą przy szczuplejszym pokarmie, to też zaraz będą niosły. Każda gospodyni przekonała się już o tem, że jedna i ta sama kura raz niesie duże, inny raz małe jaja. I tu robiono rozmaite doświadczenia i nareszcie okazało się następujące karmienie dodatkowe kur bardzo korzystne. Trzeba nazbierać grzybów, ale nie trujących, ususzyć i utłuc razem z kulkami lnu na proszek. Takich kulek bierze się jednę część, a dwie części grzybów. Do tego doda się ospy żytnej, lub pszennej, wszystko ugniecie się na gęste ciasto, z którego

daje się kurom codzień po kulce wielkości grochu. Przy takim dodatku obok innego pokarmu będą kury zawsze niosły duże jaja.

Przechowywanie jaj.

Do nasadzenia jaj pod kury trzeba w Marcu zniesione zostawić, bo w tym czasie kury niosą najlepsze jaja na ten cel. Każdy dzień, jeżeli nie mają gniazda przeznaczonego, trzeba największe jaja wybierać, szczególnie takie, które bardziej okrągłe, niż podługowate. A że jaja przeznaczone do lęgu nigdy dłużej nie mogą być trzymane nad cztery tygodnie, trzeba je więc oznaczyć, kiedy były zniesione. Jeżeli wstrząsając jajem poczuje się, że w środku chlubocze się, takie jajo nie jest zdatne do wylęgu. Podługowate jaja wydają pospolicie koguty, a okrągłe kury. Jeżeli kto chce jaja na dłuższy czas zachować, to powinien te, które w jesieni są zniesione, do tego użyć, a może być pewien, że przez całą zimę dobrze trzymać się będą. Jaja niezapłodnione trzymają się lepiej, niż zapłodnione. Najlepiej się temu zaradzi, gdy pewna ilość kur trzymać się będzie bez koguta, a jaja od takowych przeznaczą się na zachowanie. Jaj nie należy po sklepach chować, gdyż tam łatwo się psują i nabierają nieprzyjemnego smaku. Żeby się jaja dobrze utrzymały, to nawet zależy od ich ułożenia w naczynie. Jeżeli więc jaja mają się na dłuższy czas zachować, trza w naczynie do tego przeznaczone na spód nasypać popiołu na cal grubo, na ten ustawiać jedno przy drugiem tak, żeby częścią kończastą do góry stały. Na jaja przyjdzie warstwa popiołu, na który znowu warstwa jaj i tak postąpi się, aż wszystkie ułożą się, a wierzch nareszcie popiołem się zakończy. Potem naczynie wstawi się w miejsce niezaduchłe, lecz suche i wolne od mrozu, a tak jaja będą się długo i dobrze trzymały.

RÓŻNOŚCI.

Dobre powitanie. Żyd jadąc wieczorem obaczył na polu stertę siana i myślał, że tam nie ma nikogo; chciał tedy nabrać siana. Idzie więc

powoli do styrty, a gdy się już zbliżył do niej, rzekł sobie z żartu:

— Dobry wieczór kopico!

A tu z za kopicy wyleciał chłop i pociągnął żyda patykiem przez plecy mówiąc:

— Daj Boże zdrowie panie kupiec! Oczywiście po takiem powitaniu odechciało się żydowi siana i drapnął w nogi co sił stało.

Moskiewski jenerał. Moskale są bardzo pyszni ludzie i okrutnie przechwalać się lubią. Pewnego razu przyszedł jeden moskiewski jenerał do urzędu, w którym byli sami Polacy i pyta każdego z osobna „Co ty za jeden?“

— Ja konsyliarz — mówi jeden.

— Ja jeszcze większy! — odpowiada jenerał.

— Ja komisarz! — mówi drugi.

— Ja jeszcze większy!

— Ja sekretarz! — mówi trzeci.

— Ja jeszcze większy! — odpowiada jenerał i tak wszystkim powiadał, że on jeszcze większy. W końcu pyta się jenerał jednego urzędnika wielkiego franta i figlarza:

— Co ty za jeden?

— Ja dureń! — odpowiada ów figlarz naumyślnie.

— Ja jeszcze większy! — mówi pyszny jenerał, a tu wszyscy w śmiech okrutny.

Mądry rabin. Rzadko się to zdarza, żeby żyd miał skrzywdzić innego żyda, ale i to się czasem przytrafi. I tak do domu gościnnego, w którym był oberzystą żyd pewien, przybył w noc późną podróżujący żydek, a nie ufając drzwiom zaryglowanym, oddał oberzyście 500 talarów do schowania. Nazajutrz poprosił gospodarza o wydanie złożonych u niego pieniędzy; lecz że je bez świadków oddał, gospodarz zaparł się, aby miał mieć w schowaniu jakie pieniądze podróżnego. Gdy ani prośby, ani groźby nic nie pomogły, wytoczył poszkodowany podróżny całą sprawę przed miejscowego rabina. Ale i przed rabinem gospodarz przyznać się do niczego nie chciał. Wtem rabin prosił onego oberzystę, żeby mu pozwolił na chwilkę swego zegarka. Potem nic nie mówiąc, wszedł do służącego i kazał mu pójść z tym zegarkiem do żony owego oberzysty i oświadczyć, że mąż jej polecił wydać złożone u nich pieniądze podróżnego, na znak zaś przysełą swój zegarek. Służący wypełnił rozkaz, a żona poznawszy zegarek, sądziła, że w samej rzeczy mąż przestraszony przysięgą, kazał wydać nieprawnie zatrzymane pieniądze, i wydała je posłańcowi. Podróżny tym sposobem odebrał swą własność, a oberzysta wynieść się musiał do innego miasta, bo go żydzi do ostateczności prześladowali.

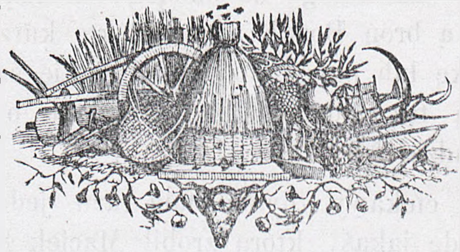
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. Nr. 5.

11. lutego 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sądy przy gorzałce.

We wsi polskiej Królewskie - Sioło jest od niepamiętnych czasów taki dobry zwyczaj, że wszystkie gromadzkie sprawy odbywają się zawsze a zawsze w chałupie wójta i to bez żadnej pijatyki i obrazy bożej, a każda sprawa jest osądzona sprawiedliwie i sumiennie, jak Bóg przykazuje. Toż nie ma tam pamiętnika, aby kiedy płakał i narzekał kto na sądy gromadzkie. Ale jest tam jeszcze i to dobre, że od dawna jest zawsze wójt po pradziadkach i ojcach z jednej chałupy i rodziny, co się zowie Wróblami. Jak ojciec umiera, co był wójtem do śmierci, to gromada obiera najstarszego jego syna, i nie było tam nigdy tak, aby kto inny wójtował. Ależbo to z tej chałupy wychodzą zawsze dzieci pobożne i ładne jak pieniądz, a sprawiedliwe, trzeźwe i pracowite, jakby były świętemi. W chałupie tych Wróblów i wójtów jest stara dębowa skrzynka, zamykana na mocną i wielką kłódkę, a w tej skrzynce ma gromada różne prawa od królów polskich, ma czarną kulę, którą zwołują ojców do gromady, ma krzyż św. który stoi zawsze na stole, kiedy

gazdowie tamtejsi sądzą sprawy, jest gromnica poświęcana jakie sto razy, co się świeci przed krzyżem na każdej gromadzie a gazdowie wtedy od starego do młodego siedzą sobie pobożnie i bez czapek, a broń Boże! aby tam kto kurzył wtedy fajkę albo pił gorzałkę lub piwo albo gadał jakie śmiechy i banaliuki. I gadają też ludzie daleko a daleko o tych sprawach i sądach gromadzkich!

Otóż i ja ciekawy, byłem tam razu jednego na jednej sprawie o szkodę jakąś, którą zrobił Maciek Sroka drugiemu sąsiadowi Stachowi Lenkowi i napatrzyłem się dużo, dużo rzeczy dobrych. Gdy się sprawa skończyła i gazdowie powyłazili zza stołu, ja mówię do nich:

— A to macie rozum doskonały jeden w drugiego, że macie sprawy w chałupie wójta, a żydzi w Arendzie nic o tem nie wiedzą i nie mięszaja się do was! ale i to doskonale, że sądzicie sprawy przy Panu Jezusie bez pijatyki i swarów, bez gniewu i obrazy bożej. Gdyby tak robili gazdowie w całej Polsce, toby było z tego wiele dobrego.

A wójt Marcin Wróbel, już starowina siwiutki, co był najstarszym bratem w kościele, otworzył skrzynkę, wyjął jakiś papier spisany na wszystkie strony i powiada mi:

— Ten papier to stara pamiątka jeszcze po moim pradziadku Sobku Wróblu, a jeżli JMość chcą to przeczytać, to można, i z tego się dowiecie, czemu to nasze chłopy tak sądzą sprawy gromadzkie sprawiedliwie.

Ja wziąłem ten papier do ręki i czytam uważnie i kiwam głową i patrzę na gazdów, a jakem go od końca do końca przeczytał, wtedy wójt mię pyta:

— A co? Jegomość, czy to nie cudowna rzecz i pamiątka dla całej gromady?

— Ha! mówię ja zadziwiony, to prawda — ale czy znacie jeszcze tę beczułkę, o której tu wspomina to pisanie?

Wójt na to zaraz:

— A jużci mamy w dobrem schowaniu, ot! jest tu druga skrzynia dębowa na dwa zamki, a w niej stoi ta beczułka.

I pokazał mi wójt beczułkę czarną, starą, coby do niej wlazło dwie ćwierci dobre, była z jednem dnem, a drugiego nie miała, a zdawało mi się, że były w środku znaki czerwone nito z jakiejś krwi ludzkiej.

— No! mówię ja do gazdów, a czy wy też pamiętacie który ten przytrafunek dziwny? albo czyby mi też kto z was nie opowiedział tego wszystkiego ale sprawiedliwie?

A wójt starowina rzecze:

— Toć ja to opowiem Jegomości, kiedy jeszcze Jegomość o tem nie słyszeli nigdy — i jął opowiadać: Otoż widzi Jegomość jeszcze to za jakiegoś mego pradziadka i za czasów polskich była nasza gromada cała wsią samego króla, a nasi dziadkowie płacili z numeru dla króla po dwa grosze na stół króla i jego dworu całego.

A jak król kiedy zajechał do nas, to mu dawali konie i posługiwali sami ojcowie starzy, a za to brali do kalety dukaty świecące jak ogień.

A ja poderwałem wójta i mówię:

— To naprawdę tak bywało wszędzie po wsiach królewskich za dawnych czasów polskich — ale który z was zgadnie mi, ileto było na nasze pieniądze te dwa grosze dawne?

-- O ile? mówi jeden gazda; toć my mamy w papierach zapisane, że to znaczy na nasze jeden dudek dawny albo dwa nowe krajcary.

— I to prawda, mówię ja, ale gadajcieno panie wójcie o tym przytrafunku waszego dziatka.

A wójt starowina rzecze:

— I widzi Jegomość, była sobie nasza gromada zamożna, a lud pobożny cały nito zakonniki jakie, a mój pradziadek Sobek wójtował wtedy na trzy gromady wielkie, jeno jakoś to wtedy nie pijali tak ludzie, jak teraz, ani nie było bitki żadnej, ani zawziątku na nikogo na świecie Bożym, a posłuch był jak w kościele na kazaniu, a gazda za gazdą byłby w ogień skoczył. Otóż i mój pradziadek znał doskonale samego króla i odnosił na nowy rok pieniądze gromadzkie, nito podatek wsiowy, a był sam trzeźwy, że pono na całe życie kosztował tylko dwa razy gorzałkę, ale znał się dosyć na prawach polskich i jak

wypalił sąd jaki, to tam nie trza było i króla szukać. On też nigdy od nikogusienko nie wziął nic za sprawę, a dzieci jego tak brały karę sprawiedliwą, jak komornik chudobny. A żył blisko sto lat i ani go głowa zabolała ani mu ząb który wyleciał, ani mu głowa nie posiwiała, a jak umarł, to miał pogrzeb nito pan bogaty, i tu leży koło naszego kościoła.

A ja na takie gadanie dodałem:

— Takto żyją wszyscy pobożni ludzie, a jak ich Bóg powołuje do siebie, to idą ludzie zdaleka na ich pogrzeb i płaczą i żałują za nimi, a Bóg przyjmuje takie dusze prościutko do samego nieba. No! ale koniecznie o tej beczułce, bom ciekawy bardzo na to.

Wójt starowina powiada:

— Raz jakoś zaczęli ludzie w naszej gromadzie hulatyki, a memu pradziadkowi jakoś to było markotno o to, i zaczął karać mocno zbyteczników. A gdy nie mógł sobie już dać rady z nimi, toć raz tak im powiedział:

— Kiedy wy mię starego słuchać nie chcecie i kija mego się nie boicie, to ja powołuję się na samego Boga, a On dopomoże mi w tem, że ja was przekonam, jakito grzech wielki takie hulatyki i pijatyki na wsi.

— No! i coż on takiego zrobił? zapytałem.

— A coby złego, gada wójt starowina, toć jednego dnia zmówił sobie cały urząd gromadzki do kościoła, tam byli wszyscy na mszy św. potem do spowiedzi i do komunii św. a pradziadek sam leżał całą mszę krzyżem przed ołtarzem Pana Jezusa Ukrzyżowanego i tam sobie zrobił jakiś ślub i modlił się bardzo aby mu Pan Jezus dopomagał w dobrem.

— No! ale wy nie wiecie, jaki był ślub? zapytałem dalej.

— A coby nie, rzecze wójt starowina, toć on widać ułożył sobie w myśli, że wleje każdy kieliszek gorzałki lub piwa lub miodu do beczki i tak będzie robił od nowego roku do starego, a potem ułożył sobie znowu tak swej biednej głowie że pokaże ludziom na końcu, ileto wychodzi gorzałki samej' na sprawy gromadzkie w roku jednym i co to ta gorzałka przynosi na rok arendarzom zysku, a straty gromadzie.

— No! to coż się potem stało? zapytałem.

— A jużci, mówił wójt starowina, dał sobie zrobić beczkę taką i postawił ją w kącie w izbie za stołem, a jak jeno kto przyniósł napitek do niego na sprawę jaką, to wlewał do tej beczki każdy swój kieliszek, co pił kto do niego.

— A cóż ludzie na to? pytałem.

— A ludzie jak ludzie, mówił on, jedni się śmiali z tego, drudzy kiepkowali sobie, inni lali ze śmiechu swoje kieliszki do tej beczki, znowu inni bali się tego, a nikomu przez myśl nie przeszło co to będzie z tego — boć nie jeden myślał sobie tak, że na końcu da wójt wypić ludziom tę beczkę gorzałki, albo ją sobie schowa na wesele, albo sprzeda arendarzowi.

— No! a on co zrobił z nią? pytałem z ciekawością wielką.

— Ha! ha! Jegomość, mówił wójt starowina to się dopiero na samym końcu pokazało, kto wygrał. Bo to widzi Jegomość, dobremu pomaga zawsze sam Bóg na dobre, a na ukaranie złych robi nie raz cuda wielkie — toć w ostatni dzień roku, kiedy trza było robić obrachunek całej gromady, zwołał mój pradziadek gromadę, kazał przynieść flaszki i kieliszki, a ludzie już naprzód łykali ślinkę na tę gorzałkę wystaną w beczce. No! po obrachunku nabrał mój pradziadek nieboszczyk, Boże daj mu tam niebo! pierwszy kieliszek z tej beczki, patrzy, a to niby wino czerwone w kieliszku — on na to nic nie mówił, jeno się zadziwił, bo mu się wydało, że ktoś figla zrobił i gorzałkę poczerwienił. Wtedy zrobił się ścisk wielki koło beczki, każdy nabiera do kieliszka i do flaszek i idzie sobie na izbę i przypatruje się tej czerwonej gorzałce. Aż mój pradziadek pokosztował pierwszy i zaraz wypluł i powiada:

— Otoż panowie gromada! macie teraz oczywisty dopust boży na gromadę naszą — ta gorzałka zlewana przy sprawach stanęła czerwona, jak gdyby ją przemienił Bóg w krew, abyście się raz przekonali, że urzędy gromadzkie piją na sprawach gromadzkich krzywdę ludzką i krew ludzką. Na to zrobiło się w izbie cicho jak w wielkim lesie, każdy skosztował i

wypluł, bo w kieliszkach i flaszkach było coś tak czerwonego, gdyby szczera krew ludzka.

Ją na to gadanie wójta zadumałem się bardzo, opatrzyłem jeszczę raz beczułkę i widać tam było znaki czerwone i mówię:

— To prawda święta, że urzędy gromadzkie piją nie raz krzywdę ludzką, ni to krew chudaków a to podanie, które mi opowiedzieliście o swoim pradziadku, jest dobrą nauką dla gazdów i urzędów gromadzkich.

Gromady polskie powinne się kajać i nie robić sądów po pijanemu, ani też sądzić przy napitku, ani zdzierać chudaków na gorzałkę przy sprawach — bo to wszystko grzech wielki i trza za to na sądzie bożym odpowiadać, a może tam na sądzie pokaże Bóg krew ludzką wypitą niesprawiedliwie.

A gazdowie z Królewskiego Sioła powiedzieli:

— Oj tak Jegomość tak! trza za wszystko odpowiadać kiedyś i my też wystrzegamy się napitku przy sprawach i sądach, a ta beczułka przypomina nam. jak to Bóg karze i karać będzie za zbytki takie.

Ja pożegnałem tych gazdów dobrych, a o tem podaniu piszę wam wszystkim moi polscy gazdowie, abyście nie krzywdzili nikogo przez wasze sądy.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Piszczałka grobowa.

Przy gościńcu za rzeką,
Starym ciężkie łzy cieką;
Przy wygonie za borem,
Stoi pole otworem,
A na polu mogiła,
Na mogile kalina,
A u głowy brzezina,
A u dołu wierzbina,
Reszta w trawie się skryła.

Dana moja, hej dana,
Pasie chłopię od rana —
Kręci sobie grobową
Piszczałeczkę wierzbową:
— Graj piszczałko od ucha,
Niech się serce rozrucha!

Gra piszczałka żałośnie,
Aże w sercu łza rośnie:

— Byłem ja ci maleńki,
U jedynej mateńki,
Kiedy przyszli nieswoi —
Jeszcze w grobie o moi!

Na spominkę krew biegnie,
Z rany co się nie goi —
Kością w gardle mi stoi,
Gniew mnie jary zażegnie. —
Na wojenkę wypadło!
Kowal rzuca kowadło,
Szewc kopyta porzucił,
A kto młócił — nie młócił.
Ja wyrostkiem już byłem,
Na wojenkę ruszyłem.

Leci orzeł pod chmurą,
Zgubił w polu gdzieś pióro

Lecą, lecą przez łany,
Krakowiaki, hułany,
I zgubili jednego,
Tu u boru czarnego.

Leży mi się tu, leży,
Niby w rajskiej odzieży;
Tak tu cicho i miło,
Jak mi nigdy nie było —
Jeno czasem łza płynie,
Że co złe to nie ginie —

Lećże, lećże mój głosie,
Do mateńki po rosie;
Niech już starzy nie płaczą,
I hułana zobaczą.

Poleciało pacholę,
Z piszczałeczką przez pole,
A do starych po rosie,
Leci głosik po głosie:
— Oj co swoje — nie swoje —
Hej już trudno tak będzie,
Nie siadł wiecznie kto siędzie,
A jak raz się odczepi —
Oj to będzie nam lepiej.

Grześ z Mogiły.

Araburda.

Historyjka ucieszna.

Żył raz pewien mieszczanin, który z wielkiego bogacza przez rozmaite nieszczęśliwe wypadki zeszedł na ubogiego człowieka. Bieda mu okrutnie doskwierała i już prawie żyć z czego nie było, kiedy naraz przypomniał sobie ów mieszczanin, że kiedy jeszcze był bogatym kupcem, to pożyczył był jednemu możnemu panu, co się zwał Ostroróg, niemałą sumę pieniędzy. Idzie więc do tego pana i prosi bardzo, aby mu teraz oddał te pieniądze, bo ich bardzo potrzebuje — ale źle się wybrał nieborak, bo pan nie chciał mu oddać w żaden sposób pieniędzy. A że biedny mieszczanin nie miał na tę sumę od pana żadnego pokwitowania, więc też i nie mógł go zapozwać do sądu, a tak pieniądze jakby już przepadły. Wraca tedy do domu biedaczysko, zafrasowany okrutnie, kiedy go naraz zdybuje pewien człek bywały i chwacki, jak to mówią na cztery nogi kuty i sprytny nielada. Zwał się ten człek Kukułas

Araburda i znany był wszerz i wzdłuż jak figlarz nad figlarze! Zdybawszy na drodze biednego mieszczanina pozdrowił go grzecznie, bo był mu znajomy i pyta:

— A czemu wy tacy markotni, panie Grzegorzu?

— A jakże nie mam być markotny — odpowiada na to Grzegorz — kiedy to człowiekowi bieda się za kark leje a swojej pracy odebrać nie może.

— Opowiedzcież mi wszystko, a ja wam może poradzę! — rzecze Araburda.

Mieszczanin Grzegorz opowiedział mu po krótce cały swój kłopot a Araburda mówi:

— Oho! zdajcie się tylko na mnie, a ja wam zaraz pieniądze od tego pana przystawię! Jabym samemu djabłu dług wydarł z gardła!

— Ha to probujcie — rzecze na to Grzegorz — kiedyście łaskawi. Ale uważajcie, że to nielada orzech, który zgryźć musicie! A jeżeli wam się uda odebrać pieniądze, to ja wam już trzecią część daruję.

Araburdzie nie mówić tego dwa razy, zbiera się co rychło, siada na swoją szkapę i dalej na dwór pana Ostroroga. Nie minęło dwie godziny, już był na dworskim dziedzińcu. Zaś na dziedzińcu stał starym zwyczajem słup do przywiązywania koni dla gości, a przy tym słupie były trzy kółka, żelazne, srebrne i złocone. Do żelaznego kółka przywiązywali konia służący, do srebrnego szlachta, a do złoconego wielcy panowie. Araburda nie wiele myśląc przeciągnął tręzlę od konia przez wszystkie trzy kółka i sunie do domu.

— Kto tam przyjechał? — pyta pan sługi.

— Nie wiem, jasny panie!

— A do któregoż kółka przywiązał konia?

— Do wszystkich trzech od razu — odpowiada sługa.

— A to jakiś frant nielada! — mówi pan i wychodzi na przeciw Araburdy.

— Co wasan za jeden? — pyta go surowo.

— Jestem Kukufas Araburda!

— A czemuż to wasan do wszystkich trzech kółek przywiązał konia? — pyta pan dalej.

— Bom przyjechał przysłany przez innego, a więc jako sługa, bom zacny człowiek, a zatem taki dobry jak szlachcic, bom nikomu nic nie winien i nikogo się nie boję, a zatem wielki pan! — prawi ostro Araburda.

— Mądryś bratku! — mówi pan — a pocóżeś tu przybył?

— Po pieniądze, które wielmożny pan winien mieszczaninowi Grzegorzowi. Dopóki tych pieniędzy nie dostanę, dopóty się ztąd nie ustąpię! — odpowiada Araburda.

— Oho zobaczymy! -- mówi pan — czy ty tu długo wytrzymasz u mnie na egzekucji.

I zaraz dał rozkaz swojej służbie, aby Araburdzie w czem można dokuczała a i sam postanowił dopiekać mu z całej siły, aby go tym sposobem zmusić do odjazdu z kwitkiem.

To też zaraz, kiedy zasiedli wszyscy do obiadu a Araburda także, pan nie kazał umyślnie dać Araburdzie łyżkę. Przynoszą barszcz, wszyscy sobie nabierają i biorą się do łyżek, a Araburda w kłopocie, bo nie ma łyżki i nie może jeść. A pan na dobitek tak mówi:

— Kiep ten, có nie zje barszczu!

Ale Araburda nie w ciemię bity. „Sztuka za sztukę!“ myśli sobie, nie czekając długo, bierze chleb, wykrawuje sobie z niego czerpak jak łyżkę i nuż nią zmiatać barszcz co żywo. Zjadł tedy Araburda barszcz razem z innymi a odzywa się wtedy na cały głos:

— Kiep ten, co łyżki swej nie zje!

I chwyta swój czerpak z chleba wykrojony w zęby i zjada go w najlepsze, a sam pan i goście jeno wytrzeszczyli oczy i poskrobali się w głowę, boć żaden z nich swej łyżki, tak jak Araburda, połknąć nie mógł.

— Źle! — myśli sobie pan — ten wyjadacz nie tak łatwo da się zbić z konceptu. Ale już ja mu muszę spłatać figla!

I zaraz przy wieczerzy, każe pan wszystkim gościom podać smakowity krupnik a Araburdzie tylko czystą polewkę, jakby wodę. Wszyscy zaczynają jeść smacznie krupnik i śmieją się z Araburdy i z jego wodnej polewki. Widząc to Araburda, bierze na rozum i zaczyna się rozbierać z odzieży. Ściągnął już buty i zdejmuje już kapotę — aż go pan pyta:

— Co asan robisz? Czego się rozbierasz?

— A cóż? — rzecze Araburda — myśle dać nurka w tej misce z polewką, może jaką krupę ułowię!

— To mi grasz! — myśli sobie pan widząc, że z Araburdą nie ma rady, i kazał mu dać prawdziwego krupniku. Przynoszą potem ryby, Araburda je za czterech. Pan widząc, że Araburda je ryby z ikrą, chciał sobie z niego znowu zażartować i mówi:

— Ej bracie, nie jedz, bo zarybisz sobie żołądek!

— Niech i tak będzie — mówi Araburda — ale pierwszy spust będzie dla wielmożnego pana!

Zaczeli się śmiać wszyscy okrutnie a pan zawstydzony spuścił nos na kwintę. Dają na stół sér, ale nie zwyczajny domowy, jeno bardzo drogi, zagraniczny, aż z Szwajcaryi sprowadzony. Wszyscy goście zjedli po jednym kawałku, ale Araburda ukroił sobie jeszcze drugą, ogromną sztuką i je, aż mu się uszy trzęsą. Pan zły i mówi do niego:

— Ale to sér szwajcarski!

— To tem lepszy! — odpowiada Araburda i ukroił sobie jeszcze trzeci, okrutnie wielki kawał.

— Ale panie Araburdo — mówi pan dalej — kto tego sera dużo zje, może się otruć!

— To doskonale — odpowiada w lot Araburda — dobrze że wiem, ma ja siąsiada bardzo niegodziwego, co mi jest prawdziwym wrogiem, chciałbym go się pozbyć, to go tem serem poczęstuję — i łap za cały sér i schował go do kieszeni.

Pan aż zagryzł wargi ze złości i myśli sobie, że lepiej już oddać pieniądze i wyprawić Araburdę, bo z nim do końca nie dojdzie. Daje mu tedy pieniądze i mówi:

— Oto masz dług! Bierz i wynoś mi się zaraz do licha!

— Albo ja co ukradł? żebym się po nocy tłukł? — rzecze Araburda biorąc pieniądze — jutro rano sobie pojadę!

— Twój Grzegorz mógłby był do mnie po pieniądze wysłać kogoś uczciwszego, a nie takiego jak ty! — mówi pan z gniewem.

— A tak! — prawi na to Araburda — do poczciwszych wyseła Grzegorz poczciwszych, a do pana to takiego jak ja!

Pan rozgniewany splunął tylko i odszedł, ale aby przecież pomścić się na Araburdzie kazał jego koniowi ogon uciąć! Araburda kładąc się spać, przeczuwał, że mu jakiegoś figla przy końcu wypłatają; przeto bardzo rano wstał, gdy jeszcze wszyscy spali i poszedł do stajni, gdzie zobaczył, że szkapa jego bez ogona. Nie myśląc wiele, dobył nożyka i poobcinał wargi dwom koniom pańskim a sam usiadł na swoją szkapę i wyjechał ze dworu.

— Szczęśliwa droga! zawołał pan – który na umyślnie rano wstał aby się śmiać z Araburdy, jak będzie jechał na szkapie bez ogona. – A gdzie to waścin rumak ogon stracił?

— Śmiejcie się panie z mego podjezdka — odpowiada Araburda — ale idźcie no do stajni, tam się lepiej ubawicie, jak zobaczycie, jak się wasze konie śmieją z mojej szkapy!

I pokłoniwszy czapką pogonił dalej i przywiózł Gregorzowi pieniądze!

Rady gospodarskie i lekarskie.

O trychinach czyli po naszemu: włosieńcach.

Muszę wam też donieść, jaką to nową chorobę i istną plagę ludzką odkryto w niemieckich krajach. W Prusiech i Saksonji zachorowało wielu ludzi na chorobę ciężką, której doktorowie w żaden sposób rozpoznać nie mogli. Bo to wystawcie sobie, człowiek zaniemagał ni z tego ni z owego i cierpiał okrutne bole a najlepszy nawet lekarz nie mógł mu nic poradzić, bo sam nie wiedział, coby to za taka była choroba.

Zazwyczaj tak się działo, że człowiek dostawał okrutnych bolów w stawach, w rękach i kolanach, zaś potem całe ciało zaczęło straszliwie boleć i całe nabrzmiewało, tak że nie można było nawet dotknąć się z lekka chorego, bo zaraz jęczał od wielkiego bolu. W końcu opuchła choremu głowa i w najokrutniejszych mękach leżał przez kilka, nieraz nawet przez siedm tygodni a potem umierał.

Jak już powiedziałem, nie wiedzieli lekarze powodu tej choroby, więc też po śmierci opatrywali takiego chorego i kra-

jali ciało, aby się przekonać dokumentnie, co mu też brakowało i na co umarł. Otóż widzicie znaleziono w ciele takiego chorego mnóstwo robaczków maleńkich, których gołem okiem nie można było widzieć, tylko przez takie szkła, co kilka tysięcy razy powiększają. Nie można było dojść tego, zkąd się te robaczki brały w ciele ludzkiem i lekarze długo zachodzili w głowę, aż nareście doszli przyczyny.

Kiedy się bowiem takiego chorego pytano, jak to zazwyczaj lekarze czynią, co jadł albo pił przed chorobą, to odkrywało się zawsze, że chory zawsze przed tem jadł wieprzowinę, najczęściej jeszcze surową, bo to Prusacy i inni Niemcy lubią jadać surowe mięso ze świń, które tylko trochę było podwędzone.

Zaczęli tedy lekarze dochodzić, czyli też w tem wieprzowem mięsie nie ma przyczyny tej dziwnej choroby i w końcu się przekonali, że tak jest akuratnie. Kiedy bowiem poczęli opatrywać przez powiększające szkła tę wieprzowinę, z której chory jadł przed chwilą, to odkryli, że w tem mięsie było nieprzeliczone mnóstwo maleńkich robaczków.

Te robaczki nazywają się t r y c h i n y, albo po naszemu w ł o s i e ń c e, bo takie są cieniuteńkie, gdyby najcieńszy włosek.

Okazało się z dalszych lekarskich dochodzeń, że świnie w Niemczech podpadają takiej chorobie, że w nich wylęga się mnóstwo robaczków, które tylko przez takie szkła, które kilka tysięcy razy powiększają, zobaczyć można. Gdy więc zabito świnię, która miała w sobie te trychiny czyli włosieńcy, a mięsa z niej nie wygotowano dobrze, to człowiek, który zjadł takie mięso, zaraz ciężko zachorował. Robaczki te bowiem, gdy się dostaną wrazz zjedzonem mięsem do żołądka, to tam rozpładzają się jeszcze bardziej, a potem przeżerają się przez kiszki i wchodzą z krwią do nóg i rąk, a ztamtą dwciskają się do ciała i gryzą i wiercą okrutnie. Ztąd ludziom odejmuje ręce i nogi, i okrutny ból trapi całe ciało, aż nareście po siedmiu tygodniach chory albo wyzdrowieje, albo, jak to częściej się jeszcze zdarzało, umiera ciężką śmiercią.

Cała więc ta choroba pochodzi z jedzenia mięsa z chorych świń a jeszcze do tego surowego. W Prusiech i innych kra-

jach niemieckich jest taki zwyczaj, że ludzie jedzą szynki i kiełbasy wędzone, których nie gotują ani odrobiny. Że zaś dym tym robaczkom nic nie szkodzi, więc się żywe przechowują a potem razem z mięsiwem dostają się do człowieczego żołądka.

— Z tego powodu powstał w Niemczech okrutny strach przed wieprzowiną i już jej nikt jeść niechce, bojąc się tych robaczków i okrutnej choroby. Rzeźnicy i kupcy, co wieprzowiną handlowali, mają więc wielką stratę i pozamykali już prawie całkiem jatki, a gdzie jeszcze przedają, to tam wpierwej lekarze przez rozmaite szkła opatrują świnię zabitą, czy w niej nie ma tych robaczków.

U nas chwała Bogu tej plagi nie ma i zapewne nie będzie, bo u nas inaczej świnie karmią i nie jedzą surowej wieprzowiny. W Niemczech tuczą świnie, czem tylko mogą, różnemi ochłapami i flakami, i do tego trzymają je w ciasnych i niechlujnych chlewach, więc z tego dostają one te trychiny czyli włosieńcy. A potem, jak wam już mówiłem, ludzie jedzą surowę wieprzowinę, bo nie gotują jej zazwyczaj tylko przewędzają.

Lekarze się przekonali, że te robaczki w wieprzowinie giną na wielkiem gorącu, więc jak się wieprzowinę dobrze na tęgim ogniu wygotuje, to choćby i były w niej te włosieńcy, to poginą i już potem takie mięso choć się zje, to nic nie szkodzi. Zaś w słoninie i sadle to nigdy tych robaczków nie ma.

Jak już wam powiedziałem, nie ma u nas tej choroby, ale że to strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc też dobrze by było, aby każdy, kto z was świnie trzyma, zachowywał je w czystości i karmił czystą i zdrową karmą, a broń Boże nie rznął chorych świń na jedzenie. A potem uważać na to trzeba, aby nie jeść innego mięsa wieprzowego, jeno takie, które się dobrze i na wskróś wygotowało.

Srodek na oparzeliznę.

Oparzenie rąk albo twarzy a nieraz i ciała całego bardzo się często zdarza przy nieszczęśliwych wypadkach lub z nieostrożności. Rany takie z oparzenia bardzo są ciężkie i trudno

je wyleczeć a zdarza się nawet nie rzadko, że z upieczenia można przyjść do wielkiego kalectwa.

Zapisuję wam tu więc prosty bardzo środek, którego pewien doktor w Niemczech wypróbował. Pewien człowiek oparzył sobie okrutnie rękę i choć go rozmaitemi sposobami leczono, nic nie pomagało, a rany tak się już były zaropiły, że chciano już biedakowi uciąć cała rękę, aby go przynajmniej od śmierci zachować.

Wtedy to jeden doktor na taki wziął się sposób: Wziął garść dobrej sadzy z komina i wsypał w kwartę zimnej wody, co gotował aż do wyparowania trzeciej części, poczem przecedził wszystko przez rzadkie płótno, i w rozczynie tym namoczył szarpie z płótna w postaci placuszków urobione, i dopiero temi obłożył całą powierzchnię oparzonej ręki, mocno ropiejącej. Zastosowanie tego środka sprawiło najpierw kłócie lekkie, a potem okazało się niespodziewanie polepszenie. Już bowiem nazajutrz zamiast obfitej jak dotąd materyi, znaleziono całą powierzchnią rany obsychającą i w dobrym stanie. Odtąd polepszenie odbywało się nagle w dniach następnych, gorączka znikła i chory w krótkim czasie mógł się zająć swoją robotą, gdyż odzyskał zdrowie i siłę w ręku.

Ostrożności przy paleniu oleju skalnego.

Od czasu kiedy w Galicji kopią siła nafty, mało już kto świeci łojem albo olejem, ale naftą czyli olejem skalnym. Jednakowoż przy paleniu nafty, bardzo ostrożnym być trzeba, bo gdy się przypadkiem zapali, to wybucha okrutnie i nieraz wielkie nieszczęście sprowadza. Olej skalny, pomimo swej przykrej woni, nie jest szkodliwy dla zdrowia, i niebezpiecznym być może jedynie przez swą łatwość zapalenia się. Jeżeli pół oczyszczony, mniej łatwo się zapala jak surowy, bo nawet od wrzuconych w niego płomieniących zapałek się nie zajmuje. To jest znakiem, że olej skalny jest oczyszczony, a zatem mniej niebezpieczny. Olej skalny oczyszczony jest zarazem więcej przeźroczysty, niż surowy.

W mieszkaniach olej skalny powinien być utrzymywany w dzbankach z blachy żelaznej, zamykanych zatyczkami również

metalowemi na szrubę. Życzyć należy, aby zatyczka połączona była małym łańcuszkiem ze dzbankiem. Niebezpiecznie jest utrzymywać go w szklannych butelkach, które przy przenoszeniu stłuc się mogą.

Lampy do oleju skalnego powinny być robione przedewszystkiem ze szkla albo z innego materjału przezroczystego, aby nie było potrzeby zbliżania swiatła wtenczas gdy się olej w lampę nalewa. Podstawa lamp powinna być dosyć obszerna i ciężka, aby lampa mocno stała i nie łatwo wywrócić się mogła.

Mając napełnić lampę olejem skalnym, wypada o ile być może, zrobić to w dzień i wlać stósowną ilość oleju, aby nie było potrzeba dolewania w czasie palenia się lampy. Jeżeli ta czynność ma być uskuteczniona wieczorem, potrzeba wystrzegać się jak najbardziej zbliżenia jakiegokolwiek palącego się przedmiotu do wlewanego oleju, który mógłby go zapalić i spowodować wybuch, zawsze niebezpieczny. Gdy trzeba koniecznie nalać lampę wieczorem i gdy takowa jest przezroczysta, dla poświecenia przy tem można jedynie użyć światła, którego płomień otoczony jest kominkiem szklannym. Gdy się ma zagasić lampę, trzeba knot spuścić ku dołowi, a potem dopiero płomień, gdy już jest tylko niebieski i mały, zdmuchnąć. Niebezpiecznie jest zanadto spuszczać knot, albowiem gdyby się wsunął wewnątrz lampy, mógłby wzniecić ogień i sprawić wybuch.

Powyższe środki ostrożności każdy mający do czynienia z olejem skalnym znać dokładnie powinien.

RÓŻNOŚCI.

Gadka o błaźnie i jego żonie. Dawnemi czasy trzymali sobie królowie lub wielcy panowie takich figlarzy uciesznych, co ich swemi żartami i sztuczkami rozweselali. Tacy ludzie zwali się błaznami albo trefnisiami. Otóż jest taka gadka o jednym błaźnie.

Był raz król, który trzymał sobie błazna, lecz gdy ten się podstarzał, król go odsunął od siebie i dał mu liche pomieszkanie z małą bardzo pensyjką, która na utrzymanie jego wystarczyć nie mogła. Myśli on tedy, jakiego by jeszcze figla wypłatać, i skłonić króla do poprawienia jego

losu. Pół dnia strawił nad myślami, nareszcie powiada do swojej żony.

— Wiesz ty co, jutro pójdziesz do królowej Jejmości, przez drogę natrzyj sobie cebulą oczy i powiesz, że ja umarł.

Rano idzie ona do królowy Jejmości niby zapłakana, która ją zobaczywszy tak stroskaną wnet zapytała:

— Jak się masz moja kochana, cóż tam słychać? Żona blazna kłaniając się nisko, powiada, że się źle ma, gdyż mąż jej o dziesiątej godzidzinie w nocy życie zakończył.

— Biednaś ty moja błaźnico, zawołała rozczulona królowa i dała jej pięćdziesiąt dukatów, aby miała za co męża pochować.

Przychodzi ona do domu i z radością pokazuje dukaty, które wytumaniła od łatwowiernej królowy.

— To dobrze, powiada blazen, teraz ja pójdę do króla i powiem żeś ty umarła.

Idzie on do króla z miną bardzo żałobliwą i kłania mu się bardzo niziusieńko.

— Jak się masz kpiarzu, cóż tam u ciebie słychać?

— Krucho bardzo koło mnie Najjaśniejszy Panie, jeszcze do tego moja najdroższa Elżusia dziś rano Panu Bogu ducha oddała.

— Biednyż ty mój błaźnie! zawołał król rozczulony i dał mu dwieście dukatów, żeby się miał czem pocieszyć po stracie swej małżonki.

Biegnie tedy uradowany błazen do domu i woła do żony:

— Widzisz ja lepiej utumanił króla, mamy więc 250 dukatów, to schowajmy, a teraz położymy się oboje i udajmy umarłych, gdyż król niezawodnie zechce się przekonać o tem zdarzeniu.

Leżą tedy próżniaki na ziemi pod białemi prześcieradłami z twarzami mąką przesypanemi, obok których płonął dymiący kaganek. Tymczasem w pałacu królewskim wielkie powstało zamieszanie. Królowa powiada, że błazen umarł, a król twierdzi przeciwnie, że błaźnica umarła. Nareszcie postanowili oboje przekonać się naocznie o tym wypadku. Idą tedy oboje do domu błazna i widzą że w samej rzeczy pomarli; zmówili więc pacierz za ich duszeczki, a król pyta się żony:

— Niewiedzieć które z nich prędzej umarło?

— Na co odezwał się błazen:

— Ja prędzej umarł miłościwy królu, a moja żona później umarła.

— A wstańcież mi zaraz oboje! zawołał król i darował im jeszcze dwieście dukatów, aby bez figlów żyć mogli swobodnie.

Dbałość i usilność. W pewnej wiosce koło Darmsztadu, w Niemczech, zachorował i obległ podczas siedmioletniej wojny pewien żołnierz francuski. Doznawszy ludzkości mieszkańców i wyzdrowiawszy, pozostał w wiosce i żywił się pracą rąk swoich. Gdy go niebawem zrobiono pastuchem gromadzkim, przyszło mu do głowy, iż na pastwisku dosyć jest miejsca na drzewa owocowe, i nuż raz, drugi, dziesiąty a może i setny do domu do Francyi i nosić szlachetne szczepki owocowe na plecach do Niemiec. W 1856 roku wyglądało w tej wiosce pastwisko jak rozkoszny owocowy gaj, który przyczynia się niemało do zamożości całej gminy. Tak to z latami szczepienie owocowych drzew wielkie przynosi korzyści.

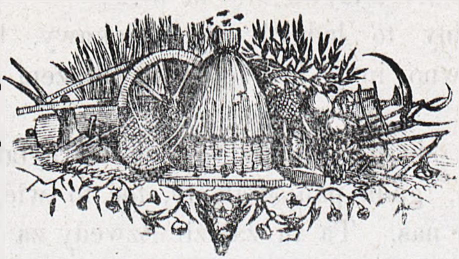
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. Nr. 6.

21. lutego 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Nagroda miłosierdzia.

Niedaleko Przeworska leży o milę od murowanego gościńca miasteczko Kańczuga. Jestto staropolskie miasteczko, mieszczanie są z dziadka pradziadka dobrymi Polakami i pobożnymi katolikami, są trzeźwi, pracowici i wyrabiają z drutu różne rzeczy, to przetaki druciane, to łapki na myszy i szczury, a znowu idą na całą Galicyę i drutują garnki i miski i żyją uczciwie z tego zarobku. Otoż o jakie dwie staje od tego miasteczka stoi na pagórku ładny murowany kościółek, fundowany przez dziedziców Kellermanów, ma dwie wieżyczki, dach blaszany, w okolusieńko drzewa i sztakiety. A w ołtarzyku jest obraz wymalowany św. Józefa, patrona zmarłego urzędnika i dziedzica Józefa Kellermana. Do tego kościółka chodzą Kańczużanie, aby zmówić paciorek, i aby się patrzyć na zachodzące słoneczko. Otoż i ja ciekawy poszedłem tam raz w niedzielę i nadybałem tam jednego mieszczanina Walentego Krupińskiego. Przywitaliśmy się po polsku i katolicku, a ja mówię do niego:

— A to mi dopiero ładny kościółek, wymurowany prościutko i gładko, jakby go kto wystrugał ostrym nożykiem.

A pan Walenty odzywa się na to:

— Co ładny to ładny! ale i ciekawy, bo tu na tem miejscu był dawno inny kościółek z obrazem cudownym św. Magdaleny.

— A gdzie się to wszystko podziało? pytam go.

— O gdzie, gada pan Walenty, toć to wie o tem prawie każde dziecko u nas. Ta tu zaleźli Szwedy za jakiegoś króla polskiego do Kańczugi, chcieli miasto spalić, jeno dało im miasto 300 karbowańców i jedzenia dosyć, potem poszli sobie ztąd do Przeworska i ze zbytków spalili po drodze kościółek drewniany św. Magdaleny, co stał od niepamiętnych czasów akuratnie na tem samem miejscu. I tak stało to święte miejsce próżne dotąd, aż przecie natchnął Bóg dziedziców i fundowali tu ten ładny kościółek.

Ja opatrzyłem w około ten kościółek i gadam:

— To się pewnie spalił wtedy i obraz św. Magdaleny.

— A juźci tak! powiada pan Walenty, ale co szkoda to szkoda już i staropolskiego kościółka, co go gromady fundowały dawno dawno na pamiątkę, jak Bóg uratował ich od strasznego powietrza, bo pono ani jeden człowiek nie umarł tu a w całej Polsce wymarło dużo dużo ludzi, ale za ten cudowny obraz św. Magdaleny to pewnikiem pokarał Bóg tych niedobrych Szwedów.

A ja zadumałem się na to i powiadam:

— Dobrze gadacie, panie Walenty, bo każdego ukarze Bóg, czy to Szweda, czy Turka, czy Moskala, czy Niemca, ba i Polaka, jeźli nie uszanuje domu bożego i poniewiera albo psuje obrazy świętych. Polak każdy powinien być pobożnym i szanować pamiątki po swoich dziadkach. Ale co wy mi tu gadacie o tym obrazie, że to był obraz jakiś cudowny, to ja bym chciał wiedzieć.

— No! powiada pan Walenty, toć mi to nic nie zaszkodzi, że ja opowiem to, o czem wszyscy koło Kańczugi gadają, wszakto powinien każdy, co jeno dobrego u nas, gadać drugim na naukę, a co znowu złego, to gadaniem takiem nie trza

obrażać najprzód Boga, a potem ludzi. A o tym cudownym obrazie tak u nas słychać. Jak wiecie, to tu była dawno dawno kaplica św. Magdaleny. W Kańczudze była zawsze szkoła, boć cóż znaczy gromada bez szkoły, gdzie nikt nic nie przeczyta ani nie napisze? Otoż do tej szkoły posyłali ludziska wsiowi swoje dzieci, a osobliwie ze wsi Niżatycze chodzili chłopcy do tej szkoły. Poprawdzie mieli oni dobry kawałek drogi chodzić do szkoły, ale bez pracy nie ma nikt chleba i kołaczy. Osobliwie jeden chłopak Staś Dyń był ciekawy do nauki, ale bo też i ojcowie jego byli zatem i sami byli pobożni i pracowici, w izbie mieli obrazy święte, a przed obrazem Matki Boskiej świecili co sobotę lampę blaszaną a nie raz to poklękali i odmawiali litanię do Matki Najświętszej.

— Ha! mówię ja na to, taki to był staropolski zwyk, że co chałupa, to palili lampy przed Panem Jezuszem i Najświętszą Panną co piątek i sobota, a nie raz klękał cały dom i modlił się. Toż było wtedy lepiej każdemu na świecie. Ale cóż się stało z tym Stasiem Dyniem?

— Co się stało? gada pan Walenty, wszystko najlepiej. Ten mały chłopak dostawał od matki śniadanie, toć ten bobek miał wtedy taki rozum, że kiedy jeno przechodził koło tej kaplicy do szkoły Kańczużańskiej, to zawsze wstępował i zmówił pokornie paciorek, a potem wyciągał chleb z kieszeni i kładł koło tego obrazu św. Magdaleny i tak sobie gadał:

— Ja się obejdę bez śniadania i pożywię się w domu, jak wrócę ze szkoły, a ten chleb może sobie znajdzie jaki dziaduś albo babusia i zje go, a za mną zmówi paciorek.

— A to mi dobre dziecko! mówię ja, że ono na swoje lata miało takie miłosierne serce i taki pobożny rozum! I pewnie mu to Bóg odpłacił w jego życiu później.

— Oj co odpłacił, to odpłacił stokrotnie, gada pan Walenty, bo miarkujcie sobie, raz kiedy ojcowie jego odmawiali modlitwy w izbie przed obrazem Najświętszej Panny koło lampy, przelatuje parobek zadyszany i woła:

— Dla Boga gore! a wy tu w izbie, uciekajcie na rany boskie, bo się na węgiel spalicie.

— A gdzież się to paliło? pytam ja.

A pan Walenty na to:

— Ta ich własna chałupa, i to już dach cały był w ogniu strasznym, a w sieni sypało ogniem z góry, że straszno było wychodzić.

-- No! to się może popalili? pytam ja.

— O nie! gada pan Walenty, kto zmówi przed leganiem „Kto się w opiekę" ten nie ginie marnie — toż i ci biedni ludziska kończyli prawie odmawiać te boskie słowa, zerwali się czemprędzej, wybili okno i wyskoczyli szczęśliwie. Stasia porwał parobek z pościeli, nakrył głowę cebrem wielkim, aby mu ogień głowy nie zapalił i tak wyleciał z nim przez sień ale cała praca z chudobą i sprzętami spaliła się do znaku, jeno popiół czarny został, a ci gazdowie w jednej koszuli ze Stasiem.

— A cóż nie mogli to ludzie ratować? pytałem ja.

— O ci ludzie! ci ludzie! gada pan Walenty, nie zawsze to pono każdy z ochotą ratuje, choć to za to grzech wielki — no! a jak do tego dmie wiatr, to i ratunek na nic.

— Ale mi setny żal, tych ludzi, powiadam na to.

— Ha! powiada pan Walenty, żal jest dobrą rzeczą, ale najlepiej poratować i podać takim rękę. Toż i tych biedaków nie opuścili z gromady i z Kańczugi, co mógł kto, to poratował, ale najwięcej pomógł Bóg i to pono za wstawieniem się św. Magdaleny.

— A to jak się stało? pytałem ja.

Na to gadał pan Walenty:

— Na drugi dzień płakali strasznie ojcowie, a mały Staś wybierał się do szkoły — szuka książek a te mu się spaliły, potem idzie do matki i gada: Mamo! ja pójdę do szkoły w koszuli i boso, ale dajcie mi też chleba na śniadanie.

A matka głaska mu głowę i powiada z płaczem:

— Nie ma chleba dziecino moja! nie chodź dziś do szkoły. bo zimno; pomóż nam zbierać opałki i ziarno popalone, a aż ja upiekę chleba, to wtedy pójdziesz do szkoły.

— No! cóż zrobił ten biedny bobek? pytałem.

— Dziecko jak dziecko, mówi pan Walenty, jak dobre to dobre, aż mają ojcowie raj na ziemi, a jak niedobre, to wtedy ostatnia bieda dla ojców. Staś też w koszulinie, boso,

bez śniadania i bez książki poszedł do szkoły. Szło sobie to drobne biedactwo prostą drogą, płakało, aż przyszło przed kaplicę św. Magdaleny, poszło ono tam i klękło przed obrazem i mówi:

— O dziś nie przyniosłem chleb dla biednego dziadka, bo się tatusiowie moi spalili i nie mają nic a nic — ale jak jeno dostanę śniadanie, to zarusienko przyniosę i tu położę. Potem pocałowało ono ziemię świętą, wstało i chciało pocałować obraz św. Magdaleay, aż tu naraz widzi, że cały bochenek chleba białego leży na ziemi.

— No! cóż zrobił Staś? pytałem ja.

— Co zrobił? gada pan Walenty, podniósł chleb z ziemi, pocałował go, schował go sobie za obraz, a sam poszedł do szkoły, a po szkole wrócił, wziął chleb i zaniósł do domu. A jak matka zobaczyła chleb u niego pyta go:

— A tobie kto dał taki wielki bochenek chleba, może jaka piekarka z Kańczugi?

— O nie piekarka, mówi Staś, tom sobie znalazł tam w kaplicy św. Magdaleny.

A matka myślała, że to kto położył dla ubogich i powiada mu:

— Na co to było brać, kiedy to nie twoje! idź i zanieś to zaraz na miejsce.

A Staś mówi:

— Jak ja całował nóżki św. Magdaleny, to wtedy ujrzałem ten bochenek na ziemi i ja go też wziął. Ja tam kładłem zawsze moje śniadanie dla biednych, to teraz dał mi Bóg śniadanie, kiedy wy nie macie mi co dać.

— A matka co zrobiła dalej? pytałem ja.

— Matka, gada pan Walenty, zawołała ojca i powiada mu to co do słowa, a ojciec wziął bochenek do ręki, widzi, że ciężki bardzo, dobył więc od pasa nożyk, ukroił z wierzchu kawałeczek a tu w środku dukaciki mieniące jak ogień, bierze on obraca chleb, a tu jak się zaczęły sypać i sypać dukaty, to aż się starzy zadziwili, a Staś mały nazbierał sobie dukatów do rączki i powiada:

— To Bóg dał mi na śniadanie, bo i ja dawałem dziadkom każde śniadanie.

Ojciec zadumany pyta:

— Co on plecie ten chłopiec?

A matka opowiedziała mu wszystko, jak to Staś zanosił każde śniadanie do kaplicy i tam go zostawiał dziadkom.

— Ha! powiadam ja na to, jeżli Bóg daje z jednego ziarneczka nie raz kwartę zboża, jeżli bochenkiem jednym nakarmił tysiące ludzi na puszczy, jeżli się opiekuje robaczkiem, to mógł dać Stasiowi ten bochenek z dukatami za to, że on był miłosiernym dla ubogich, pilnym do nauki, posłuszny ojcom i pobożnym. Ale co się stało dalej?

A pan Walenty powiada:

— Ojciec stary zabrał się z tym bochenkiem do xiędza do Kańczugi i tam mu wszystko opowiedział. Xiądz kazał przyprowadzić Stasia, wypytał go o wszystko, a jak Staś opowiedział, to xiądz powiada:

— Macie oczywistą zapłatę od Boga za wasze dobre życie, za dobry wychowek dzieci i za to dobre dziecko. Podziękujcież za to Bogu, a ja wam radzę tak zrobić z temi dukatami: Dajcie jedną część na naukę Stasiowi, bo widać chce Bóg mieć z niego dużo dobrego; drugą część weźcie sobie na poratunek po tym ogniu, trzecią część dajcie na szpital, a resztę dajcie na ten cudowny kościółek.

— I cóż się stało? pytałem ja.

— Tak się stało, mówi pan Walenty, jak xiądz doradził. Staś poszedł do szkoły i został dobrym i mądrym Polakiem i panem, ojcowie postawili chałupę, fundowali szpital, fundowali kościółek nowy dla św. Magdaleny, który to kościółek spalili potem Szwedy, a dziś stoi tu znowu murowany kościółek św. Józefa.

A ja dodałem na to:

— Uważacie panie Walenty! ja sądzę, żeby tu trza koniecznie dać obraz św. Magdaleny, aby była pamiątka wieczna dla wszystkich o tym bochenku chleba.

— A i tak dobrze, gada pan Walenty.

I rozeszliśmy się potem, a ja to opisuję do Dzwonka dla ciekawości gromad, aby wiedziały, jak to Bóg nagradza miłosierne serce, i na co to stoi teraz murowany kościół św. Józefa na drodze do Kańczugi.

Kar. Marciak, nauczyciel z Kańczugi.

Legenda o świętym Izydorze.

O nie wiecie wy ludkowie!
Jak za dawnej tam pamięci,
Byli w pośród was królowie,
Byli nawet nie raz święci.

Tam gdzie tacy jak wy ludzie,
Wśród dalekie ztąd Hiszpany,
W ciągłych modłach, postach, trudzie,
Żył Izydor, Oracz zwany.

Takim jak wy był on chłopkiem,
Tak się jak wy męczył, nużył,
Przecież mnogich cnót dorobkiem,
Sławy niebios się dosłużył.

Dziki nad nim pan przewodził,
Jakich mało było w świecie,
Krzywdził, więził, chłostał, trudził,
Zniósł wszystko prostaczek przecie.

Zniósł, bo męki Jezusowe
Stokroć bardziej go bolały,
Cierń co w Boską wrył się głowę,
Rany, co krew świętą lały.

Zniósł, bo sroższe widział dole
Nieszczęśliwych szereg długi,
Zniósł, bo widział że tu pole
Nie nagrody, lecz zasługi.

I raz, że pan bez sumienia,
Podwójną mu orkę zadał,
A w przypadku niespełnienia
Straszną karę zapowiadał.

Westchnął biedny, wstał przed świtem.
Zaprzągł wołki uporczywe,
Szedł z spojrzeniem w ziemię wrytem,
I tak zawiódł je na niwę.

A że w każdej trudnej porze,
Wprzód do Boga się odnosił,
U stóp krzyża kląkł w pokorze,
I gorąco błagał, prosił.

Głowę w świętej chylił krusze,
Sercem nieba przywoływał,
Korzył myśli, czyścił duszę,
I w Chrystusa się wpatrywał.

I tak długo i głęboko
Zatapiał się w męce krzyża,
Aż tu słońce już wysoko,
I południe się przybliża.

Zląkł się, jakby z snu przecucił,
I zapłakał swej niedoli:
Gdy w tem wkoło okiem rzucił,
Jakaś jasność, woń po roli.

Patrzy, widzi zadumiały,
Niepojęte cuda, dziwy:
Anioł śliczny jak śnieg biały,
Doorywa jego niwy.

Każdy zagon wyciągnięty
Tak prościuchno i tak ładnie,
Nie ma bicza rataj święty;
Wołki przecież idą składnie.

Idą z okiem tak wesołem,
Pług tak lekko płynie w ziemi;
Pada chłopek, bije czołem,
Łzami zlewa się wdzięcznemi.

Gdy w tem anioł promienisty
Nagle w górę wzlata, leci,
A jak tęczy pas ognisty
Długi ślad tak za nim świeci.

Niknie, niknie postać święta,
Niknąc takie słowa głosi:
„Kto o Bogu swym pamięta,
„Temu pomoc Bóg przynosi“

Nie wiele czasu ubiegło,
A w tem samem miejscu cudu,
Wielkie miasto się rozległo,
A w niem mnóstwo zlało ludu!

Król po królu w wielkiem mieście
Włada, rządzi, rozkazywa:
A gdy przyjdzie umrzeć wreszcie,
Chłopka tego w pomoc wzywa.

Bogata żona.

Oj nie szukaj parobeczku bogatego wiana,
Lepsza żona pracowita, niźli wyzłacana!

Nie było tęższego i dorodniejszego parobczaka we wsi całej nad Katarzynowego Franka! Co zuch, to zuch — chłop sobie setny całą gębą, hoży i ładny, a uczciwy przytem i pracowity jakich mało! Franek był prawdziwą pociechą swej starej matki Katarzyny, ubogiej wdowy, której po mężu została tylko mała chałupina i szmat gruntu skąpy. Ale też, choć nie mieniem, to synem jedynakiem pobłogosławił Pan Bóg Katarzynę, bo Franek był takim dobrym chłopakiem, że go jej wszyskie matki pozazdrościć mogły.

Nie było też w całej wsi dziewczyny, coby oczkiem nie rzuciła na Franka a nie jednej serduszko zapukało głośno, kiedy do niej przemówił lub za rękę uścisnął. Ale darmo tam dziewuchy wzdychały do Franka, miał on już swoją zamówioną, Zosię Mateuszową. Zosia była sobie ubogiem dziewczęciem, bo jej ojciec Mateusz klepał biedę na kilku morgach ziemi, ale za to też była jak jagoda, rumiana gdyby malina, ładna gdyby malowanie przepiękne.

Ale więcej jeszcze niż liczko rumiane warte były u Zosi serduszko dobre i cnotliwe, pracowitość i skromność. Franek kochał też swoją Zosię z całego serca, a poczciwa Katarzyna

cieszyła się bardzo, że polubił dziewczynę dobrą i pracowitą. Bo też trza wam wiedzieć, że to sama matka Katarzyna wybrała Zosię dla swego Franka i zawsze mu mówiła:

— Jeżeli chcesz synu być szczęśliwym i mieć dobrą żonę, dobrą gospodynię i dobrą matkę dla dzieci, to nie bierz innej, jeno Zosię. Nie ma ona tam wprawdzie mienia, a wiana nie wiele ci się po niej dostanie, ale za to piękna i cnotliwa, a to synu większe bogactwo, niż złoto i srebro!

Usłuchał tej rady matczynej Franek i przyrzekł jej święcie, że z nikim się nie ożeni, jeno z Zosią. Mateusz nie był od tego, aby Zosię wydać za Franka, bo wiedział, że to chłopak zdrów, dobry i pracowity — a tak postanowili ojcowie, aby się wesele odbyło w jesieni. Ucieszył się tem bardzo Franek, ucieszyła się i Zosia, ale już najbardziej rada temu była sama Katarzyna, bo mawiała zwykle.

— Nie dużo mi się życia na świecie już należy, a nim umrę, chciałabym dożyć jeszcze, aby Franek wziął sobie dobrą i poczciwą żonę. Kiedy już zobaczę, że się Franek i Zosia pobiorą, to umrę spokojnie, bo syn mój będzie miał skarb najlepszy, cnotliwą żonę!

Tak stały rzeczy, kiedy nagle stara Katarzyna ciężko zaniemogła. Było to jakoś już koło św. Anny, a więc już niedaleko do wesela Franka. Katarzyna ni ztąd ni zowąd popadła w niemoc ciężką a już dla niej nie było ratunku. Snać już Pan Bóg tak chciał, aby biedna wdowa nie doczekała się wesela swego jedynaka. Wielka była zgryzota Franka, płakał i lamentował jak dziecko, a Zosia biedaczka pilnowała i doglądała Katarzynę jak swojej rodzonej matki. Tymczasem chorej coraz bardziej się pogorszało, a pewnego dnia pod wieczór przyszła już dla niej ostatnia godzina.

Franek pobiegł po xiędza i dał znać Mateuszom, a zaraz przybiegła i Zosia zapłakana mocno i zaczęła się modlić nad umierającą. Kiedy się staruszka już wyspowiadała, zawołała do siebie Franka i Zosię i tak im rzekła słabym głosem:

— Oto już mię Bóg woła z tego świata i niezadługo stanę przed jego sądem sprawiedliwym. Nim jednak umrę, proszę cię i zaklinam, synu, pod błogosławieństwem matki,

abyś był wiernym Zosi i pojął ją za żonę, a ciebie Zosiu, jako moją synowę proszę, abyś mu była dobrą żoną a dzieciom jego matką cnotliwą. Uklęknijcie, a ja wam pobłogosławię przed śmiercią!

Franek i Zosia wzięli się za ręce i uklękli przed umierającą Katarzyną, a ona drżące ręce położyła na ich głowach i pobłogosławiła ich oboje. Potem już mówić przestała a za kilka chwil już Bogu ducha oddała.

Franek z wielkiego żalu od rozumu odchodził, rwał sobie włosy z boleści i wyrzekał gorzko i ledwie go xiądz proboszcz religijną pociechą uspokoił. A kiedy już Franek troszeczkę się uspokoił, wziął Zosię swoją za rękę i rzekł do niej:

— Matka mi umarła i nie mam już na świecie nikogo, jeno ciebie Zosiu moja droga! Toć nie opuść ty mnie i nie złam mi słowa, tak jak ja ciebie nie opuszczę, jeno ci zawsze wiernym będę.

Zosia nic nie odpowiedziała jeno łzy jej się puściły z oczu i twarzyczka jak róża rumieńcem zakwitła. Ścisnęła jeno rękę Frankowi, jako jego będzie na zawsze.

Na trzeci dzień odbył się pogrzeb Katarzyny, a cała wieś żałowała mocno Franka. Wesele jego z Zosią już tak prędko odbyć się nie mogło, a to z powodu śmierci matki, więc też je na kilka miesięcy odłożono. Franek był wierny ostatniej woli matki i swej kochanej Zosieńce, i ani myślał o kim innym jeno o niej — bo był dobry i poczciwy chłopak.

Ale i na dobrych i poczciwych nachodzą czasem pokusy; i dobrych ludzi nic nie uchroni od złej namowy i rady niepoczciwej. Tak się też za krótki czas stało i z naszym Frankiem. A posłuchajcie jeno, jak to się przytrafiło.

Był we wsi bogacz bardzo wielki, Michał Ława, który miał córkę jedynaczkę, Jagnę. Jagna była to już dziewka nie młoda, brzydka, aż strach zbierał. Chuda była jak szczypa, włosy miała rude a oczy patrzały jej zyzem i ciągle z nich złość patrzała. Ale bardziej niż ta brzydota ciała, szpeciła Jagnę brzydota duszy. Była bowiem Jagna zła, leniwa a majątkiem swym pyszniła się okrutnie i kto tylko był biedniejszy, ten już w jej oczach nic nie znaczył.

Otoż ta Jagna Ławianka bardzo sobie upodobała Franka, bo był chłopiec dobrany jak dębczak. Wiedziała ona o tem, że jest brzydka i nie umie się Frankowi podobać, ale za to zakładała sobie wiele na swój majątek, bo ojciec był setnym bogaczem, a nie miał, tylko ją jedną. Suszyła sobie tedy głowę Jagna, jakby to zwabić Franka, aby się z nią ożenił — aż wreście podmówiła jednę kobietę ze wsi, Małgorzatę, aby ona to szykownie Frankowi napomniała.

Mówi stara gadka, że gdzie djabeł nie może, tam babę poszle. Tak się też i tu przydarzyło. Stara Małgorzata wyrozumiała o co idzie, i zaraz się wzięła do konszachtów. Pewnego razu, kiedy Franek przechodził po przed jej chatę, wyleciała na podwórze i zawołała go do siebie:

— Wstąpcie no Franku — rzecze — bo mam wam coś bardzo ważnego powiedzieć....

Franek się zatrzymał i słuchał, a Małgorzata mówi mu dalej:

— Już to wy bardzo szczęśliwi jesteście Franku, wam by wszyscy chłopcy okrutnie zazdrościć powinni.

— A to dla czego? — pyta Franek.

— Patrzcie no go! — mówi na to Małgorzata — niby to on nie wie! A za kim to wszystkie dziewczęta wypatrują oczy, jak nie za Frankiem? hę?... A toć wy Franku, jeno mrugnąć potrzebujecie, a każda wasza!

— Ale co mi tam potem. Nie za dziewczętami mi latać — mówi Franek — ale pracować, bom biedny. Ale zresztą ja tam o to jako żyw nie stoję, bo ja już i tak mam swoją Zosię a za lada miesiąc będzie nasze wesele.

— Szkoda was Franku — mówi Małgorzata — że sobie tak świat zawiązujecie! Co tam Zosia, ładne to wprawdzie bo młode, ale gołe i nie ma złamanego szeląga. Wyście biedni i ona biedna, to i cóż z was będzie, jak się pobierzecie? Jeszcze dopóki ona hoża i młoda — ale młodość i uroda nie wieczne, a bieda jak się chwyci, to jej już kijem nie odpędzisz!.... Wam by się zdała żona bogata!

— A co wy tam gadacie — odpowiedział Franek i machnął jeno ręką, a gdzieżby mnie biedaka chciała jaka bogata... A zresztą już ja wolę Zośkę, choć biedna....

— Oj czemu by nie chciała — mówi Małgorzata — ot pierwsza Jagna Ławianka, co cały dobytek weźmie po ojcu, duchem by za was poszła, gdybyście tylko pisnęli....

— A wam co Pan Bóg dał — zawołał Franek ze śmiechem — toć jabym miał taką brzydką i złą dziewkę brać, a za żadne pieniądze!

— Co to brzydka, brzydka — odpowiada Małgorzata — za kilka lat to i najpiękniejsza dziewczyna będzie brzydka. Ale za to gruby majątek, czy to nic nie znaczy? A grunt, a bydło, a konie, a grosz gotowy! Hej, hej Franku, samo wam się szczęście nawija, jeno go co rychło chwytać.

I oto patrzcie, jak zaczęła Frankowi klepać w uszy stara szachrajka, jak mu zaczęła rachować pieniądze, które ma Jagna Ławianka, tak Franek na prawdę wziął sobie to do serca. Poszedł do chaty i począł smażyć głowę nad tem, co mu nagadała Małgorzata. I oto jakby jakiś zły duch przemawiał z niego, tak sobie mówił:

— Ławianka bogata, bardzo bogata, nie ma co mówić. Ojciec jej najbogatszy we wsi całej a już niedomaga starowina, Jagna jedynaczka wszystko po nim zabierze!

A dobry duch szeptał mu w drugie ucho:

— Ale Zosia, choć uboga ale dobra jak anioł, piękna, gdyby malowana, i kocha cię nad życie! Byłaby z niej żona dobra i cnotliwa!...

A zły duch znowu sobie:

— Ale jak się ożenisz z Ławianką, to będziesz panem całą gębą, będziesz miał mienie i wygody!

— Bądź wiernym Zosi — odzywa się sumienie — bo taka była ostatnia wola twojej nieboszczki matki...

Tak to pokusa i sumienie przemawiały do Franka.... Ale człek każdy słabą jest istotą, a zła pokusa łatwy ma przystęp do niego. Tak też się stało z Frankiem. Chęć bogactwa i marności przemogła nad sumieniem? Franek porzucił Zosię!

Zaraz na drugi dzień począł się zalecać do Jagny Ławianki. Ojciec Jagny nie sprzeciwiał się temu, bo znał Franka, że był parobczak tęgi i pracowity i radby był dostać jeszcze przed śmiercią dobrego zięcia dla córki. A sama Jagna, to

mało już ze skóry nie wyskoczyła z wielkiej radości, bo się jej Franek okrutnie był podobał.

Gruchnęło też zaraz po wsi całej, że Franek porzucił Zośkę i zachodzi koło bogatej Ławianki. Biedna Zosia, gdy się o tem dowiedziała, mało jej serce nie pękło, bo kochała nieboga Franka z całej duszy. A i Frankowi czasem stanęła w oczach Zosia i żal mu ścisnął serce, gdy sobie na nią wspomniał — ale dusza jego zaprzedała się już bogactwu i odpędzała od siebie myśli o biednej dziewczynie.

Tymczasem stary Ława zgodził się już na to, aby Franek wziął Jagnę, i tak niebawem nadszedł dzień ślubu. Jagna raduje się bardzo, że najpiękniejszego chłopaka w całej wsi weźmie za męża, a Zosieńka biedna wypłakuje tymczasem oczy i marnieje od wielkiej załości. Z frasunku i zgryzoty zaniemogła ciężko dziewczyna, w sam dzień ślubu dano znać Frankowi, że Zosia bardzo chora.

Zagryzło mocno Franka sumienie, przypomniała mu się ostatnia wola matki i poczęło mu się ciężko robić około serca, ale tak już był opętany od tej chciwości bogactwa, że sobie wybijał z głowy te myśli.

— Trzeba zalać robaka — mówił do siebie Franek i poleciał do karczmy, a tu wypił kilka kieliszków wódki, aby sobie dodać ducha i odwagi.

A potem ustroił się pięknie do ślubu i poszedł z chłopcami po pannę młodą. Ale choć go wódka odurzyła, przecież sumienie odzywało się w nim ciągle, i kiedy już wybrali się do kościoła pobladł jak trup i chwiał się na nogach, bo mu przed oczami stała nieboszczka matka i blada, zapłakana Zosią, która go tak serdecznie kochała, a którą on zdradziecko porzucił dla marnego grosza!...

Wreście już było po ślubie, cały orszak weselny wraca do domu a grajki rzną od ucha na przedzie i tak idą właśnie po przed chatę Zosi. Zosia usłyszała muzykę, zerwała się z łóżka i choć chora pobiegła do okna, spojrzała na Franka i jego żonę, krzyknęła straszliwie i padła zemdlona na ziemię.

Wesele się wstrzymało, Franek zachwiał się na nogach, serce go okrótnie zabolało, ale już wszystko było zapóźno, już go ślub połączył z bogatą Jagną, a co Bóg związał, tego człowiek nie rozwiąże!...

Jeszcze się nie skończyło wesele Franka z Jagną, jeszcze muzyka grzmiała w chacie, a hulanka szła w najlepsze, kiedy

Zosia biedna oddała ducha Bogu. Nie mogła biedna przeżyć zdrady swego Franka! Gdy się o tem dowiedział Franek, bił się rękami w czoło, jakdyby chciał zagłuszyć sumienie, co go jak robak zarłoczny toczyło i zawołał:

— To ja ją zabił! Ja ją zabił nieszczęśliwy!

Ale swaty i drużbowie nie dali rozpaczać Frankowi, otoczyli go do koła, zaczęli lać w niego napitek, i rozweselali go w rozmaity sposób. Tak minęło wesele Franka.

Był już teraz bogatym, objął całe gospodarstwo starego Ławy, miał grosza dużo, ale szczęścia i spokoju nie miał. Ledwie kilka tygodni minęło od ślubu a już Franek miał piekło w domu. Jagna, jak wam już opowiadałem, była złą bardzo kobietą, kłótliwą i niespokojną. Wnet też zaczęły się swary okrutne, Jagna zaczęła wymawiać Frankowi, że go zrobiła bogatym człowiekiem, że całe mienie do niej a nie do niego należy.

A do tego Franek nie mógł w żaden sposób nabrać serca do Jagny, raz już dla tego, że była zła i brzydka, a potem znowu nie mógł nigdy zapomnieć o nieboszczce Zosi, która go tak kochała, a była taka śliczna i dobra. Poznała to Jagna, że Franek nie myśli o niej i że jej nie kocha, jeno zawsze smutny i zadumany o swej dawnej kochance myśli, więc też zaraz zaczęły się różne wymówki i wyrzuty.

— Czegożeś ty taki jak gdyby pień — krzyczała na niego — toć przecie powinieneś sobie mieć za szczęście, żem poszła za ciebie, i żem z ciebie człowieka zrobiła! Może ci jeszcze ciągle w głowie twoja Zośka, a na mnie to nie patrzysz, a ja cię przecież z żebraka na gospodarza wykierowała!

Nie ma dziwoty, że Franka na takie gadanie zawsze gniew brał wielki i zaraz przychodziło do swaru i obrazy boskiej. A zresztą Jagna nie dała mu ani chwili spokoju, zawsze mu dokuczała i wymawiała swoje mienie a poniewierała nim tak, jakby ostatnim pastuchem. Miał teraz Franek za swoje! Ciężko go Bóg pokarał za chciwość grosza, za zdradę! Sumienie go dręczyło, nigdzie nie mógł znaleźć spokoju, a w domu było dlań istne piekło!

Franek zmienił się do niepoznania. Z zdrowego i jurnego chłopaka zrobił się blady cień tylko, tak się postarzał i zniszczył, z pracowitego zrobił się leniwy i ospały, bo nic go już nie cieszyło i do niczego z ochotą się nie zabierał — z porządnego i trzeźwego zrobił się pijak. Franek chcąc zatłumić swoją zgryzotę i pocieszyć się w smutku począł zaglądać do karczmy, i nauczył się pić na dobre. Zrazu pił mało, potem

więcej a nareście na piękne się już rozpił. A gdy przyszedł do domu pijany, wtenczas dopiero zaczynała się obraza Boska! Żona go łajała i potrącała nim, jak ostatnim łajdakiem — a on sobie także wyklinał i wykrzykiwał.

Razu pewnego wracał Franek w nocy z miasta i szedł mimo wiejskiego cmentarza. Żałość go wzięła wielka, przypomniał sobie odrazu matkę nieboszczką i Zosię, którą swą zdradą do grobu zapędził. Wstąpił na cmentarz i poszedł szukać grobu matki. Obok grobu matki był zaraz i grób Zosi. Łzy się puściły z ócz Frankowi — ukląkł i chciał się modlić. Noc była czarna — ale w duszy Franka jeszcze czarniejszy był smutek i rozpacz. Modlitwa mu nieszła, a sumienie odzywało mu się ciągle:

— Nie dotrzymałeś słowa umierającej matce! Zapędziłeś w grób biedną dziewczynę! Wolałeś grosz niż cnotę! Zaprzedałeś się marności i djabłu!...

I zdawało mu się, że jęk matki i Zosi odzywał się z pod ziemi! Strach go wziął okrutny, włosy stanęły mu jeżem na głowie. Porwał się z ziemi i począł uciekać co tchu. We wsi już były wszystkie światła pogaszone, jeno w karczmie jeszcze się świeciło. Wpadł do środka i kazał sobie dać wódki i pił bez pamięci. Pijany i bez przytomności wyszedł z karczmy i powlókł się do domu. Drzwi do izby były zamknięte. Począł pukać i stukać z całej mocy, aż nareście Jagna otworzyła i wyszła z świecą do sieni. Była cała czerwona od złości i gniewu i zawołała:

— Idź precz pijaku, łotrze, żebraku ty jeden! Wyciągnęłam cię z biedy, a teraz cię wypędzam z mojego domu! Idź giń pod płotem, byłeś wpierwej żebrakiem, bądź nim i teraz!

Franka wściekłość porwała, podniósł pięść i uderzył z całej siły Jagnę. Jagna zalała się krwią i padła na ziemi. Światło zgasło i zrobiło się ciemno jak w grobie. Franek wyleciał z chaty i zniknął gdzieś w ciemnościach nocy....

Na drugi dzień znaleźli sąsiedzi Jagnę z wielką raną na czole i ledwie ją się docucili. A Franka znaleźć nie było można. Jagna chorowała długo, nim się wyleczyła z rany, a tymczasem o Franku ani śladu. Dopiero za kilka dni znaleźli ludzie trupa, co go woda wyrzuciła na brzeg! Był to Franek! Zapewne pijany i w rozpaczy rzucił się w wodę i utopił.

Tak się kończy historja Franka i jego bogatej żony! Macie w niej przykład, że szczęście w małżeństwie nie zależy na majątku ale na miłości i zgodzie, że nie żona bogata, ale dobra i cnotliwa wnosi w dom błogosławieństwo Boże!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. Nr. 7.

1. marca 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sąd króla chłopków.

Za dawnych czasów, kiedy to jeszcze ludzie wszyscy nie uwzględniali się według Chrystusowej nauki za braci — źle się nieraz działo biednym a osobliwie chłopkom, bo możny zawsze nad słabym przewodził. We wszystkich krajach był srogi ucisk nad wieśniakami, bo tam się znęcano bywało nad nimi w najnielitościwszy sposób — ale za to w Polsce, jak świat światem nie bywało nigdy takich okrucieństw i niesprawiedliwości. Panowie polscy bywali zawsze łagodni i sprawiedliwi dla swoich poddanych — a choć się znalazł jeden i drugi zły i nieludzki, bo bez złych nie obejdzie się na tym świecie, to go też zaraz dosięgła kara, bo nad ludem wiejskim czuwali królowie polscy, co nie dali nigdy zrobić krzywdy ubogim włościanom. Toć też w Polsce było wówczas jeszcze najlepiej wiejskiemu ludowi — a każda krzywda, którą im kto wyrządził, bywała surowo karana. Opowiem wam tu taki jeden wypadek, o którym wyczytałem w starych księgach.

Najlepiej się działo chłopkom pod Kazimierzem Wielkim. Król ten miał dla ludu prostego złote serce i starał się ciągle

o jego dobro. A jeżeli jaki pan, choćby najmożniejszy poważył się skrzywdzić biednego chłopka, to już nie uważał król ani na jego ród, ani na majątek, ale wyłajał dobrze a nieraz i srogo ukarał. Tak się też stało z dwoma nieludzkimi panami: Piotrem Pszonką Jasieńczykiem i Ottonem Toporczykiem ze Szczekarzewic. Byli oni obaj bardzo zamożnymi panami ale przytem też i niegodziwymi, bo uciskali chłopków w swych majętnościach na różny sposób 'i krzywdzili ich nieraz ciężko bez najmniejszej słuszności. A gdzie tacy źli panowie, tam się źle dzieje i poddanym. To też nie było zamożnego gospodarza w szerokich włościach Jasieńczyka i Toporczyka, bo ledwie tylko który począł się jakoś od biedy uwalniać, aż tu zaraz pan jego nielitościwy nową krzywdą wyzuwa go ze wszystkiego dostatku.

Jeden rok zdawał się biednym chłopkom lepszą wróżyć dolę. Bóg bowiem pobłogosławił ich pracy około roli i dał piękny urodzaj. Wszystkie łany ich pokryły się dorodnem żytkiem i pszenicą, a choćbyś nie wiedzieć jak oczy wytężył, nie dostrzegłbyś końca tych dostatków. Cieszy się więc każdy gospodarz nadzieją polepszenia swej doli i wyczekuje tylko niecierpliwie żniwa, by zwieźć do stodoły swoje skarby. Tymczasem ci źli ich panowie lubiąc bardzo polować chartami na zwierzynę, a widząc że pola ubogich chłopków, położone w dolinie, są najdogodniejszem miejscem do tego, nie baczą na niedostatek swojego ludu ani na piękne łany, tylko wypuszczają jednego poranku na nie wielką zgraję psów, a sami na koniach pędzą samym środkiem zasianych zagonów za zwierzyną. Przelękli się biedni chłopkowie, widząc jak nielitościwych mają panów, co dla swojej chwilowej rozrywki tratują końmi już dojrzewające zboże i niszczą owoc całorocznej krwawej pracy. Ale jeszcze zawsze myślą, że uda im się przecież pokorną prośbą namówić panów, by im takiej ciężkiej krzywdy nie czynili. Wychodzą więc do nich i ze łzami proszą, by wrócili do domu i poprzestali na tej i tak już bardzo znacznej szkodzie. Ale gdzież tym dumnym panom w głowie usłuchać próśb ubogich ludzi?... Zaśmiali się z ich łez i chcą dalej uganiać po łanach, a gdy chłopkowie na kolanach drogę zastępują i swe

prośby powtarzają, rozgniewali się już na prawdę i kazali swym pachołkom ukarać ich za to naprzykrzenie. A ci tak samo niegodziwi jak ich panowie, obili biednych i puścili za nimi psów, by ich prędzej do domu napędzić.

W nie długim czasie po tym niegodziwym czynie obu panów objeżdżał kraj cały król Kazimierz Wielki a po drodze wstąpił i do wsi, w której mieszkali chłopkowie ciężko pokrzywdzeni. Skoro się tylko dowiedzieli o przyjeździe ich dostojnego ojca i opiekuna, natychmiast udają się do niego ze skargą na swych panów i prośbą o ulżenie im tego przykrego poddaństwa. Co też to się tam musiało dziać wtedy z królem, gdy mu chłopkowie opowiadali, jako ich tu panowie zkrzywdzili i sromotnie kijami obili! Bolał król nad ich hańbą i krzywdą jak ojciec nad nieszczęściem swych dzieci, i postanowił stosownie ukarać panów, co tyle złego jego ukochanemu ludowi a jemu tak wielki smutek sprawili.

Wezwani przed króla Piotr i Otto stają natychmiast, i zamiast usłyszeć od Kazimierza dobre słowo przywitania, jakiem król każdego poczciwego zagadywał, widzą jego twarz groźną i pełną gniewu i złości. Zlękli się panowie, boć natychmiast poznali, że aż teraz dopiero będzie z nimi kręto za te ich niecne sprawki i uciski ubogiego ludu. Król zmierzył ich okiem i rzekł do chłopków, co niedaleko niego stali:

— Jaką miarką ci panowie wam mierzyli, taką i wy im teraz odmierzcie. Bili oni was bez litości, bijcie i wy ich teraz.

Słyszeli chłopkowie dobrze, co król rozkazał, ale żaden z nich nie tknął kija na chłostę panów umyślnie przygotowanego. Bo oni choć tak pokrzywdzeni szanowali zawsze swych panów i gotowi byli zaraz się z nimi pogodzić, byle się tylko z nimi po ludzku obchodzili. Ale Kazimierzowi jakoś nie patrzało z zagniewanych oczu, by zechciał odstąpić od srogiego ale zasłużonego wyroku, i przebaczyć panom ich przewinę. Powtórzył raz jeszcze groźniej swój wyrok, poczem chłopkowie lubo nie radzi musieli go spełnić ze smutkiem, by nie zagniewać na siebie nieposłuszeństwem swego opiekuna i dobrodzieja. Hańbaż to była hańba złych panów, gdy ich chłopek takim samym kijem okładał jakim oni jego niegdyś chłostali!...

I nie mogli znieść panowie dumni tak wielkiego sromu, jaki ich dzisiaj w obec wszystkich dworzan królewskich i chłopków spotkał. Postanowili więc pomścić się za to na całym kraju i ściągają Litwę do Polski. A Litwa ówczesna toć to nie ta Litwa, która się później z nami pobratała i w jeden naród zlała. Litwa ówczesna była dla Polski ciągłą nieprzyjaciółką, napadała bez ustanku jej ziemię, łupieżyła i pustoszyła cały kraj polski. To też gdy Litwinom Pszonka i Toporczyk obiecali, że ich do Polski wprowadzą i całą ziemię na łup wydadzą, wzięli się bardzo skoro do wojny i w krótkim bardzo czasie stanęli nad brzegiem Wisły, co ich kraj od Polski odgranicza. Ale nasza Wisła nie małą jest sobie rzeczką! Litwini poznali, że trudna będzie przeprawa, więc wysełają Pszonkę, by im drogę wskazał, którąby najprędzej rzekę przejść mogli. Pszonka znalazł bardzo płytkie miejsce i tam wbił wysokie tyki, aby Litwini wiedzieli, którędy się przeprawić mają. Ale już to Bóg zawsze czuwa nad słuszną sprawą i nie dopuszcza by nad nią podła zdrada górę wzięła. Tak też i teraz sprawił swą wszechmocną łaskę, że właśnie tędy nadpłynęli rybacy. Wpadły im odrazu w oczy te ogromne tyki, a domyślając się, że nie na co innego one tu stoją, jak tylko dla jakiej zdrady lub zasadzki, powyjmywali je i powtykali w miejsce najgłębsze, gdzie woda najsilniej rwała. Skoro tylko rybacy odpłynęli nadbiegają Litwini i rzucają się co żywo do wody, gdzie teraz tyki stały, by czemprędzej przebrnąć przez rzekę do Polski i pohulać tam krwawo na obcej ziemi i obcej własności. Ale skoro tylko do polowy dopłynęli, poznali zaraz co się święci. Znajdowali się w największej głębiznie, po której konie bardzo zmęczone ciągłym pospiesznym pochodem płynąć nie mogły, a do tego woda ciągnie gwałtownie wszystko na dół. Siła tam bardzo chciwych wrogów poginęło i nie doczekali się nawet zobaczyć ziemi polskiej, którą złupić tak gorąco pragnęli. Ci zaś, którzy się wyratować potrafili, wzięli się zaraz do Pszonki i Ottona, bo myśleli, że oni to chcieli ich zgubić i dla tego zapchali tyki w najgłębsze miejsce. Daremnie wypierali się obaj, daremnie wzywali Boga na świadka swej niewinności, Litwini nieprzekonani a mocno rozgniewani

obwiesili ich haniebnie na wysokim drzewie, jak na podłych zdrajców własnej ojczyzny przystało.

Taka to była sprawiedliwość za naszych dawnych królów polskich i taka to jest zawsze sprawiedliwość Boga!

Bartek Szkolarz.

Siwy dziaduś.

Przyszedł dziaduś, brodę długą jakby mlekiem zmyło,
Siadł i prawi, ludzi bawi, jak to dawniej było:
— Dawne temu lata. W zielonej dąbrowie,
Zeszli się na pogwar nasi praojcowie,
Radzą obrać króla i tak Bóg nadarza,
Że na króla biorą swego gospodarza.
Rządził, Bóg pomagał, złote były czasy:
Pola się żółciły, zieleniły lasy,
I konie i woły i pełne stodoły,
I wszelki dobytek i z ludzi pożytek,
I tak ci się miło na ziemi tej żyło,
Że nawet anieli, na ziemię zlecieli. —
Ludziska zaczęli coś mówić o wrogach...
Chodziła czapla na wysokich nogach,
Chodziła po desce, powiedzieć wam jeszcze?...

— Mówcież dziadku, Bóg zapłaci, my będziemy radzi,
A co wasze to i nasze, spocząć nie zawadzi. —
— Był potem czas ciężki; padła kara boża,
Z hałasem i gwałtem przypadli z za morza,
Co było niszczyli i krwią się napili,
I mało co starych ojców nie zdusili.
Więc król nasz jak skoczy: — Hej razem sąsiady!
Pozbądźmy się chyżo tych zbójców gromady! —
I jak się nie wzięli, tak wszystkich wycięli,
Że krew się toczyła, jak woda po ziemi,
A nasi ojcowie osiedli w dąbrowie,
Spoczęli a święci Anieli też z niemi,
I znowu się pełno zrobiło po brogach...
Chodziła czapla na wysokich nogach,
Chodziła po desce, powiedzieć wam jeszcze?

— Mówcież dziadku, słonko w górze, zostaniecie z nami,
Coś nam smutno, strach nas bierze, oczy zaszły łzami.
— Więc było spokojnie. I długo tak było,
Że się też aż onym z za morza sprzykrzyło:
I spadli jakoby szarańcza straszliwa,
I ludzi układli jak zboże u żniwa,
A nasi praojce schowali pałasze,
I głowy skłonili jak my Bogu nasze,
Nie było spokoju, nie było i boju,
I Bóg się nasrożył, że człek się położył,
Tak było a zgliszcza zostały po wrogach.
Chodziła czapla na wysokich nogach,
I skrzydła rozwiła i chodzić skończyła.

Grześ z Mogiły.

Kościółek w Jaśkowicach.

Opowiedział Skoczek z Radomyśla.

I.

Trzeciego sierpnia przeszłego roku byłem u mego brata w Turbi koło Radomyśla nad Sanem. Cały dzień prawie przepędziłem w polu przy żniwie, bo któżby wysiedział w domu w takim złotym czasie, kiedy ludek jakby robaczki krząta się przy zbiorze darów bożych. Słońce się już chyliło ku zachodowi, jakeśmy do domu przyszli. Usiedliśmy na ławce w ganku, w tem zbliża się ku nam dwóch chłopów, jeden młody a drugi staruszek. Jacyś to ludzie idą do ciebie po interesie, mówiłem do brata.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — wymówił staruszek.

— Na wieki Amen! — odpowiedzieliśmy.

I powitaliśmy się, a ja prosiłem staruszka koło siebie na ławkę i pytałem go:

— Na coż wy to tę składkę zbieracie?

— A widzicie kochaneńko — odrzekł staruszek — bo to u nas za trzy dni będzie odpust, to tę składkę damy na ofiarę do Przemienienia pańskiego.

— A kiedy u was niema kościoła; wy ponoś do Pysznicy należecie? — mówiłem.

— A tak — odrzekł staruszek — my do parafii na Pysznicę należymy, ale w swojej wsi mamy kościółek i jaki jeszcze stary, to warta widzieć, a teraz jest całkowicie odnowiony, deszczkami obity, dach nowy, kopuła się szkli jak gwiazdeczka, a we środku wymalowany na niebiesko w drobne paseczki, a na podniesieniu to są takie kwiateczki wymalowane delikatnie, gdyby prawdziwe; mamy monstrancyę, kielich, pięć ornatów, mszał wyzłacany i wszystko co trza, bo dawniej jak ksiądz przyjechał z Pysznicy ze mszą świętą, to wszystko z sobą przywoził, a teraz mamy swoje, nawet organy sprawiliśmy.

— A któż ten kościółek wybudował? — pytałem.

— Na to niema pamiętnika — odrzekł staruszek — mnie będzie 80 lat obłożonych, a jak zapamiętam, to lipy były takie jak i dziś, a i kościół już był stary, bo było na nim mchu jak na dębie w lesie.

— A jakże tam we wsi o tym kościele gadają? — pytałem.

— O kochaneńko! jabym tego do północka nie opowiedział — rzekł staruszek.

— Proszę was, opowiedzcież mi, bo ja lubię słuchać o starych dziejach.

— Kiedyście panie tacy ciekawi, to wam opowiem — i tak zaczął rzecz prowadzić:

— Byłem wtenczas jeszcze małym chłopcem, jak mi babka opowiadali, że na tem miejscu gdzie teraz ten kościół stoi, to było obejście Kaspra Palenia, a przed chałupą stała drewniana figura Przemienienia Pańskiego. Kasper Paleń miał żonę Magdę. Byli to oboje młodzi ludzie jak sosenki na wiosnę, mieli podostatkiem wszelakiego majątku, jeno nie żyli z sobą w zgodzie. Jednego razu żęli oboje żyto na polu, i na zagonie tak się poswarzyli, że Magda rzuciła na Kaspra sierpem i skaleczyła go nielitościwie. Kasper porzucił żniwo, żonę i wszystko i do domu już więcej nie wrócił, jeno poszedł w świat z wielkim płaczem i frasunkiem. Błąkał się między obcymi ludźmi długo, aż kiedy szarańcza tych Bisurmanów Turków

ciągnęła pod Wiedeń, to Kasper z inszymi i z królem Sobieskiem poszedł na tę wojenkę, i tam tych Turków ponoś co do nogi wydusili, działo się to za czasów króla polskiego Jana III Sobieskiego i cesarza niemieckiego Leopolda I w roku 1683, to już temu 182 lat.

— A zkądże wy to sąsiedzie o tej wojnie tak dobrze wiecie, czy umiecie czytać? pytałem.

— Oj, żebym też umiał kochaneczku, czegożby mi trzeba do mojej pamięci, jabym o całym świecie wiedział na pamięć. Mój sąsiad Józef Trzciński a ojciec tego mego towarzysza, co jest za kościelnego u nas, umie czytać dobrze i pisać, nawet z powiatu pismo przeczyta jak jest wyraźne — otże on w niedzielę albo we święta czytuje nam o tych dawnych naszych polskich dziejach.

— Ale proszę was mój sąsiedzie powiedzcie mi czy Kasper zginął na tej wojnie?

— Broń Boże - odparł stary — nie zginął, ale do Jaśkowic nie wrócił — tylko udał się z jakimś bogatym panem daleko na Ukrainę i tam u tego pana stanął do służby. Kasper musiał być dobrym chłopem, kiedy go ten pan tak polubił, że przy śmierci zapisał mu na wieczne czasy jednę wieś na własność. Kasper już tam na swojej wsi był panem, miał wszystkiego podostatkiem, ale go to nie cieszyło. Zawsze jeno myślał o swojej wsi, o rodzinie i o żonie — a nieraz nawet już miał pisać, żeby do niego przyszła, ale że myślał — możeby ona i teraz jeszcze była taką złośnicą, to wolę sam biedować między obcymi ludźmi. Bił się nieborak z myślami, nie wiedział co miał począć, a to go coraz więcej w sercu paliło, że nie wiedział tej wsi w której się urodził, i że nie może pogadać z tymi ludźmi, z którymi się wychował. Żywemu Bogu chudaczek płakał, aż mu się raz przyśniło, że był w Jaśkowicach przed swoją chałupą i klęczał pod figurą Przemienienia Pańskiego, żona do niego przyszła i ludzie się zbiegli i prosili go żeby do Jaśkowic wrócił. W tym śnie widział Kasper wszystkich krewnych, chodził po polu, po błoniu gdzie bydło pasał, a z tej wierzbiny co przed figurą zasadził, ukręcił fujarkę, grał na niej i śpiewał żałośnie. Jak się przebudził to mu mało

serce nie pękło, że to widzenie było tylko senną marą. Postanowił cały swój majątek sprzedać i do Jaśkowic wrócić. I tak też zrobił. Sprzedał wszystko za 5 tysięcy dukatów, ubrał się po dziadowsku i te dukaty w łachmany pozaszywał, wziął pałicę do ręki i gdyby dziadek ciągnął ku ojczyźnie.

— A i przyszedł że on do Jaśkowic? — pytałem.

— O nie tak prędko kochaneczku — odparł stary — niech nam się zdaje, że on jeszcze w drodze a teraz o jego żonie opowiem, a dopiero potem o nim i o kościele wam dokończę.

II.

Magda choć to była, Boże odpuść piekielnica, ale była młodziusieńka niewiasta, urodliwa i pracowita. Utrzymywała sobie zawsze parobka i gospodarstwo pięknie prowadziła. Była pierwszą na całą wieś, to też jej się nie mało kawalerów i młodych wdowców trafiało, ale za mąż nie mogła pójść, bo nie wiadomo było, czy Kasper umarł na pewne. Pisanie chodziło prawie po całym świecie za Kasprem, i nie mało ją to pieniędzy kosztowało, ale się nigdzie nie mogli o nim dowiedzieć. Minęło już 18 lat i na dziewietnasty się obróciło, jak się Magdzie trafił jeden młody wdowiec, tak samo bogacz. Ksiądz pleban nie chciał dać ślubu, to oni gdzieś we świecie kogoś przepłacili, że im zfałszował takie pismo, jako Kasper Paleń w tej i w tej wsi, tego i tego dnia na pewne umarł. Jak ten papier do księdza plebana zanieśli, tak ksiądz przystał na to i zapowiedzi szły zaraz. Magda krzątała się już koło wesela, ładowała chleb, placki, mięsiwa różne i napitki, sprowadziła kapelę z Radomyśla i wesele zaczęło się na wieczór niby w wiliją Przemienienia pańskiego.

Tego samego dnia wieczorem przylazł nasz Kasper już do Rozwadowa. Dzwonili prawie na pacierze, klęknął na piasku, zmówił Anioł pański i paciorek do Przemienienia pańskiego i lazł dalej ku naszej wsi na noc, bo to blisko, jeno ćwierć milki polem. Przyszedł że już i nad San, krzyknął przewozu, i zareńko przewoźnik podjechał czółenkiem i przewiózł go na naszą stronę. Tutaj Kasper odpruł z łachów jednego dukata, dał przewoźnikowi mówiąc:

— Weź mój synu tego dukata na pamiątkę od starego żołnierza, co za młodu bił Turków pod Wiedniem.

Przewoźnik pocałował staruszka w rękę i odbił od brzegu z uciechą, a nasz Kasper przeżegnał się sanową wodą, obmył się, klęknął i całował ziemię dziękując Bogu za jego miłosierdzie, że mu pozwolił jeszcze tę ziemię oglądać. Już się na dobrze zmierzchło jak Kasper szedł polem ku wsi. Przyszedł na swoje zagony gdzie na miedzy stał dąb, co go jeszcze jego dziadek zasadził. Stanął pod tym dębem i dumał:

— Ach Boże! Tyś mi jeszcze pozwolił spocząć pod tym dębem, którego zasadziła ręka dziadka mego! Dębie mój kochany! Dziadek umarł, ojciec nie żyje i jam się zestarzał a tyś zawsze jednaki!

W tem słyszy z daleka jakiś głos, a to widzicie panie chłopaki paśli konie, leżeli na łące i tak rozmawiali:

— Słyszysz Wojtuś? czyjeżto dziś wesele we wsi?

— A to nie wiesz Jasiu, że Franek Sęk żeni się z Paleńką.

— Czy to z tą, co miała iść za Dobosza Walka — pytał Staś — a dyć z tą samą — odrzekł Wojtuś.

— A dla czegóż ona za Dobosza nie poszła — pytał Jaś.

— Onej się zawsze ktoś trafiał, prawił Wojtuś, i mogłaby była pójść jeszcze z młodszych lat za mąż, ale kiedy ona ni panna ni wdowa, bo już paręnaście lat jak jej mąż Kasper poszedł gdzieś w świat, i niewiadomo czy żyje czy umarł — to ksiądz pleban nie chcieli dać ślubu.

— A teraz już dadzą? — pytał Jaś.

— A jużcić dadzą — mówił Wojtuś — bo Franek Sęk przyniósł z kądś pisanie niby od jakiegoś plebana, że jako Kasper Paleń w tej i w tej wsi, tego i tego dnia na pewne umarł; ale to tam we wsi różnie o tem gadają, co mi tam do tego — ot lepiej słuchajmy tej muzyki, bo tak leci po rosie, jakby ot tu pod dębem grali.

Kasper pod dębem słuchał tej rozmowy, serce mu biło i mało mu się z piersi nie wyrwało, ztrętwiał cały bo się dowiedział o swojej niedoli i czemprędzej gnał prosto ku wsi na swoje obejście. Przyszedł do wrót, a tu zamknięte na kłódkę. Nadstawił ucha — słyszy granie w stodole na boisku, gwar

w chałupie i zgraję chłopaków i dziewek na podwórcu. Woła: puśćcie tam! raz, drugi i trzeci — nikt go nie słyszał, zaczął palicą pukać we wrota aż przyszedł sam pan młody Franek i pyta:

— Kto tam?

— Ja — odrzekł Kasper.

— Co za ja? — pyta Franek.

— Ja dziadek — odrzekł Kasper — proszę o nocleg.

— Idźcie do karczmy, bo tu wesele, nie ma miejsca — zawołał Franek.

— Wszak ja nie wiele miejsca potrzebuję, nawet i garści słomy nie chcę, gdzie bądź się pod ścianą przespię, puśćcie mię puśćcie, bom słaby i głodny, a psy mię obskoczyły, czy nie słyszycie jak na mnie ujadają? — żebrał Kasper.

— Nie puszczaj Franek — zawołała i Magda — dziś się zaczyna nasze wesele, co mi tu po włóczykiju, jeszcze tu umrze i cóż mi po trupie, niech sobie idzie pod figurę, to się przenocuje pod wierzbą na murawie, przecież ciepło, a noc nie długa.

Kasper westchnął — nie rzekł ani słowa — wykręcił się i poszedł pod figurę. Tu klęknął, obcałował ją na okolusieńko i modlił się z płaczem; ominął go żal — i ja mu się panie nie dziwuję że mu cierpliwości brakło — zerwał się ze złością i idzie nazad do wrot, bije palicą nie na żarty. Przychodzi znów pan młody mówi:

— Przebaczcież dziadku dzisiaj, przyjdźcie jutro po ślubie to was uraczymy, bo dziś nie ma czasu.

Kasper się umitygował i mówi miłosiernym głosem:

— Oj dziś mię puśćcie, niech się przypatrzę waszemu weselu i niech was pobłogosławię, bo ja stareńki człowiek.

— Puśćcie go, puśćcie Franciszku — odezwały się dzieweczek głosy — bo to jakiś stary dziadek i musi być z daleka bo z ruska zacina.

Otworzył Franek wrota i puścił Kaspra. Zaraz go gromada chłopków i dziewek obstąpiła, przypatrywali mu się ciekawie, bo zmyślnie był ubrany, miał wielką czarną brodę, długie włosy, na płaszczu było łat jak gwiazd na niebie, miechały

„torby“ na krzyż, pasyjkę, św. Mikołaja, pasterza dobytku, różne paciorki, cichobiegi „kurpie“ lipowe i potężny kostur z batem i z jeżem na końcu.

Zaraz przyszedł starosta z flaszką i poczęstował Kaspra, dał mu przekąskę, kawał kiełbasy z bieluteńkim plackiem. Usiadł Kasper pięknie pod ścianą i zajadał smacznie. Zmartwienie go już ominęło, cieszył się że już się dostał do swoich węgłów. Oj kochaneńku musiał on się też cieszyć! biedaczek na wojnie nie zginął, tyle światy obszedł i przecież doczekał wrócić na swoje śmiecie. Magdę poznał odrazu i ona zerknęła na niego parę razy, ale Boże! śmierci może się prędzej spodziewała, nie poznała go. Kasper wlazł za drzwi i sztuderował jakby tu im figła wypłatać, czy zaraz z wieczora na dobranoc, czy aż przed ślubem. Muzyka grała, spiewali, pląsali, jedli i pili a i Kasprowi za drzwi podawali.

Przy tej zabawie noc przeszła w okamgnieniu, zrobił się już i dzień, zajechało ze 20 wozów co mieli wieźć weselnych na ślub do Pysznicy. Swaty i swaszki, druchny i drużby, pan młody i pani młoda stanęli na środku izby niby do błogosławieństwa, a tu wyłazi powoleńku Kasper z za drzwi, i rzecze do starosty:

— Panie starosto! proszę was pokażcie mi panię młodą!

— Ot ta! rzekł starosta — i pokazał na Magdę.

— Czyś ty Magda? — mówi Kasper drżącym głosem.

Na te słowa Magda padła jak nieżywa! Krzyk się zrobił okrutny — uroki, uroki! czary! wołali wszyscy — za drzwi z dziadem! za drzwi! Kobiety Magdę cucą, parobki biorą się już do Kaspra, a on jak ci nie zacznie wywijać ową lagą po plecach, jak nie rozpuści bata, jak nie zacznie gwizdać po chłopakach.

— A wy szubrawce, a wy urwipołcie, to wy mnie z mojej chałupy chcecie wyrzucić? Ja Kasper Paleń, tu z dziada pradziada mój grunt, moja chałupa, moja Magda!

— O przemienienie Pańskie! krzyknęli wszyscy i rzucili się na Kaspra z wielką radością, witali go, całowali, krzyk się zrobił na całą wieś, zbiegali się ludzie i wielki dziw powstał; nie mogli mu się napatrzeć, tak się odmienił. Teraz dopiero

Kasper swoje łachmany włożył do skrzynki, zamknął na klucz i na kłódkę, ubrał się w sukmanę nową, co mu sam pan młody Franek na rozpoczęcie darował i zaczęło się wesele na prawdę. Magda się upamiętała z radości i w pierwszą parę poszła z Kasprem w taniec. Kobiety się mało nie biły, bo każda chciała z Kasprem pohulać a on aż nie mógł wydołać. Potem takie wesele trwało tydzień, bili woły, i różne napitki fundowali, a kapeliści aż nie mogli nastarczyć grać. Jak się ta radość ukończyła, dopiero prawie cała wieś poszła do kościoła Pysznickiego na podziękowanie Panu Bogu, za jego wielkie przemienienie.

— No i cóż się stało dalej? pytałem.

— Zaraz wam kochaneńku opowiem jeszcze ciekawsze rzeczy odrzekł staruszek.

III.

Magda żyła z Kasprem dobrze jeno coś z rok, bo o tem cudzie jaki Pan Bóg nad nią pokazał, ani nie wspomniała nigdy; nawet i ten majątek, co go Kasper z sobą przyniósł nie poprawił jej nic. Kochaneczku! wyście młodzi jeszcze to nie wiecie jak to ze złymi ludźmi trudno poradzić. Ona zawsze była zła, a co jej się ludzie naperswadowali, to nic nie pomogło. Kasprowi nigdy dobrego słowa nie dała, tak go dręczyła, że biedak podupadł na umyśle, i niech to będzie w jego mierze, zwarjował. Latał po wsi, napastował ludzi i zwierzęta, ot zwyczajnie jak szalony, a jak go ten szał kiedy ominął, to siadywał pod figurą Przemienienia pańskiego, płakał i śpiewał różne pieśni ruskie tak żałośnie, że nie jeden się nad nim napłakać nie mógł. Magda sobie jakoś nic z tego nie robiła, gazdowała w domu, co prawda porządnie, i majątku co dzień przybywało. Jednego czasu, było to już koło św. Łucji, słota i zimno a Kaspra nie było cały dzień we wsi, bo pobiegł do Pniowa na odpust, i przyszedł aż wieczór do Jaśkowic zmarznięty jak osika i głodny. Trafił do swoich wrót, bo tego dnia był przy umyśle dobrym. Już się nie świeciło w chałupie jak do drzwi zapukał i wołał żeby go puścili. Służąca dziewczyna Kasia wstaje i chce drzwi otwierać, a Magda jak nie krzyknie:

— Nie puszczaj mi go tu, niech tam kawęczy kiedy tego chciał.

— Ale gosposiu! przecież gospodarz proszą, żeby ich puścić, to otworzę — mówiła Kasia.

— Ani mi się rusz! — mówi Magda z krzykiem.

— Bójcież się Boga gosposiu — mówi Kasia — przecież to nie pies, i jakże będzie pod ścianą spał całą noc? Wam miło leżeć pod pierzyną, a on tam będzie pod gołem niebem? Zastanówcież się gosposiu co robicie, cała wieś was oto nie nawidzi, a wam się trudno upamiętać — Boże przemień!

— Cicho mi tu będziesz! — krzyknęła Magda — czy chcesz co oberwać? to ja ci tu sprawię upamiętanie.

Uciszyło się w chałupie, jeno po wsi rozlegał się głos Kasprów z pod figury. Spiewał biedak chłodny i głodny, ale on tam już mało i czuł, bo wszelkie uczucie Magda w nim zatrapiła. Mój Boże! a Magdusia usnęła pod pierzyną w cieple i po dobrej wieczerzy! Ale przecież przyszła i ona do upamiętania, a to takim sposobem: Tej nocy miała taki sen. Przyszła do niej niewiasta w białej sukni, w wielkiej jasności, i tak do niej mówiła:

— Magdaleno! Grzechy twoje już bez miary, teraz tylko czas poprawy i pokuty. Wielki rachunek musisz zdać na sądzie ostatecznym za twego Kaspra. Wlazłaś w pracę jego rodziców, skaleczyłaś go sierpem i przez to odegnałaś go od jego rodziny. Błąkał się biedny, na wojnie Bóg go strzegł i wszędzie mu błogosławił, bo był dobrym; poczciwym sposobem dorobił się wielkiego majątku, nie zmarnował go jeno tobie przyniósł, nie pamiętasz na to cudowne przemienienie podczas twego wesela? U ciebie jeno pieniądze mają znaczenie, a czy te na sądzie boskim staną w twojej obronie? Tam tylko dobre uczynki przemówią za tobą, a jak nie będziesz kochała Boga i bliźniego, to wszystko na nic; będziesz jak dzwonek bez serca, jak noc bez księżyca, jak dzień bez słońca.

Na te słowa Magda się przebudziła, ale już tej osoby nie widziała, bo znikła. Potem się Magda niedługo namyślała, zerwała się i biegnie pod figurę. Tu Kasper spał jak nieżywy. Chciała go wziąć na ręce, ale nie dała rady, zawołała dziew-

czynę i obie go przyniosły do chałupy, ułożyły na łóżku pod pierzyną, a Magda jakiegoś ziela uwarzyła i dała mu się napić.

Na drugi dzień rano mówi Kasia do gosposi:

— Wyprowadźmy gospodarza pod figurę, może mu Pan Bóg przemieni.

— Dobrze moje dziecko — odrzekła Magda potulnie — ja zawsze proszę Boga serdecznie, żeby się nad nim zmiłował, żeby i mnie moje niegodziwości darował.

Ledwie Kaspra wyprowadziły, dotknął się figury, westchnął, a Magda z Kasią łzami się zalały. O przemienienie Pańskie! i widzicie kochaneńku co to Bóg miłosierny może! Kasper już sam z pod figury przyszedł. Magda zaraz dała na mszę świętą, sprowadziła z Ulanowa dwóch doktorów i siedzieli przy Kasprze z tydzień. Doktorom i aptece płaciła dukatami i nie żałowała, bo się cieszyła że Kasper zdrowszy. Cudownym sposobem zdrowia mu przybywało, już z łóżka wstawał, jadł, spał, wychodził na wieś do sąsiadów i krewnych na pogadanki, i już był znowu na całą wieś najmądrzejszy. Jednego razu rzekł do żony:

— Wiesz ty Magduś co ci powiem? Oto ze mnie się próżniak robi, nic nie mam ochoty do pracy, jakoś mi wszystko dolega, bo ja to stracił już siły i przy wojsku i w pracy, i ot przy tej słabości A Magda na to:

— I ja ledwie się ruszam, jużem się dość napracowała. Ja tak dziś w nocy umyśliłam, żeby twego stryjecznego brata Michała ożenić z naszą służącą Kasią.

— A dobrze — rzekł Kasper — i dać im zaraz dwa tysięcy dukatów.

— Tak nie — odparła Magda oddać im grunt i całe gospodarstwo, niech pracują a my im będziemy pomagać.

I tak się też stało. Michał ożenił się z Kasią i gospodarzyli, a Kasper z Magdą kiedy niekiedy brali się do pracy. Dobrze sobie żyli, nie żałowali sobie niczego, parę koni i wózek mieli zawsze dla siebie i prawie codzień wyjeżdżali to do kościoła to do miasta. Jednego razu mówi Kasper do żony:

— Magduś, pojedziemy dziś do kościoła, to konie zaprzęgnę.

— Oj Boże odpuść — mówi Magda, kiedy bardzeńko niemam ochoty, bo zimno i coś mię głowa boli. Ot pójdźmy pod naszą figurę i zmówmy paciorek.

Poszli, mówili pacierze szczerze a duchem świętym, bo miłością napełnieni wznieśli ręce ku niebu i z płaczem wołali:

— O Przemienienie Pańskie! Wystawimy tu kościół dla czci twojej najświętszej, pozwól nam go doczekać, żebyśmy w nim zanosili błaganie do ciebie Boże miłosierny.

Skończyli modlitwę i odtąd byli jedną duszą. Natychmiast kazali wszystkie stare budynki rozebrać, a nowe postawili na innym gruncie, zakupili drzewa i zaczęli budować ten kościół na tem samem miejscu i te lipy wsadzili, co do dziś dnia rosną, a starą figurę spalili, żeby się nie poniewierała. Najmilszą zabawą Kaspra i Magdy było to, żeby porządki w tym kościele robić i modlić się po całych dniach. Potem pisali prośbę do biskupa o pozwoleństwo, żeby się mogła w tym kościele codzień msza święta odprawiać, i żeby był odpust raz w rok na Przemienienie Pańskie. I tak się też wszystko stało. Oni oboje jeszcze pono bardzo długo żyli, a teraz z Bogiem spoczywają, a ludzie ich po wieki będą wspominać jak tylko o tym kościele się dowiedzą.

— Taka to historja kochaneńko o tym kościele w Jaśkowicach.

Podziękowałem pięknie staruszkowi za to opowiadanie i udaliśmy się spać z Bogiem.

RÓŻNOŚCI.

Śmieszne zdarzenie spotkało dwóch biegłych i dowcipnych złodziei. W ostatni targ Raciborski ukradli dwaj złodzieje wieśniakowi w Tworkowie krowę. Krówka dobrze wypasiona tak silnie się złodziejom opierała, że jej uprowadzić nie mogli. Okryli ją płaszczem i nawet oczy jej zasłonili, ale i to nie pomogło. Nareszcie uwiązali krowę u drzewa przy drodze publicznej i jeden z łotrów poszedł śmiało do okradzionego i prosi go, żeby mu krowę, którą na targu Raciborskim kupił, kawałek drogi odprowadził, za co mu 5 śrebrników ofiarował. Nieborak nie poznał w nocy krowy płaszczem okrytej, a krówka wesoło sobie szła obok gospodarza swego Gdy przyszli do lasu, złodzieje kazali krowę uwiązać u drzewa i chłopek odszedł z nagrodą. Jak wielkie było przerażenie jego, gdy powracającemu żona z płaczem oznajmiła, że krowę jego ukradziono! Ale jeszcze większe było zadziwienie jego, gdy w tem w największym pędzie krowa płaszczem okryta wpada do chlewa otwartego. Zdjąwszy płaszcz poznaje z radością krówkę swoją, a w kieszeni płaszcza znajduje 20 złr. pieniędzy. Jak się łatwo domyśleć można, krowa silna wyrwała się złodziejom i uciekła.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. Nr. 8.

11. marca 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Chleb i kwiaty.

Opowiemy wam piękną legendę o pewnej świętobliwej dziewicy, którą kościół święty za jej życia wielkich cnót i zasług pełne, zaliczył do rzędu świętych i błogosławionych niewiast. Dziewicą tą jest błogosławiona Germana.

Błogosławiona Germana żyła za dawnych, bardzo dawnych czasów w kraju francuzkim. Była ona córką wieśniaka a pan Bóg zaraz w dziecinnym wieku ciężko jej doświadczył, bo po śmierci swej matki dostała błogosławiona Germana macochę, bardzo srogą i nielitościwą niewiastę.

Biedna sierotka Germana musiała ciężką znosić niedolę. Macocha kochała i pielęgnowała tylko swoje własne dzieci a o biednem dziewczątku nie tylko że nigdy litośnem nie pamiętała sercem — ale do tego jeszcze trapiła tę sierotkę z złością i okrucieństwem. A do tego wszystkiego była błogosławiona Germana z natury chorowitą dzieciną. Macocha nie pozwalała jej nawet spać razem z innemi dziećmi w izbie, tak że potulne dziewczątko usłać sobie musiało łoże w sieniach, i tu na kupie chrustu spoczywało po codziennej pracy.

A praca ta była ciężka bardzo — mimo że błogosławiona Germana zaledwie kilkanaście latek liczyła. Macocha kazała jej spełniać najcięższe posługi koło domu, a że jej nie cierpiała i nawet widzieć nie chciała — więc wysełała ją zawsze paść bydło w pole. Zaledwie kilku ubogiemi łachmankami okryte, musiało to święte dziewczę spędzać dzień cały na słocie i niepogodzie pod gołem niebem i mimo swej słabości biedzieć się pilnowaniem bydła.

Za całe pożywienie Germany służyło tylko kilka kawałków suchego chleba, które jej nielitościwa macocha dawała. Błogosławiona Germana nietylko że bez szemrania na tej nędznej strawie poprzestawała, ale do tego jeszcze odejmowała sobie sama od ust chleb i dzieliła się nim z ubogimi. Był we wsi jeden ubogi żebrak staruszek i jemu to błogosławiona Germana codziennie dawała połowę swego chleba.

Ubogi ów staruszek, zdziwiony tem miłosierdziem biednej dziewczynki, rozpowiadał o tem we wsi całej; chwaląc litościwe serce sierotki, która skąpem swem jadłem z nędzarzem codziennie się dzieliła. Ten piękny uczynek podobał się bardzo wszystkim ludziom i wszyscy też z pochwałami wspominali o biednej sierotce i wyrzekali przy tem na macochę, że tak srogo się z nią obchodzi.

Dowiedziawszy się o tem macocha, wielce się rozgniewała, bo złych ludzi nawet dobry uczynek innego gniewa, i przemyśliwała nad tem, jakby się tu na bogobojnem dziewczęciu pomścić. Uknuła tedy przeciw błogosławionej Germanie taką brzydką zdradę. Popodrzucała naumyślnie w sieniach kawałki chleba i tak sobie pomyślała:

— Germana pewnie ten chleb wyzbiera i idąc w pole z sobą weźmie, aby je rozdać po drodze ubogim. Wtedy ja ją przetrzęsę i powiem, że chleb ten ukradła w domu.

Dlatego też, nim jeszcze to uczyniła, poczęła przed mężem i przed ludźmi skarżyć się i rozpowiadać, że błogosławiona Germana chleb jej z domu wykrada. Ale Bóg czuwał nad świętą sierotką. Błogosławiona Germana znalazłszy w sieniach chleb popodrzucany pozbierała go z ziemi, schowała do fartuszka i tak raniutko wybrała się z bydłem w pole. Ale macocha cza-

towała tylko na to i ledwie biedna sierotka o kilkadziesiąt kroków oddaliła się od chaty, narobiła ogromnego wrzasku w domu i pobiegła za nią z kijem.

Prędko też dopędziła Germanę, a na krzyk macochy zbiegli się ludzie ze wsi. Biedna sierotka stanęła zdziwiona, nie wiedząc czego ją ściga macocha. Macocha zaś dopadłszy jej poczęła wołać:

— Patrzcie na złodziejkę! Codziennie mi chleb wykrada z domu a i dzisiaj go wynosi w pole. Nie chcieliście mi wierzyć ludzie, teraz się sami przekonajcie! Oto patrzcie, pełny ma fartuszek kradzionego chleba!

I podniosłszy kij uderzyła nim po rączkach świętobliwę sierotę, aby opuściła fartuszek i aby wypadł chleb. Germana opuściła ręce — ale oto patrzcie, z fartuszka zamiast kawałków chleba wypadły na ziemię przecudne kwiaty, najpiękniejszego koloru i zapachu!...

Posypały się te prześliczne kwiaty na ziemię — a macocha i ludzie stanęli jak wryci na widok tego bożego cudu. A były to iście kwiaty z nieba, bo nikt takich w całej okolicy nigdy nie oglądał. Wielkie zdziwienie opanowało wszystkich, a nienawistną i okrutną macochę strach ogarnął srogi i z wstydem i trwogą odeszła od świętej sierotki!...

Macie w tej pięknej legendzie o kwiatach św. Germany wyraźny przykład, jak miłem jest Bogu serce miłosierne i litościwe — i jak cudownemi sposobami strzeże on przed złością ludzką tych, którzy serce takie posiadają!

Pogrzeb.

Umarła sierota wśród obcych uboga,
A co to sierota wy wiecie —
Ni ojca ni matki nie miała nieboga
I sama, i smutna na świecie.

Oblekli ją na śmierć, i w trumnę włożyli
Na długie — na wieczne już spanie,
I deską ją z krzyżem na wierzchu przykryli,
Skończyła już ziemskie wygnanie.

*

I wózek zaskrzypiał, — pociągnął wnet sporo,
I orszak też ruszył się drogą.
I ze wsi gromadka, ze dworu kilkoro —
A więcej — nie było nikogo.

Na pysznych pogrzebach to ludu tysiące
I ludu też wielka tam siła.
I każdy rad biegnie — tam światła jarzące
Tam kwiatem okryta mogiła.

Tu cicho, i cicho, — tu ludzi tak mało —
Stanęli pod krzyżem w pokorze.
A babka za zmarłą głos wznosi nieśmiało
I żegna, dziękuje, jak może.

Skończyła już mowę — a każdy od krzyża
Już wraca do domu, do siebie —
Do trumny sieroty nikt się tu nie zbliża,
Bóg chyba ją garnie tam w Niebie.

Ostatni raz słońce zabłysło z za chmury,
Zachodzi za pola, za drzewa —
Głos babki zachrypły wciąż płynie do góry,
Jak idzie za trumną, pieśń śpiewa.

I dziewki dwie młode łzy lejąc serdeczne
Zdążają pobożnie tąż drogą, —
Garść ziemi przyrzucą na spanie jej wieczne,
Bo razem służyły z niebogą

Bóg zapłać takiemu, kto chętnie rad idzie
Za cudzym, za nędznym pogrzebem —
Za zmarłych się modli, sierotę w jej biedzie
Nakarmi i solą, i chlebem.

Bóg w życiu wspomoże, i o nim pamięta
A gdy już czas śmierci nastanie —
W tę chwilę okropną — to Marya Święta,
Uprosi mu lekkie skonanie.

Antonina z nad Warty.

Matwijowy dzwon.

Powiastka z dawnych czasów.

We wsi Dąbrowie pod cerkwią na starem cmentarzysku bawiły się dzieci. Jedne stawiały sobie domki z trzasek, drugie sadziły drzewka na piasku, inne wziąwszy się po pod ręce biegały na około dzwonnicy, chowały się i goniły jedno za drugiem, ot zwyczajnie młode jeszcze, to puste i wesołe, jak wszystko młode na tym bożym świecie!...

— Józku!... — mówił mały, czarniawy chłopak do drugiego, biorąc go pod rękę — bawmy się obadwa w chowankę!... Dobrze?...

— Dobrze!... bawmy się!... ozwał się Józku i podskoczył wesoło — ale ty Antku musisz pójść do dzwonnicy i tam dopóty siedzić, dopóki ja się nie schowam!...

— No dobrze!... ale potem ja się schowam... dobrze?... dodał Antek biegnąc do dzwonnicy.

— Ajakże!... a potem ty!... ozwał się Józiek chowając się za budę wartownika — ale słuchaj Antku!... nie patrz się, zamknij lepiej oczy, bo ja się nie będę bawić!...

— Dobrze, dobrze!... taż ja się przecie nie patrzę!... wołał swawolny Antek z dzwonnicy zaglądając przez szpary starych, porozsuwanych ścian.

— Nie patrz się!... nie patrz!... mój Antku!... prosił chłopak włażąc ukradkiem do budy.

— A co? już!!... zawołał niecierpliwy Antek z dzwonnicy.

— Już!... ozwał się głos z budy a Antek podskakując wesoło wybiegł z dzwonnicy.

Wtem przez małą furtkę z ulicy wszedł stary Maksym cerkiewny, biały już jak gołąbek i skurczony starością we dwoje i wszedłszy do dzwonnicy zaczął przedzwaniać wieczorny „Anioł Pański“. Wieczór był piękny, pogodny, na niebie nie dojrzałbyś ni jednej chmurki, a w powietrzu pełno było tej błogiej woni, co to ożywia i uzdrawia człowieka po zimnych zawierzuchach zimowych do jakiegoś innego młodszego życia. Było to bowiem jakoś w drugiej połowie maja. Drzewa roz-

zieleniły się zupełnie, niektóre nawet bieliły już gęsto kwiatem, a z ziół wonnych pracowita pszczółka zbierała już słodycz i z brzękiem odlatywała do ula.

Antoś zdjął czapkę z głowy, i zaprzestawszy dalszej zabawy ukląkł i zaczął głośno odmawiać Anioł pański. Jóżko także wyszedł z budy i nabożnie przeżegnawszy się zdjął kapeluszyk.

— Klęknij Jóżku... ozwał się Antoś — i odmów ze mną paciorek... Dzisiaj świętego Matwija.... A Tatuś mi powiadali że tak samo nazywał się mój dziadek, co go to dawno już temu, bardzo dawno wzięli Tatary w niewolę!...

— Biedny!... szepnął Jóżko klękając przed krzyżem — a czy ty go pamiętasz?...

— Oj nie pamiętam ci ja go ani raz!... Tatuś mówili, że ja wtenczas byłem jeszcze taki mały, jak twoja siostrzyczka Halka, i jeszcze dobrze gadać nie umiałem, kiedy dziadunia popędzili na Tatary!...

— I cóż się z nim tam biednym stało?.. Czy żyje jeszcze nieboraczysko? pytał ze łzą w oku Jóżko.

— Ha!... Bóg to jeden raczy wiedzić!... odpowiedział Antek. Może żyje, a może gdzie jaki Tatar niewiara już dobił!... Tatuś opowiadali mi bardzo wiele strasznych rzeczy o tej niewoli Tatarskiej!... Ciężko tam ludziom wytrzymać w nędzy i strasznej katuszy, toż umierają i giną prędko by kwiatki kosą podcięte!...

Jóżko złożył ręce nabożnie i zaczął odmawiać głośno paciorek za nieszczęśliwym dziaduniem Antosia. Antek po odmówionej modlitewce przeżegnał się i pobiegł do dzwonnicy, by wyręczyć starego cerkiewnego. Maksym usiadł sobie na schodach i założywszy ręce szeptał pacierz, a Antek wydrapał się żywo na górę i pociągnął za sznur od starego. wielkiego dzwonu. Dzwon ten kupił był dla cerkwi w Dąbrowie dziadek jego przed czterdziestu laty, kiedy o młodych jeszcze siłach spieszył z królewskiem wojskiem na Tatara. Potrzeba była wtenczas w kraju wielka, jaki taki, stary czy młody, panek czy włościanin zaciągał się w szeregi, by z Bożą pomocą obronić żony, dzieci i matki przed najazdem strasznego pogana,

corok w rok prawie napadał nasze ziemie. Z Dąbrowy wybierało się huk parobczaków. Matwij miałci już prawda żonę i dziatki, aleć był jeszcze młody, miał zdrowe i silne ręce, któremi nie jednego Tatara niecnotę mógłby z Bożą pomocą zadławić. Trudno więc było doma za piecem kaszę jak to powiadają zjadać, gdy wołało sumienie i nieszczęśliwa ojczyzna. Uściskał żonę i dziatki, a odchodząc na wojaczkę, rzekł:

— Na bożą chwałę, aby Pan Jezus miłościwy pomagał dobrej sprawie i dozwolił szczęśliwie wypędzić wroga z kraju kupiłem dla cerkwi naszej dzwon. Może on wydzwoni dla nas łaskę Jego przenajświętszą, może wrócę do was z wojaczki zdrów i cały z radośną nowiną na ustach. Ile więc razy zadzwonią na Anioł pański, wspomnijcie sobie o Matwiju, i zmówcie za nim modlitwę....

Pojechał, a od tego czasu dużo, dużo minęło lat. Od Kordonu przeróżne zalatywały wieści o królewskiem wojsku, co krwawe ścierało z pohańcem boje, Tatar pobity i zgromiony wymykał się już w swoje bezludne stepy, a nieszczęśliwy kraj odżywał powoli po klęskach i pożogach. W Dąbrowie oczekiwano Matwija. Dzwon co wieczoru uderzał na Anioł pański i co wieczoru klękała rodzina Matwijowa pod cerkwią. I modlili się biedni za Matwijem, a dzwonek tak smutno i głucho coś jęczał i zawodził jakby powiadał:

— Zabili, zabili!...

Minęło jeszcze więcej lat, a Matwij jak poszedł, tak i słych po nim zaginął, by kamień w wodę wrzucił. Aż dopiero jakiś zabłąkany z dalekiej strony dziadek przywlókł się do Dąbrowy z smutną nowiną, że Matwija pojmali Tatary w niewolę, i zapędzili daleko gdzieś aż w Nogajskie czy krymskie stepy. I znać było to prawdą, bo Matwij już nie wrócił. Żona się przygarbiła, a włosy pobielały staruszce by śnieg, syn się ożenił i w chałupię zrobiło się jakoś weselej i pełniej. Urodziło się jedno dziecko i drugie, na chrzest święty przydzwaniał im dzwonek nieszczęśliwego dziadka, dziecięta rosły zdrowo i Pan Bóg miłościwy czuwał nad chatą Matwijową. A staruszka babka patrząc na wnuczęta kiwała jeno smutnie białą głową ta i szeptała sobie:

— Hej, hej! gdyby też to jeszcze mój stary wrócił, tożby to było radości i wesela niemało!... Tyle lat już, tyle jak poszedł na pohańca, mój Boże!...

Tak to było w Matwijowej chacie i tak stały rzeczy w naszej opowiastce, gdy młodziutki Antek dzwonił w cerkiewce na „Anioł Pański", a stary Maxym szeptał pacierz za duszę Matwija.

— Bim! bam! bim!... powtarzał sobie Antek i ciągnął za sznury dzwonu — jakżeż to dzisiaj czegoś ładnie dziaduniowy dzwonek dzwoni!... Nie tak jakoś smutno i ponuro jak wtedy, kiedy to mieli zabrać dziada Tatary!...

— Dzwoń, dzwoń dziecko moje!... ozwał się stary cerkiewny — może wydzwonisz zbawienie nieszczęśliwemu dziadkowi!

Antek dzwonił dalej, a dzwon odzywał się coraz głośniej, a tak jakoś dźwięcznie, swobodnie i czysto, jak nigdy!...

Tymczasem drogą od starego młyna pod wierzbami ku cmentarzysku szedł jakiś przygarbiony a jak gołąb bieluteńki dziadek, dryptał nogami i podpierał się kijem, a snać mu bardzo coś było spieszno, bo ciągle jeno patrzał ku cerkwi i dzwonnicy, zkąd dzwonek na „Anioł Pański" dzwonił, a staruszek coraz to raźniej spieszył...

Nareszcie zbliżył się do cerkwi...

Dzwonek przestał tętnić, a staruszek oparł się o drewniany parkan cmentarny, a na twarzy jego znać było wielkie wzruszenie. Twarz pomarszczona zarumieniła się by za młodych gdzieś jeszcze latek, z oczu ciurkiem lały się łzy, a kolana drżały jak listki osiczyny i gięły się ku ziemi....

Wyszedł cerkiewny Maxym z małym Antkiem z dzwonnicy i powoli zbliżali się obydwaj ku furtce. Antek podskakiwał wesoło i pokręcając biczykiem wybiegł o kilka kroków naprzód, aż się zbliżył ku białemu staruszkowi, co przykląkł pod parkanem.

— Ojcze Maxymie!... patrzcie jaki tu siwiuteńki biedny dziadek klęczy!... trzeba mu przynieść kawałek chleba i jaką strawę ciepłą, by się pożywiło biedactwo!...

Maxym przystąpił do dziada i pyta:

— A zkąd wy biedny człowiecze?... Czy z bardzo dalekiej strony?...

A stary jeno machnął ręką i szepnął:

— Długo by o tem gadać, z jakiej mnie bieda przygnała strony... ot lepiej, że nie powiem...

I łzy mu się zakręciły w oczach...

Po chwili cichszym głosem zapytał:

— Czy nie zapomnieli tu jeszcze w siole o starym Matwiju, co go to przed czterdziestu laty pojmali Tatary w niewolę?

— A coby mieli zapomnieć... odpowie cerkiewny — a toć nie słyszeliście przecie dzwonek na „Anioł pański“ za duszę starego!...

Dziadek pochylił nieznacznie głowę ku ziemi ta i pyta:

— A żyją w chacie jego wszyscy?

— Żyją chwalić Boga zdrowo.... a to wnuczek Matwijowej... dodał wskazując na Antka — patrzcie jeno jaki tęgi chłopak!...

Stary zatrząsł się naraz jak w febrze, wyciągnął rękę do małego i zawołał:

— Dziecko moje!... moje dziecko!...

I czy uwierzycie moiście wy mili, był to stary Matwij co przed czterdziestu laty poszedł był na Tatara, a teraz zgarbiony we dwoje i biały jak gołąb wrócił z dalekich stepów, z ciężkiej niewoli pogańskiej...

Wkrótce zbiegła się cała rodzina Matwijowa, a co było radości i płaczu, łez i wesela, tegoż zdaje mi się opisywać wam nie potrzebuję. Co się zaś z Matwijem przez tych czterdzieści lat działo, to wam tu zaraz opowiem.

Nieszczęśliwym trafunkiem pojmany przez Tatara, spędził długie lata jako niewolnik u jakiegoś tam baszy czy beja tureckiego. Matwij znał się na ogrodnictwie, więc go oddano na pilnowanie ogrodów baszy. Matwij był pracowity, cały dzionek Boży przepędzał przy kwiatach i grzędce, więc go polubił pan jego i nieraz bywało gdy przyszedł z fajką po obiedzie do ogrodu, to pracującemu przy kwiatach kazał opowiadać o rodzinnym kraju, o ojczystem siole i o swoich...

Razu jednego któryś z przybocznych wodzów przywiózł baszy w ofierze wielki dzwon, złupiony w jednej z znaczniejszych cerkwi na Rusi. Basza kazał dzwon ten wieść do ogrodu

i tam go postawić, aby go później przelać, bo Turkom nie trzeba dzwonów. Gdy go ustawiano, dzwon zajęczał kilka razy, a stary Matwij, co pracował wtenczas w ogrodzie przy kwiatkach usłyszawszy dzwonienie, zapłakał...

Spostrzegł to Basza a gdy go zapytał o przyczynę, Matwij odpowiedział:

— Odchodząc na wojnę, zostawiłem w siole rodzinie mojej na pamiątkę dzwon, którego dzwonienie ma im przypominać zawsze nieszczęśliwego Matwija. Wspomniałem sobie teraz o tem, przyszła mi na myśl moja ukochana rodzina, co przy wieczornym dzwonku zasyła gdzieś tam za mną modły do najmiłościwszego Boga, więc mi się smutno zrobiło, ta i zapłakałem...

Poruszony do łez Basza udarował w tej chwili wolnością nieszczęśliwego niewolnika, dał mu na drogę pieniądze, i do granic swego państwa kazał staruszka odwieść własnym kosztem.

Tak to i u pogana znalazło się serce, co uczuło nędzę i niedolę ludzką i zapłakało łzami miłości bliźniego!...

Matwij żył jeszcze potem dwa lata, doczekał się z wnucząt pociechy, a gdy umarł, to kilkanaście gromad z okolicznych wiosek wyległo na pogrzeb dziewiędziesięcioletniego staruszka. Dzwon jego do dziś dnia wisi w dzwonnicy w Dąbrowie, a kiedy wieczorem dzwoni na „Anioł pański" to prawnuki Matwja spieszą na cmentarzysko, by odmówić pacierz za duszę Tatarskiego jeńca...

Tomek z nad Styru.

Dwa pisania: o pijaństwie i zabobonie.

Chociaż przy Bożej pomocy lud się coraz bardziej oświeca i stare wady porzuca, to przecież znajdują się jeszcze tacy, co im wszelka nauka tyle pomaga, jak gdyby kto groch rzucał o ścianę. Jeszcze to nie jeden i nie stu między wami, kochani ludkowie, nie nawykło do trzeźwości i często przelewa miarkę a w pijanym stanie sobie wielką szkodę robi i o stratę przyprawia. Czasby już był wielki, aby choć w dzisiejszych czasach opamiętali się ci, co nałogiem pijaństwa marnują zdrowie i dobytek! A znów są jeszcze tacy, co mimo nauk rozumnych ludzi i swoich kapłanów jeszcze wierzą w zabobony i gusła,

co jest rzeczą bardzo brzydką i głupią. Kto wierzy w zabobony, ten się najłatwiej daje wodzić za nos oszustom i stratę ponosi, a nie tylko że Boga tem ciężko obraża, ale się jeszcze i na śmiech u ludzi wystawia. Dostałem ja dwa pisania z Bachorza wedle tej sprawy i pisania te drukuję wam dla przestrogi, i aby ci co jeszcze tak źle robią, przyszli do rozumu.

I.

Sztuka pijacka.

Pewien gospodarz z Bachórza zwany Kazimierz S. zgodził się ze czterma żydami, odwieść ich z Dynowa do Dubiecka, a piątego wziął w dodatku, aby więcej zarobił. Gdy ich odwiózł do Dubiecka, to tych czterech zostawił a piątego wziął nazad do Dynowa, bo taką miał z nim zgodę. Żyd ten nie był jemu znajomy, bo to był zkądciś zdaleka. Mówi mu żyd:

— Wiecie co gospodarzu pojedźcie ze mną do Przeworska, to wam razem zapłacę, i zgodził się za trzy ryńskie, aby zaraz na drugi dzień z nim jechał. Po tej zgodzie dał mu na zadatek trzydzieści krajcarów i wódki co chciał. Niedosyć było Kazimierzowi tego, co miał w pałce, ale jeszcze zjechał do karczmy. która przy drodze stoi, i tam zastał parę kamratów takich jak i on, wtenczas rozpoczęli dalszą pijatykę, jeden drugiemu życzył zdrowia a kieliszkiem do gardła dobrze nalewał, jak się już na mądre popili wtenczas ledwie jeszcze na swoich nogach Kazimierz przyszedł do wozu, ale nie był w stanie wydobyć się na wóz, bo już było zanadto w pałce, aż go drudzy ledwo podsadzili, bo także byli pijani.

Tak jadąc do domu ślicznie zasnął na wozie tylko go koniska same prowadziły. Skoro konie pomiarkowały, na którą drogę mają się brać do domu, tak zaraz skręciły ku sobie: przednia połowa wozu przeszła przez mostek a zadnia wpadła pod mostek, to i koniska stać musiały, bo na żaden sposób nie mogły iść dalej gdy ich wóz trzymał, a on na mądre spi na wpół pochylonym wozie, i on byłby wypadł do rowu ale że w przedzie wozu spał, to nie wypadł. I możebyjbył do drugiego dnia tam odpoczywał, gdyby nie żandarmi, co szli z patroli na-

trafili na niego, zaczęli go budzić aby mogli rozpoznać kto on jest, ale tego dokonać nie mogli bo był bardzo pijany, wydobyli wóz z pod mostka i konie cofnęli na gościniec, aby się przekonać, do kogo te konie należą i kto on jest, posiadali na wóz i jadą do bliskiej karczmy Chodorówki. Znowu im się przygoda stała, bo im obręcz z koła spadła, którą ledwo za pomocą światła i latarni znaleźli, przyjechali do karczmy i zastali tam kilku chłopów siedzących, kazali tego pijaka zdjąć z woza i przyprowadzić do karczmy, aby go poznać, bo to było koło dziesiątej godziny. Przynieśli go chłopi do karczmy bo sam jeszcze nie był w stanie pójść, postawili go na środku izby ale słowa u niego trudno było się dopytać, bo się jeszcze nie wyszumiał ale zdjęli z niego pas, kożuch i kamizelkę bo myśleli, iż ma jakie przy sobie pieniądze, ale żaden pijak nie miał nic przy sobie to i on nie miał, ani też nie wiedział, co się z nim działo, kazali go odnieść nazad na wóz, i jednemu z tych chłopów wsiąść na wóz i odwieść go do domu. Jak tylko ten nadany woźnica wsiadł na wóz i ruszył końmi, tak w kilku krokach obleciały zwona czyli okład z koła, tylko na samych sprychach jechał z nim do domu. Przyjechawszy na podwórze zawołał na domowych, którzy go wzięli do izby aby się smaczniej przespał niżeli na wozie. Zerwawszy się równo ze dniem pyta się: Gdzie ja jestem? bo nie mógł pomiarkować gdzie się znajduje, jak mu tam odpowiedzieli mówi: to ja tego nie wiem, i dalejże zaczyna na tę ugodzoną furmankę wóz ładować aż patrzy, a tu koła nie ma tylko głowa ze sprychami i to jeszcze sprychy obłamane, uchwycił się za głowę pomyślał coś trochę. Złapał ten kawałek obłamany na ramię i poszedł do kołodzieja aby mu przed południem zładował, bo po południu miał już jechać na furmankę, ale kołodziej mu odpowiedział:

— Panie bracie po trocha było pić to i koło by jeszcze było niezepsute a ja na ten czas co wy chcecie nie jestem w stanie zrobić.

Powróciwszy do domu pożyczył koła u sąsiada i dalejże na furmankę, wziął tego żyda na furę i pojechał z nim do Przeworska, zajechał tam z wieczora we czwartek a na drugi dzień, to jest w piątek powracając do domu, przyjechał do Ja-

wornika w wieczór i chce jechać do Dynowa ale żyd na to:

— Ja nie pojadę dalej, bo u mnie szabas, to muszę tu szabasować, a wy jak chcecie to czekajcie na mnie, a jak nie będziecie czekać, to ja za te pieniądze coście się ze mną zgodzili najmę sobie innego furmana i po szabasie odwiezie mnie do Dynowa.

Myśli sobie Kazimierz:

— Drugi raz wracać się z domu o milę to niewarta, lepiej na niego poczekać a po szabasie to pojedziemy śmiało, bo sobie konie wypoczną.

Powsiadali na wóz po szabasie i jadą śmiało do Dynowa, a koniskom co chwila to rachuje batem po grzbiecie, aby prędzej leciały, nie ma mu się co dziwować że tak konie szczerze okładał, bo miał głowę niepróżną, przyjechał niedaleko Dynowa stanął koło karczmy mówi żydowi:

— Teraz mi zapłać bo cię dalej nie powiozę! A żyd na to:

— Ja cię zgodził do rogatki, to jak mię tam nie odwieziesz to ci nie zapłacę.

Nie myśląc on wiele wlepił koniskom kilka batów po grzbiecie i ruszył pędem, aby jak najprędzej odwieść i pieniądze za furmankę dostać. Przyjechał do rogatki i mówi żydowi:

— Teraz mi daj moje pieniądze, bo mi potrzebno. A żyd na to:

— Kiedy nie mam drobnych, ale chodźcie na miasto to wam tam zapłacę.

— A przy kim że ja konie zostawię?

— Co mi do tego, przy kim? poszukajcie sobie kogo co wam przy koniach postoi a sami chodźcie za mną.

Nalazł tam jakiegoś chłopaka co mu koni tymczasem pilnował, a sam poszedł za żydem, ale daremnie bo żyda nigdzie nie znalazł a do tego jeszcze go i nie znał, krzyczeć gwałtu nie wypada a tu i pieniędzy szkoda, z niczem powrócił do wozu, jeszcze na szczęście miał przy sobie pięć centów zapłacić temu co mu koni pilnował i miasto zarobku stracić musiał, a

o gorzałce to już i myśleć o tem nie miał co, bo był worek głodny a na bórg nigdzie nie dali.

M. O., wieśniak z Bachórza.

II.

Z a b o b o n.

Już to z każdym dniem nabierają u nas ludzie coraz więcej rozumu, ale przecież znajdzie się jeszcze taki człowiek co to wierzy w zabobony, jakoby żydzi w cielca. Owóż do takich nieświatłych ludzi należy Antoni Chrzan z Bachórza. Pewnego czasu przyszła do jego domu cyganka i zaczęła rozmowę, czy im co w domu nie brakuje; a może jakie czary w domu mają, bo ona by na to wszystko poradziła. Gospodarz leżąc na piecu odpowiada:

— Oj moiściewy brakuje, brakuje, mam jednę krowinę a nie wiem co to jest za przyczyna, że mi cielną zostać nie chce

A cyganka na to:

— Mój gospodarzu ja na to duchem poradzę jeżeli chcecie.

— A czegożbym nie chciał jeżeli wy mi tak dobrze poradzicie.

— To ja poradzę gospodarzu i to na pewne możecie się na mnie spuścić, bo to wiecie, że cygani wszystko wiedzą.

Kazała dać miskę, a na miskę wody a do tej wody nasypać soli i dwie kwaterki mąki, rozkłóciła to cyganka, i zaczęła cygańskim językiem nad tem bełkotać, powiadając, że ona to robi na to, aby czary od krowy odpędzić, skoro jej da tę wodę z mąką i ze solą wypić, a potem trzeba będzie krowinę do woła odprowadzić, a jak ją przywiedziecie od woła do domu to ją także trzeba wybić cierlicą po grzbiecie, to na pewne zostanie cielną, bo ja już tak poradziła, że będzie cielną. A wy gospodarzu za tę moją robotę, żem wam tak dobrze i życzliwie zrobiła, dajcie mi garniec żyta, i trzy łokcie płótna na koszulę i fartuch, bo ja mam na sobie łachy już potargane, jeno z chęcią mój gospodarzu, boby krowa nie była cielną jakbyście się opierali.

Gospodarz zawołał na swoją żonę:

— Maryna a daj jej tam tego żyta, płótna i fartuch, wszakże to wszystko niczem, kiedy krowa będzie cielną.

— A tak, mówi cyganka, bo to u was więcej znaczyć będzie że krowa będzie miała cielę niżeli u mnie to com od was wzięła. A teraz mój gospodarzu na czary macie dać chustkę, a do chustki dwadzieścia centów i w to do tej chustki naplujcie trzy razy, bo ja nad tem będę mówić zaczarowany sposób a potem cisnę na granicy jakiej wsi, a kto to zdejmie to on się takiej biedy nabawi, że mu krowy cielnemi nie będą.

Skoro to cyganka wszystko zabrała, wprędce wychodzi z domu, śmiejąc się w skrytości, że na tak łatwowiernego natrafiła.

Michał z pod Dynowa.

RÓŻNOŚCI.

Piękne wesele. W Poznańskiem, w włości Kurniku odbyło się zeszłego miesiąca wesele, o którem tamtejsi ludzie długo pamiętać będą. Córka dziedzica Kurnika, hrabianka Działyńska brała ślub z hrabią Potockim. Otóż widzicie na wesele wzięli państwo młodzi na drużbów i drużki parobków i dziewki wiejskie z Kurnika a w gości całą gromadę sprosili. Przed południem 16 chłopaków kurnickich i 12 dziewcząt udało się po pannę młodą, aby ją poprowadzić do kościoła, a wszyscy poubierali się prześlicznie; dziewczęta w niebieskich spodniczkach a czerwonych stanikach i z kwiatuszkami na głowie, chłopcy zaś wedle tamtejszego zwyczaju w szare czapeczki baranie, w sukmany granatowe i z białemi wstęgami u ramienia. Dziewczęta siedziały po cztery na jednym czterokonnym wozie a przed nimi zasiedli grajek i dudarz. Tak odwieźli ci weselni pannę młodą do kościoła. Pana młodego wiodły do ołtarza dwie dziewki wiejskie. Po ślubie poczęło się dopiero wesele sute i prawdziwie polskie. Wieśniaków było na tem weselu kilkaset a wszyscy jedli, pili i bawili się pospołu z panami. Widać, że tam pan z ludem w serdecznej przyjaźni żyje!

Dobra odpowiedź, Przed powstaniem polskiem z roku 1830 rządził był w Warszawie brat cara moskiewskiego, Wielki książę Konstanty. Był to srogi strasznie człowiek, dziki i okrutny, a już z samego wejrzenia niemiły, bo miał twarz brzydką i nos jak haczek do góry zadarty. Otoż ten W. K. Konstanty dał się najbardziej we znaki wojsku, bo nie zmiernie był surowy a przytem zachciewało się mu nieraz dziwnych rzeczy. Raz nakazał Wielki Xiąże, aby całe wojsko polskie wystąpiło na paradę, i aby każdy wojak, czyto prosty

czy oficer, miał wąsy podkręcone mocno do góry. Wszyscy też popodkręcali do góry wąsy wedle rozkazu a tylko jeden pułkownik, zuch tęgi, co potem jak wybuchła wojna prażył Moskwę jak ukropem, nie podkręcił wąsa do góry, mówiąc sobie:

— A co mi tam za niewola, abym ja te fanaberje z wąsami wyrabiał, dla tego, że się tam komuś tego zachciewa. Jak mi wąs rośnie, niech i tak zostanie.

Przyjeżdża Wielki Xiąże na paradę, przegląda wojsko — patrzy — wszyscy mają wąsy do góry, jeno jeden ten pułkownik nie. Rozgniewał się tedy okrutnie i posyła do niego swego adjutanta, aby go się zapytał, czemu wedle rozkazu nie zrobił. Adjutant nadjeżdża do pułkownika i mówi:

— Wielki Xiążę kazał mi się zapytać, czemu pan pułkownik ma wąsy na dół, kiedy wszyscy mają do góry?...

A ów pułkownik na to:

— A zapytaj że się Wielkiego Xięcia, czemu on ma nos do góry, kiedy wszyscy mają nos na dół?..

Adjutant wraca i powiada, a Wielki Xiążę wielce się tym despektem rozgniewał, ale nie pisnął ani słowa, bo wiedział, że ten pułkownik nie da sobie lada za co dmuchać w kaszę.

Syr i Gomuła. Król polski Jan III Sobieski wolniejsze od zatrudnień chwile spędzał z swym przyjacielem i powiernikiem. Tym przyjacielem był Gomuła, tęgi żołnierz i dobry Polak. Owoż ten Gomuła nie umiał żadnym językiem mówić, jeno swoim polskiem. Kiedy Jan III wrócił z swojej sławnej wyprawy z pod Wiednia, gdzie to Turków zgniótł na miazgę, przychodziły do niego z całego świata od rozmaitych monarchów powinszowania do tak świetnego zwycięztwa. Przybył więc także poseł francuzki a wprowadzony do sali zastał dwie osoby, króla i jego przyjaciela Gomułę, w niemałym był przeto kłopocie, który z obu jest królem, bo Jana Sobieskiego nie znał. A że Gomuła był wyższy i tęższy, więc Francuz myślał sobie, że to on jest królem i zaczyna do niego przemawiać po francuzku i nazywać go *Sir*, co znaczy we Francji królewski tytuł. Gomuła nie umiał po francuzku, ale wiedział, że *Sir* znaczy tyle co Najjaśniejszy Panie, — wskazał więc na króla ręką i rzekł Francuzowi grubszym głosem: „Ten pan jest Syr, a ja Gomuła!...“

Krwawa bójka. W karczmie na przedmieściu w Stryju, przyszło niedawno między kilkoma wyrobnikami od kieliszka do bójki, która się na tem skończyła, że jeden drugiemu rozpruł brzuch ostrem narzędziem. Zranionego śmiertelnie odwieziono do szpitala, a winowajcę oddano w ręce sprawiedliwości. Widzicie ludzie kochani, do czego też ten kieliszek prowadzi! Człowiek powinien od niego uciekać, jak od ognia, a tu niestety między nami jeszcze jest dużo tych, co bez kieliszka ani rusz.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. Nr. 9.

21. marca 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Mikołaj Rej z Nagłowic,

pisarz i pobożny Polak.

W naszym polskim kraju hen za Lwowem stoi miasto Żurawno, dokąd to chodzą chłopi polscy na woły, tam stają po dworach do wołów, a potem za pieniądze gonią te woły nieraz aż do samego Wiednia.

Otóż raz zgodziło się z jakich dwudziestu takich wolarzy od Krosna i mieli gnać te woły na Stryj, na Sambor do Przemyśla, a tu mieli je wsadzać na wozy żelazne do Wiednia. Był to wieczór ładny, kiedy ci wolarze pilnowali jakie 200 wołów na łące blisko Żurawna, zapalili sobie ogień, piekli kartofle, pozapalali sobie niektórzy i fajki, i nuż gadać o rozmaitych rzeczach, o różnych ciekawościach, o wsiach i miastach, a był ci tam jeden wolarz Wojtek Pyter, co to chodził do szkoły i uczył się aż ośm lat całych na różnych książkach i znał ci poomacku opowiadać o całym świecie, potrafił ci list napisać nawet i do Wiednia i do Rzymu, a nikt go nie okpił w niczem,

taki był z niego bity na wszystko sztuder. A to miał wszystko ze szkół.

Otóż ten Wojtek Pyter tak zagadał:

— Ano! chłopy, co was tu jest razem, który potrafi co ciekawego opowiedzieć o Żurawnie? boć przecie tyle razy chodzicie tu po woły, to wartałoby i co wiedzieć o niem.

A jeden parobek odzywa się:

— Albo to nie wartają dużo pieniędzy już te woły, co my odganiamy co rok ztąd?

— To prawda, rzecze Wojtek, ale bo są tu inne jeszcze ciekawości ważniejsze nad woły i pieniądze.

— No! rzekli drudzy, ty Wojtku dłubiesz zawsze po książkach, jak wróbel po zdzioble, ty świadom wszystkiego, to nam też opowiadaj co o Żurawnie a my posłuchamy, aby nam się nie drzymało, bo mamy nakaz ostry pilnowania wołów.

Otóż mądry Wojtek Pyter jął tak gadać:

— Żurawno to miasto starodawne polskie choć stoi między Rusinami. A co tu natłukł Tatarów i Turków polski król Sobieski, co był potem pod Wiedniem, a jeden polski jenerał jak wystrzelił na wiwat Turkom z moździerza, to ci to psiarstwo pouciekało za miasto na kilka mil ze strachu. Ale co wojna to wojna, są na świecie bożym ważniejsze rzeczy od wojny, a to są dobre i pobożne książki, dobre i pobożne uczynki, dobre i pobożne dusze w ludziach, albo jaki święty człowiek, jak się gdzie pokaże, oto mi dopiero ciekawości.

A jeden parobek poderwał tak:

— No! to cóżby tu w takiem żydowskiem mieście, jak Żurawno, mogło być takiego?

— Co takiego, rzecze Wojtek, a ja ci tu zaraz powiem. Ta tu się urodził dawno dawno taki mądry Polak, co to spisał tyle książek, że nawet po dworach nie ma tyle — a spisałci bardzo mądre i pobożne książki i znali go ludzie w całej Polsce i na całym świecie.

— No! a jak się to zwał ten taki mądry Polak, co był z Żurawna samego.

— Zwał się, rzecze Wojtek, Mikołaj Rej.

— A co to on za jeden? spytali wszyscy.

— Ja wam tu opowiem, gada Wojtek. Otóż ojciec tego Mikołaja Reja, przyszedł aż z za Krakowa tam z polskiego Szlązka do naszego Krakowa i tu sobie osiadł i pracował na kawałek chleba, a Polacy mu tam nie przeszkadzali, bo kto chciał żyć między Polakami, to mógł sobie żyć, aby jeno cicho, uczciwie i pobożnie. Toż cała rodzina tych Rejów była dobra, a nawet wyszedł z nich aż jeden na biskupa Krakowskiego, a zwał się jakoś dziwnie, pono biskup Nankier — i nie w samym Krakowie byli biskupami z tej rodziny, ale nawet we Lwowie był znowu jeden arcybiskupem polskim i ten był stryjem tego Mikołaja Reja — dla tego to ojciec tego Mikołaja poszedł sobie z Krakowa ni to z jednego końca na drugi koniec Polski, na drugi bo do Lwowa, aby mieć blisko do krewniaka swego arcybiskupa we Lwowie — a jak to mówią dobrze: Kto ma xięży w rodzie, to mu bieda nie dobodzie! tak też i ojcu tego Mikołaja powiodło się dobrze, bo mu się udało wyszukać sobie koło Dobromila w Felsztynie bardzo bogatą i pobożną panię za żonę, co była wielką panią i zwała się Basią Herburtówną, której rodzony brat był w Bieczu koło Gorlic kasztelanem.

— A co to znaczy kasztelan taki? pytali parobczaki.

A mądry Wojtek pali na to do razu:

— Kasztelan to był taki dawny urzędnik w mieście ni to pan Starosta w cyrkule, toż w Bieczu był z dawien dawna taki pan starosta polski, a nim kogo król polski wyznaczył na takiego kasztelana do jakiego miasta polskiego, to musiał sobie na to dobrze zasłużyć — toż i ta Basia była bogatą, bo miała wiano po ojcu z Felsztyna, potem miała dużo pracy po nieboszczyku pierwszym mężu Żorawińskim, co go Turcy na wojnie na kawałeczki porąbali, a znowu miała pomoc od brata kasztelana w Bieczu.

— Ho ho! to był dopiero bogaty ten ojciec Mikołaja, zawołali parobczaki.

— A jeno że tak! rzecze mądry Wojtek, toż siedział ci on w Żurawnie, jak pan jaki, był pobożny, spokojny i cichy,

nie lubił proceśników, i tu mu dał Bóg tego chłopaka Mikołaja, z czego cieszyli się ojcowie, jak nie wiem co.

— A to nie mieli się tam z czego i cieszyć, mówi parobek.

— A mieli z czego, rzecze mądry Wojtek, bo ojcowie byli już podeszli wiekiem, a ten Mikołaj to był jedynak jak oko w głowie, toż ojciec przepadał za nim -- jeno to źle ojciec robił, że pozwalał chłopakowi bąki zbijać, darmo dawał jeść, okrywał, a o szkole ani dudu, tak że Mikołaj w dziesiątym roku ani znał ani widział książki jakiej. A to wszystko narobiło się dla tego, że matka umarła, ojciec pilnował gospodarstwa, a syn bujał po polu jak koń bez uzdy i pastucha. Toż z żalu za matką nieboszczką przeniósł się stary ojciec z Żurawna aż pod Kraków i miał tam wieś jedną w posesyi, a chłopak Mikołaj koło piętnastego roku nie znał jeszcze ani literki na żadnej książce a wyrósł jak drągal i balował sobie.

— No! a cóż stary ojciec na to? zapytali parobczaki.

— A coby, rzecze mądry Wojtek, cieszył się starowina, że miał syna chłopa jak beczka, co jeno łaził po lasach i pukał ptaki, to znowu łapał ryby i przynosił ojcu na jedzenie, co gdzie dostał do ręki. Ale taka uciecha to nie dobra, bo co wart chłopak głupi na świecie? gdzie się obrócisz, to każdy umie coś, a ty stój jak kół w płocie i czekaj aż cię kto wbije albo wyciągnie albo zagrodzi. Toż sąsiedzi wymogli to na starym ojcu, że przecie dał tego Mikołaja do szkoły — i był ten Mikołaj coś kilka lat w tej szkole, kładli to temu jak łopatą do głowy, karali i uczyli, ale Mikołaj jak nieuk tak nieuk, wyrósł już wąsaty, szkołę zarzucił i wrócił do ojca i powiada:

— Zabijcie mię, jeźli chcecie, ja już do szkoły nie pójdę, ale tobie ojcze pomogę na gruncie.

— A cóż z nim zrobił ojciec? spytali parobczaki.

— A juźci go nie zostawił w domu, rzecze mądry Wojtek, ani nie pozwolił próżnować do śmierci — podumał sobie ojciec stary tak: Cóż mi z głupiego syna, choćbym mu zostawił dużo pieniędzy, to to pójdzie marnie, bo mądry da sobie radę, a głupi to zawsze głupi, wyśmieje go każdy, a lada mały żyd okpi i ocygani.

— No! i cóż zrobił z tym Mikołajem? spytali się parobczaki.

A! rzecze mądry Wojtek, powiedział mu tak: kiedy ty nieboże pozierasz jeno na moje palce, a sam się nie garniesz do niczego, to ja ciebie dam dopiero do innej szkoły, a tam cię wyuczą moresu.

— No! do jakiejże szkoły dał go, kiedy on się nic uczyć nie chciał? spytali parobczaki.

A Wojtek powiada na to:

— W dawnej Polsce były rozmaite szkoły — po miastach, po klasztorach wyuczyli cię czytać, pisać, rachować i gadać po łacinie, abyś umiał i do mszy św. posłużyć i w kościele z xiężami zaśpiewać, ale znowu była po dworach u wielkich panów inna szkoła, tam to szli biedni chłopcy w taką służbę, gdzieś się wyuczył przy mądrym panie to na wojaczkę iść na Tatara, to radzić z drugimi nad rzeczami gromadzkiemi, to pomagać komu do dobrego, a jak cię sobie upodobał taki pan wielki, to ci podarował folwark jaki i byłeś szczęśliwy. Toż i Mikołaj nieuk poszedł do takiego wielkiego pana w Sandomierzu na taką naukę i musiał ci sobie pamiętać o koniku i zbroi, musiał na wojnę jeździć, musiał jeździć na radę z drugimi i tak sobie to brał ów Mikołaj do głowy wszystko, że czego się nie nauczył za młodu w szkole to się wyuczył na starsze lata na dworze u wielkiego pana wojewody Tęczyńskiego w Sandomierzu. A nadewszystko umiał ci takie figle wyrabiać każdemu, że się nieraz śmiali wszyscy po całych dniach, a jak ci znowu zaśpiewał i zagrał, to się aż kamienie ruszały. Toż go lubił król Zygmunt stary i królowa Bona, a panowie wielcy przepadali za nim, bo umiał zawsze coś przypowiedzieć i takiego figla komu wypalić, aże się trza było śmiać i za boki trzymać — nawet biskup krakowski dał mu wieś, aby miał czem gospodarować. Ale zmiarkował sobie na końcu, że między takimi mądrymi panami nie ma co robić bez nauki, toż zabrał się do czytania, czytał po nocach i całe święta, czytał rok jeden i drugi i uczył się, aby dognać to, co od maleńkości opuścił.

— No! a czy wyuczył się na starość? zapytali parobczaki.

— A juści się wyuczył, gada Wojtek, kiedy potem tak go wybierały gromady na starszego, aby jechał do Krakowa i tam radził i gadał za gromadami i potrafił tak gadać, że przegadał nie jednego i postawił na swojem. A strasznie też lubił kraj polski i nie ruszył się daleko, bo gadał każdemu:

— Gdzie się kto ulęgnie, tam ciągnie! urodziłeś się między Polakami, to żyj cicho i pobożnie między swojakami, a będzie ci najlepiej na ojcowiznie.

Ani nie chciał być urzędnikiem, choć mu król dawał jaki urząd, bo mówił królowi:

— Urzędnik powinien być najsprawiedliwszy i sumienny, powinien pilnować sprawy, a nie zabawy i jego będzie Bóg bardziej sądził, niż drugiego, toż ja wolę sobie żyć bez urzędu i nie czekać sądu Bożego.

I żył sobie we wsi Nagłowicach koło Krakowa i pisał tam różne pobożne i mądre książki. Ale kto mi to zgadnie, dla czego zowie się ten Mikołaj Rej z Nagłowic kiedy on się urodził w Żurawnie?

A jeden parobek gada:

— Juści powinien się zwać Mikołaj Rej z Żurawna tak jak ja zwię się Szymek Wrona z Polanki, bom się tam rodził i wychował, a z jakiej racyi zwie on się z Nagłowic, to mi ciężko zgadnąć.

A mądry Wojtek odpowiada:

— Tam gdzie kto najwięcej dobrego zrobi, tam go wspominają ludzie najbardziej, toż ten Mikołaj zrobił najwięcej dobrego w Nagłowicach, i na to zowią go od tej wsi.

— A cóż on to narobił takiego w tych Nagłowicach? spytali parobcy.

A Wojtek tnie na to:

— Za to, że był wysłużny na dobre każdemu Polakowi, to mu dał król Zygmunt August wieś na wieczne czasy, a przy tej wsi fundował on miasto, uszczęśliwił tysiące ludzi, dał im sposób do życia, sprowadził tam różne rzemiosła, a sam zasiadł do pisania i wypisał dla Polaków katechizm, potem rady pobożne ni to kazania, potem psalmy, potem żywoty świętych, o potopie — a to wszystko napisał dla polskich

kmieci. To znowu dla dworaków napisał wizerunek to jest jak mają robić i żyć po dworach, aby nie kradli i nie rozpustowali a gospodarzy słuchali. A znowu dla panów napisał rozmowę z xiędzem i chłopami o biedzie, a potem „Żywot poćziwego“ gdzie uczy, jak powinien każdy Polak czynić za młodu i na starość, gdzie go Bóg postawił, aby było jego życie uczciwe, pobożne i prawdziwie polskie i Bogu miłe. A choć tyle xiążek spisał na chwałę Bożą i dla użytku ludzi, to na żadnej książce nie chciał wypisać swoje imię, jeno gadał w pokorze:

— Ja tam taki sobie Polak, niepiśmienny ani mądry bo co wiem, to mam od Boga — a z motyką nie idź na słonko na wojnę, bo nic nie zrobisz i jeszcze cię ośmieją — toć i ja piszę, ale dopiero Bóg osądzi, czy to na co dobrego pójdzie. A był ci taki uczynny dla każdego, że poradził chłopu najbiedniejszemu i bogaczowi darmo i dorazu, i nikt się nigdy przenigdy nie skarzył na niego za jaką krzywdę lub szkodę.

— A to dobry człowiek z tego Mikołaja! zawołali parobcy, i patrzajno się, co to się zrobiło z niego! za młodu zdawał się do niczego, a potem wyszedł na takiego mądrego i to pono sam ze siebie tak się wyuczył, a Bóg mu dopomógł. A to pobożny Polak!

A mądry Wojtek dodał:

— Tak! prawdę gadacie, że ten Mikołaj Rej był za młodu strasznie od ojca i matki pieszczony, jako jedynak, i to mu wychodziło na złe i byłby może się i zmarnował. Ale widzicie, że Bóg nie opuszcza nikogo, kto się Boga trzyma i że nieraz złe wychodzi na dobrze. Toż jak mu matka umarła, wtedy mu zaświtało w głowie, a znowu jak poszedł między mądrych i dobrych Polaków, to wtedy on sam został mądrym i dobrym, bo mówi gadka: Z jakim kto przystaje, takim się staje! Toż i Mikołaj został w końcu pobożnym i przed śmiercią napisał żegnanie ze światem, potem dał całą swoją pracę na fundowanie kościoła w Okszy, tam fundował szkołę, tam umarł i tam leży pochowany.

A wszyscy parobcy westchnęli do Boga za duszę tego Mikołaja, a potem się spytali:

— A zkąd ty Wojtku Pytrze wiesz o tem wszystkiem i znasz opowiadać o wsiach i miastach?

A Wojtek im gada:

— Moi kochani, uczcie się i wy tak tyle lat, ile lat ja się uczył to u pana organisty, to potem u profesorów różnych, to znowu dostawałem sobie we dworze i u xiędza różne druki i pisma, a i wy tak umieć będziecie jak ja umię. A widzicie! jak mi ztem dobrze: z każdym sobie pogadam, do dworu zajdę i tam sobie pogadam, a napiszę sobie wszystko i trafię wszędzie i nie zabłądzę, a mój pan obiecał mię wziąć do dworu za pisarza, a może mi Bóg dopomoże na ekonoma kiedyś, toż z nauką nigdy nie zginę.

To prawda rzekli parobcy, podumali o tem, a potem pokładli się przespać, a wróciwszy do dom opowiadali o tym Mikołaju Reju i drugim.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Jak to bywało.

W tej naszej Polsce, to co się zowie,
Było i szczęście, mienie i dola:
Bogate pany, setni gazdowie,
Obfite plony i żyzne pola!
Na ziemi wolny ludek się mnożył,
A Bóg dobytku i sławy sporzył,
I szabli polskiej trwożył się wróg,
Kochał Bóg!

Złocistym kłosem kryły się łany,
I pełne były wciąż polskie brogi,
Karmił kraj hojnie plon z roli brany,
Nie zaznał głodu, chłodu ubogi.
Bywało Polak i drugim daje,
Wiezie pszenicę w zamorskie kraje,
Szle ludom głodnym w daleki step
Polski chleb!

Polska przy doli, roli i chlebie,
Chwaliła Boga czynem i mową,
Jego wzywała w każdej potrzebie,
I obcym ludom boże niosła słowo,

Niosła im wiarę, chrzest i modlitwę,
Polska to ciemną ochrzciła Litwę.
Wyniszczył z szczętem pogański perz,
P o l s k i k r z y ż!

A razem z słowem świętem i wiarą,
Dawała Polska światło i wolę,
Wspierała ludy nauką starą,
Stawiała sioła, prawiła rolę —
I całej Rusi puste ugory,
Jałowe stepy, bezludne bory
Po Dniepr przeorał, po Dniestr i Bug,
P o l s k i p ł u g!

A była Polska sławna orężem,
Król każdy bywał obrońcą wiary,
A Polak każdy walecznym mężem,
Walczyć za wolność — był zwyczaj stary!
Polska od pogan świata broniła,
Ona pod Wiedniem Turków skruszyła,
I ścigał wrogów na przód i wstecz
P o l s k i m i e c z!

Lecz z czasem znikła wolność i sława,
I padł na Polskę gniew Boga srogi,
Błysnęła dla niej jutrzenka krwawa,
Zdradą i siłą zgniotły ją wrogi!
Choć się broniła, dzielnie walczyła,
Przemogła przecież zdrada i siła —
I dotąd zmywa ten Boży gniew
P o l s k a k r e w!

Stach Barwinek.

Piękne przykłady.

Szkoła we Pniowie.

Opisana przez Skoczka z Radomyśla.

Nie daleko Radomyśla na samym cyplu, gdzie to San do Wisły wpada, stoi wieś Pniów z przyległościami. Otże do tego Pniowa ofiarowałem się przeszłego roku, jechać w same żniwa podczas niedzieli, pójść na sumę, bom tam już parę lat

nie był, a do tego tamtejsi ludzie wychwalali się, że u nich teraz wielkie porządki, to też, żem był wielce ciekawością zdjęty, choć to z Radomyśla jeno milka do Pniowa, alem zaraz raniuteńko wyszedł, żeby zawczasu po chłodzie zajść. Przeszedłszy przez radomyślskie pola i dąbrowy stanąłem już i w Pniowskim lesie na wysokiej, piaskowej górze, aż mi się serce radowało, jakem z tej góry zobaczył może o trzy mile daleko przez równiny. Widać ztamtąd jak San wpływa do Wisły i tuli się do niej jak dziecko do matki, za Wisłą widać sławne miasto Sandomierz i Zawichost, a wieże w Sandomierzu takie jak w Rzymie albo w Krakowie. Idę więc dalej lasem ku wsi. Już i Pniów; chałupy bielusieńkie z kominami na dach murowanemi. O! to nie żarty myślę sobie, to mi prawdę ludziska gadali, bo już z daleka widzę, że porządki, bo przed laty to tam były dymne chałupy, czarne jak święta ziemia. Przy samusieńkiej wsi wstąpiłem na cmentarz, zmówiłem „wieczny odpoczynek“ przypatruję się, wszystko pięknie, akacye, wierzby, krzaki róże powysadzane, piękne ogrody, i nagrobki rozmaite z napisami, co nawet w Radomyślu mało takich. Wyszedłszy z cmentarza idę ku wsi, minąłem parę chałup, ale mię wzięła ciekawość wstąpić do chałupy Filipa Świętka, bo takie miano stało na tabliczce napisane i numer domu nade drzwiami. W sieni na progu siedział Filip w białej koszuli z dzieckiem; pięknie pozamiatane, Filipowa aż się miło było na nią popatrzeć stała przy angielskim kominie i warzyła śniadanie, a dwoch starszych chłopców znosiło z ogródka nagietki i różne kwiatki i stroili obrazy w izbie. Przywitali mię po sąsiedzku, jakbym tam u nich już ze sto razy był, a ja się nie mogłem tym porządkom napatrzyć. Podłoga ci mospaneńku w izbie jak szkło wymyta, obrazów pełno na ścianie za szkłem, lustro, zegar, a tak to wszystko równiutko poustawiane, jakby podle linii.

— A gdzież pana Pan Jezus prowadzi? — zapytał mię Filip.

— Tu do was z Radomyśla na sumę przyszedłem — odpowiedziałem.

— O to zawczasu, dopiero pierwszy raz na różaniec dzwonili — odrzekł Filip — to siadajcie panie i powiedzcie, co

u was słychać, bom tam w Radomyślu już z półtora roku nie był — a czyście już szkołę ukończyli stawiać?

— A już dzięki Bogu, akurat dziś rok jak było poświęcenie — odrzekłem.

— I my już we Pniowie dzięki Panu Jezusowi mamy szkołę — mówił Filip poważnie — chodźcie panie sąsiedzie, to wam ją pokażę.

Wziął na się Filip buty i sukmanę brożkiem i wyszliśmy z chaty. Minęliśmy ze dwie chałup, aż tu widzę piękny drewniany dom na podmurówce, na dwie strony okna, baryery i napis niebieski na białej tablicy „Szkoła". Obeszliśmy ją na około, a ja mówię do Filipa — chodźmyż do środka, bom bardzo ciekawy jak to tam jest wewnątrz. Ja waszego pana nauczyciela i organistę trochę znam, bo on Radomyślak, to on nas tam nie wyżenie.

— O co też gadacie żeby nas miał wygnać? toć my będziemy goście a jak gość w dom to i Bóg w dom. Ja chociażem jest chłop, a z panem organistą Feliksem jestem w wielkiej przyjaźności.

— Weszliśmy do szkoły, a pan nauczyciel przywitał nas jak najpiękniej. Dopiero mi pokazywał co to on tam miał, różne papiery, książki, pieśni przeróżne, a potem poszliśmy na drugą stronę do szkolnej izby. Tu ławek z piętnaście w rzędzie a wszystko stolarską robotą. Bardziusieńko mi się tam podobało i pytam się:

— Któż to tę szkołę tak nagle wystawił?

— Gromada — odrzekł nauczyciel.

— Panie sąsiedzie — mówi Filip — to źle pan nauczyciel gada, on nie wie, bo tu wtenczas nie był, ale ja tego świadom. To tak było: gromada postawiła i dużo na nią łożyła, ale nasz xiądz pleban Aleksander Kupiacki, musicie go znać, bo to po bliskości i pan Bruno Trojacki, co jest u nas niby dziedzicem, to oni na to także łożyli, drzewo i cegłę na podmurówkę, poszewka to z gromady.

— Mój Filipie kochany — mówię — czemuście też wcześniej takiej szkoły nie wystawili, szkoda ot tych dzieci, co się bez nauki zmarniły.

— To prawda proszę pana, ale Bóg świadkiem żeśmy nie mogli — bo to tak było, ja tu wszystko panu z końca opowiem. Myśmy i dawniej nie byli bez szkoły, aleśmy nie mieli takiej prawdziwej szkoły, jeno szkółkę, bo nieboszczyk organista uczył zawsze po parę chłopaków w swojej izbie, ale to ta mało było z tego nauki, bo on już był i stary, rady sobie nie mógł z dziećmi dać, i nie był tak uczony, jak ot pan Feliks teraźniejszy. Aleśmy zawsze od dawna gadali o szkole takiej jak to i xiądz pleban na to naciągał; ale mój panie to znowu dużo gadać — powiem wam wszystko, żebyście nie mówili, żeśmy dawniej o szkole nie myśleli. Byłem wójtem i sam nie dwa razy gadałem do xiędza plebana, żeby szkołę stawiać, ale xiądz mi tak raz naraz odpowiadał: Mój Filipie! ja dzień i noc myślę o szkole, ale że pan Trojacki mieszka teraz w Krakowie, gromada biedna i ja na dorobku, to cóż zrobimy? chcieć postawić szkołę, toby trzeba taką jak ja myślę, a choćbyśmy i budynek wystawili, to jeszcze na tem nie koniec. Namby trzeba nauczyciela nowego z większą nauką jak Franciszek organista, zresztą mój Filipie my nie jesteśmy w stanie utrzymywać osobnego nauczyciela, u nas trzeba, żeby nauczyciel był oraz i organistą i to będzie miał trochę ze szkoły, resztę z kościoła i będzie mógł jakoś dychać, a organisty Franciszka przecie nie mogę odprawić, bo on tu już przy mnie przy trzecim plebanie służy kościołowi całą duszą. Ja tu raz do niego zagadywałem, żebym mu przyjął jakiego organiściaka do pomocy, a on z płaczem upadł mi do nóg i prosił: Ojcze duchowny, to ja tu przez 56 lat byłem dobry, tum zrósł i zdrowie utracił, a teraz byście mię odegnali? to bym ja się już i na świat nie mógł pokazać, młody byłby lepszym a ja stary nic bym już nie znaczył, nie róbcież mi tego, niech już w tej służbie Bożej będę do śmierci, nie róbcie mi tego, bobym zaraz umarł!

— A to co inszego mój Filipie — odrzekłem — jakby był xiądz pleban Franciszka odprawił choć po dobremu, i żeby mu był nawet dał łaskawy chleb, toby dla niego była wielka krzywda, on widać służył kościołowi i xiężom całą duszą, a jakby go byli odłączyli, to tak jak dziecko od piersi matczynych.

— Dobrze mówicie panie sąsiedzie — rzekł Filip poważnie — nieboszczyk Franciszek już na sądzie Boskim spoczywa. Pan Trojacki sprowadził się do wsi, wzięliśmy się wszyscy za ręce i mamy szkołę.

— Powiedzcież mi Filipie, ile ona was kosztuje? pytałem.

— Tego na pamięć nie wiem — odrzekł Filip — bo to i gromada dawała i xiądz dawał i pan Trojacki dał dużo drzewa, ale myślę, żeby chciawszy taki piękny dom postawić, toby kosztował więcej jak tysiąc reńskich w srebrze.

— A dużoż tu dzieci chodzi na naukę? — pytałem.

— Ośmdziesiąt — odrzekł nauczyciel.

— A ileż pensyi ma nauczyciel za to? — pytałem.

— Pensyi za szkołę — mówił Filip — ma 140 zł. na wieczne czasy z gromady, pan Trojacki dodaje rocznie 20 zł. i 6 sągów na opał, xiądz pleban ze swojej kieszeni daje rocznie 10 zł., a z kościoła ile panie Feliksie macie? — pytał Filip nauczyciela.

— Pensyi kościelnej mam 50 zł., a tak z tych różnych kościelnych przychodów będzie ze 100 zł. — odpowiedział nauczyciel.

— Poczekajcie no panie sąsiedzie, mówił do mnie Filip — bo my oprócz tego dajemy jeszcze na różne drobne potrzeby szkolne 6 zł. rocznie, a teraz daliśmy 50 zł. na raz.

— A na cóż to? — pytałem.

Dopiero nauczyciel otworzył wielką szafę i zaczął pokazywać:

1. Dużo książek, piór, ołówków, papieru, kredy i atramentu ze dwa garnce dla ubogich dzieci.

2. Taką wielką kulę drewnianą, papierem obklejoną, a na niej różności popisane, niby o ziemi; uczą się na niej dzieci, większa jak głowa, a nazywa się globus.

3. Takie papiery popisane i pomalowane co się uczą na nich o każdym kraju.

4. Drabinkę co jest na niej dziesięć drutów, a na każdym drucie po dziesięć gałek jak orzechy, a na tem uczą się dzieci rachować.

5. To znowu takie duże papierzane litery, co się uczą na tem czytać.

6. Czarne tabliczki co się uczą na nich pisać, i różne insze potrzebne rzeczy, a drogie bo aż w Rzeszowie to pokupili.

Oglądaliśmy to wszystko, a nauczyciel mi tłumaczył jak co na tem idzie, podziękowaliśmy mu za dobre słowo i wyszliśmy z Filipem ku plebanii co stoi na pagórku w ogrodzie gdyby w raju. Dopierom się nie mógł napatrzyć, jak to tam pięknie, pasieka, sad, a wszystko widać młode, i pytam się Filipa:

— To ten sad nie dawno musi być założony?

— Dopiero za tego plebana — odrzekł Filip — bo ten pleban to sam sadzi i szczepi i chłopów już wyuczył.

Tu u nas teraz tyle jest drzewiny, że poszukać takiej wsi daleko. Ja sam już ze 200 krzaków przywiózłem z Medyki i to się już rozmnożyło.

Oglądałem wszystko ciekawie, aż zadzwonili w kościele, poszliśmy z Filipem na cmentarz pod lipę w cień. Tu znowu widzę nową murowaną dzwonnicę i mówię do Filipa:

— Gwałtu tom się nie spodziewał, że ja u was takie porządki zobaczę, ja myślałem że w Radomyślu najpiękniej, a i u was widzę, że to nie żarty.

Na tę mowę Filip się uśmiechnął, poprawił sukmanę i rzecze:

— Mój sąsiedzie szanowny, u nas dawniej źle było: pijatyki straszne się odbywały, a to przecież wiemy, że jak u arendarza są srebrne świeczniki na szabas, to u gospodarza nie ma i glinianej miski, a w kościele ani świeczki. Tu była połowa takich chłopów, że jakbyś był zmaczał kij w gorzałce i dał mu pod nos powąchać, to by był za węchem i milę leciał, teraz bo parę lat jak ustatkowali, to też ot widzicie co z tego mamy, pociechę wiekuistą.

Znowu zadzwonili, a ludek ze wszech stron się sypie do kościoła. Chłopy mospanie w białych parciankach na lekko, w pasowych butach, kobiety w granatowych żupanach z czerwonemi wyłogami na piersi, bielutko, korale, dziewuchy w krasych chustkach, w muślinowych spodnicach, a wszystko tak wystrojone aż szumiało, gdyby do ślubu. Idą do kościoła, wiele

wiele sobie siada przed przedsionkiem, przed kościołem, bo w kościele miejsca mało, tyle się luda nazbierało. Myśmy się z Filipem na chór dostali i tameśmy z organistą spiewali, o przezacnej księżnej dziewicy, świętej Rozali pustelnicy.

Po sumie oprowadził mię Filip po kościele, do zakrystyi i wszystko mi pokazywał. Nie mogłem się napatrzeć, jakie oni to tam mają drogie i piękne rzeczy, a jeszcze mieli do Krakowa posłać 200 zł. na srebrne świeczniki. Po tem wszystkiem takeśmy się z Filipem zapoznali, że mię wziął do siebie na obiad, nagadaliśmy się jeszcze wiele, po nieszporach odesłał mię swemi końmi do Radomyśla i teraz jak się jeno do Radomyśla pokaże, to mię już nie minie, a wam moi mili dla tego to w Dzwonku opisuję, żebyście wiedzieli o tym Pniowie i o tych porządkach.

RÓŻNOŚCI.

Straszny wypadek. W Koszycach wielkich pod Tarnowem, wpadli na jedno tam wesele dwaj znani w okolicy złodzieje, z których jeden przezwany był czarnym Jankiem, i wraz z gośćmi przysiedli się do wieczerzy, i z niemi oddalili się. Nie długo jednak potem wrócili do mieszkania państwa młodych, i żądali aby ich traktowano. Dali im co można było, lecz gdy oni co raz więcej żądali, gospodarz poszedł do karczmy, zwołał chłopów, a ci wpadłszy, rzucili się na obu napastników z drągami, i tak ich zbili, że o północy oba ducha wyzionęli. Sprawcy tego czynu, zostali pod sąd wydani. Tyle razy przemawialiśmy do was ludkowie kochani, żebyście się podobnego wymierzania samowolnie kary na złoczyńców nie dopuszczali, bo wy nie jesteście sędziami; a przecie miły Boże, tak często się to przytrafia, co o strasznej ciemnocie ludzkiej dowodzi. Jak wam kiedy złoczyńca jaki wpadnie w ręce, to wasze prawo jest związać go i odprowadzić do sędziego lub wójta w gminie; a takim postępkiem będziecie mieć i sumienie czyste, i pokażecie żeście ludźmi jak się patrzy. Kto inaczej robi, sprzeciwia się okrutnie prawom Bożym, i prawom cesarza, który w swojej dobroci karę bicia znosi w kraju, a tu się zdarza często, że ludzie kogo im się podoba, nie tylko biją, ale go często gęsto bez sądu i zabiją.

Wilk wściekły. Okropny wypadek zdarzył się nie dawno w okolicy Krzemieńca. Wilk wściekły wpadł

wśród dnia białego do wsi Żołobów, należącej dawniej do starostwa Krzemienieckiego, i tam pokaleczył kilkanaścioro osób. Dziś mówią, iż już przeszło czterdzieści osób jest wścieklizną dotkniętych. Rząd nie robi na to żadnych zaradczych środków, okropne wieści rozchodzą się każdego dnia o tych nieszczęśliwych chorych, którzy się rozbiegają wszędy, i kaleczą każdego, kogo spotykają.

Ród ludzki. Wedle obrachunków żyje na całym świecie 1288 milionów ludzi, a jak wiecie jeden milion znaczy tyle co tysiąc tysięcy. Otóż w tej okrutnej liczbie ludzi, zamieszkujących świat, jest blisko cztery tysiące różnych mów i tysiąc rozmaitych religij. Rocznie umiera na całym świecie przeszło 333 milionów ludzi, na dzień zaś 92 tysięcy, na godzinę prawie 3 tysiące, a co minutę 60, a w tej chwileczce, co jeno okiem mrugniesz, jeden człowiek. Obliczyli dalej, że na 10 tysięcy ludzi dopiero jeden człowiek dożyje sto lat, a na 500 jeden 80 lat, zaś na 100 ludzi jeden 65 lat. Z tych wszystkich 1288 milionów ludzi, co żyją na całym świecie, jest 335 milionów chrześciańskiej wiary, 5 milionów żydów, a reszta sami poganie.

Kołacz nad kołacze. Za dawnych czasów, kiedy ludziom było lepiej a chleba starczyło każdemu do syta — to działy się nieraz rzeczy, w które dziś ledwo człek uwierzyć może. Kiedy król polski August II, co to był Sas z rodu, odwiedzał raz swój kraj saksoński, to mu poddani jego dali w podarunku okrutnie duży kołacz. Kołacz ten był taki wielki, że go wieziono na wozie, co miał długości 16 łokci, a ciągnęło go ośm koni. Na kołacz ten wyszło 150 korcy mąki, 82 kóp jaj, dwie beczki mleka, beczka masła i cała beczka drożdży. Miał ten kołacz pięć sążni długości, a dwa sążnie szerokości. Król kazał ten kołacz pokrajać. Do tego krajania musiano zawołać cieślę i ten cieśla ogromnym nożem na trzy łokcie długim krajał ten kołacz ogromny. Co też to ludzie nie robią, jak im dobrze na świecie!

Lekarstwo na odmrożenia. Wyczytałem lekarstwo na odmrożenie bardzo prostee i podaję wam je, chociaż już tego roku po tak słabej zimie, pewnie go nikt nie będzie potrzebował: Rozgotuj we wodzie zwyczajną rzepę lub galarepę na papkę, którą przestudziwszy poprzednio, włóż na kawałek płótna spranego, przyłóż papkę na miejsce odmrożone, przywiń drugim kawałkiem szmaty i zawiąż sznurkiem, tasiemką albo jakim skrawkiem. To powtórzysz rano i wieczorem przez kilka dni, a odmrożenie zniknie.

Jest też inne lekarstwo na odmrożenie. Bierze się kamfory i rozpuszcza się w nafcie, a potem do tego dodaje się topionego smalcu lub łoju. Gdy to zastygnie naciera się na noc odmrożone miejsca, a skutek będzie dobry.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. Nr. 10.

1. kwietnia 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

POWSTANIE POLSKIE W ROKU 1830.

I. Jak stały rzeczy w Polsce po wojnach Napoleońskich.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Znowu zabieramy się, kochani bracia, opowiedzieć wam tu choć po krótce, co się dalej działo z naszą ukochaną ojczyzną Polską po owem strasznem nieszczęściu, kiedy to jej wolność odjęto i w trzy ją kawałki rozerwano. Będzie to znowu opowiadanie o krwawych wojnach i bitwach, które Polacy staczali z swoimi wrogami, aby sobie nazad wolność i ojczyznę wywalczyć. Więc też znowu dowiecie się z tego, ile to Polacy doznali srogiego ucisku, jak dochowali w niewoli i nieszczęściu wiary swej ojczyźnie, jak chwycili za broń i z wielką walecznością uderzyli na nieprzyjaciół, i ile to krwi serdecznej polało się na naszej ziemi...

Zeszłego roku opowiedzieliśmy wam historyę wojen cesarza Napoleona. Wiecie już o wielkich bojach tego cesarza i o pomocy, jaką mu dawali Polacy. Przypominacie sobie pewnie także, że cesarz Napoleon nie dotrzymał obietnic Polakom

i zamiast całej Polski tylko małe księztwo warszawskie ustanowił. Kiedy sam Napoleon został wreszcie pokonany zupełnie — wtedy już dla Polski zginęła wszelka nadzieja, bo została ona odtąd na łasce swoich nieprzyjaciół.

W roku 1815 zjechali się posłowie tych mocarstw, które pokonały Napoleona, do Wiednia na narady, a narady te nazwano kongresem wiedeńskim. Na tym kongresie radzić miano także, co się ma stać z Polską. I otóż stanęło na tem, że Austrya zatrzymała nadal przy sobie Galicyę i odzyskała Wieliczkę, gdzie to znajdują się ogromne kopalnie soli; Prusak zagrabił Gdańsk, Toruń i Księztwo Poznańskie — reszta zaś Polski przypadła Moskalowi. Moskal też przywłaszczył sobie już dawniej Wołyń, Podole, Ukrainę i Litwę i połączył je z Moskwą, a to samo chciał uczynić teraz i z tym kawałkiem Polski, w którym Napoleon ustanowił był księstwo warszawskie. Ale na to nie chcieli się zgodzić inni monarchowie, więc Moskal tylko pod tym warunkiem zabrał i to dawniejsze księztwo warszawskie, że z niego miało być zrobione Królestwo polskie.

To ustanowienie Królestwa polskiego, które uradzono na kongresie wiedeńskim, było wierutnym tumanem i chyba jeno na kpiny. Bo co mi to było za Królestwo polskie bez Litwy i Rusi, a do tego jeszcze pod panowaniem moskiewskiem?... Wyraźnie było to jakby na śmiech zrobione a nie na pożytek albo pociechę Polaków. Kiedy więc to Królestwo polskie objął pod swe panowanie Moskal, to musiał przyrzec, że w niem zachowa konstytucyę i wolność i że przynajmniej na tym skrawku polskiej ziemi ma być wszystko polskie, i urzęda i wojsko.

Ale już to z góry przewidzieć było można, że Moskal niecnota tego wszystkiego nie dotrzyma. Car moskiewski Aleksander wprawdzie się łasił i podchlebiał z razu Polakom, ale to był fałsz wierutny i zdradziecka obłuda. Skoro się tylko car ogłosił królem polskim, pokazało się zaraz, że nie myśli nawet o tem, aby Polakom zachować wolność i prawa. Choć w tem Królestwie polskiem była konstytucya i polskie wojsko, to przecież w czem tylko mógł Moskal, to dokuczał i broił.

Za głównego gubernatora dał car moskiewski do Warszawy swego brata, Konstantego. Wielki książe Konstanty ożenił się

był z Polką, Grudzieńską, ale mimo to był okrutnym dla Polaków. Rządził on w Warszawie po swojemu, dokazywał i broił, wyrabiał gwałty i bezprawia najrozmaitsze. Srogi to był człowiek ten Wielki książe Konstanty. Już z samej jego twarzy poznać było można, jaki to okrutnik dziki. Na głowie miał włosy najeżone, brwi jak szczecina, oczy jak u zwierza a nos płaskaty i do góry zadarty. Jego też car wyznaczył za głównego dowódcę polskiego wojska. Toć też opłakany był stan polskich wojaków pod tym okrutnikiem. Za lada małą przewinę, za głupstwo, karał on nielitościwie żołnierzy. Jeżeli na paradzie żołnierz który tylko jeden guzik miał źle zapięty, lub kapina rdzy gdzie była na karabinie, to zaraz był srogo i nieludzko karany.

Ale nie tylko dla wojska był Wielki książe Konstanty takim okrutnikiem. Dał on się we znaki całemu krajowi, wyrabiał gwałty w Warszawie, uciskał lud, dokazywał rozmaicie wedle swojej dzikiej moskiewskiej natury.

Był wprawdzie sejm w Warszawie i sejm ten dopominał się zawsze o sprawiedliwość dla Polski, ale było to groch rzucać o ściany. Sejm swoje — a car swoje. Sejm się skarży i prosi, aby zaniechano bezprawia, a car głosy i prośby sejmu puszcza sobie mimo uszu i ani mu na myśli, aby Polakom dochować wiary. Taki to był stan Królestwa polskiego.

A cóż dopiero działo się w tych ziemiach polskich, które Moskale oderwali od Polski i przyłączyli gwałtem do moskiewskiego państwa, to jest w Litwie i na Rusi! Tam to dopiero moskiewscy gubernatorowie gospodarowali z surowością i okrutnością wszelką, zakazywali nawet mówić po polsku, prześladowali, grabili, więzili!...

Domyślacie się tedy wreszcie już sami, że tak długo zostać nie mogło. Gwałty i bezprawia moskiewskie jątrzyły i burzyły Polaków coraz bardziej. Polacy nie zapomnieli ani na chwilę o swej ojczyźnie i o wolności, a nie mogąc odrazu wystąpić przeciw Moskalowi otwarcie, przygotowywali się potajemnie do wojny. Zbierali się tedy ludzie co najdzielniejsi, Polacy co najlepsi, którzy najbardziej umiłowali swą ojczystą ziemię, i układali między sobą spiski przeciw Moskalom.

Już w roku 1821 pewien waleczny jenerał polski Umiński przyjechał do Warszawy i tam potajemnie począł gromadzić co najdzielniejszych Polaków i zmawiać się z nimi na Moskalów. Schodzili się oni po nocy i radzili, co robić wypada. Należał do tego tajemnego związku taże jenerał Prądzyński — a każdy z tych Polaków składał taką przysięgę na szablę i na portret Kościuszki, co już był dawno umarł:

— Przysięgam na Boga i ojczyznę, że wszystkich sił dołożę dla podźwignienia mojej nieszczęśliwej, kochanej matki Polski i że dla niej nie tylko mienie ale i życie poświęcę. Wzywam Boga na świadka a wy dusze sławnych i walecznych Polaków: Żółkiewskiego, Czarnieckiego, Poniatowskiego, Kościuszki umocnijcie mnie duchem waszym.

Ten tajemny związek Polaków przeciw Moskalom nazwany został towarzystwem patryotycznem i zaraz do niego poczęli przystępywać Polacy nie tylko z Królestwa ale i z Wołynia, Ukrainy i Litwy, a ledwie rok minął, już pięć tysięcy Polaków było w tej zmowie. Na Litwie, w Wilnie, zmawiali się po cichu studenci, a na ich czele był pewien bogobojny i zacny Polak, student Tomasz Zan.

Tymczasem i sami Moskale, którzy widzieli jak ich okrutnie car uciska, i pod jakim srogim biczem lud moskiewski jęczy, zaczęli z swojej strony przemyśliwać nad tem, aby się wyswobodzić z pod jarzma carskiego. W każdym narodzie, choćby najdzikszym znajdą się ludzie zacni i dobrzy. Więc też i między Moskalami znaleźli się tacy, którzy poczęli potajemnie radzić o tem, jakby tu lepsze sprowadzić czasy. Najbardziej się tem trudnili czterej Moskale: Rylejew, Pestel, Bestużew i Murawiew, bardzo zacni i dzielni mężowie, którzy od dawna znienawidzili okrucieństwo i ucisk swego cara. Wnet też ci Moskale dowiedzieli się, że i Polacy także tajemnie się zmawiają, i dla tego też chcieli się razem porozumieć i połączyć. Wysłali tedy z swojej strony, a Polacy z swojej pełnomocników, aby się wspólnie naradzić i iść ręka w rękę.

Ale nim to się stało, zaszło wielkie nieszczęście. Moskiewskie szpiegi zwąchali jakoś tę sprawę, a znalazło się też kiku podłych szubienników Polaków, zdrajców bez sumienia, i

ci wykryli spisek. Moskale też zaraz rzucili się do prześladowania i poczęli tropić i chwytać spiskowych. W Wilnie porwali studentów do więzienia, katowali i męczyli ich okrutnie a potem albo rzucali w ciemne lochy na wieki, albo dawali w sałdaty, albo na Sybir. Tak to wysłali na wygnanie i owego szlachetnego młodzieńca, bogobojnego Tomasza Zana. W Warszawie też poczęto chwytać i więzić Polaków. Car dał Wielkiemu księciu Konstantemu władzę chwytania i skazywania na śmierć bez pardonu. Nachwytali też Moskale mnóstwo Polaków, pozamykali ich do więzień, bili, męczyli, katowali. Ale choć nad niejednym pastwili się najokropniej — to przecież nie mogli wymusić na nim zdrady. Pułkownika Łukasińskiego katowali Moskale tak okropnie, że aż włosy na sam opis stają człeku na głowie od zgrozy, pastwili się nad nim z dzikiem okrucieństwem, zadawali mu przeróżne męki, aby odkrył i wyznał wszystko, ale Łukasiński wytrzymał wszystko jak ongi męczennicy święci i nic nie zdradził. Polało się dużo krwi polskiej pod rękami moskiewskiemi ale to nie zastraszyło innych. Niebawem pochwytały szpiegi moskiewskie także owych Moskali, co się na cara zmawiali. Nieszczęśliwi ci biedacy, Rylejew, Pestel, Murawiew poginęli po okrutnych mękach pod ręką kata.

Ale choć tak Moskale wykryli ten spisek — to przecież, jak wam już powiedzieliśmy, nie zastraszyło to innych Polaków. Posłuchajcież jak się dalej stało. Była w Warszawie szkoła wojskowa, gdzie się uczyli na oficerów młodzi Polacy. Szkoła ta nazywała się szkołą podchorążych. W szkole tej byli sami dziarscy chłopacy, dusze rogate i ogniste, coby świat cały wywrócić były gotowe a za Polską to choćby i w ogień by poszły! Ci podchorążowie uczyli się wszystkich wojskowych rzeczy, ubrani też byli po wojacku i umieli tak pełnić służbę, jak żołnierze inni, a surowo ich bardzo trzymano. Było tych chwatów podchorążych razem 300, ale każdy starczył za dziesięciu, a wszyscy kochali się jak bracia a nienawidzili Moskali z całego serca.

U tych podchorążych byli nauczycielami oficerowie z pułków polskich. Otóż był tam takim nauczycielem także P i o t r

Wysocki, oficer od grenadyerów. Spamiętajcie sobie to imię dobrze, był to zacny młodzieniec, dusza cnotliwa i czysta, a pełna wielkiej miłości do ojczyzny. Ten Piotr Wysocki począł więc zmawiać podchorążych na Moskali — a już to długo mówić i doradzać nie potrzebował, bo podchorążowie zuch w zucha, byli na to jak na lato. I tak w roku 1828 powstała ta nowa zmowa przeciw Moskalom.

Ze szkoły podchorążych rozeszedł się spisek dalej między całem wojskiem. Wojsko polskie, choć je Wielki książe Konstanty tak srodze uciskał i prześladował, nie straciło ducha — a każdy żołnierz kochał ojczyznę nad wszystko a pragnął tylko pomścić się na Moskalu za wszystkie krzywdy. To też rychło przystąpiły do tej zmowy tajemnej polskie pułki, które stały w Warszawie, a było tego polskiego wojska w mieście razem około pięć tysięcy.

Kiedy już tak zmówili się podchorążowie i oficerowie polskiego wojska, między sobą i z innymi niewojskowymi Polakami, wtedy zaczęli myśleć jakby wychować swe dzieło i zrobić powstanie przeciw Moskalowi. Wyznaczyli na termin powstania marzec roku 1831. Ale tymczasem zaczęli coś miarkować Moskale i myśleli już o tem, aby wojsko polskie zabrać z Polski i posłać je do moskiewskich krajów.

Jak się o tem dowiedzieli spiskowi polscy w Warszawie, uradzili przyspieszyć powstanie, bo by już potem, gdyby car wojsku polskiemu kazał był do Moskwy wymaszerować, było wszystko zapóźno. Wyznaczyli tedy na termin powstania w Warszawie noc z 28. na 29. listopada.

Co się dalej stało i jak się stało — opowiemy wam w przyszłym numerku.

Do skowronka.

Po nad niwą spiewa skowroneczek mały,
Bo on sobie wolny, bo świat jego cały;
Rosa go napoi, słoneczko ogrzewa,
Więc on chwalę Panu cały dzionek śpiewa.

Skowroneczek sobie jest panem na niebie,
Bo sam Stwórca myśli o jego potrzebie,
Pan Bóg go nakarmi, Pan Bóg przyodziewa
Za to skowroneczek chwałę Jemu śpiewa!

Szczęśliwy, wesoły, buja po lazurze,
Któż go skrzywdzić może, gdy zawiśnie w chmurze?
Słonko go popieści, a chmura osłoni,
Któż mu być swobodnym, kto śpiewać zabroni?!

I nam słonko świeci, i nam rodzi rola,
Przecież straszny smutek zaległ nasze pola,
I rolnik za pługiem idzie pochylony,
I żałośną skargą jęczą nasze dzwony....

O ty skowroneczku dzielisz z nami dolę:
Czujesz radość naszą — cierpisz z nami bole,
Powiedz czyli mógłbyś, na nowo o wiośnie
Po nad ziemią naszą — zanucić radośnie?...

A więc kiedyś Panu jest już taki miły,
To Mu pokaż nasze, znów świeże mogiły:
Może Stwórca wejrzy na nasze zagrody,
Dozwoli skosztować twej ptaszku swobody.

A jeźli ci trudno spełnić prośby moje,
To mi użycz twoich chyżych skrzydeł dwoje,
O! odstąp na chwilę twej złotej piosenki:
A ja nią wyśpiewam Panu nasze jęki.

Henryk Stroka.

Wdzięczny żyd.

Zdarzenie prawdziwe.

Lat temu będzie kilkanaście, kiedy się zdarzył ten wypadek, który wam tu opowiedzieć zamyślam. Na samym końcu wsi Taszowa mieszkał Tomasz Sędzic, kmieć zamożny i szanowany, a z dobroci i miłosierdzia na całą wieś sławny. Było to właśnie w grudniu, w dzień bardzo zimny i mroźny. Miało się mocno ku wieczorowi a wiatr dął przeraźliwie i miotał śniegiem po polu. Tomasz Sędzic siedział w chacie wraz z żoną,

dziećmi i parobkami przy wieczerzy, kiedy nagle zasłyszał ze dworu jakiś krzyk, niby jęczenie albo wołanie o pomoc.

— Hej! ano czy słyszycie! — zapytał Tomasz parobków — jak tam ktoś na drodze jęczy i woła?...

Parobcy nastawili uszy i słuchali bacznie — a ów głos jęczący odezwał się znowu z cicha i przepadł w świstach wiatru.

— A nużno Szczepanku — rzekł Tomasz do jednego z parobków — wyjdźże na drogę i popatrz, coby to być mogło.

Szczepanek wstał z ławy i wybiegł z izby a po dobrej chwili wrócił nazad.

— A cóż tam takiego? — zapytał Tomasz.

— At, panie gospodarzu — jakiś tam żydzisko leży w rowie i jęczy strasznie. Powiada, że go choroba napadła na drodze i przemarzł okrutnie, ta nie może już iść dalej.

— No i cóżeś zrobił? — zapytał Tomasz.

— Ba a cóż miałem zrobić, podniosłem go na nogi, i kazałem mu iść do karczmy, to się tam ogrzeje.

— Ale toć karczma ztąd daleko, aż za drugim końcem wsi, a żyd jeźli chory, to nim tam zajdzie, to gotów gdzieś paść na drodze i zginąć marnie na mrozie!

— Owa! co mi tam to za szkoda! — rzecze na to Szczepanek — będzie jednego żyda mniej na świecie. A dyć się to i tak tego szachrajstwa okrutnie namnożyło!

— Ej nie gadaj tego Szczepanku — odpowiada Tomasz — choć on żyd, to przecież jest naszym bliźnim, a wiara chrześciańska nakazuje ratować biednego w nieszczęściu. Basiu, podaj mi kożuch, to chyba pójdę z Szczepankiem po tego chorego żyda.

— A to po co? Ot siedziałbyś w cieple, i takeś się już dziś namitrężył na zimnie — rzecze Basia, żona Tomasza.

— Jak to poco? A toć, jeśli chory i iść dalej nie może, to trzeba go wziąć do izby, ogrzać i przenocować.

— Ale co wam Bóg dał panie gospodarzu — mówi na to Szczepanek — toć on może chory na jaką chorobę albo co, a na co wam kłopotu i nieszczęścia w domu.

Ale Tomasz nie słuchał tej gadaniny, chwycił kożuch na siebie i wybiegł z Szczepankiem na dwór. Patrzy a żyd

leży w śniegu i już prawnie ducha z siebie oddaje, bo jeno jęczy i stęka słabym głosem. Tomasz nie wiele myśląc wziął z Szczepankiem żyda na bary i zaniósł go do chałupy. Tu go zaraz począł odcierać śniegiem, a gdy żyd przyszedł do siebie, nakrył go własnym kożuchem, aby się ogrzał, jak należy.

Żyd ten był bardzo ubogi i pochodził z pobliskiego miasteczka, skupował zajęcze skórki, szmaty, stare rzeczy i handlował paciorkami i szpilkami. Snać biedaczyna wybrał się z swym towarem w drogę, a gdy wracał do miasta zasłabł na mrozie i byłby przepadł w śniegu na zawsze, gdyby nie miłosierny Tomasz.

Gdy się biedny żydek rozgrzał w cieple, przyszedł już całkiem do siebie i zasnął dobrze. Na drugi dzień rano, kiedy się w chacie Tomasza pobudzili, już i żydek nie spał. Zebrał się biedaczysko prędko, spakował swoje manatki, a gdy go się Tomasz zapytał, jak mu teraz na zdrowiu, to padł mu do nóg i całując go po rękach mówił:

— Niech wam to Bóg stokrotnie nagrodzi, panie gospodarzu, żeście mnie nędznego żyda od śmierci uratowali. Ja żyd jestem i biedny człowiek, ale wam tego nigdy nie zapomnę i aż do śmierci wdzięczny wam będę. Wyście zrobili bardzo piękny uczynek, a Bóg dobry i za żyda wam odpłaci. Ja mam starą, biedną matkę, a gdybym był tu przepadł na mrozie, to biedna staruszka byłaby z głodu i z utrapienia umarła.

Tak mówił biedny żydzisko i aż płakał, dziękując Tomaszowi i całując go po nogach i rękach. Potem pożegnał się i poszedł dalej w swoją drogę, a za kilka dni już i zapomniał Tomasz o tym całym wypadku, bo sprawiedliwy człowiek nie chlubi się i nie wypomina miłosiernych uczynków, które spełnił.

Minęło od tego czasu lat kilkanaście, a w tym czasie wiele się u Tomasza zmieniło. Jakoś nie szczęściło mu się w niczem — a coraz gorsze nastawały dla niego czasy. Jednego roku zalała mu woda grunta i zabrała wszystko z pola, drugiego roku naszedł na te okolice pomorek na bydło i cała chudoba Tomasza marnie zginęła. Coraz gorzej szło Tomaszowi, musiał się zapożyczyć a do tego gdy jeszcze syna za-

brano do wojska, to już prawdziwa nędza zaczęła mu doskwierać.

Powiadają ludzie, że bieda jak się już jakiej chaty czepi, to już oknami i drzwiami lezie i że nieszczęście nigdy samo jedno nie przychodzi. Tak się stało i Tomaszowi. Na dobitek wszystkiego złego zajęła mu się jakoś pod jesień chałupa i mimo ludzkiego ratunku spaliła się ze wszystkiem, bo wiatr tej nocy wiał ogromnie, jakby na złość. I tak z bogatego gazdy stał się naraz Tomasz prawie żebrakiem. Nie miał już teraz ani chaty, ani bydła, ani ziarna, jeno czyste pole, którego nie było za co uprawić i zasiać.

Możecie sobie tedy wystawić, w jakiem ciężkiem był położeniu Tomasz. O zapomogę trudno było bardzo — i nie było innej rady, jak tylko zapożyczyć się do reszty w mieście u żydów. Naradził się sam z sobą Tomasz: gruntu miał piękny bardzo obszar, chciał więc na ten grunt pożyczyć pieniędzy. Zabrał się tedy biedaczysko do miasta, ale nie wiedział jeszcze, do kogo się udać po pożyczkę. Wstąpił więc do swego starego znajomego, szewca Wawrzyńca i opowiedziawszy mu całą swą nędzę, pyta, gdzieby tu na jaki ludzki procent pożyczyć pieniędzy, aby się choć jako tako pobudować i zapomódz w chudobę.

— Oj trudno to, bardzo trudno — mówi majster Wawrzyniec — mamyć my tu wprawdzie w mieście takich żydów, co wieśniakom pożyczają pieniądze, ale to są szachraje i rabusie wierutni. Jak się w ich ręce dostaniesz, zginąłeś człeku na wieki. Taki zdrajca pożyczy ci 50 reńskich a każe sobie wypisać tratę na 100 reńskich a potem wydusi od ciebie lichwę niemiłosierną — a w końcu sprzeda ci grunt i samego osadzi w areszcie!

— Ba, ale cóż ja pocznę nieszczęśliwy! — rzecze na to zafrasowany Tomasz — toć pod gołem niebem nie przezimuję, a gruntu jak nie uprawię, to zginę z głodu z dziećmi i żoną!

— Oj co nieszczęście, to nieszczęście — odpowiada Wawrzyniec — ale posłuchajcieno. Jest tu w mieście żyd bardzo bogaty a bardzo ludzki i uczciwy, co prowadzi wielki handel zbożem i drzewem. Nie pożycza on nikomu pieniędzy na pro-

centa, ale jakbyście tam do niego się udali, to możeby zresztą i pożyczył, a choć weźmie znaczny procent, to przecież nie taką wielką lichwę jak inni. Pytajcie się tylko o Abrama, handlarza zbożem.

Podziękował Tomasz Wawrzyńcowi za radę i poszedł do tego Abrama. Wchodzi do izby czystej i porządnej, widać wszędzie bogactwo, lichtarze srebrne, sprzęty pańskie. Jakiś żyd w porządnym żupanie pyta się Tomasza czego potrzebuje:

— Czy tu mieszka Abram? — pyta Tomasz.

— Nu ja sam jestem Abram — mówi żyd.

Tomasz się pokłonił żydowi i powiada, po co przyszedł. Żyd cmoka ustami, głaszcze brodę i lituje się nad nieszczęściem Tomasza, a przy tem ciągle się w niego uważnie wpatruje. Nareszcie gdy Tomasz skończył, żyd wpatrzył się raz jeszcze w niego i mówi:

— Ej gospodarzu siadajcie no sobie, ja was znam dobrze.

— Może się wam tylko tak zdaje — odpowiada Tomasz — bo ja was nie pamiętam.

— Nu jakto — odpowiada żyd — wy sobie nie przypominacie, jakeście to przed kilkunastu laty przenocowali biednego żyda, co handlował zajęczemi skórkami, i uratowali go od śmierci?

— Aha! prawda — rzecze na to Tomasz — przypominam sobie. Ot zwyczajnie człek tam tego nie zapamięta już dobrze.

— No widzicie — mówi żyd — wy nie pamiętacie, ale ja pamiętam. Tym żydkiem biednym i chorym, coście go z śniegu wzięli do chałupy, to ja byłem!

Tomasz zdziwił się bardzo i wypatrzył się na żyda w milczeniu.

— Tak, to ja byłem — mówił tymczasem żyd dalej. Ja żyd tylko, ale i żyd umie być wdzięcznym. Ja pracował przez tych lat kilkanaście i dopracowałem się majątku. Teraz Bóg was, panie Tomaszu, jakby umyślnie przysłał do mnie po nagrodę. Ja wam pożyczę pieniędzy ile chcecie, bez żadnego procentu i na jak długo chcecie, ja wam dam zboża i budulca, bo ja tem handluję, a ani grajcara od was nie wezmę. Ja wiem,

wy zawsze mówicie, że żyd niewiara i szachraj, ale są i żydzi dobrzy i pamiętają co im kto dobrego zrobił.

Długo Tomasz nie mógł wyjść z zdziwienia a gdy nareszcie powiedział, ile mu potrzeba, Abram bez wszelkiego gadania wyliczył na stół pieniądze, kazał mu z swego magazynu wydać zboża i drzewa i pożegnał go serdecznie.

Już wam i mówić nie potrzebuję, że Temasz rychło się przy tej pomocy postawił na nogi. Pobudował sobie chatę i inne budynki, zakupił bydło i sprzęty gospodarskie, obsiał rolę i znowu zaczął na dobre gospodarować. Bóg mu dopomógł w pracy i za kilka lat już Tomasz odniósł Abramowi pieniądze z podziękowaniem, ale Abram nie chciał ich wziąść, jeno kazał je dać na szpital dla ubogich.

— Był i ja okrutnie biedny — mówił — i wiem, co to nędza i choroba. Niechże z tych pieniędzy mają biedni w swem utrapieniu ulgę i pociechę!

Tak też Tomasz i zrobił — a w całej okolicy o niczem nie mówiono, jeno o tym pięknym uczynku żyda. Ja wam zaś to tu opisał, bo jest to przytrafunek prawdziwy i stał się temu lat kilkanaście w stryjskim cyrkule.

Bartosz Podgórski.

Jakim sposobem można przyjść do majątku.

Pracuj człowiecze a ja ci dopomogę — mówi Stwórca Najwyższy w Piśmie Świętem.

Gdybyśmy wszyscy pamiętali o tem, toby między nami nie było nędzy i ubóstwa, a jest dla tego tyle niedostatku, że wielu jest niedbałych, a więcej jeszcze nierozważnych.

Dziś każdy chciałby się prędko zbogacić, bez pracy i zabiegów, ztąd też niknie dobra wiara między ludźmi, a oszustwa się mnożą, na pociechę szatanowi.

Cóż nam przeszkadza do zrobienia majątku?

Najprzód: próżniactwo i niedbalstwo.

Po drugie: głupota i brak oszczędności.

Po trzecie, a głównie po miastach, próżność i zbytek.

Te trzy wady więcej nas kosztują, aniżeli utrzymanie rodziny, niż odzież, mieszkanie i podatki.

Próżniactwo jest początkiem zbrodni, sprowadza choroby, skraca życie, bo człowiek próżnujący staje się coraz słabszym: jeżeli pług leży, to rdzewieje, jeśli się nim robi, to błyszczy jak srebro. Dosyć się jeszcze napróżnujemy w grobie, a stracony czas nie wróci się.

Lenistwo robi każdą pracę trudną, pracowitość ułatwia wszystko. Kto późno wstaje, nigdy nic na czas nie zrobi, bo nim się weźmie do pracy, to już i noc zapadnie.

Jeszcze nie było przykładu, żeby pracowity człowiek umarł z głodu.

Za próżniactwem idzie niedbalstwo. Jeżeli sam nie idziesz za pługiem, tylko parobka posyłasz; jeśli sam nie siejesz, tylko parobek, a nie pójdziesz za nim, nie dopatrzysz jak należy, to ci źle zaorze, roli nie oczyści z perzu, niedbale zasieje, a jak przyjdzie żniwo, będziesz miał zbiór lichy, a przez co? przez niedbalstwo. Jeśli koń zgubi podkowę, nie dasz go zaraz okuć, to ci się podbije, zakulawieje i będziesz miał sto razy większą stratę jak to, co gwóźdź kosztuje, a przez co? przez niedbalstwo.

Kto chce mieć więc pieniądze, niechże sam wszędzie dojrzy, o wszystkiem pamięta, bo starzy ludzie nie na próżno mówią, że pańskie oko konia tuczy.

Głupota także wyciąga nam z kieszeni bardzo dużo grosza. Człowiek głupi a nie chcący się oświecić podobny jest temu, co w ciemnej izbie szuka po omacku, a choć mu radzą, nie chce świecy zaświecić. Człowiek głupi nic umie nic porachować, nie umie sobie w potrzebie radzić; robi wszystko na oślep, a nie chce słuchać rady mądrzejszych i doświadczeńszych od siebie.

Człowiek głupi nie wie kiedy można dobrze sprzedać a tanio kupić; z każdym się wadzi; nie umie pokazać roboty czeladzi i jest jak to nieszczęsne bydlę, co tylko o tem myśli, żeby się najeść i wyspać.

Brak oszczędności i nierząd w domu. Oj! kosztuje nas tyle, że gdyby nie ta nieszczęsna wada, tobyśmy wszyscy, jak to mówią, w złocie chodzili i po uszy opływali we wszystko.

Grosz do grosza będzie złoty, złoty do złotego, talar — talar do talara będzie i tysiąc, drugi i trzeci. Tymczasem nie oszczędzając, marnujemy owe tysiące i zostajemy dziadami.

Idziesz na targ do miasta, spotkasz się z drugim, wstąpicie na kieliszek, już i grosz marnie leci i czas się traci i zdrowie psuje i zarobek ginie; co tu tego naraz! a gdybyś poszedł prościuteńko do domu, oszczędziłbyś pieniędzy, zarobek przyniósł, zdrowia nie psował, a za ten zmarnowany czas coś zarobił i mógł schować na gorsze czasy.

Próżność, czyli chęć życia jak pan, i pokazywania się z bogactwem przed ludźmi, połączona jest jak brat ze siostrą z głupotą, i prowadzi nas do żebrackiej torby, do nędzy, do śmierci.

Znam ja takich głupich ludzi w mieście, co aby się ustroić, morzą się głodem, żonie i dzieciom nie dadzą wygody, aby się tylko przybrać w materye i aksamity, a mieszkać w pańskich pokojach i mieć sprzęty zbytkowe.

Pytam się was, bracia najmilsi, jak nazwiecie takiego człowieka?

Odpowiecie mi: głupiec.

A ja wam na to powiem, nie tylko głupiec, ale często i zbrodniarz.

Dla czego?

Oto dla tego, że częstokroć taki człowiek, aby mieszkać i nosić się po pańsku, robi długi, pożycza u drugich a nie płaci; więc tyra cudzą pracę i żyje za cudzy grosz. Czy wiecie, jak się człowiek taki nazywa?

Złodziej!

Tak, bo jeżeli złodziej kradnie potajemnie, to pewnie nie odda, a ten co pożycza a nie myśli oddać, albo oddać nie może, i wie o tem że nie będzie mógł oddać, jest także złodziejem.

Ale nie tylko po miastach, lecz także i po wsiach zbytkują, tylko znowu na inny sposób.

Kiedy kto z gospodarzy wyprawia chrzciny przez trzy dni, a wesele przez tydzień i wydaje dużo na to grosza, to także popełnia brzydki grzech próżności.

Bo dla czegoż on to robi?

Oto dla tego, żeby się pokazać przed ludźmi, przed sąsiadami, że ma grosz w domu, że jest bogatym. Więc karmi, a szczególnie też zalewa gorzałką lub innemi trunkami sąsiadów i sobie czas marnuje i drugim go zabiera.

Człowiek nie jest na to stworzony, żeby jadł jak bydlę, kiedy mu się jeść nie chce, i żeby próżnował i hulał w dzień powszedni; bo Bóg ustanowił tylko jeden dzień odpoczynku.

Otóż tu jest razem złączone próżniactwo, brak oszczędności i próżność. Kto się tych wad będzie wystrzegał jak ognia, kto będzie pracował, ten przyjdzie do majątku i życie jego upłynie w pomyślności, a umierając nie będzie się turbował że żonę i dzieci w niedostatku zostawi.

Rady gospodarskie.

Przyprawa ziemniaków.

Pod wiosnę psują się zazwyczaj ziemniaki i już nie są takie smakowite, jak kiedy są świeże. Zdarza się, że ziemniaki robią się wodnistemi i już ani smaku nie mają, ani tej pożywności, która jest w sypkich i świeżych kartoflach. Znowu trafia się, że ziemniaki zrastają na wiosnę, to jest kiełkują i przez to nie tylko są gorzkie, ale do tego i bardzo niezdrowe, bo w tych kiełkach są soki szkodliwe człowiekowi.

Pewnego roku prawie wszystkie ziemniaki mi pozrastały, a te co nie miały kiełków, były bardzo wodniste i niesmakowite, tak, że ich jeść nie można było. Skarżyłem się na to przed moim sąsiadem, starym i bardzo rozumnym gospodarzem, a on mi na to taką dał radę:

— A tak, mój sąsiedzie, na wiosnę zwykle ziemniaki tracą smak, a jak się je uwarzy, to bardzo są wodniste. A do tego gdy jeszcze zrosną i powypuszczają kiełki, co się najbardziej

przytrafia z rychlikami czyli pospiechami — to człek nieraz i zachoruje od nich. Ale na to jest sposób taki: Kiedy wasza kobieta zabiera się do warzenia kartofli, to niech przed tem obierze w środku do koła łupinę, to jest, niech tak po samym środku oskrobie każdy ziemniak, aby tak wyglądał, jakby miał na sobie pierścionek biały. Reszta zaś łupiny niech zostanie. Zaś do wody trzeba dodać soli — i wtedy warzyć ziemniaki.

— A czy to pomoże? — zapytałem.

— A juści, że pomoże i to bardzo, bo podczas gotowania przez tę obrączkę obłupioną odchodzi z ziemniaków woda, i będą mączyste, sypkie i smakowite, że się ich nie odjesz. A choćby nawet ziemniaki i zrosły, to jak je tak ugotujesz, to takiego smaku nabiorą, jak świeże, i zdrowiu szkodzić nie będą.

Usłuchałem tej rady i oto patrzcie, przekonałem się, że to czysta prawda. Dla tego też i wam ją tu wypisujemy. Sprobujcie jeno.

Kasper Gryka.

Alleluja!

Chrystus zmartwychwstał! Wstał z grobu w śwatłości,
I śmierć pokonał i szatańskie złości!
Obyśmy także złości pokonali
Z grobu ciemnoty i grzechu powstali!
Jezu, coś z świętą powstał z grobu chwałą,
Spraw, by nam w Polsce szczęście zmartwychwstało!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. **Nr. 11.**

11. kwietnia **1866.**



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

POWSTANIE POLSKIE W ROKU 1830.

II. Noc 29. listopada.

Jak wam już zeszłym razem opowiedzieliśmy, wyznaczono na wybuch powstania noc z dnia 29. na 30. listopada. Otóż zaraz 29. listopada wieczorem, w dzień świętego Saturnina, przygotowali się podchorążowie i wojsko, i inni nie wojskowi ludzie do czynu. Za znak do powstania zapalono stary browar za miastem. Skoro łuna zapalonego browaru zaświeciła na niebie, zebrali się spiskowi Polacy. Zaczynać mieli młodzi, bo to we młodych krew żywiej pędzi i duch jest zawsze gorętszy.

Ułożono sobie tak, aby zaraz napaść na pałac Wielkiego księcia Konstantego, tego tyrana carskiego. Pałac ten zwał się Belweder. Otóż na ten belweder wybrało się ośmnastu młodych chłopców samych zuchów nad zuchy, coby za wolność i ojczyznę poszli by byli na śmierć przez ogień i wodę!

Na czele tych ośmnastu dzielnych młodzieńcow byli dwaj żyjący jeszcze teraz sławni Polacy Ludwik Nabielak i Seweryn Goszczyński. W szkole podchorążych dano im karabiny, a

sama też cała szkoła uzbroiła się także i wystąpiła z swych koszar. Nabielak i Goszczyński wzięli swoich chłopców i dalej z nimi na zamek moskiewskiego księcia, na Belweder. Rozdzielili się na dwie równe części, jedna połowa zaszła tył zamku od ogrodu, druga, co najlepsi i najodważniejsi, mieli wejść od przodu.

Gdy ci powstańcy, którzy mieli napaść na dwór Wielkiego księcia, jak na wilka w jamie, od przodu, przyszli już do bramy, wbiegli szybko na dziedziniec wezwawszy Pannę Najświętszą do pomocy, zawołali gromkim głosem, aż się mury odezwały:

— Śmierć tyranowi! Śmierć tyranowi!

Na dziedzińcu było kilka Moskali z służby Wielkiego księcia i ci ujrzawszy szturmujących powstańców, co mogli, uciekali, a wtedy powstańcy przypadłszy do drzwi pałacu, poczęli bić kolbami od karabinów w drzwi, powytłukiwali szyby — i porozbijawszy tak wszystko, wpadli drzwiami i oknami do pałacu.

Kiedy powstańcy wpadli już do środka, spodziewali się na pewno, że znajdą tu opór, i że się będą musieli bić z domownikami Wielkiego księcia, ale gdzie tam! pochowało się to niedołęztwo po wszystkich dziurach, pouciekało na wszystkie strony w okrutnym strachu!

Powstańcy wpadają do pokojów, cicho wszędzie i pusto! Wpadają na górę, wyłamują drzwi jedne po drugich, idą z jednego pokoju do drugiego, czynią hałas, rozbijają i tłuką sprzęty wszystkie — lecz nie widać ani Wielkiego księcia, ani żadnej innej żywej duszy.

Nareszcie w jednym pokoju za drzwiami widzą ukrytego jakiegoś człowieka. Był to nędznik i zausznik Wielkiego księcia, szpieg moskiewski, nazwiskiem Lubowidzki. Przyszedł on był niecnota w nocy do Wielkiego księcia, aby go o całem powstaniu uwiadomić i przestrzedz, bo już o wszystkiem się dowiedział. Ale za późno się zdrajca wybrał, bo powstańcy w samą porę wpadli. Zaraz się kilku rzuciło na tego Lubowidzkiego, pchnęli go bagnetami, i padł zdrajca w swojej własnej krwi na ziemi. Tak to zawsze bywa zdrajcom!

Kiedy się powstańcy już uprzątnęli z tym Lubowidzkim, szukali dalej po pokojach za samym Wielkim księciem Konstantym, ale go nigdzie znaleźć nie mogli.

Ciekawiście pewno, gdzie się Moskalisko tak prędko skryło przed polskimi zuchami?... Otóż widzicie, tak się rzecz miała.

Kiedy Polacy wpadli do pałacu, Konstanty spał już jak zabity. Gdy na podwórzu powstańcy krzyknęli „Śmierć tyranom!“ — kamerdyner jego budzi go coprędzej. Ale Wielki książe zaspał się był okrutnie, ledwie go się dotrząsł i dobudził z wielką biedą sługa. Zastraszył się Moskal, aż przytomność stracił i co począć nie wiedział, aż go ów sługa popchnął do pokoju jego żony.

Tu upadł Wielki książe na kolana od wielkiego strachu i chował się po za baby w okrutnej trwodze — i tak baby go obstąpiły do koła, i zaczęły klepać pacierze, a sam Wielki książe mało ducha nie oddał z bojaźni, trząsł się jeno jak osika a blady był jak trup.

Szczęście to jego było, że się ukrył pomiędzy baby — bo powstańcy do babskich pokojów nie szli, jeno splądrowali i przeszukali wszystkie inne pokoje a nie znalazłszy nigdzie Wielkiego księcia Konstantego wypadli znowu na podwórze, aby wracać do swoich. Na podwórzu nawinął się im pod rękę jeden jenerał moskiewski, co był przy boku Konstantego, znany łotr i wielki nikczemnik, i zaraz go tam bagnetem na drugi świat wyprawiono.

Sprawiwszy się tak biegli powstańcy do miasta, a tu już słyszą strzelanie wielkie, jakby w bitwie.

Podczas gdy tych ośmnastu zuchów spłoszyło Wielkiego księcia z pościeli — nie próżnowali podchorążowie. Wysocki wpadł między podchorążych, właśnie kiedy się uczyli i zawołał:

— Polacy godzina zemsty wybiła, dzisiaj zwyciężymy albo zginiemy!

Natychmiast zawołali młodzieńcy:

— Do broni! Do broni! — i rzucili się do karabinów, ponabijali, zeskoczyli na dół i tu stanęli w szyku wojennym

Wszystkich ich było stu sześćdziesięciu i kilku, ale każdy z nich wart był stu, bo każdy znał komendę jak jenerał a

dzielnie się bił jak lew. Nie było wówczas wojska na całym świecie, któreby lepiej się biło i celniej strzelało, jak ci młodzi chłopcy.

Gdy się tak zebrali podchorążowie, hejże dalej na Moskali! A stało w Warszawie dużo wojska moskiewskiego. Najpierw tedy ruszyli podchorążowie na kasarnię jazdy nieprzyjacielskiej, to jest ułanów moskiewskich. Nie pytając wiele skoczyli oni do środka koszar, a gdy ułani moskiewscy do siedli koni i chcieli się bronić, wtedy Polacy jak dali ognia, tak Moskale w strach okrutny i w nogi na cztery wiatry, myśląc, że jakich kilka tysięcy na nich napadą, bo noc był bardzo ciemna.

Ale naraz zebrała się okrutna ćma Moskalów, huzarów i kirasyerów i ci zobaczywszy, że tych podchorążych jest tylko sto kilkudziesięciu, nabrali odwagi i otoczyli ich do koła. Ale dzielni podchorążowie nie zastraszyli się, choć jeden miał z dziesięcią Moskalami do czynienia. Poczęli strzelać, a gdy im już prochu zabrakło, rzucili się z bagnetami na Moskali i w moment ich rozbili. Trzy razy Moskale, którzy dziesięć razy byli silniejsi, zachodzili drogę podchorążym, ale za każdym razem uciekać musieli. I tak garstka Polaków tysiące Moskali rozbiła!

Niebawem też i wojsko polskie wyruszyło na Moskali, dzielni wojacy poczęli się gromadzić i rozpędzać wojsko moskiewskie. Lud warszawski słysząc strzały i gwałt w mieście zgromadził się w okrutnej mnogości, mieszczanie, rzemieślnicy, kto żył, wyruszył na miasto. Rozbito arsenał, gdzie była broń, powyciągano działa, bito się walecznie na wszystkich stronach. Moskale stracili ducha, Wielki książe, który wygramolił się z pomiędzy bab i wraz z Moskalami na konia wsiadł, nie widział już ratunku, wyniósł się z Warszawy, i pod miastem w lichej karczmie się dopiero zatrzymał. Warszawa była już wolną, Polacy górą, jak to mówi o tem stara spiewka:

W dzień świętego Saturnina,
W Warszawie wieczorem,
Wypędzono Moskwicina,
Z całym jego dworem.

Uciekł Konstanty
A z nim cała zgraja
Naród krzyknął w wesołości,
Nie ma Mikołaja!

Bo trzeba wam wiedzieć, że wówczas rządził już car Mikołaj, człowiek srogi i okrutny nie tylko dla Polaków ale i dla swoich.

Tak to młodzi podchorążowie i wojsko polskie sprawili się dzielnie, i wyswobodzili tej pamiętnej nocy Warszawę z rąk moskiewskich.

A padło tej nocy trupem także dużo Polaków zdrajców, co z Moskalami trzymali! Ośmiu jenerałów, jeden moskiewski a siedmiu polskich, co zaparli się ojczyzny i ratować jej nie chcieli, ale z Moskalami trzymali, padło pod kulami polskiemi tej nocy! Zawsze zdrada prędzej czy później karę odbiera!

Tak minęła noc 29. listopada. Jakie dalej nastąpiły wypadki, o tem będzie na drugi raz.

Pożegnanie ułana.

Kto z bogiem, to Bóg z nim.

Panna młoda, jak jagoda
Stojąc we drzwiach płacze:
— Kiedyż ja cię
W naszej chacie
Tu znowu obaczę?

Przed dziewczyną przed maliną,
Stoi chłopak zbrojny,
A koń wrony,
Kulbaczony,
Rwie się niespokojny,

Ciężka droga, bo na wroga —
Nie rwij się koniku!
W krwawem polu,
W srogim bolu
Legnie was bez liku!

— Idź gdzie trzeba, niech cię nieba
Niech cię Bóg prowadzi!
Lecz ten krzyżyk
I szkaplerzyk
W boju nie zawadzi!

— Za wygraną, zmów co rano
Trzy Zdrowaś i Wierzę:
Kto pobożny
I ostrożny,
Tego i Bóg strzeże!

Rzekła płacze — wrona kracze
A to znak złowrogi:
Nie pomoże
Święty Boże,
Kraj nad wszystko drogi!

Przyjął krzyżyk i szkaplerzyk
Westchnął, dosiadł konia,
Skinął głową:
— Bądź mi zdrową!
I ruszył wzdłuż błonia.

Ale prędzej z szarej przędzy,
Srebrna nić wypłynie,
Niż we swaty,
Do jej chaty
Staś kiedy zawinie!

Wincenty Pol.

Historya o Bartku leniwym gospodarzu

spisana przez jednego ś. p. „Przyjaciela Pracy.“

I.

Gawęda Bartka z młynarzem przed chałupą.

Młynarz: Cóż porabiacie Bartłomieju, zdrowiście dobrze?

Bartek: Oj, tak tam, za wolą boską.

Młynarz: Wygrzewacie się przed chałupą jak widzę — nie macie co robić, zasialiście to już?

Bartek: Ej, gdzie tam zasiałem, czemże miałem zasiać, kiedy nie mam ziarna.

Młynarz: To kupcie, a zasiejcie, bo pocóż rola ma próżnować, albo też sprzedajcie pola na trzy lata, to weźmiecie coś grosza.

Bartek: Jużciby tak trzeba zrobić i sprzedać, ale człowiek nie ma czasu za tem chodzić; gdybyście wy chcieli kupić, tobym wam spuścił stajanko.

Młynarz: Dla czego nie, kupię, choćby i dwa, tobyście mogli resztę obsiać dla siebie.

Bartek: Przecie słyszeliście, że ziarna nie mam.

Młynarz: Jak od was najmę rolę, to będziecie mieli.

Bartek: A wystarczy to na siew? przecie trzeba przódy kupić żyta, choćby z pół korca na chleb.

Młynarz: Na chleb zarobicie sobie we dworze, bo tam jest zawsze zarobek.

Bartek: A jusciby się przydało zarobić, żeby dobrze zapłacili.

Młynarz: Przecież tam nie źle płacą, bo dają po 30 grajcarów na dzień.

Bartek: Ej to mało, cóż to dziś znaczy 30 grajcarów?

Młynarz: A płacą to gdzie więcej?

Bartek: Pod Tarnowem dają i po 50 grajcarów.

Młynarz: To idźcie pod Tarnów i zaróbcie sobie na chleb.

Bartek: Ej, kiedy daleko.

Młynarz: To się najmijcie do stawiarki, płacą po 20 grajcarów od sążnia.

Bartek: Ej, kiedy to mało, a robota ciężka ziemię do góry taczać.

Młynarz: Ba, toć lada chłop może sześć sążni wywieźć, a reński na dzień, nie zły zarobek.

Bartek: Ej kiedy mało 20 grajcarów od sążnia, może dadzą więcej, zobaczę później.

Młynarz: Nie gadajcie próżno Bartłomieju, bo to zapłata dobra, a macie ją w domu.

Bartek: Robota ciężka i trzeba krzyżów nazginać, a teraz choć przymrę głodu, to się nie narobię. Żeby gdzie była lżejsza robota, tobym poszedł.

Młynarz: To idźcie dach pobijać na stodołach, płacą 5 grajcarów od kopy, możecie z 15 kóp wybić na dzień.

Bartek: Ej, kiedy nie obstoi bić po 5 grajcarów.

Młynarz: Nie bajcie gospodarzu, bo obstoicie i dobrze, możecie reński wziąć na dzień.

Bartek: Mocny Boże, a cóż to znaczy reński na dzień. Człowiek nie wie co za to kupić, czy chleba, czy soli, czy przyodziewek. Na nic to, mój młynarzu, na nic, człowiek się tylko naturbuje bez pożytku.

Młynarz: A i cóż wy będziecie robić jak nie zasiejecie, z czegóż będziecie żyli?

Bartek: Trzeba będzie jako kręcić, choćby i sprzedać z pół chałupy, możebyście wy kupili, żebyście zaraz dali pieniądze, tobym taniej spuścił.

Młynarz: A gdzież pójdziecie z dziećmi, jak sprzedacie chałupę?

Bartek: Na zimę zostawię sobie izbę, a potem możeby się reszta sprzedała: poszedłbym w służbę.

Młynarz: A dzieci?

Bartek: Co starsze toby poszły do sąsiadów paść bydło, a młodsze toby sobie po wsi uprosiły.

Młynarz: Oj źle! grzech marnować tyle pola i grunt i łąkę, a jeno przez to, że wam się robić nie chce.

Bartek: Gdzie tam nie chce, albo ja się to mało napracował za nieboszczyka ojca? Trza było rano wstać, dać koniom jeść; potem zjadło się co i dalej do lasu, przywiozło się tam pniaczek, albo trochę gałęzi i znowu trzeba było jeść, a potem jedż znowu do lasu, albo rób w gruncie. I tak co dzień od rana do nocy. A później jak nieboszczyk tatuś umarł, tom się ożenił, a wziąłem za babą tylko siedm morgów pola, dwie krowy, jałówkę i trzy nitki korali. Nie miałem się też z początku czem ratować, więc sprzedałem najprzód krowę, potem drugą, wreszcie i jałówkę. Zastawiłem też korale i przepadły.

Młynarz: Boście ich nie wykupili.

Bartek: A było to za co, sprzedałem i konia i kobyłę, ano i wóz i tak zmarniałem do ostatka.

Młynarz: A cóż teraz wysiedzicie pod chałupą, choćbyście tak cały dzień myśleli, to nic nie wymyślicie, weźcie się do pracy. W lesie drzewo spuszczają, w górze kamień łamią.

Bartek: Ej! gdzie ja tam podołam takiej ciężkiej robocie, mój młynarzu, nigdy na świecie.

Młynarz: A coście to chorzy, czy kaleka?

Bartek: Tak wam się to zdaje, wy się obłykacie tego stochmalu z młyna, a jak namielecie, to wam baba upiecze, a ja nie mam i ziarnka, to z czegoż mi będzie piekła?

Młynarz: Ja wam pożyczę ziarna, a odrobicie mi z łopatą przy Jazie, bo trzeba wodę przytrzymać.

Bartek: Bóg wam zapłać młynarzu, ale nie pójdę bo nie mam czasu, moja wyszła, a nie ma kogo zostawić przy chałupie.

Młynarz: Nie macie czasu, a nic nie robicie.

Bartek: Oj narobiłem ja się dosyć, narobiłem mój młynarzu, za nieboszczyka ojca.

Młynarz: Kiedy tak to bywajcie zdrowi, poszukam sobie innego do roboty.

Bartek: Szukajcie, szukajcie i jabym toż poszedł, żeby dobrze zapłacili, mocny Boże, upracuje się też człowiek przez cały dzień, a jak przyjdzie wieczór, to nie ma co do gęby włożyć.

II.

Bartek siedzi wciąż przed domem, wójt przychodzi.

Wójt: Pókiż ja będę chodził do was Bartłomieju o ten podatek?

Bartek: Albo ja was proszę wójcie, żebyści do mnie chodzili?

Wójt: Ja tu do was nie przychodzę z ochoty tylko z nakazu.

Bartek: Niechże tam, ale cóż kiedy nic nie wychodzicie.

Wójt: Wychodzę ja, wychodzę jak was sprzedam ze wszystkiem.

Bartek: To tam sprzedajcie, cóż mi sprzedacie, chyba te dzieci.

Wójt: Ja się nie pytam, tylko zajmę co każą. Zmarnowaliście majątek, nie chciało wam się robić, a teraz pójdziecie z torbą na dziady.

Bartek: Oj! pójdę, mój wójcie, pójdę!

Wójt: A cożeście z łąki zrobili, będziecie ją siec tego roku?

Bartek: I cóż będę siekł, kiedym ją sprzedał na pięć lat z potrawem.

Wójt: Toście wy już zgałganieli Bartłomieju na prawdę.

Bartek: A no prawdę mówicie wójcie. Czy to człowiek ma dziewkę, albo parobka żeby zarobili? jakże sobie dać radę?

Wójt: Cóż wam po czeladzi, kiedy was pięcioro w chałupie.

Bartek: I cóż z tego, kiedy nie podołamy robocie.

Wójt: Oj próżniaki, próżniaki; inny na waszej roli jadłby chleb i jeszcze drugiego pożywił; choćbyście na dwa dni poszli na gościniec utłuc kamienia, tobyście podatek zapłacili, a tak to was muszę egzekwować, bo gromada za was płacić nie będzie.

Bartek: Poczekajcież, mój wójcie choć do soboty, może mi we dworze pożyczą na odrobek.

Wójt: Albo was to nie znają we dworze jakiście pracownik, wątpię żebyście odrobili.

Bartek: Choćbym nie odrobił, to tam na panu tych kilku złotych znać nie będzie.

III.

We dworze.

Dziedzic: Cóż mi powiecie Bartłomieju?

Bartek: Przyszedłem się dowiedzieć czy też u pana nie ma jakiej roboty, u stawu albo u kamieni, albo dach pobijać, a gdyby potrzeba było to sągi stawiać.

Dziedzic: Roboty jest dosyć, ale z was lichy robotnik Bartłomieju.

Bartek: Ej! gdzie tam, to tylko mię ludzie tak ogadali, a z czegożbym ja żył, gdybym nie pracował. Nie ma tu całej wsi chłopa, coby się napracował tyle co ja.

Dziedzic: Kiedy ja was sam doświadczyłem.

Bartek: Ej, to tylko ten raziczek, com sobie kościska sprostował, a wielmożny pan obces nadszedł i tak się zrobiło.

Dziedzic: A pamiętacie przy kuźni?

Bartek: Oj! pamiętam, ale mię wtedy taka kolka wzięła, że myślałem, iż skończę na miejscu.

Dziedzic: Mój Bartłomieju nie bardzobym was rad brać do roboty, bo wiem żeście leniwy, ale kiedy koniecznie chcecie robić, to idźcie dach pobijać.

Bartek: Poszedłbym, ale nie mam czem bić, bom siekierkę na chleb sprzedał. Gdyby to była łaska pańska pożyczyć mi z reńskiego, tobym kupił siekierę u młynarza, bo ma dwie i jednęby sprzedał.

Dziedzic: Mam ja tu dość siekier, to wam pożyczę.

Bartek: Dobreby i tak było, ale ta siekierka młynarska, to taka jęta, że aż furczy w ręku, a chce za nią reński, bez sześciu gr.

Dziedzic: Żebym wiedział, że przyjdziecie pobijać, to mniejsza o ten reński.

Bartek: O jakżebym nie przyszedł, przecież zdałoby się zarobić, z tego tylko człek żyje.

Dziedzic: Przecież macie piękny szmat pola.

Bartek: Jestci tam jest, ale nie chce rodzić, ledwie że się ten siew wróci, a co się człek napracuje z babą i dziećmi. Mocny Boże!

Dziedzic: No macie reński, ale przyjdźcież jutro.

Bartek: Dziękuję wielmożnemu panu, ale miałem też jeszcze coś powiedzieć, tylko że nie śmiem.

Dziedzic: No mówcie!

Bartek: Oto tak. Wziąłbym cały dach do pobicia i taniejby wyszło, bo bym wziął do siebie drugiego, to pobilibyśmy wszystko za tydzień, po 4 grajcary od kopy.

Dziedzic: Ba, gdybyście to dotrzymali.

Bartek: Oj, czym to nie tutejszy, albo mię to pan nie ma w ręku?

Dziedzic: A dla czegoż chcecie bić taniej jak wam daję?

Bartek: Bobym rad od razu wziąć za całą robotę; ale że nie ma w chałupie ani ziarnka, com miał tom sprzedał na podatek, bratu też spłaciłem dwadzieścia dukatów i tak się człek wyterał. Gdyby mi to wielmożmy pan pożyczył choć ze 6 reńskich, tobyśmy we dwóch za trzy dni odrobili.

Dziedzic: Tego nie mogę zrobić mój Bartłomieju, bo to najgorzej z góry płacić gdyż potem robicie jak z łaski.

Bartek: Może tam i kto robi jak z łaski, ale nie ja. Przecież wiem, że każdego szkoda, a cóż dopiero pana, co takiego drugiego nie ma na dziesięć mil.

Dziedzic: A jak myślicie, kiedyby się pobijanie skończyło?

Bartek: Ej i tygodnia nie zabawi.

Dziedzic: Choćbyście i dziesięć dni pobijali, to i tak będę kontent, a będzie dobrze?

Bartek: Co nie ma być, takiej stodoły nie ma w całej okolicy. Oj już też to wielmożny pan funduje, żaden tu dziedzic tego nie robił; poszukać takiego porządnego pana.

Dziedzic: Mój poczciwy Bartłomieju, proszę was tylko żebyście porządnie zrobili, coby nie zaciekało. No macie 6 reńskich, a przyjdziecie jutro.

Bartek: Ho! jeszcze pan będzie spał, a my już będziemy tłuc się na dachu: żebym tylko jakiego szwarnego chłopa znalazł, bo się porozłazili za robotą do kolei. Zrobimy tak że nas wielmożny pan pochwali.

Dziedzic: Idźcież z Bogiem, a przychodźcie o świcie.

IV.

W karczmie.

Bartek: Dawajcie półkwaterek wódki!

Arendarz: Nie ma dla was wódki, zapłaćcie coście winni.

Bartek: A cóż ja wam winien?

Arendarz: Winniście 3 reńskie i gr. dwadzieścia, coście dawniej napili.

Bartek: Nie prawda, bom winien tylko reński.

Arendarz: Jakto reński, a pamiętacie jakeście napili z kumotrem na półtora, a potem jak zastawiliście łąkę, toście napili za jeden, a różnemi czasami to znowu pół i gr. dwanaście.

Bartek: Nie prawda, nie napiłem, a choćbym napił, to dajecie taką wódkę jak maślanka, jeno tyle że wódką śmierdzi, ale ostrości nie ma. Chcecie to wam dam za cały dług 2 reńskie, a nie to pójdę pić gdzie indziej.

Arendarz: Dajcie tymczasem 2 reńskie, i nie gniewajcie się. A skądże macie tyle pieniędzy, czyście rolę sprzedali?

Bartek: Jeszcze dokupię roli i jutro będę sadził ziemniaki.

Arendarz: A może wam zostanie jaki zagon z nawozem, to ja z wami zasadzę.

Bartek: Dużobyście chcieli i pieniędzy i zagonów.

Arendarz: Ja nie chcę za darmo, ja od was odkupię, dam wam za te ośm zagonów, co koło młyna 5 reńskich.

Bartek: Nie gadajcie głupstwa, bo bym wam i za dziesięć reńskich nie puścił.

Arendarz: Napijcie się jeszcze pół kwaterek. Tak. No, to ja wam dam 6 reńskich i pół kwarty wódki.

Bartek: Jak mi dopłacicie 7 reńskich, do tego com wam winien i dacie pół garnca wódki, to będzie zgoda.

Arendarz: Niech będzie półszosta i kwarta wódki, ale wam zapłacę jak zbiorę.

Bartek: Głupiś, ktoby ci tam czekał. No zapisz sobie te dwa półkwaterki, com wypił, i koniec.

Arendarz: Ty gałgan zapłać mi zaraz!

Bartek: Cicho, bo bym cię zamalował. Dawaj jeszcze pół kwaterek.

Arendarz: Nie dam nic takiemu oszukańcowi.

Bartek: Dawaj, bo płacę.

Arendarz: Jak to ma być? ani roli, ani pieniędzy! Zapłać mi zaraz tamte 3 reńskie i gr. dwadzieścia — i ośm gr. za te dwa półkwaterki!

Bartek: Nie dam nic!...

Polowy (wchodzi): Co wy sobie myślicie Bartku? mieliście przyjść o świcie do pobijania dachu, a to już blisko południe, a was nie widać.

Bartek: Cożbym sobie myślał, nic nie myślę.

Polowy: Ale pan się na was okrutnie gniewa, żeście go zarwali, a nie przychodzicie.

Bartek: Niechże się tam gniewa. Ja tej robocie nie podołam, bo nikt nie chce bić po 4 grajcary, a ja też sam nie pójdę, bo co prawda nawet siekierki nie mam.

Polowy: Przecieście wzięli na siekierkę i na odrobek, to oddajcie pieniądze.

Bartek: Zkądże ich wezmę, kiedy już nie ma. Powiedzcie, żeście mię nie zastali w chałupie.

Polowy: Uwierzy to pan, kiedy was widział? pójdźcież aby na dzień do tej roboty.

Bartek: Nie będę tam pobijał za darmo.

Polowy: Jakto za darmo, kiedy wam naprzód dziedzic zapłacił?

Bartek: Niechże tam zapłacił, to już drugi raz nie zapłaci, a człek się też napracuje i narobi.

Polowy: A kiedy wy nic nie robicie.

Bartek: Nie robię? mocny Boże, przecie trzeba pilnować chałupy, żeby kto nie wlazł a nie pokradł.

Polowy: I tu w karczmie pilnujecie?

Bartek: Przecie muszę się trochę skrzepić tą wódką, bom bardzo słaby.

Polowy: Baba może chałupy pilnować, a nie wy.

Bartek: Co tam z baby, mocny Boże! wiele ci tam z tej baby przyjdzie, jeno tyle że obiad nastroi.

Polowy: A dzieci? macie ich przecie troje.

Bartek: I z dzieci nie wielka obrada.

Polowy: Ej nie żartujcie Bartku bo się dowojujecie. Pójdźcie do dworu.

Bartek: Nie pójdę, nie spuszczajcie się na mnie; niech tam kto inny na tym dachu zarobi, ja nie łakomy.

Polowy: To przyjdźcież, aby sprawić się, co będzie z temi pieniądzmi coście wzięli.

Bartek: Nigdzie nie pójdę, bo sam nie mam żadnego interesu do dworu.

V.

Organista u Bartka.

Organista: A cóż to, to ja będę za wami po chałupach kartki do spowiedzi nosił, czyście to poganin, albo filistyn jaki, żeście dotąd nie byli u jegomości na wielkanoc.

Bartek: A ma to człowiek czas chodzić albo i pochwalić Pana Boga. Człowiek się napracuje to tam i o wszystkiem zapomnie.

Organista: Napracuje! napracuje! oj nie grzesz też Bartku, bo tu na dziesięć wsi wkoło takiego próżniaka jako wy nie ma. Ale ja wam powiadam, że jak nie pójdziecie przed niedzielą, to was jegomość z ambony przeczyta.

Bartek: Pójdę ja tam pójdę, jak się trochę co większe roboty przewalą.

Organista: A pamiętajcie też Bartku o moim długu?

Bartek: O jakimże, przecieście mi nic nie dali.

Organista: Jużeśto zapomniał człowiecze, że mi się jeszcze zostało za pogrzeb waszego nieboszczyka ojca.

Bartek: Mocny Boże, a z czegoż ja to jeszcze mam wam za pogrzeb płacić. Nie wysłużyłem ja się to nieboszczykowi ojcu. Wiadomo wszystkim com ja się to narobił od jednej świętej niedzieli do drugiej. Wyście tam panie organisto z ojcem pijali, ale ja tom tylko robił po całych dniach.

Organista: Mielibyście na sumieniu, gdybyście duchowną osobę skrzywdzili. Nie dosyć coście zarwali jegomości, nawet snopków nie dajecie, a jeszczebyście organiście zaprzeczali. Nie róbcie zaś tego Bartłomieju, bo to się nie godzi zarwać kościelnego.

Bartek: Ej, jabym wam już dawno zapłacił, żeby mi pan oddał co mi winien, ale cóż kiedy nie chce płacić.

Organista: A dużo wam się to należy we dworze?

Bartek: Oj dużo, dużo mój organisto, będzie może 5 reńskich, a może i więcej. Oj żebyście mi pożyczyli z reńskiego organisto, to bym wam za pogrzeb darował wszystkie te pieniądze co mam u pana.

Organista: Dałbym wam z duszy, ale nie mam bo i mnie też ludzie nie oddają. Ale może macie jeszcze co szczepków w sadzie, tobyśmy się pogodzili inaczej.

Bartek: Ho, ho, jest tego pełniusieńki sad, co nieboszczyk ojciec zaszczepili, choćby wszystkie to wam spuszczę byleście sobie wykopali. Dajcie mi za wszystkie pięć reńskich i wykarczujcie sobie ile chcecie.

Organista: Dam wam za nie trzy reńskie, ale sobie kopcie, a jak za moje ma najemnik kopać, to wam dam jeno reńskiego i pokwituję was z pogrzebu.

Bartek: To już dajcie tego reńskiego, byleście sobie wykopali, bo ja nie mam czasu, gdyż się człowiek dosyć przez cały dzien narobi. Oj mocny Boże! narobi się, aż kości nie czuję.

Organista: No macie reńskiego, a ja idę po chłopa, żeby szczepki wykopał.

Bartek: Idźcie z Panem Jezusem mój organisto, bo ja nie mam czasu.

VI.

Bartek w chałupie.

Bartek: Siedzicie wszystkie baby na kupie, a żadna z was nie pójdzie na zarobek, tylko na mnie patrzycie; a człowiek nie ma łyżki strawy, żeby się pokrzepić, jak się napracuje.

Bartkowa: Sami zabraniacie chodzić na zarobek a teraz swarzycie.

Bartek: Albo to prawda że zabraniam; kiedy widzicie że nie ma co jeść, toście powinny iść a nie pytać się mnie o to.

Bartkowa: A wy to nie możecie iść na zarobek, czy to baby mają na was zarabiać?

Bartek: Nie gębuj boby ci się co zreszty oberwało. Nie gębuj, ale mi naczyń jeść.

Bartkowa: A z czegoż wam to naczynię, kiedy w chałupie nic nie ma.

Bartek: A nie mogłybyście się to próżniaki postarać. Idźcie mi zaraz zastawić szmaty i przynieść kaszy, bo jak wezmę kija, to was wszystkie z chałupy powypędzam. Zośka! zapal zaraz na kominie.

Zośka: Czemże zapalę kiedy nie ma ani patyczka.

Bartek: To idź do kowalowego płotu i ułam paliwa.

Zośka: Ej kiedy się boję, bo jak mię kowal uchwyci, to mnie zbije.

Bartek: To skocz do dworskiego ogrodu i wyrwij parę tyczek od grochu.

Zośka: Ej tatusiu, a jakby mnie kto uwidział, a potem to straszny grzech.

Bartek: Ruszaj mi zaraz, bo ja cię tu uśmiercę, ty nieusłuchany bębnie.

W przyszłym numerze dopowiemy wam, co się dalej stało z leniwym Bartkiem i jaki mu był smutny koniec.

RÓŻNOŚCI.

Sumienie. Jak to sumienie gryzie człowieka za czyn zbrodniczy, to się najlepiej pokazało nie dawno temu na jednym wieśniaku z pod Gródka. Jan Werbun z Porzycza popełnił był razem z innym wieśniakiem kradzież. Spólnika złapano i oddano do kryminału — a Werbunowi nic nie było, bo go jego spólnik nie wydał. Otóż ów spólnik umarł w kryminale. Zdawało by się komu, że Jan Werbun teraz dopiero będzie spokojny i pewny, że się jego sprawka nie wyda, bo jego spólnik już umarł — a tu tymczasem inaczej się stało. Oto widzicie sumienie tak okrutnie zaczęło dręczyć tego Werbuna, że choć już od tego czasu kilka lat minęło, jak on tę kradzież popełnił — przecież nie mógł wytrzymać i sam się stawił do sądu i prosił o ukaranie. Sąd skazał go na trzy miesiące więzienia — a Werbun z skruchą przyjął ten wyrok. Widać, że się poprawi, kiedy jeszcze nie zatracił sumienia.

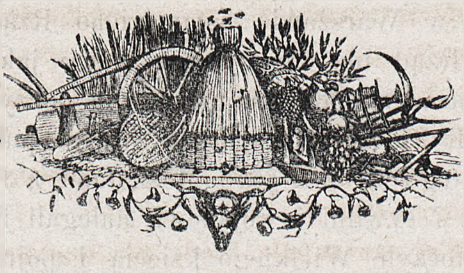
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. Nr. 12.

21. kwietnia 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

POWSTANIE POLSKIE W ROKU 1830.

III. Jenerał Chłopicki.

Wiecie już tedy, kochani bracia, jak wybuchło powstanie w Warszawie. Opowiemy wam teraz, co się stało po owej pamiętnej na zawsze nocy z dnia 29. listopada. Wielki książe Konstanty, co to taki był zuch i okrutnik, kiedy w mieście spokój panował, jak czmychnął z Warszawy z moskiewskiem wojskiem, to aż odetchnął sobie po wielkim strachu w małej karczmie za rogatkami i tam obstawiwszy się do koła moskiewskimi sałdatami, czekał co dalej będzie. W malutkiej izbinie z jednem oknem między żydowskiemi betami siedział teraz okrutnik i wysełał jeno ciągle do miasta na zwiady, co się tam dzieje. A myślał jeszcze zawsze, że Polacy nastraszą się i sami go przeproszą i nazad pod jarzmo moskiewskiej niewoli powrócą.

Ale grubo się pomylił Moskal. Choć tam bowiem w Warszawie byli tacy nicponie i mazgaje, co radzili ludowi, aby porzucił broń i Moskala przeprosił, to sobie nikt o tem ani

mówić nie dał a wszyscy byli gotowi bić się do ostatniej kropli krwi za wolność ojczyzny.

Zaraz też w Warszawie ustanowiono Rząd tymczasowy, ale cóż kiedy Rząd ten nie był tak dobry jak tego potrzeba i jakoś sobie zaraz z początku niezdarnie poczynał. A już to najgorzej zrobili ci panowie odrazu, że wypuścili Wielkiego księcia Konstantego wraz z jego Moskalami z Polski. Gorętsi i śmielsi ludzie, i cywilni i wojskowi, nalegali na to, aby polskie wojsko otoczyło Wielkiego księcia i pojmało go razem z wojskiem, ale nie dokazali swego, bo Rząd pozwolił temu moskiewskiemu okrutnikowi wymaszerować z swojem wojskiem z Polski ze zdrowemi kośćmi do Moskwy.

Tak to widzicie, zgrzeszyli tu Polacy przez swą dobroć i szlachetność, bo zamiast pojmać i rozbroić moskiewskie tałałajstwo, puścili je wolno do domu. Żałowali też później tego ale już po niewczasie!

Kiedy tak Warszawianie napędziwszy Moskalów oddechają sobie swobodnie i radują się na wolności, poczyna się też ściągać polskie wojsko, co było rozkwaterowane po innych miastach. Gdzie tylko zabiegła wiadomość o wypędzeniu Moskali, zaraz polskie bataliony maszerowały do Warszawy, aby się tu na pogotowiu gromadzić do boju. Lud warszawski, który uzbroiwszy się chciał się bić koniecznie i iść na Wielkiego księcia i jego wojsko, witał swoich żołnierzy z wielką radością. Ogromna uciecha była w Warszawie, kiedy dzielni wojacy polscy wmaszerowywali do Warszawy, a nikt nawet tej radości dobrze opisać nie potrafi. Mieszkańcy gromadzili się okrutnemi tłumami i wołali:

— Niech żyje wojsko polskie!

Wszystkie domy były postrojone w wieńce na znak radości, wojsko polskie miało na swych chorągwiach kwiaty a jak Warszawa szeroka i długa, tak grzmiały w niej kapele wojskowe, aż serce i dusza się radowały! Wszystko się też zbroiło, lud, studenci, co mogło, to gotowało się do wojny. Ogłoszono już teraz i na cały kraj polski powstanie i wojnę, dano znać po wszystkich wsiach i wzywano do broni.

Chodziło teraz o to, aby obrać głowę dla wojska i całego kraju. A był podówczas jeden sławny i bardzo waleczny jenerał polski, Chłopicki. Ten Chłopicki służył był jeszcze pod cesarzem Napoleonem i wielką sobie sławę zjednał, a wojsko polskie tak go lubiło serdecznie, że każdziusieńki żołnierz w ogień byłby skoczył za nim. Otóż Rząd tymczasowy oddał wszelką władzę, jak gdyby królewską, temu jenerałowi Chłopickiemu, czyli zrobił go dyktatorem, co tyle znaczy co nieograniczony władzca, któremu wszystko jakby monarsze ma być posłuszne, a on przed nikiem nie odpowiada, jeno przed Bogiem i ojczyzną.

Wielka była radość w Warszawie, kiedy dnia 5. grudnia jenerał Chłopicki objął tę najwyższą władzę. W całem mieście wołano: „Niech żyje Chłopicki! Niech żyje ojczyzna!“ Wieczór tego samego dnia była wielka uroczystość w teatrze, lud ściskał i całował żołnierzy, każdy to skakał to płakał z radości, że taki dzielny żołnierz będzie całą sprawą kierował.

Ale pokazało się na nieszczęście, że radość ta była przedwczesna. Jenerał Chłopicki, choć był taki waleczny i dzielny żołnierz, kiepsko poprowadził sprawę. Nie umiał sobie dać rady, nie wziął się gorąco do czynu, choć wszystko tylko czekało na jego rozkazy, jeno czegoś namyślał się i namyślał i jakby się za czemś oglądał jeszcze. Ciężko tem przewinił Chłopicki i krzywdę wyrządził ojczyźnie — bo najlepszy czas upłynął, a nic się jeszcze nie zrobiło na uzbrojenie narodu przeciw Moskalom.

Nie długo też był naczelnikiem jenerał Chłopicki. Złożył on sam tę godność a na jego miejsce ustanowiono nowy rząd, w którym był najstarszym książe Adam Czartoryski. Zjechał się także sejm polski, aby obradować nad stanem kraju i wydał taką uchwałę, jako już Mikołaj przestaje być monarchą dla Polski i jako ani on ani jego familia na tronie polskim nigdy już nie będzie.

Wzięto się teraz już trochę spieszniej do uzbrajania, lano armaty, brano rekrutów i zwoływano z urlopu polskich żołnierzy. Była też to już najwyższa pora do tego, bo car moskiewski wysłał był już okrutną ćmę wojska, aby Polskę znowu

okuć w kajdany niewoli. Jenerał moskiewski Dybicz przymaszerował w styczniu roku 1831 z 170 tysiącami wojska na granicę Polski, a 6. lutego już cała ta ćma Moskali wwaliła się na polską ziemię.

Jak dalej poszło znowu aż później opowiemy. Tymczasem zaś podajemy wam tu piosnkę o Dzwonie — a abyście zrozumieli, o co tu chodzi, to wam jeszcze powiemy, że jak to powstanie polskie już wybuchło, tak ze wszystkich kościołów zwożono dzwony do Warszawy, aby je przelewać na armaty przeciw Moskalom.

DZWON.

Na gościńcu do stolicy
Pełno ludzi i pogłosek.
Wiozą dzwony z okolicy,
I z pobliskich wiosek.

Pod Kaliszem w wiosce małej
Na dniu jasnym cud ujrzano:
W dzień świąteczny był lud cały
Na mszy świętej rano.

W samą chwilę podniesienia
Runął z wieży, sklepieniami,
Dzwon największy — a z podsienia
Przemówił słowami:

— Od pół wieku lud mój płacze,
Bo chleb polski żywi wroga!
Lecz i płacze i rozpacze
Nie dochodzą Boga!

Jam ludowi jękiem wtórzył,
Przez pół wieku rany koił.
Płacz był próżny, jęk nie służył,
Moskal w kraju broil

Dziś sprzykrzyłem próżne jęki,
Przyprowadźcie sto par wołów,
I dołóżcie silnej ręki,
A zbędziem mozołów.

Na okopach pod Warszawą
We trzy działa się rozpłynę,
I odezwą zwołam krwawą,
Do modłów rodzinę.

Tam opowiem moje żale,
Lecz nie żale to już płonne,
Ha zadzwonię, a podzwonne
Zapłacą Moskale.

Wincenty Pol

Proces o łąkę.

Stare to i dobre przysłowie: „Lepsza słomiana zgoda, niżli złoty proces“ — ale cóż z tego, kiedy to nie wszyscy ludzie uznają tę świętą prawdę. Jest po naszych wsiach dużo

jeszcze takich kmieci, co nad wszelką zgodę przenoszą procesy i lada o co włóczą się po sądach i urzędach, pozywają, skarżą, płacą za papiery i stemple, a tym sposobem choć wygrają sprawę, to więcej na tem stracą, niż cały proces był wart.

Opowiem wam historyę o dwóch gospodarzach, co się procesowali o łąkę, a przekonacie się jak to się na tem nieraz źle wychodzi. Żyło we wsi Sławczynie dwóch sąsiadów Wojciech Truś i Marek Zasoba. Otóż obaj ci gospodarze sąsiadowali z sobą nie tylko chatami ale i gruntami i mieli także wspólną łąkę. Jedna połowa tej łąki należała do Wojciecha, druga do Marka i obaj też z niej po połowie zbierali siano. Długo tak było i zawsze panowała święta zgoda, aż naraz licho jakieś wmięszało się do tego i powadziło obu gospodarzy.

A już to Bogiem a prawdą dał temu przyczynę Wojciech Truś. Zeszedł się pewnego razu z jakimś pijakiem pisarzem w karczmie, a pisarz ten zaczął mu tłumaczyć, że ta łąka nie powinna być wspólna, jeno należeć ma do Wojciecha.

— To jest wasza krzywda Wojciechu — mówił niecnota pisarz — bo ta łąka jak Bóg na niebie calutka do was należy, a Marek Zasoba nie ma do niej żadnego prawa. Ja wam się też bardzo dziwię gospodarzu, że wy to tak długo cierpicie i pozwalacie na to, aby Zasoba połowy łąki dla siebie używał, kiedy to widoczna prawda jak słońce na niebie, że ta łąka cała jest wasza.

— Ej dajcie tam pokój — rzecze na to Wojciech — tak to już było między nami z dziada pradziada, że zawsze Trusiowie i Zasoby na spół tę łąkę posiadali, więc w tem musi już być dobre prawo.

— Owa, co mi za prawo! — dogadywał pisarz — że z waszej łąki dziad i ojciec Zasoby korzystał, to nic innego nie dowodzi, jeno że się wam jeszcze większa stała krzywda, bo na swoim majątku już tak dawno tracicie!

I jak zaczął dogadywać Wojciechowi, jak go zaczął namawiać, tak dokazał tego, że Wojciech dał się zbałamucić i dał pisarzowi na papier i stempel, aby Markowi Zasobie wytoczył proces o połowę łąki i o wynagrodzenie wszelkiej szkody.

Kiedy już ów pisarz namówił tak Wojciecha, poszedł zdrajca do Marka Zasoby i tak mu mówi:

— Wiecie co panie gospodarzu, Wojciech powiada, że wy macie bezprawnie tę połowę łąki i że jemu cała się patrzy i będzie was zapozywał do sądu.

— A jemu co Pan Bóg dał? — zawołał zdziwiony Marek — a cóż ja teraz pocznę?

— Nie ma innej rady, jeno wy go musicie uprzedzić i wytoczyć także proces o całą łąkę przed sądem, bo inaczej przegracie.

— Ale kiedy bo ta łąka po prawdzie jest nam wspólna? — mówi na to Zasoba.

— No to i cóż z tego, to może wy wolicie, abyście nic nie mieli, a on całą łąkę dla siebie wyprawował? Lepiej zawczasu zapobiegać, bo potem już przepadło.

— No to możebyście mi napisali pismo do urzędu panie pisarzu? — rzecze Zasoba.

— Tego wam już zrobić nie mogę — odpowiada pisarz — ale idźcie do mego brata do miasta, a on wam tę całą sprawę wyszykuje jak się patrzy i będziecie widzieli, że wygracie, jak amen w pacierzu!

Tak to robią ci pisarze, co to was kochani ludzie bałamucą i do procesów namawiają! Tak też zrobił i ów pisarz; dla własnego zysku namówił Wojciecha do procesu o łąkę — a potem podjudził jeszcze i Zasobę, a że już sam wziął pie piądze od Wojciecha, więc odesłał Zasobę do swego brata, aby w tym łotrowskim procesie tamten także zarobił.

— Ja będę dusił pieniądze od Wojciecha mówił sam do siebie pisarz — a mój brat od Zasoby, i tak oba zyskamy na tem, jak się ci dwaj durnie będą procesowali!

I udało się akuratnie zdrajcy, bo Zasoba pobiegł zaraz do miasta do owego pisarzowego brata, dał na skargę i na stempel i o całą łąkę swego sąsiada zaskarżył. I otóż patrzcie dostał sąd naraz aż dwie skargi o jedną łąkę, Wojciech Truś utrzymywał, że to jego cała łąka, a Marek Zasoba, że to znów do niego cała należy.

Kiedy się rozpoczął ten nieszczęsny proces, już też było całkiem naturalnie po zgodzie między oboma sąsiadami. Truś i Zasoba, jak się dawniej lubili i przyjaźnili między sobą, tak znowu teraz darli się z sobą jak pies z kotem i patrzyli na siebie nawzajem jak dwa śmiertelne wrogi.

Wnet też gruchnęło po wsi całej, że Truś i Zasoba wytoczyli sobie wzajemnie proces o całą łąkę. A był we wsi pewien stary i bywały gazda, człek bardzo uczciwy i doświadczony, Walenty, ten tedy umyślnie idzie do Trusia i do Zasoby i perswaduje im, jako to źle i niepożytecznie jest procesować się o to, czem się ich ojcowie i dziadowie wspólnie i w świętej zgodzie dzielili.

Ale obaj proceśnicy, ani słuchać tego nie chcą. Walenty prosi ich i namawia, aby się pogodzili, ale taki z tego pożytek, jakby kto groch rzucał o ścianę. Mówi tedy do nich Walenty:

— No moi kochani, kiedy nie, to nie! Nie chcecie żyć w zgodzie z sobą, jak wasi dziadowie i ojcowie żyli, to niech i tak będzie, zakosztujecie tego dobrego! Nie chcecie mnie starego bywalca słuchać, co wam dobrze życzę, to zróbcież mi choć jedno, o co was bardzo proszę.

— A czegoż to chcecie? — zapytali Truś i Zasoba.

— Oto moi kochani, jak kiedy będziecie dawali na stemple i na papiery, to za każdym razem przyjdźcie do mnie i powiedzcie mi o tem, bo jabym rad wiedzieć, ile was ten cały proces będzie kosztować, bo ot już ja taki ciekawy z natury.

Kiedy już tak proces zapadł w sądzie, zaczęły się zaraz przykrości rozmaite sypać na obu sąsiadów bez miary i końca. Najpierw tedy nie mógł już teraz ani Truś ani Zasoba nawet palcem dotknąć łąki, bo jeszcze sąd nie rozstrzygnął, do kogo ona należy. Zamiast tedy, jak to dawniej za zgody bywało, używać sobie wspólnie po połowie łąki, musieli obaj sąsiedzi patrzeć, jak cała łąka marnie leżała, i trawa najpiękniejsza, coby z niej była nie jedna furka siana, schła marnie. Dawniej Truś i Zasoba po kilka furek siana mają z łąki dla siebie — a dziś nie ma już czem chudoby podkarmić.

Tymczasem sprawa w sądzie, wlecze się i wlecze i Bóg wie kiedy się skończy, a koszta okrutne. Pisarze wyciągają ostatni grosz z Trusia i Zasoby, szachrują zdrajcy jak mogą, łudzą reński po reńskim, a końca jak nie ma, tak nie ma. Zaś stary Walenty wypytuje się zawsze, ile za każdym razem dali Truś i Zasoba na stemple, na komisye i dla pisarzów i zapisuje sobie to za każdym razem na papierze. Tak minął rok cały a już i drugi był w połowie. Łąka leżała marnie, komisya z urzędu zjeżdżała dwa razy, koszta były okrutne. Truś i Zasoba stracili na proces cały grosz uskładany za lepszych czasów, ale i to nie starczyło, musieli się zadłużyć u żydów a w procesie jak nie ma końca, tak nie ma.

Wreszcie nadszedł wyrok od sądu. Truś i Zasoba mało nie wyskoczyli ze skóry z ciekawości, i co tchu pobiegli, dać sobie przeczytać pismo sądowe — ale jakież ich było zdziwienie, gdy się dowiedzieli, jako sąd uznaje, żeby tak zostało, jak było dawniej, to jest, aby Truś miał połowę łąki, a Zasoba drugą połowę.

A na dobitek całej tej biedy nakazał sąd, aby obaj zapłacili po kilkanaście reńskich kosztów komisyi, t. j. za drogę i fatygę tym urzędnikom, co zjeżdżali na grunt zbadać całą tę sprawę.

Otóż tobie proces! Truś i Zasoba zachodzili w głowy z frasunku i mało sobie włosów nie powyrywali, ale co to pomogło już teraz! Wtedy to mówi do nich stary Walenty:

— A co nie mówiłem wam, że tak będzie! A czemużeście nie słuchali starego?

— Aj cóż człek winien, kiedy ta gadzina pisarz tak namawiał i wabił, że i człeka skusił! Oj będę ja teraz i dziesiątemu zakazywał!

— Aha, mądry Polak po szkodzie — rzecze na to Walenty — to lada zdrajcę pisarczuka, co tylko na swój zysk i na cudzą kieszeń dybie, słuchacie, a ludzi starszych nie! Otóż i cały pożytek z takiej sprawy! No a macież pieniądze na zapłacenie sądu — bo to wam wnet spadnie na kark egzekucya?

— A tać to właśnie bieda, że nie ma czem płacić — rzecze Zasoba — musimy obaj sprzedać swoją połowę łąki, aby sąd zapłacić i długi zaspokoić,

— Macież teraz przykład, chciało się wam więcej a teraz i to straciliście coście już mieli. Zamiast połowy łąki, jak przystało, zapragnęło się wam całej, a teraz i połowy mieć nie będziecie! A ileż to chcecie za waszą łąkę!

— Ja za moją połowę 20 reńskich — rzecze Zasoba — a Truś także za swoją pewnie zechce dwadzieścia.

— To razem 40 reńskich — mówi na to Walenty — otóż ja od was za te pieniądze łąkę kupię. A aby wam to dobrze wytłumaczyć, to posłuchajcie co wam powiem: Prosiłem was, abyście mi dawali znać, co was stemple i inne sądowe wydatki będą kosztować, i za każdym razem taką samą sumkę pieniędzy kładłem sobie na bok. Jak wy i Truś dali pisarzowi albo do urzędu po reńskiemu, to ja zaraz te 2 reńskie odkładał na bok i oto widzicie, za te pieniądze teraz całą łąkę kupuję. Gdybyście wy także nie prawowali się, jeno pieniądze te, co was proces kosztował, chowali razem, tobyście byli nie tylko po połowie łąki mieli, ale jeszcze drugą taką łąkę kupić byście byli mogli! Niechże to teraz wam i drugim ludziom będzie na naukę!

Tak to Wojciech Truś i Marek Zasoba wyszli na procesie! Bierzcie przykład z tego, kochani bracia, żyjcie w zgodzie, nie słuchajcie podszeptów złych ludzi i oszustów i nie bądźcie chciwymi na cudzą własność!

Kasper Grzęda.

Historya o Bartku leniwym gospodarzu

spisana przez jednego ś. p. „Przyjaciela Pracy.“

VII.

Bartłomiejowa we dworze.

Dziedzic: A co to chcecie moja kobieto?

Bartkowa: Przyszłam też tutaj, bo ja jestem żona Bartłomieja z pod młyna.

Dziedzic: Toście wy żona tego próżniaka? Oj żal mi was bardzo, że takiego męża niegodziwego macie.

Bartkowa: A i cóż robić, jak Pan Bóg dopuści na kogo nieszczęście, to się tam już nie obroni.

Dziedzic: A i cóż to chcecie odemnie?

Bartkowa: Ej przychodzę też do wielmożnego pana, z prośbą, bo mój bardzo chory. Może nawet i nic z niego nie będzie, bo bardzo narzeka na wnętrze.

Dziedzic: Czemuż nie pójdziecie radzić się do doktora?

Bartkowa: Kaj tam doktora szukać, tymczasem zemrze mi chłop; żeby to pan dał jaki proszek, toby mu może pomogło, bo go okrutnie żga kolka.

Dziedzic: Moja kobieto, żebym słuchał tylko głosu sprawiedliwości, tobym mu nie powinien nic radzić, ale przez miłość chrześcijańską jak umiem tak poradzę. Macie tu moja kobieto proszek, rozmięszacie w półkwaterku wody i będziecie mu dawali co pięć pacierzy po łyżce. — Rozumiecie?

Bartkowa: Ej nie proszę pana, gdziebym ja tam zrozumiała.

Dziedzic: No poczekajcież, to ja sam pójdę i może coś mu poradzę zanim doktor przyjedzie — a z czegóż dostał boleści?

Bartkowa: Z dobrej woli proszę jegomości.

Dziedzic: Z dobrej woli? a może co zjadł?

Bartkowa: Jadł ci co prawda, ale nie wiele, tylko jajecznicę po piętnastu jajach, musiałam się aż fantować po sąsiadkach, tak okrutnie krzyczał że ma zachcenie do jajecznicy ze słoniną.

Dziedzic: Dziwię się że na takie zachcenie uważacie, bo to próżniackie zachcenie. Idźcież, idźcie do domu, a ja tam zaraz przychodzę.

Bartkowa: Dziękuję też wielmożnemu panu. Oj wiem ja wiem, że on nie tylko pana zarwał, ale i młynarza i organistę i szewca i innych po wsi, taki to już chłop próżniak.

VIII.

Dziedzic u Bartłomieja.

Dziedzic: Przyszło wam to na chorobę Bartłomieju.

Bartek: Oj przyszło mi przyszło, a przyjdzie i odemrzeć wszystkiego.

Dziedzic: I cóż was boli?

Bartek: Oj na wnętrzu mię tak żga z przeproszeniem.

Dziedzic: Możeście co zjedli niezdrowego?

Bartek: Mocny Boże, cóżbym ja też zjadł, kiedy w chałupie nic nie ma.

Dziedzic: Musi przecież coś być, kiedyście zjedli jajecznicę z piętnastu jaj.

Bartek: Zjadłem co prawda, ale tylko dla tego, żeby nieco sił skrzepić, żebym też wielmożnemu panu odrobił te pieniądze com wziął.

Dziedzic: Nie gadajcie o odrobku, bo wam się o tem ani nie śniło, ale mówcie coście jedli.

Bartkowa: Mnie się widzi, że mojemu groch w kiszkach rozpęcniał.

Dziedzic: Jaki znowu groch?

Bartkowa: Ej dzieci tam trochę uzbierały z obsianego pola.

Bartek: Niech tam wielmożny pan głupiej baby nie słucha... plecie to i plecie sama nie wie co.

Dziedzic: Widzicie Bartłomieju, to was ludzka krzywda tak rozpiera — niech wam Bóg nie pamięta. Zażyjcie sobie ten proszek na trzy razy, a jak zrucicie, to potem nic nie pijcie tylko letnią wodę, rozumiecie?!

Bartek: Oj rozumiem, rozumiem — dziękuję wielmożnemu panu.

IX.

Bartkowa u xiędza proboszcza.

Bartkowa: Oj dopraszam się też jegomości, żeby też można Bartka mego wysłuchać, bo też bardzo zaniemógł.

Xiądz proboszcz: Przecież wczoraj jeszcze chodził zdrowiuteńki — czekajcie moja kobieto, zaraz się zbiorę. I cóż mu się stało?

Bartkowa: Zaniemógł też bardzo po tym proszku, co mu pan dziedzic dali, na zwracanie. Jak zrócił, tak zesłabł bardzo, bo go stargało, i tak mu się jakoś dziwnie słabo zrobiło, że począł okrutnie wołać chleba świeżego na skrzepienie. Cośmy go naprosili nic nie pomogło, tylko ciągiem wołał chleba

i chleba. Więc sprzedałam żarna, bo co prawda to i nie było co na nich mleć i przyniosłam mu tego chleba. Jak sobie też pojadł i wody się napił wieczorem, tak przed północkiem chwyciły go okrutne boleści, a teraz oczy wytrzeszczył i całkiem zaniemiał, ani nikogo nie poznaje choć na niego wołamy, nic się nie odzywa tylko charcze a charcze.

Xiądz proboszcz: I teraz dopiero przychodzisz po pomoc duchowną, nieszczęsna kobieto, kiedy mąż kona. O ludzie! ludzie jakżeście niedbali.

Bartkowa: Bałam się iść budzić dobrodzieja po nocy, bo co prawda trzeba iść wedle cmentarza, to strach człeka zbiera.

Wnet xiądz proboszcz ubrał się i poprzedzony od chłopca dzwoniącego, ruszył przez pole śród ciemności niosąc Przenajświętszy wiatyk.

Skoro przyszli przed dom, słychać było krzyk dzieci. Kapłan przyspieszył kroku i wszedł do izby pytając:

— Gdzież jest chory?

— Już nie chory, tylko trup, proszę dobrodzieja, rzekł sąsiad młynarz, ten sam co chciał Bartka brać do roboty.

I xiądz proboszcz dopełnił obrzędu, jaki kościół święty przepisuje na przypadek, jeżeli kapłan już przy życiu nie zastanie chorego, a wszyscy obecni modlili się klęcząc.

Kiedy się obrządek zakończył, Bartłomiejowa poczęła wołać:

— O mój Boże! mój Boże serdeczny! że też ten próżniak dowojował się śmierci a mnie ubogą sierotę zostawił, ani ja na trumnę, ani na koszulę, wszystko wyterał, ludzie mię będą szarpać biedną wdowę za jego próżniactwo; styrałeś mi wszystko i krowy i korale; aniś zasiał, ani co zrobił w polu, a mnie biedną wdowę zostawił i umarł bez świętej spowiedzi, jakby nieme stworzenie.

— Nie grzeszcie kobieto! — mówił xiądz proboszcz — nie wymawiajcie nieboszczykowi, bo to na nic, a pomódlcie się za jego duszę i pomyślcie o pogrzebie.

Bartkowa: A z czegóż ja o pogrzebie pomyślę, kiedy ani deszczułki nie ma na trumnę, ani też nie ma go w czem wywieźć, bo wózek sprzedał.

Xiądz proboszcz: Uspokójcie się, ja się o to rozmówię z wójtem — niech was tu Bóg pociesza.

Zapytacie się bracia mili do czego się ta historya o Bartku stosuje. Oto do tego, że nie jeden tylko ten Bartek był na świecie, ale jest takich dosyć — nieraz widzieliście takich próżniaków, co się pracy boją jak ognia, radzi żyć cudzem a w biedzie umierają. Otóż ta historya dla tego jest spisana i wydrukowana, aby ludziom na oczy przedstawić jaki straszny koniec jest człowieka, który nie pracuje.

Kiedy pierwszy nasz rodzic zgrzeszył w raju, to pan Bóg powiedział, że człowiek ma odtąd w pocie czoła pracować na kawałek chleba; a św. Paweł apostoł mówi: „Kto nie pracuje niech nic nie je,“ a chociaż sam był apostołem Chrystusa Pana, to całe życie na chleb pracował.

A z tego wszystkiego taką naukę sobie wyciągnąć należy:

1. Skoro jest jaka robota, to nie trzeba mówić poszedłbym albo trzebaby może iść, ale zebrać się zaraz i chwycić roboty żeby nie tracić darmo czasu.

2. Kiedy człowiek ma co do zrobienia a drapie się w głowę, albo idzie nie idąc, lecz wlokąc nogi za sobą, to już źle, bo widno że mu się robić nie chce.

3. Nie należy nigdy brać, nawet i części zapłaty naprzód, bo potem się zdaje że człowiek darmo pracuje; gdyż jak przyjdzie wypłata, to drudzy biorą, a tamten co już wziął odchodzi z próżnemi rękoma.

4. Kiedy człowiek jednego dnia pracuje, niechże zaraz na drugi dzień nie odpoczywa ale robi przez cały tydzień aż do niedzieli, bo sam Bóg Wszechmocny dał nam przykład, że sześć dni pracować a siódmego odpoczywać należy.

5. Kiedy zaś człowiek robotę skończy, a pieniądze za nią weźmie, niechże ich lekko nie puszcza, ale szanuje i na pożyteczne rzeczy obraca, a Bogu dziękuje że mu dał i siły do pracy i zdrowie do roboty, i udzielił kawałek chleba powszedniego. Tak robiąc dorobi się człowiek nie tylko pomyślności na ziemi ale i szczęścia w niebie.

Piękne przykłady.

Dziatwa szkolna w Lutczy.

Za święty poczytuję sobie obowiązek donieść wam kochani wieśniacy i wam pilni uczniowie i grzeczne uczennice o pięknym przykładzie uczniów i uczennic w szkole ludowej w Lutczy.

Nim zaś o tem, co dzieci dobrego uczyniły, wspomnę, powiem wam wprzódy, że szkoła w Lutczy trzeci dopiero roczek jak weszła w życie. Od początku ten sam pracuje nauczyciel a dzieci chętnie i pilnie biegną do szkoły, jakby kurczęta pod skrzydła matki swojej. Tu żwawą prowadzą rozmowę to się witając wzajemnie, to sobie opowiadając ciekawe historyjki, bajeczki, bo musicie wiedzieć, że te dzieci nawet same sobie „Dzwonek“ zapisały i go czytają, to znów ciekawie młodsze starszego, mniej rozumne rozumniejszego o znaczenie słowa pojedyńczego lub powiastki się wypytuje.

Nie dawno temu, bo przy końcu lutego tego roku zasłabł nauczyciel na mocne zapalenie gardła, przez co dłużej pozostać musiał w łóżku.

Dzieci kilka dni błąkały się i nie wiedziały co czynić, pomimo, że nauczyciel zawsze jakie takie zarządzał zatrudnienie. Lecz gdzie nie ma głowy, tam i członki władać nie mogą, starać to prawda jak świat, tak też widząc nauczyciel nieład w szkole, rozpuścił wszystkich i dopiero za cztery dni zejść się im kazał. Smutne dzieci jednak schodzą się na drugi dzień do szkoly o niezwykłym czasie, chodzą tędy i owędy jak gdyby kogoś wyzierały, jakby w pary się szykowały i na coś oczekiwały. Aż oto daje znak dzwonek kościelny, iż czas pospieszać na mszę świętą. Dzieci ruszają się z miejsca i idą spokojnie do kościoła. Msza święta wychodzi a drużyna mała z podniesionym duchem zasyła modły do Stwórcy i prosi o zdrowie swego kochanego nauczyciela.

Nie potrzebuję wam mili bracia i wam grzeczne dziatki już i mówić, bo się sami domyślicie, że to same dzieciaki dały na intencyę swego nauczyciela na mszę świętą, którą szanowny kapłan ze wzruszeniem, jakiego z tej przyczyny doznał, na ich żądanie odśpiewał.

A co za skromność u tych dzieci, ani byście się nie spodzieli. Żadno wam się nie chciało przyznać ani nauczycielowi ani nikomu, kto z nich był pierwszym, który wszystkich jedną natchnął myślą i do chwalebnego pobudził czynu, i do dziś dnia jak kamień rzucił w wodę, nikt się od nich tego nie dowiedział i już podobno się nie dowie.

Wszystko to wiem dokumentnie, bo bardzo blisko Lutczy mieszkam i w zażyłości żyję z tamtym panem nauczycielem a wam dla tego to piszę, żebyście opowiedzieli dzieciom waszym, których do szkoły wysełacie, aby sobie brały piękny przykład od dzieci szkolnych z Lutczy i podobnie miłością odwdzięczały się swemu nauczycielowi za żmudną około ich dobra pracę.

Antoni z pod Strzyżowa.

RÓŻNOŚCI.

Śmierć mordercy. Zdarzył się niedawno temu wypadek, który jest strasznym przykładem dla całego świata, jak zbrodnię, choćby nie została ukaraną przez ludzi, ściga srogi gniew sprawiedliwego Boga! Toć wszystkim wam pewnie tkwią jeszcze w pamięci owe straszne, do Boga o pomstę wołające mordy, okrucieństwa i rabunki, które w niektórych okolicach lud wiejski, za sprawą szatana i złych ludzi popełnił temu lat dwadzieścia na swych własnych braciach, na panach polskich! Sprawiedliwość ludzka nie ukarała wówczas tych dzikich zbrodniarzy i strasznych morderców — ale gniew Boży dosięgnął ich przecie. Wszyscy prawie ci rabusie i mordercy, co się zbryzgali krwią niewinną, skapali marnie jak psy, wśród męczarni własnego sumienia! Otóż teraz donoszą z kołomyjskiego, tam gdzie to między ludem głód wielki panuje, że gdy tam w jednej wsi rozdawano wieśniakom biednym zapomogę i strawę, nadszedł jakiś dziad stary w brudnych i poszarpanych łachmanach, cały zarośnięty jak zwierz, zjedzony prawie żywcem przez głód, nędzę i chorobę, i padł przed domem bez duszy. Zaczęto go tam zaraz trzeźwić i ciepłą strawą zalewać i pytano go,

zkąd jest — a on ledwie mógł odpowiedzieć, że idzie na Mazury. Później gdy ten nędzarz przyszedł trochę do siebie, opowiedział sam, że on był pomocnikiem tego okrutnego zbrodniarza i mordercy, Szeli, tego dzikiego i nieludzkiego złoczyńcy, co tyle krwi niewinnej przelał i drugich ludzi do strasznej zbrodni za sobą pociągnął. Szela skapał już dawno w mękach sumienia i choroby, i już pożarło piekło tego łotra, na którego włosku każdym ciężyła zbrodnia, mord i krew do niebios o pomstę wołająca. A ten jego pomocnik, co z nim razem palił, rabował i mordował, był razem z tym Szelą na Bukowinie, ale nie mógł znaleźć cichego miejsca przed sobą samym; jak on wpierwej ludzi, tak jego teraz sumienie paliło i mordowało. Przez dziesięć lat tułał się ten człowiek po świecie, a wszędzie go okropne wiedźmy zbrodni goniły bez wytchnienia, i srogi gniew i pomsta sprawiedliwego na każdym go kroku ścigała! Syn owego Szeli, u którego chciał siedzieć na Bukowinie, wypędził go sam z chaty, a on chciał się dostać nazad w Tarnowskie, na Mazury. Ale głód, choroba i sumienie zabiły go w drodze, męczył się długo a ciągle wołał:

— O ukarał mnie Bóg strasznie za moje grzechy!

Tak nędznie skonał ów zbrodniarz, może już ostatni z tych, co wówczas mordowali, a pewnie już na wiek wieków ostatni taki Polak, co własnych braci krew przelał. Nie znajdzie on spoczynku i w grobie, tak jak go nie znalazł na ziemi za życia, bo dla takich zbrodniarzy nie masz ratunku i miłosierdzia ani na ziemi ani przed majestatem Bożym!

Pies i człowiek. Pewien Anglik siadł na morze na okręt, jadąc gdzieś za interesem. Miał on ze sobą psa ulubionego, któremu to psu, dziwna była jazda na okręcie, był więc niespokojny, latał z miejsca na miejsce nareszcie buch, i wskoczył do morza. Anglik sturbowany, krzyczy, woła, aby okręt zatrzymać, lecz kapitan odpowiada, że dla zwierzęcia nie wolno zatrzymywać okrętu.

— A gdyby człowiek wpadł w morze, zapytał się Anglik, czyby zatrzymano okręt?

— A dla człowieka zatrzymanoby natychmiast — odrzekł kapitan.

Na te słowa Anglik, nie wiele myśląc bęc w morze. Oczywiście okręt zatrzymali, i wyratowali i Anglika i jego ulubionego psa. Widzicie, jak to dobre czułe serce człowieka to nawet zwierzęciu nie da zginąć darmo.

PRZYPOWIEŚCI.

Kto garstką ziemię znosi, góry się doczeka,
Z kropli za kroplą z czasem uzbiera się rzeka.

Nie będziecie nigdy bracia w swych zachceniach hardzi,
Nie wart ten wielkiego, kto maleńkim gardzi!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. Nr. 13.

1. maja 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Marek.

Gromada polska we wsi Kowalówce fundowała szkołę wsiową, sprowadziła piśmiennego organistę, który ładnie zagra i zaśpiewa w kościele, ale potrafi i małe dzieci wiejskie nauczyć wszystkiego dobrego w szkole i jest oraz pisarzem gromadzkim. Toż od kilku lat wyuczyły się wszystkie dzieci czytania, pisania i śpiewają ładnie w kościele przy każdem nabożeństwie. Czy to na odpuście, czy w święto jakie, czy na procesyi jakiej, to ci te dzieci razem z xiędzem i organistą tak milutko śpiewają z książki pobożnej, że aż się dusza raduje.

Otóż na św. Marka przypada u nas Polaków co rok nabożeństwo i procesya na pole albo koło kościoła, gdzie śpiewają wszędzie litanje i inne pobożne pieśni. Pan organista i nauczyciel kazał szkolarzom przyjść na to nabożeństwo, a gdy się szkolarze zeszli do szkoły rano i było jeszcze dosyć czasu do kościoła, zapytał on jednego szkolarza tak:

— A wiesz ty, nieboże, kto to był ten św. Marek, na którego przypada u nas w polskim kraju co rok to nabożeństwo?

A szkolarz mówił na to:

— To był pewnie jakiś święty na ziemi ten Marek, bo jest nawet w kalendarzu na dzień 25. kwietnia, ale co on był, to ja jeszcze nie wiem.

Na to pan organista rzecze:

— Otóż uważajcie dzieci, a ja wam zaraz opowiem, kto to był ten św. Marek. On był rodem z miasta Jerozolimy z przedmieścia Ofel, gdzie byli ludzie biedni, ale do tego pobożni i do dobrego bardzo ochotni, bo to ci pobożni przedmieszczanie witali zawsze Pana Jezusa serdecznie w Jerozolimie, a w kwietnią niedzielę słali Mu szaty pod stopy święte i wołali: Błogosławiony który idzie! Toż ojcowie Marka byli pobożni i dobrzy ludzie i zaraz za młodu uczyli Marka bojaźni bożej i dodawali mu ochoty do nauki i do pobożnego życia. Marek ten miał i drugie imię Jan, a będąc chłopakiem pracowitym, posłuchliwym i ochotnym na wszystko dobre, widział nieraz na żywe oczy samego Pana Jezusa w Jerozolimie i nieraz z ciotecznym bratem Barnabaszem, przysłuchiwał się nauce Pana Jezusa czy to w kościele jerozolimskim, czy na mieście czy też gdzie w domu jakim u pobożnego gazdy. Jako młody chłopak nie mógł jeszcze dobrze wyrozumieć wszystkiego, co słyszał od Pana Jezusa, toż powiedział sobie tak:

— Poczekaj! jak mi Bóg pozwoli doczekać i ja jeszcze podrosnę, to ja się wyuczę dokumentnie całej nauki Pana Jezusa, a potem zarzucę gospodarkę i robotę na chleb, a pójdę w świat nauczać drugich czy to krajowców czy obcych, to mi wszystko jedno.

— No! i cóż zrobił? zapytali szkolarze.

— Tak zrobił, jak sobie w dobrej myśli ułożył, powiada pan organista. Oto jakie dziesięć lat po wniebowstąpieniu Pana Jezusa, kiedy już miał Marek swoje lata i rozum dobry i poznanie pobożne i dobrą zwagę na wszystko na świecie bożym, porzucił grunt po ojcu i zdał gospodarkę na krewnych, a sam przystał do św. Apostołów Piotra i Pawła, ochrzcił się i został z żyda chrześcianinem i powiedział tak sobie: Juści trza i na gruncie robić na chleb, ale gdzie ma dwu albo trzech siedzieć na kupie i biedować albo się i kłócić, to niech drudzy

idą w świat między ludzi i tam szukają chleba i zbawienia, a jeden zostanie na gruncie, a komu daje Bóg rozum i naukę, to niech drugich poucza i prowadzi do dobrego. I zdał cały grunt spokojnie na swojaków, sąm zaś w jednej koszuli ale z myślą o Bogu i ludziach poszedł nauczać tego, co sam za młodu słyszał od samego Pana Jezusa, a potem douczył się od św. Piotra i Pawła. Wziął także z sobą ciotecznego brata Barnabę i chodził długo z św. Pawłem Apostołem po wsiach, po miastach, pomagał nauczać, chrzcić, fundować parafie najpierwsze na świecie, ą gdy św. Paweł wybrał się daleko w podróż, to Markowi zrobiło się jakoś ckliwo i żałośnie za swojakami i przystał w Jerozolimie do św. Piotra Apostoła i nawracał krajanów swoich w Jerozolimie i Antyochii, bo gadał sobie zawsze tak: „Co krajan to zawsze najbliżej serca, na jednej ziemi urodzony, między swojakami wychowany, od swojaków wyuczony, toż i umierać miło między swojakami, a za życia najlepiej robić dobrze swojakom!“ — A gdy były już parafie w Jerozolimie, Samaryi, Antyochii, i po całym kraju żydowskim, gdy Marek nawrócił dosyć swojaków, poszedł potem do Rzymu, gdzie św. Piotr i Paweł fundowali już parafię między poganami, i tam znowu nawracał pogan i nie bał się żadnego strachu, ani groźby urzędników pogańskich, jeno od rana do wieczora chodził po domach i ulicach i nawracał każdego do Pana Jezusa, a nie zważał na głód, na biedę, ani na zimno ani na gorąco, ale służył wiernie Panu Jezusowi.

Aby zaś pobożni ludzie mieli co do czytania i rozmyślania w dni świąteczne, to znowu spisał Marek wszystko, co jeno wiedział o Panu Jezusie, o Jego narodzeniu, o nauce i cudach i o męce całej, zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu i ta książka pobożna Marka nazywa się do dziś Ewanielią św. Marka. Otóż widzicie dzieci! jak to św. Marek obracał wszystko, co sam umiał, na chwałę bożą i dla zbawienia drugich ludzi — co sam nauczył się od św. Piotra i Pawła o Panu Jezusie, to co do słówka bez myłki opowiadał drugim, a jak znowu potrafił pisać, to opisał całe życie Pana Jezusa i dał to przeczytać św. Piotrowi, a potem rozdał między ludzi, aby sobie każdy w święto przy spoczynku odczytywał i rozważał, jak to

trza żyć i robić, aby sobie zarobić na chwałę u Pana Jezusa, aby być dobrym Polakiem i katolikiem.

Ale zapytali szkolarze:

— A co się też dalej stało z tym św. Markiem?

Na to pan organista rzecze:

— Jak kto ma dobry rozum i dobrą naukę i jest życia pobożnego, to takiego chcą wszyscy mieć u siebie. Toż i św. Marka posłał św. Piotr aż do miasta Aleksandryi za morze do Afryki, gdzie były wielkie szkoły, mądrzy ludzie z całego świata, gdzie było dużo żydów, pogan Greków, którzy nie znali prawdziwego Boga, ani nauki Pana Jezusa, trza było posłać także bardzo pobożnego i mądrego Apostoła do tak wielkiego miasta, aby tam nawracał ludzi. A św. Marek był takim, to pojechał na okręcie z ochotą do tego miasta i tak tam pracował, nawracał, nauczał, że fundował tam parafię i był tam nito biskupem najpierwszym. A był tak pobożny i przykładny, że się wszyscy ludzie patrzali na jego życie, robili tak samo, a dla wdów i sierót był tak miłosiernego serca, że wszystko, co miał, rozdał między nich, a znowu wypraszał u bogaczów przeróżne jałmużny i te dzielił tak że tam nikt nie umierał z biedy ani z utrapienia jakiego, ale każdy z ochotą przynosił do niego różne dary, aby rozdawać między ubogich ludzi i chorych. Toż gadali ludzie po całym świecie tak:

— Patrzajcie! u nas w mieście Aleksandryi daje każdy bogacz z ochotą dla ubogich, tak samo jak robią wszędzie dobrzy chrześcijanie, a nie ma między ludźmi ani zazdrości żadnej, ani łakomstwa na cudzą pracę, ani zawiązku żadnego, ani też chudak nie robi szkody bogatemu, jeno żyją ubodzy i bogaci cicho w zgodzie w miłości i kochają się jak bracia, bo tak przykazał Pan Jezus i tak nauczają św. Apostołowie. I tak biskupował św. Marek długo w Aleksandryi, był od pogan i żydów za świętego uważany i umarł tam roku pańskiego 62 po narodzeniu pańskiem za cesarza strasznego w Rzymie Nerona — przeżył też św. Marek 70 lat z okładem i nawracał ludzi więcej niż 40 lat, zeszedł dużo świata, założył kościół biskupi najpierwszy w Aleksandryi i po jego śmierci dopiero byli tam głośni i bardzo pobożni biskupi, nazwani patryarchami,

a gdy św. Marek umarł w miesiącu kwietniu, toż przypada jego święto w kalendarzu zawsze w kwietniu na cały polski kraj.

A jeden szkolarz zawołał na to:

— Ho! ho! to już temu 1800 lat akuratnie jak św. Marek umarł w Aleksandryi i tam był pochowany.

— A doskonale utrafiłeś, rzecze pan organista — jeno ciało św. Marka leżało jakie 800 lat w Aleksandryi, dopóki tam byli chrześcijanie, a jak przyszli Turki i miasto zabrali i chrześcijan wymordowali i wygnali, toż ciało św. Marka zawieźli chrześcijanie do miasta Wenecyi do kraju włoskiego, tam go złożyli i na grobie wyfundowali bardzo bogaty kościół, nazwany do dziś kościołem św. Marka, a na tę pamiątkę nazwali cały wielki plac koło tego kościoła taksamo placem św. Marka. Otóż widzicie dzieci, że dobry i pobożny człowiek robi wszędzie dobrze i jego dobre uczynki uwielbia cały świat — św. Marek urodził się w Jerozolimie, umarł w Aleksandryi, a potem przeniesiono jego święte ciało do Wenecyi, i tam stoi na grobie kościół z samego prawie marmuru, a my pobożni ludzie czcimy go i w naszym polskim kraju, choć on ani znał, ani widział Polaków.

A szkolarze zapytali w końcu:

— A na co to jest procesya na tego św. Marka po kościołach polskich?

— Zaraz wam opowiem, rzecze pan organista. Na początku nie było tej procesyi w dzień św. Marka, aż raz spuścił Bóg wielkie utrapienie na grzesznych ludzi, którzy bardzo umierali po miastach. Było wtedy straszne morowe powietrze, ludzie dostawali wielkiego kichania i ziewania i z tego padali jak muchy do razu. Umarło bardzo wiele ludzi w Rzymie, gdzie siedzi Ojciec św., toż Ojciec św. Grzegorz Wielki ustanowił na wiosnę akuratnie w sam kwiecień nabożeństwo takie, że ludzie schodzili się do kościoła i ztamtąd szli procesyami do kościoła wielkiego Najświętszej Panny Maryi, a po drodze śpiewali litanię do wszystkich świętych i różne pobożne pieśni — a gdy tak prosili Boga szczerze i poprawili się, to ustało powietrze. Otóż na tę pamiątkę była ta procesya potem co

rok w Rzymie i to przypadało zawsze w sam dzień św. Marka t. j. 25. kwietnia i tak też zostało raz na zawsze. A ponieważ Polacy byli zawsze pobożni i mieli nie raz morowe powietrze w polskim kraju, a potem gdy zawsze po zimie są różne choroby na biednych ludzi, toż biskupi i króle polscy zrobili taką samą ustanowę, aby w dzień Marka św. było wszędzie nabożeństwo pokutne a potem procesya po miastach i wsiach polskich, aby Polacy w ten dzień prosili Boga, by bronił ich cały kraj od moru, od chorób wiośnianych, od nagłej i niespodziewanej śmierci. A gdy znowu przypadają w Polsce zasiewy wiośniane w tym czasie, toż mają Polacy rozumną przypowiastkę taką:

„Na świętego Marka, późny owies a wczesna tatarka.“

Otóż prośmy św. Marka i świętych naszych patronów, aby za ich przyczynieniem oddalał Bóg od nas Polaków głód, mór i choroby — a my wszyscy bójmy się Boga, żyjmy pobożnie, zgodnie, trzeźwo i w pracy, a da nam Bóg błogosławieństwo swoje.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Dziewozyna i wojacy.

(Piosnka z roku 1831.)

— Hej panienko dla Boga,
Czy się boisz Polaków
Czy do Lidy to droga
Czy tu nie ma kozaków?

— Da uchowaj nas Boże!
Tu nie było Moskali —
Lecz w zaścianku w Żaborze
Dotąd puszcza się pali!

Troje dzieci zabili,
Matkę z chaty wygnali,
Potem chatę spalili
I jałówkę zabrali!

Niech waspanów nie gniewać,
Żem nie chciała zaczekać,
Lecz tu w Polsce dziś dziwa —
A wszak trzeba uciekać!

Jam myślała... nie powiem...
Lecz teraz czas taki...
Jam myślała... ej powiem...
Że waspaństwo Kozaki..

— Nie my duszko Polacy,
My z za Niemna przybyli!
— A czy wszyscy tam tacy?
To i nie dziw, że bili!

Janusz

Zginione dziecko.

(Na przestrogę dla matek.)

Płacz głośny zrozpaczonej kobiety rozlegał się po wsi.

Było to pod wieczór, w miesiącu czerwcu, i wieśniacy właśnie co tylko od dziennej wracali pracy.

— Cóż to?

— Cóż się stało?

— Jakież to nieszczęście? — pytano, i ze wszystkich domostw wybiegali chłopi, niewiasty i dzieci — i w kilku chwilach wyrzekała wieś cała, a kobiety w koło żałosnym zawodziły płaczem.

— Cóż się stało? — zapytały dwie panie, nadchodzące ode dworu.

W pośrodku gromady stała Marcinowa Woźniaczka i załamując ręce, z krzykiem i jękiem płakała. A mąż jej stał opodal, blady gdyby trup, załamał ręce, a w oczach szeroko rozwartych łzy stały.

— Cóż się stało za nieszcząście? — zapytały znowu panie, przystępując do gromadki.

— Oto, wielmożne panie, mały Franuś...

— Woźniaczka poszła w pole...

— Dziecko ot było samuśkie...

— Mały Franek...

— On, oj, był przy robocie...

— O Jezu mój najświętszy!

Wołali wszyscy razem, okrążywszy panie, że i nikogo zrozumieć nie mogły.

— Ale cóż się stało? — pytała panna Marynia, córka dziedzica — opowiedzcież wy nam, Czajkowa — i panna zwróciła się do stojącej bliżej kobieciny, zapłakanej, ale więcej krzyczącej jak drugie.

— Oto, proszę wielmożnej panienki i wielmożnej pani — pokłoniła się kobieta i pani Godzkiej, krewnej dziedziców — chłopiec Woźniaków, czteroletni Franuś gdzieś zginął. Był, oj, na południe jeszcze. Potem Marcin poszedł na robotę, a Mar-

cinowa w pole, zostawiwszy dziecko przed domostwem. A gdy, oj, wróciła pod wieczór, to już go nigdzie nie było. Obiegła wieś całą, ogrody, wołała, krzyczała, ale chłopca jak nie ma, tak nie ma.

— Może się gdzie położył i zasnął — zauważyła pani Godzka.

— Obszukaliśmy już wszędy, w każdej budzie, na każdym zagonie po ogrodach. I szukaliśmy po wszystkich chliwach...

— A dzieci drugie, czyż go nie widziały? — zapytała panna Marynia.

— Żadne nic o nim nie wie.

— Jezu, Jezu, mój Jezu! — zajęczała znowu Woźniaczka, rwąc sobie włosy z głowy.

— Uspokójcież się, biedna kobieto! Przecie niepodobna, ażeby dziecko zginęło.

— Teraz wrzeszczy i krzyczy, i rwie włosy i szlocha — groźnie ozwał się Woźniak — a to jeno stało się przez własne niedbalstwo — i pięść skulił z gniewu i żałości. — Dam ja tobie!... Poleźć sobie a dzieciaka na Bożem zmiłowaniu zostawić! Sypnę ja ci tyle jeno się zmieści — i zgrzytnął zębami, grożąc jej pięścią.

— O, Jezu, Jezu!... Marcinie!... Już chyba i sumienia nie macie! — zanosiła się kobieta od płaczu.

— Sumienia!... Ty nie miałaś sumienia, kiedyś dziecko zostawiła bez dozoru i zgubiła!

Panna Marynia przystąpiła do biednego ojca i poczęła go mitygować, uspokajać i pocieszać, głaskała go po ramieniu i po twarzy. A kobiety i chłopi w około szemrali i krzyczeli, że kobieta niedbaluch i matka przytem głupia, zostawiwszy dziecko bez opieki przez tyle godzin, to też ma teraz, na co zasłużyła.

— Trzeba jeszcze szukać! — ozwała się pani Godzka — przecież mały musi gdzieś być.

— Wielmożna pani, może cygani zabrali — zagadał jeden z chłopów.

Woźniakowa przeraźliwie krzyknęła.

— A czy przechodzili tędy? — zapytała panna Marynia.

— Kto ich tam wie! Toćże oni włóczą się wszędy a bezustannie.

— Włóczą się a włóczą — dodała jakaś kobiecina wiekowa — i nikt im tego nie broni. A wszelako byłoby lepiej i dla nich samych, gdyby im kazali gdzie zamieszkać i jakiemu oddać się zarobkowi.

— To się wie! — potwierdził gospodarz Antoni Szumka — musieliby wtedy gminę stanowić, byłby porządek i nie byłoby złodziejstwa.

— Cygani, cygani mojego Franuchnę ukradli! — wołała matka w rozpaczy.

— Przecież tego nikt nie mówi na pewne — przemówiła znowu pani Godzka — biorąc Woźniaczkę za rękę — może dziecko poszło w zboże i zabłąkało się. Wszakżeż żyto jest tuż za wsią.

— A może go kto przejechał, gdy polazł na drogę, wartogłów jaki, a potem trupiątko wziął z sobą na wóz, by się nie wydało, konie zaciął i het pojechał! — ozwał się jakiś parobczak młody.

— I zrzucił go potem gdzie w krzaki, albo też w ziemię zagrzebał — dodał drugi.

W tej chwili nadeszła ode dworu sama dziedziczka, a dowiedziawszy się co zaszło, wydała rozkaz, by dziecka po zbożach szukano. I niebawem też dworska służba: pisarz, ogrodnik, kucharz, lokaj i chłopiec, zabrawszy psy z sobą, puścili się na szukanie chłopczyka. Po dwugodzinnem szukaniu, zrobiwszy formalną obławę, bez dziecka wszelako wrócili.

— Gdyby i trupek gdzie leżał, toćby go przecie psy były znalazły — mówił ogrodnik — ocierając pot z czoła, bo wszyscy szczerze szukali.

— Najpewniej, że chłopca ktoś zabrał — wyrzekł kucharz.

— A może i przez swawolę, na psotę, na umartwienie! — dorzucił lokaj.

— Niechby go tam!... — zaklęły kobiety — taki człek nie wart, jeno włosy mu wydrzeć wszystkie!

Panie tymczasem pocieszały rodziców jak mogły — lecz same szeptały sobie, że biedne dziecko zapewne jakiemu podległo nieszczęściu.

Rozbiegli się znowu: matka w jedną stronę, a ojciec w drugą, i poszło z niemi parę parobczaków i dziewcząt. Nawoływania i płacz biednej matki rozlegały się niemal przez noc całą po polach.

Nazajutrz rychło Woźniaczka do sąsiedniego poszła miasteczka, i tutaj swoje zawodziła żale i zgryzoty. Gdy w tem nadchodzi stary wyrobnik z siekierą.

— A co to? — zapytał.

Kobieta opowiada mu swoje zmartwienie.

— Ej no, to podziękujcież Panu Bogu! — zawołał — bo dziecko żyje i w dobrem jest miejscu, a i zdrowe przy tem.

— O Jezusieńku! O Przenajświętsza! — i kobieta na kolana upadła, wznosząc ręce ku niebu. — To i gdzież jest mój synek jedyny?

— Szedłem wczoraj późno wieczorem z gospodarzem ze Skałowa — opowiadał wyrobnik — a kiedyśmy za miastem dochodzili do smętarza, to oj stał tam malec i płakał. Pytamy go: Czyj ty jesteś? — Matusi. — A kto matusia twoja? — Matusia. — Masz ojca? — Mam tatę. — A jak się nazywa? — Tatuś. — Jak ci imię? — Franuś. — Zkąd idziesz? — Z domu. — I na tem było wszystko. Wziął go więc gospodarz z sobą do Skałowa, i tam go znajdziecie.

— O Jezusieńku! Chwałaż Ci Boże na wysokości! — wołała kobieta, składając ręce, jak do pacierza.

— Dziękuj Panu Bogu i Matce Najświętszej, i uczyń ślub jaki, żeś dziecka samochcąc nie zatraciła — mruczał jej nad uchem Marcin, który nadszedł właśnie — a na raz drugi pilnuj dziecka i nie zostaw go bez opieki.

— Tak, tak — ozwał się za nim i stary wyrobnik — już to musieliście nie zważać na chłopca, kiedy zalazł aż tak daleko.

— Szedł znać za matką — mówił Marcin — szedł drogą, lazło sobie a lazło. Szczęście od Boga, że tak się stało! —

złożył dłonie i westchnął do Boga. — To i chodźmyż teraz do Skałowa.

— Idźcież sobie, a znajdziecie zgubę, i Bogu dziękujcie. Matko, a pilnujcież lepiej swoich dziatek! — pokiwał Woźniaczce jeszcze poczciwy wyrobnik.

— Będę strzegła, gdyby oka w głowie! — zawołała kobieta.

Woźniakowie poszli do Skałowa i Franusia odebrali, dziękując z całego serca dobrym ludziom, u których chłopiątko, szczęśliwym trafem, opiekę znalazło.

Marcin wszelako żonie nieraz jeszcze jej niedbalstwo i nierozgarnienie wyrzucał. A wszakżeż miał słuszność i sprawiedliwie ją łajał. To też kobieta milczała i nie odpowiadała mu wcale, bo dobrze czuła, że zawiniła.

Paulina Wilkońska.

Opowiadanie starego Walentego.

Spisał Grześ z Mogiły.

I. Nieco o ziemi i o górach ogniem ziejących.

Gdzie stoi zamczysko w Przemyślu na wysokiej górze, tam po prawej stronie, na pochyłości tej góry ku Sanowi, zobaczysz kilkanaście niezamożnych domków, kryjących się skromnie poza gałęzie gęstej sadowiny. Miejsce to nazywają Podgórzem w Przemyślu.

Owoż w jednym z tych domków mieszkał do niedawna pewien majster rymarski, Walenty, człek bywały po świecie, co nie z jednego pieca chleb jadał, wiele widział, dużo zapamiętał, i to wszystko pięknie opowiedzieć umiał. Głowa u Walentego jakby śniegiem latami przypruszona, wąs krzaczysty także srebrzeć się już począł, ale siły jeszcze krzepkie, a z prostej postawy i znacznej blizny koło ust łatwo poznać, że gdzieś za młodu i szablą z konika wywijał.

Miał Walenty żonę nie bogatą z rodu, ale rządną i uczciwą niewiastę, i z nią jednego syna Wojtusia. A ten Wojtuś, to

była cała jego pociecha! Nie duży, bo dopiero dwanaście lat mógł liczyć, a już taki zmyślny był chłopczyna i taki ciekawy do nauk, że się ojczaszek z ostatniego ściągnął, aby tylko synka posyłać do szkoły na naukę. Pilnował się też Wojtuś, a będąc zawsze jedynym z najlepszych uczniów, nie małą uciechę sprawiał dobremu ojcu.

Było to jakoś w dzień Matki Boskiej, bo w sobotę pod wieczór. Walenty miał gdzieś pod Przemyślem robotę i powracał właśnie do domu. Otwiera drzwi... w izbie ciemno i cicho jak makiem zasiał.

— Hola! jest tu kto? — zagadał Walenty wszedłszy do izby, i począł się rozpatrywać w ciemności.

— To wy tatko! — zakrzyczało coś cienkim głosem, i duchem z pod pieca wyskoczył mały chłopczyna i na szyi się ojcu powiesił. — Dobry wieczór wam po robocie!

— Jak się masz Wojtusiu! a gdzie matka, i czego tak ciemno na izbie? Przecie to dzisiaj dzień Matki Boskiej, a o świecy jak widzę ani dudu.

— Nie gniewajcie się tatusiu! Właśnie matula poszła za świeczką do miasta — jeno co jej nie widno.

— Nie można to było w dzień o tem pomyśleć? Dopiero na ostatni czas się opuszczać... Oj, to nie dobrze! — gderał majster, który, że był sam we wszystkiem akuratny, to chciał żeby i drudzy takimi byli.

— Ale tatulu! — tłomaczył chłopiec — ot i mama! Słyszycie jak pilno bieży przez ogród?

Prawdę mówił chłopiec, bo zaledwie skończył, już się drzwi uchyliły i zadyszana wpadła Walentowa. Nie wybyło i Zdrowaś Marya, już świeczka płonęła w drewnianym lichtarzyku przed świętym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, wprost drzwi na ścianie zawieszonej. Już też i majster się udobruchał, i z twarzą wesołą jak zwykle rozsiadł się na ławce po za dębowym stołem, a wziąwszy Wojtka na kolana i ucałowawszy go w czoło, rzeknie:

— I cóż mi powiesz Wojtku?

— Ja nic! — odpowie chłopczyk objąwszy ojca za szyję — Siedząc sam w ciemnym kąciku myślałem sobie o całym

bożym świecie, myślałem sobie zkąd się to bierze ta ziemia z drzewami i zwierzętami, to niebo z jasnemi gwiazdami, z księżycem i słońcem, i tak mi się to wszystko pomięszało w głowie, żem sobie rady dać nie mógł.

— A cóż to, nie uczyłeś się katechizmu? — zapytał ojciec.

— Toć uczyłem się tatusiu i wiem, że pan Bóg stworzył niebo i ziemię i wszystko co się na nich znajduje; ale gdybym ja mógł to wszystko zobaczyć?

Pan Walenty uśmiechnął się dobrotliwie:

— Ho, ho, mój synu, nie jedną beczkę soli musiałbyś jeszcze spożyć, zaczem byś choć cząstkę świata zobaczył, bo niezliczone są twory boskie, i bez końca. Trudno też nieraz człowiekowi dociec rozumem tej i owej sprawy, ale przecież wielu rzeczy tajemna przyczyna została już odkrytą, a wszystkie te odkrycia spisują ludzie w książki, i na nich to kształci się rozum, od Boga ludziom nadany. Przeróżne odkrycia służą dalej człowiekowi do wyszukiwania pożytku w rozlicznych darach bożych, a starając się pożytkami temi polepszyć dolę swych bliźnich, wynajduje człowiek chleb ze żyta, wełnę z owcy, koleje z żelaza, i tym podobne rzeczy. Wynalazki takie przynoszą korzyść całemu rodowi ludzkiemu, podnoszą majątek i handel narodów, a chwałę Boga, jako twórcy wszystkiego stokroć pomnażają.

— A czy tatuś czytał jaką książkę, gdzieby to było wszystko opisane?

— Trochę czytałem, a dużo i widziałem, bom już nie dzisiejszy, więc ci opowiem po krótce o układzie naszej ziemi i całego świata. Później, gdy będziesz starszym i dójdziesz do wyższej szkoły, to się o tem dużo ładnego nasłuchasz.

Tutaj odchrząknął pan majster i tak zaczął mówić:

— Wiesz już zapewne, jako stoi w piśmie świętem napisano, iż na początku! stworzył Bóg niebo i ziemię, a ziemia była pusta i próżna, i ciemności wielkie wisiały nad jej głębinami. Dopiero gdy Bóg wyrzekł: niech się stanie światłość — stał się na ziemi dzień a po dniu noc, i tak już jest zawsze od niezliczonych wieków. A pisze dalej pismo swięte, jako pan Bóg tworzył potem sześć dni lądy, morza, rośliny, gwiązdy, zwierzęta, a wreszcie człowieka, i jako dnia siódmego

odpoczywał, pracy tej wielkiej dokonawszy. A jakież to długie były owe robocze dnie boskie! każdy z nich ciągnął się przez długie tysiące naszych lat znikomych, a dla wieczności bożej były te lata jedną chwilą, jednym dniem tylko! Łatwo się o tem człowiek przekonuje spojrzawszy na gwiazdy niezliczone, na morza nieprzejrzane, i na góry niebotyczne; a gdy wytęży rozum i zapuści się w głąb ziemi i w morza głębiny, albo szkła sztuczne sobie uczyniwszy na niebo przez nie spojrzy: to jeszcze bardziej chwali wszechmoc bożą, wewnątrz przedziwnych tworów Jego zaglądnąwszy.

Owoż odkryli mądrzy ludzie, że na samym początku, nim jeszcze pan Bóg światłu stać się kazał, nie było w całym świecie nic innego tylko jedna para i para tak daleko, jak dziś jest słońce, księżyc i wszyściutkie gwiazdy. A para ta przewalała się, oziębiała, i nareszcie zaczęła tężeć, nieprzymierzając jak para wodna, gdy w zimnem miejscu znowu się w krople wody zmienia. Podobnież więc i ona para, z której Bóg światy utworzył, stała się po długim czasie płynącą masą, a była ta masa jako żar czerwona i niezmiernie paląca, bo juści wszystko co dziś jest na ziemi i na niebie, najtwardsze skały, żelazo i złoto, były wtedy razem roztopione, zkąd też i gorąco nie małe się wywiązywało.

— Więc się to wszystko gdzieś musiało rozlać, skoro było jak woda płynące? — zapytał Wojtuś.

— Nigdzie się nie rozlało mój chłopcze, bo za wszechmocnem zrządzeniem bożem krążyło wszystko od wieków naokoło siebie, a i dziś ciągle krąży i już tak bez końca krążyć będzie. Lecz słuchajże dalej! Musiałeś nieraz uważać, że jeśli się woda gotuje, to tyle z niej pary ucieka, żeby jej i w kilka garnków nie pomieścił; a przeciwnie, z wielkiej objętości pary, znacznie mniejsza objętość wody napowrót się robi: owoż podobnie stało się i ze światami. Jak długo krążyła sama para, tak długo było jej wszędzie pełno, a jak to raz w płynącą masę ochłódło, tak tej masy nie mogło już do pełności wystarczyć: więc poskurczała się ona na pojedyńcze, porozrywane między sobą kupki, i oto z tych kupek utworzyło się słońce, księżyc, ziemia nasza i wszystkie gwiazdy błyszczące.

Natenczas rzekł Pan Bóg: — Niechaj będzie światło — i zaczęło się to wszystko porządkować: słońce, księżyc i gwiazdy krążyły teraz na rozkaz boski jako niezmiernie wielkie ogniste kule, i światłem swojem oświecały ziemię, która także jako wielka kula na około słońca krążyć poczęła.

Lecz, jak to ci już rzekłem, była ziemia podonczas cała roztopiona, a że coraz bardziej chłódło naokoło, więc zgęstniała potem jak ciasto, a nareszcie pokryła się tąką cienką skorupką, jak to się czasem staje na błocie po przymrozku, gdy z wierzchu niby twardo, a noga zapada. Skorupa ta na ziemi robiła się coraz grubsza, aż nareszcie zaczęła pękać w różnych miejscach, tak jako i dziś jeszcze pękają gliniane grunta, gdy wielka posucha. A spadła była już podonczas i woda na powierzchnię ziemi; więc gdy się trafiło, że przyszła woda na taką rozpękłą szczelinę i zasączyła się do środka gdzie jeszcze żar był wielki: toż dopiero działy się rzeczy nad wyraz okropne! Zahuczało strasznie we środku ziemi, nareszcie przerywało wątłą jeszcze skorupę, a wtedy owe masy roztopione wybuchały z wielką gwałtownością na wierzch, krzepnąc w kamienie, skały i góry.

Wojtuś słuchał z wielką uwagą, aż go nareszcie język zaczął świerzbieć.

— Mój tatusiu — zapyta — a to może i dziś tak wybuchnąć, skoro ziemia popęka w lato gorące. Ja się bardzo boję!

— Nie bój się mój Wojtku — rzecze pan rymarz śmiejący — nic się nam nie stanie. Najprzód dlatego, że skorupa ziemi jest już dziś znacznie grubszą i przerwać ją nie łatwo, a wreszcie, że jest kilka takich gór, z których to jak z kominów ogniem i roztopioną masą sypie, jeżeli się wewnątrz płynne jądro ziemi zanadto wypręży. Góry takie nazywają się wulkany, a takich wulkanów co najznaczniejszych, jest trzy w Europie.

— Mój tatusiu, to musi być bardzo ładne, kiedy sobie góra ogniem sypie!

— To nie tyle ładne ile straszne, mój Wojtusiu, dlatego, iż nikt naprzód przewidzieć nie może, kiedy wybuch takiej ognistej góry nastąpi. Zaczyna się on zwykle głuchym łos-

kotem podziemnym, któremu i trzęsienie towarzyszy, a łoskot ten wzmaga się coraz bardziej, aż nareszcie przy okropnych grzmotach wybuchają z wnętrza góry nieprzejrzane słupy dymu, popiołu, drobniutkiego piasku i kamyków. Potem dopiero, zaczyna góra wyrzucać ze siebie masę roztopionych kruszców i i kamieni, a masa ta czyli lawa, jako żar czerwona i rozpalona płynie szeroką rzeką po spadzistościach góry i pochłania zboża na polach, kwiaty po łąkach, zapala drzewa i lasy, i tak czasem kilka mil płynie, wszystko w około niszcząc i pochłaniając. Wybuchy takie trwają nieustannie przez kilka dni, a czasem i tygodnie: góra wyrzuca na przemiany to dym i popiół, kamyczki i żużle; to znowu rzekę ognistej lawy, która płynąc dziwny ze siebie dźwięk i huk wydaje.

RÓŻNOŚCI.

Trup gadający. Po wielkich miastach, gdzie są szkoły lekarskie, biorą często ciała zmarłych ludzi ze szpitalu, jeżli na to zezwoli familia, i lekarze krają tego trupa, i dochodzą na co ów człowiek umarł. Tym sposobem dochodzą chorób i uczą siebie i innych, jakich używać leków. I nie jest to rzeczą niegodziwą, bo cóż w tem złego, uczyć się na umarłym, jak ratować żywych? Ale że takich trupów do oglądania i krajania nie można tak łatwo dostać, bo najczęściej familia nie pozwoli, więc też lekarze ciała umarłych nieraz za drogie bardzo pieniądze muszą kupować. Otóż w Ameryce w pewnem wielkiem mieście pewna zgraja łotrów chciała tym sposobem zarabiać pieniądze, że wykopywała z grobów świeżo pogrzebane trupy i sprzedawała je do lekarskiej szkoły, co już jest niegodziwością wielką. Otóż jednego razu kilku takich łotrzyków ukradło z cmentarza trupa, a aby ich nie złapali po drodze żandarmi, przebrali tego trupa w zwykłą odzież i posadzili go na wozie, wioząc go w nocy tak do miasta. Po drodze stanęli pod karczmą i poszli się napić wódki a trupa zostawili na wozie. Wtem nadszedł jakiś wędrowny czeladnik i myśląc że to człowiek siedzi na wozie, począł z nim rozmawiać, kiedy jednak żadnej nie otrzymał odpowiedzi — przystąpił bliżej i poznał że to trup. Domyślał się, co to być może i wpadł na ten koncept. Wziął trupa z wozu i schował go w rów, a sam siadł na jego miejsce na wóz. Tymczasem ci łotrzykowie wrócili i jechali dalej. Naraz widzą, że ich trup się rusza. Strach ich wziął wielki, a tu ów niby trup zrywa się i jak nie krzyknie na nich - tak pozeskakiwali na ziemię i drapnęli na cztery wiatry. Wtedy ów czeladnik pojechał sam z wozem do miasta i oddał go tam urzędowi, gdzie też wszystko rozpowiedział. Konie i wóz zaaresztowano, trupa pochowano a wkrótce też pojmano i owych łotrów.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. Nr. 14.

11. maja 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

POWSTANIE POLSKIE W ROKU 1831.

IV. Jenerał Dwernicki.

Stanęliśmy ostatnim razem na tem, jak ogromna ćma Moskali wpadła do Polski. Byli Moskale liczbą silniejsi, bo mieli daleko więcej żołnierza niż Polacy — ale za to nasi mieli więcej odwagi i waleczności a jeden żołnierz polski stał za dziesięciu Moskali.

Nie ulękli się też Polacy tak ogromnej mnogości moskiewskiego żołdactwa, ale się wzięli raźno do szabli. Pierwszy zawinął się koło Moskali jenerał Dwernicki. Józef Dwernicki był to sławny i waleczny Polak, żołnierz jakich nie dużo na świecie, a ojczyźnie dobrze zasłużony. Imię też jego będzie na wiek wieków żyło w sercu i pamięci wszystkich Polaków.

Jenerał Józef Dwernicki bił się z Moskalami jeszcze pod cesarzem Napoleonem, a już wtedy okazał wielką waleczność, za którą sam ten cesaz wielki ozdobił go krzyżem legii honorowej, który był wówczas najsławniejszym orderem w całym świecie.

Otóż kiedy Moskale przeprawili się już przez granicę i posuwali się w głąb Polski, stał jenerał Dwernicki z wojskiem swojem nad Wisłą. A miał on pod sobą samych zuchów nad zuchy, chłopów dzielnych, co śmierci śmiało zaglądali w oczy. A już to najlepsi między nimi byli pono krakusy, chwaty opętane, zwinni i bitni, w czerwonych czapeczkach, z ostremi pikami i na dzielnych koniach. Ci krakusi byli zawsze wielkim postrachem dla Moskali — bo lecieli na kule i kartacze jakby do tańca a bili się jak lwy.

Otóż dowiedział się jenerał Dwernicki, że moskiewski jenerał Gajsmar posuwa się z wielką siłą i już jest w pobliżu. Nie wiele tedy myśląc rusza Dwernicki na niego. Moskiewski jenerał Gajsmar miał dziesięć tysięcy żołnierza pod sobą, naszych było tylko coś nad sześć tysięcy.

Ale Dwernicki nie pytał wiele, ale wprost wali na Moskali i dnia 14. lutego nadybał ich pod Stoczkiem. Nasi nie mieli nawet dobrej broni, bo groty na lancach ułańskich nie były dobrze osadzone, ale Dwernicki zawołał do ułanów:

— Nie bójcie się wiara, drzewcami pobijemy Moskali!

Jak już nasi stanęli naprzeciw nieprzyjaciela, dał jenerał rozkaz do ataku, i krakusy z ułanami rzucili się jak piorun na Moskali, rąbiąc, kłując i tratując na wszystkie strony. Polscy zuchy tak chwacko i ogniście natarli na Moskali, że aż ziemia zatętniła — a nie minęło i pół godziny, a całe wojsko moskiewskiego jenerała rozbite zostało w puch na wszystkie cztery wiatry.

Okropny strach i popłoch padł na moskiewskie wojsko, uciekali jak djabły przed święconą wodą, zostawiając broń, armaty i wozy. Sam ich jenerał Gajsmar, ledwie z życiem i całemi kośćmi umknął, Moskali padło czterysta na placu — a nasi zabrali oprócz tego pięćset Moskali do niewoli, wzięli jedenaście dział z zaprzęgami, prochu i bagażów różnych co niemiara.

Naszych poległo tylko szesnaście a rannych było tylko ośmnaście. Takie to świetne zwycięztwo nad Moskalami odnieśli nasi pod Stoczkiem! W całej Polsce była radość okrutna, bo to była pierwsza bitwa, więc też cieszyli się wszyscy

z szczęśliwego początku. Po tej bitwie, to już choć się kto bał Moskali, to teraz nabrał odwagi, kiedy ujrzał, jak ich Dwernicki rozbił odrazu. Sławna też to bitwa będzie na zawsze! A zaraz o niej spisali jedną prześliczną piosenkę, którą i teraz w całej Polsce spiewają, a którą wam wypisujemy, bo choć ona już nie nowa, ale dobra i żwawa taka, że się aż serce raduje. Jest w tej piosnce, jak Krakusy, co z razu stali po za bitwą, nie mogli wytrzymać i bez rozkazu natarli na Moskali! Zaś ułożył tę piosenkę pewien Polak sławny i uczony, co śliczne wiersze układa, że mu mało kto w tem w całej Polsce dorówna, a który się zwie Wincenty Pol i za młodości swojej sam się bił w 1831 roku z Moskalami, więc też na wszystko własnemi oczyma patrzył i jak widział tak opisał:

Grzmią pod Stoczkiem armaty,
Błyszczą białe rabaty,
A Dwernicki na przedzie
Na Moskala sam jedzie.

„Hej za lance chłopacy!
„Czego będziem tu stali?
„Tam się biją rodacy,
„A myż będziem słuchali?

„Chodźwa trzepać Moskala,
„Bo dziś Polska powstała!
„Niech nam Polski nie kala —
„Hej zabierzwa mu działa!“

I zerwali się razem,
Posterunek rzucili,
Nie wołani rozkazem
Na batalię przybyli.

„Cóż tu słychać ułanie?
„Pyta jeden z nich żwawo.
— „Kropią naszych Mospanie.
„Słońce zeszło dziś krwawo!“

„Ejże? kropią, mówicie?!
„Jakże kropić nie mają
„Kiedy wy tu stoicie,
„A wej oni strzelają?!

„Wszak to działa nie dziwo?
„Wszak to blisko, wiarusy?
„Hej, na działa — a żywo!
„Dalej naprzód Krakusy!“ —

I krzyknęli wraz „Hurra!!!“
Właśnie gdy wróg nacierał:
„Co tam leci za chmura?“
Pyta sztabu jenerał.

— „Jenerale! Krakusy
„Znać swą pocztę rzucili“ —
„Oszaleli Wiarusy,
„Bez rozkazu ruszyli!

„A to czyste waryaty!
„Patrz, jak lecą po roli —
„Patrz, jak wiercą granaty!
„Nie daruję swawoli!“

Lecz gdy wódz się tak gniewa,
Groźnie patrzy do koła;
Ktoś od walki przybywa
I z daleka już woła:

— „Jenerale! to chwaty!
„Od lewego tam skrzydła
„Wiodą cztery armaty,
„I Moskali jak bydła!“

Lecą, lecą wzdłuż błonia,
Grzmią krakowskie kopyta;
A Dwernicki spiął konia,
I okrzykiem ich wita:

„Dzielnieście się spisali!
„Zawsze Polak tak bije!"
A Krakusy wołali:
„Nasza Polska niech żyje!!!"

Zaraz w tydzień po bitwie pod Stoczkiem pobił jenerał Skrzynecki Moskali pod Dobrem, tak że ich tysiąc poległo a reszta co tchu umknęła. Dokazywali w tej bitwie cudów odwagi sławni czwartacy, to jest żołnierze czwartego pułku piechoty. Tych czwartaków, dla ich odwagi i ogromnego męztwa zwano w Polsce najwaleczniejsi z walecznych, bo też sobie swoją dzielnością w ogniu zasłużyli dobrze na to honorowe miano. Zaraz w dwa dni po bitwie pod Dobrem, starli się znowu Polacy z Moskalami pod Wawrem, gdzie to dowodzili jenerałowie polscy Żymirski i Szembek, i dzielnie też wytrzepali Moskali.

Kawaler z Frysztaku.

Opowiedział Skoczek z Radomyśla.

Antek: Dobre rano sławetnej pani Marcinowej! Przychodzę do pani z wielką atencyą w bardzo ważnym interesie. Jestem jak pani widzą wojak, a tu w Radomyślu leżymy już dwa miesiące na kordonie. Ażebym pani wszystko akuratnie opowiedział, to nie będę dobierał słów, tylko powiem co moje serce czuje. Przepraszam bardzo uniżenie żem taki śmiały. Oto moje serce ma zamiar prosić o rękę Anusi, która jest sierotą i akuratnie krewną pana Marcina. Najprzód Boga a potem dobrych ludzi będę błagał, żeby Anusia mogła być moją żoną.

Marcinowa: A zkądże to pan wojak zna Anusię?

Antek: No prawda jest — gdzie Anusia na komornem, to i ja tam taki stoję na kwaterze już tydzień.

Marcinowa: I to tak prędko poznaliście się?

Antek: O ja już od dawna znam Anusię, więcej niż dwa tygodnie. Pierwej byłem na innej kwaterze, a teraz pro-

siłem pana felfebra żeby mię tam posłali, gdzie Anusia komoruje.

Marcinowa: No i cóż z tego? wyście wojak a Anusia biedna dziewczyna. Jak się bieda z biedą pobierą, to nędzę zrodzą.

Antek: Właśnie ja chcę pani Marcinowej oświadczyć moje zamysły, proszę tylko o cierpliwe wysłuchanie. Jestem rodem z Frysztaka kantonu Jasielskiego, jedynak, rodzic mój już nie żyje ani matka, po ojcach jest na mnie wielki majątek, co siedzi na nim opiekun, aż ja z wojska wrócę, spada na mnie 30 morgów gruntu ornego, łąka na 20 wozów siana, budynki dubelt, posiedzenie murowane, dwie stodół, stajnie a do tego wyprocesował adwokat 300 reńskich, co leżą dla mnie w kasie becyrku. Wójt we Frysztaku miał ochotę na mój majątek i chciał, żebym się był z jego córką żenił, ale ja co prawda nie miałem do niej serca, tom nie chciał, to on też na złość zrobił to, że oddali mię do wojska do Rosbach Infanterie regimentu.

Marcinowa: A to pięknie, kiedy macie taki majątek.

Antek: Śliczny majątek to prawda, a lata już mi się kończą, wczoraj było przy Befelu, że ja już do domu będę rukował.

Marcinowa: I to pięknie — ale to trudno żebyście się z Anusią pobrali, wyście bogacz, człek światowy, możecie tak samo z jaką bogatą się ożenić, a Anusia biedna sierota, może ma z pięć zagonów pola.

Antek: A przecież do tego ma korale, pierzynę i taki parę pięknych szmat, tobyśmy mieli na początek, bo ja co prawda potrzebuję teraz parę reńskich, trzebaby mi pójść do Frysztaka do becyrku zameldować się, żem narukował i żeby swój majątek objąć, tom przyszedł prosić pani Marcinowej żeby mi z 10 reńskich pożyczyli.

Marcinowa: Co w tem to ja się nie mogę rządzić, pogadajcie o tem interesie z moim mężem.

Antek: Dziękuję im pokornie za dobre słowo — to ja tu przyjdę nazad.

Antek odeszedł, spotkał się na mieście z Marcinem, nagadał mu wiele, ale 10 reńskich nie dostał. Marcin wrócił do domu, mówi żona do niego:

— Był tu u mnie żłonierz Antoni z Frysztaka, co się chce z Anusią żenić i chciał odemnie 10 reńskich.

Marcin: I mnie mówił o 10 reńskich, żeby wyrobił jakieś papiery w sądzie na ten swój majątek. Słyszałem w mieście, że on namawiał Anusię, żeby korale na ten interes sprzedała. Co to zaczynać z wojakiem, może to jaki pędziwiatr.

Marcinowa: Ej co też ty gadasz, to człowiek porządny, bogaty i ma rozum widać.

Wnet przychodzi Antek i mówi:

— No ja taki proszę pokornie, żeby mi sławetni państwo wierzyli, bo gadam sumiennie prawdę, że jutro maszeruję do Frysztaka po moje papiery i za tydzień powrócę, proszę, żeby nas z Anusią zaręczyli i żeby mi wygodzili 10 reńskich.

I tak się stało, bo dla Anusi wszystko Marcinowie zrobili. Antek przyniósł do Anusi swoje klajnikajty, a po całem mieście gruchnęło, że Hanka ma bogatego kawalera. Antek poszedł do onego Frysztaku i stawił się w słowie bo dziewiątego dnia wrócił do Radomyśla, zaszedł do Marcinów i gada:

— Sławetny panie Marcinie, melduję pokornie żem już narukował, alem papierów żadnych nie przyniósł. Byłem w becyrku i gadałem z samym panem naczelnikiem, ale mi powiedzieli, żebym od Radomyskiego wójta i xiędza proboszcza przyniósł wykaz, jako ja się tu chcę żenić, to mi dopiero wtenczas te 300 reńskich wydadzą a teraz dali mi jeno 20 na to konto. — Czy panu Marcinowi oddać może zaraz te 10 reńskich co mi pożyczyli, tobym poszedł i przyniósł, bo tam są u Anusi we skrzynce.

Marcin: Co tam te 10 reńskich, to mi nie pilno — a kiedyż panie Antoni ten grunt i cały majątek obejmiecie?

Antek: To taki doraz, bo dekret dziedzictwa jest już gotów, jako na mnie spada cały majątek, co je warty pięć tysięcy reńskich. Proszę pana Marcina nie trzeba się ociągać, jeno zaraz papiery wyróbmy i ja uniżenie proszę pana Marcina, żeby oni taki zemną do Frysztaka jechali, bo jabym myślał cały mój majątek sprzedać i tu w Radomyślu kawałek jaki kupić, bo Anusia nie ma chęci iść zemną na obce miasto, a co prawda to i mnie tu lubuje.

Marcinowa zaprosiła Anusię i dwóch wujów do swego domu, postawiła traktament na stole, a Antek opowiadał o swoim majątku. Dalej pyta Marcina:

— Ileż oni tu mają gruntu?

Marcin: Mam dziesięć morgów ornego i kawał łąki, budynki wszelakie w dobrym stanie — mój majątek wart ze dwa tysiące.

Antek: A tobym od nich odkupił.

Marcin: Jabym sprzedał, bo tak samo mam myśl co dołożyć i kupić większy grunt, cobym mógł dzieci obdzielić.

Antek: A toby oni mogli odemnie nabyć — jabym im taniej sprzedał jak komu inszemu, bo kiedy się żenię w waszej rodzinie, tośmy swoi. Widzisz Anuś jak to Pan Jezus kieruje nasze zamysły. Będziesz w swojem mieście obywatelką, jeszcze dokupimy parę morgów gruntu, przyjmę ci dwie dziewki a sobie dwóch parobków i będziemy z Bogiem gazdowali, będziesz panią jak się patrzy.

Anusia zalała się łzami z radości i wszyscy potruchleli na tę Boską opatrzność, że też to gdzieś ze świata się taki człowiek zjawił bogaty, dobry ba nawet i ładny dla Anusinej szczęśliwości. Antek z Anusią po traktamencie poszli do domu, a Marcinowie tylko o tym interesie radzili i nabrali wielkiej ochoty na nowe kupno we Frysztaku.

Nazajutrz rano siedziała Marcinowa na ławce przed domem, wtem biegnie Antek zadyszany z płaczem i mówi do niej:

— Oj pani Marcinowa! przypadek mi się trafił. Wczoraj wieczór wziąłem te dwie dziesiątki do sakiewki, poszedłem na ferlag zmienić, wziąłem tytoniu i cygarów, wydali mi 19 reńskich i resztę drobnych, schowałem to do sakiewki w kieszeń i poszedłem parę razy przez miasto na spacer. Może o dziesiątej godzinie przyszedłem do domu, patrzę a tu sakiewki nie ma. Całą noc nie mogłem spać ze zmartwienia, a dziś od świtu biegam i szukam, ale jak kamień do wody wrzucił. Cóż ja też teraz poczną? Państwu winienem 10 reńskich, teraz by trzeba na stępel i na pisarza, a tu i droga do Frysztaka! Ach to już człeka ostatnia pasya może wziąść.

Marcinowa: Nie turbujcie się panie Antoni. Jutro niedziela, to ja sama pójdę prosić xiędza proboszcza żeby z ambony tę zgubę ogłosił. Może się znajdzie, a jak nie, to tu w naszym Radomyślu są jeszcze ludzie, co wam pożyczą, bo was przecie już całe miasto zna.

Xiądz proboszcz z ambony ogłosił, ale się zguba nie wróciła, bo ktoś musiał z obcej parafii znaleźć. Marcinowie uradzili, żeby Antkowi pożyczyć jeszcze 5 reńskich, a gdy wszystkie papiery były gotowe, tak rzekł Marcin do Antka:

— Mój Antoni! żądacie żebym z wami jechał do Frysztaka, to od nas będzie z 18 mil, ja swoich szkap nie mam, jenoby trza nająć, będzie kosztowało ze 20 reńskich, a co więcej to już nie wymawiam — a co zwłaszcza, to ja wam nic w sądzie nie pomogę, bom jeno cztery lata do szkoły chodził, ale mam w Błażowej krewnego Sebestyana, co dziesięć lat chodził do szkoły i po niemiecku dobrze umie, to chyba po niego pojedziemy, żeby wam wasz interes dobrze wykierował; czy komu inszemu sprzedać, czy na ten przykład jabym kupił, to trzeba porządnie wszystko spisać, żeby była pewność.

Antek: To je rychtyk, proszę ich pokornie, trzeba w ordynku wszystko zrobić, a co będzie kosztowała to wrócę, bo dzięki Bogu mam na to, a i fatygi nie będę darmo żądał.

Puścili się oba w podróż i zajechali do Błażowy — opowiedzieli wszystko Sebestyanowi, a on mądrze o tych rzeczach rozmawiał. Pani Sebestyanowa dała dobrą wieczerzę, nie brakło tam i herbatki, a jak Antek szklanką rozum do głowy nalał, tak zaczął jej o różnych wojackich sprawach opowiadać, i o miastach Majlandzie, Wenedyku różności gadał, a wszystko jak z rejestru.

Na drugi dzień ruszyli wszyscy trzej ku Frysztakowi. Antek sam poganiał końmi, a Sebestyan z Marcinem radzili o tym interesie i o kupnie. W miasteczku Strzyżowie na popasie chciał Marcin kupić obroku dla koni a Antek mówi:

— Jużeście panie Marcinie ze 40 reńskich na mnie wydali, to tu owsa nie kupujcie — do Frysztaka już jeno dwie milki, to szkapy zalecą, a tam na mojem gospodarstwie jest dość owsa, siana i koniczu.

— To prawdę mówi -- rzecze Sebestyan — wypijmy po szklance piwa!

— A ja jeszcze proszę pokornie — odzywa się Antek — żeby mi pan Marcin dali szóstkę na fajkę i pięć centów na tytoń.

— Weźcie te grajcary i idźcie pokupcie, co wam trzeba.

Antek kupił fajkę i tytoń, zakurzył a Sebestyan z Marcinem zapalili cygara i śmignęli ku Frysztakowi. Już może tylko było z cwierć milki do Frysztaka jak się Antek obraca i mówi:

— Tu się już zaczynają pola Frysztackie. Ot tam het, het od onego lasku ku tamtemu pagórkowi leci mój grunt, a tamta dolina to moja łąka na 20 wozów siana, a tam daleko co widać krzaki, to moja olszynka, jest tam dość paliwa i chrustu, a nawet jest stawek coby można trzymać ryby albo młyn postawić.

— O mój Boże, jak tu pięknie, tu jeno żyć! — woła Marcin.

Sebestyan: Oj prawdać, prawda! okolica piękna jak w raju a grunta widzę dobre.

Marcin: Ja swoje sprzedam w Radomyślu Antoniemu, a od niego zaraz to wszystko kupię.

Antek: A i owszem sławetny panie Marcinie. Ja im tanio sprzedam — ojoj coby nie.

Sebestyan: Jak wy Marcinie nie kupicie, to ja gotów kupić, bo mi się tu bardzo podobało.

Antek: Jeszczeby też — tu jeno żyć a nie umierać.

Sebestyan: Stańcie no Antoni w tej austeryi, to się piwa napijemy, bo tu bywa dobre.

Zajechali do karczmy a Antoni rzekł: No prawda że tu piwo dobre, ale szkapy nie mają co jeść. Kupcie panie Marcinie jeszcze futrażu, bo choćbyśmy zajechali do mego opiekuna to jakoś nie pasuje. Jabym myślał, żeby go, na to mówiąc, zaprosić do karczmy.

Sebestyan: Tak, tak, zaprosić go tu, oddamy mu honor, a on nas sam do siebie weźmie — a tymczasem daj żydku owsa i siana ile trzeba — my się piwa napijemy.

Wypili jeden garniec i drugi, ot zwyczajnie jak na gorącu — a Antek mówi do Marcina:

— Proszę ich pokornie żeby mi wygodzili jeszcze jeden reński, bo by trzeba wstąpić do sklepu i kupić opiekunowym dzieciom jakich łakótek, a będą się cieszyły — bo jakże tak przyjść z gołą ręką.

Marcin: To prawda — weźcie pieniądze, zapalcie cygaro i idźcie duchem, a my tu czekamy.

Antoni ukłonił się i poszedł. Jak poszedł, tak i nie przyszedł. Marcin z Sebestyanem czekają i czekają — już się i noc zrobiła a Antka nie ma. Sumitują się, co to za rzecz — pytają arendarza, a on powiada, że go zna jako urwisza co nie ma czci i wiary. Dopytywali się i w mieście i w becyrku o niego, ale go nie znaleźli a o majątku ani mów, bo on jeno miał plugawą duszę w ciele. Wrócili do domu prawie o głodzie, bo się z grosza wytracili, w tej nadziei, że jak Antek weźmie te 300 reńskich to im koszta wróci. Klęli na czem świat stoi tego zdrajcę i nikomu tego zdarzenia nie wyjawili, jak ich na durniów wystrychnął — tylko mnie Marcin to w sekrecie powiedział, a ja to wam opisuję.

Opowiadanie starego Walentego.

Spisał Grześ z Mogiły.

I. Nieco o ziemi i o górach ogniem ziejących.

(Ciąg dalszy.)

Potem pan Walenty wyciągnąwszy książeczkę ze szafy zamykanej, ukazał Wojtusiowi obrazek, na którym buchający wulkan jest wyrysowany.

— Widzisz tu — mówił pan rymarz — kilka wierzchołków gór śniegiem pokrytych, jeden z nich tylko wybucha dymem i ogniem: jest to wulkan. U spodu góry masz dziwne skały, a między skałami woda jakiegoś jeziora. Owoż z przyczyny tej wody powiem ci, iż tam, gdzie są morza niedaleko wulkanów, płynie czasem czerwona lawa do bliskiego morza, a wtedy straszny to widok, gdy morze wzburzone jęczy i kipi i parę wyrzuca. Straszny to widok, lecz ludziom nie szkodliwy; szkodliwszym bywa często popiół i piasek, które wulkan ze siebie

w takiej ilości wyrzuca, że na kilka mil w koło powietrze się ciemni, a wtedy co lawa nie spaliła, to popiół, kamyczki i żużle zasypują, albo zalewają, z deszczem na muł wymieszane.

Jeden z europejskich wulkanów leży we włoskim kraju i zowie się W e z u w i u s z. Owoż ten wulkan był długi czas spokojnym tak, że ludzie na pochyłościach jego grunta uprawiali, a nawet budowali wsie i miasta, ogrody piękne zakładając. Aż naraz zaczęła się u podnóża góry ziemia mocno wstrząsać, i trzęsienia te powtarzały się przez lat kilkanaście, a niektóre z nich takie były silne, że dwa miasta rzymskie, najbliżej góry leżące w znacznej części w gruz się rozsypały. Lecz nie domyślali się ludzie, jakie nieszczęście trzęsienia te im przepowiadają; budowali więc napowrót swoje porozwalane domy, a na tem budowaniu minęło lat szesnaście. Nagle, pośród łoskotu, zaczął z Wezuwiusza ogromny dym wychodzić, prósząc popiołem i piaskiem, a przelęknieni mieszkańce poczęli z domów uciekać, widząc nad głowami czarne a nie widziane chmury z popiołu i dymu. Lecz niestety, nie wszyscy już zdołali uciec! Z przerażającym trzaskiem i podziemnemi grzmotami buchnął Wezuwiusz ogniem, lawą, kamieniami i jeszcze większą ilością popiołu, który wnet pozasypywał drogi i ulice, czyniąc z dnia noc najciemniejszą, a wkrótce częścią zasypał, a częścią zmięszawszy się z deszczem zalał gęstym mułem obydwa rozległe miasta.

Będzie już temu lat blisko tysiąc i ośmset jak się to wydarzyło, ale dopiero przed kilkudziesięciu laty natrafiono na miejsca, gdzie te dwa miasta zagrzebane zostały; a natrafiono przypadkiem, bo ani najmniejszego śladu z nich na wierzchu nie było. Dziwnie to wyglądało, gdy się ludzie wkopali w te zasypane miasta: znaleźli tam domy i świątynie, różne naczynia, posągi i obrazy, a wszystko w dobrym porządku. W koszarach wojskowych znaleziono szkielety dwóch ludzi, łańcuchami przykutych; byli to zapewne dwaj żołnierze za karę okuci, i oto wybuch nastąpił, przestraszeni mieszkańce gdzie mogli uciekli, a tych biedaków popiół wraz z więzieniem zasypał. Znaleźli tam i inne szkielety: odcisk kobiety z dzieciątkiem na rękach, na której był drogi łańcuch i pierścienie na palcach,

a znaleźli też i siecie ubogich rybaków... Mój Boże, majętnych czy ubogich i ich domy zarówno pogrzebało!

II. O słońcu, księżycu, gwiazdach i różnych zjawiskach niebieskich.

Przestał mówić pan Walenty, i sparł głowę na ręku, głęboko zamyślony, a biednemu Wojtusiowi, dumającemu ciągle o zasypaniu owych miast majętnych, aż łzy w oczach stanęły... Więc była wielka cichość w izbie, a na świeczce pod obrazem Matki Boskiej urósł knot taki wysoki, że coraz słabsze światło rozlewało się po bielonych ścianach.

Nagle podniósł się majster z ławy i rzecze:

— Ot, chodźmy na dwór; tutaj duszno, a tam wieczór śliczny, i niebo gwiazdami zasiane.

Skoczył więc Wojtuś i wyszedł z ojcem na ławę przed domem. Wieczór był rzeczywiście śliczny: wiaterek ciepły ciągnął od Sanu potrząsając z lekka bujną sadowiną, a na niebie miesiączek w pełni niby rybie oko i gwiazd prześlicznych niezliczone roje. Wiosenna woń ziół i kwiatów napełniała powietrze, a cichość rzadko głosem ludzkim przerywana, podnosiła ducha do Boga.

— Patrz Wojtusiu — rzekł pan rymarz spoglądając w górę — patrz na te wszystkie światy, któremi kieruje ręka wszechmocnego Boga! każda najdrobniejsza gwiazdka, którą tu ledwo okiem dostrzegasz, to jest ogromna kula, czyli ciało niebieskie, najczęściej większe od naszej ziemi! Teraz nie widać słońca, bo już noc, lecz ono jest największem z tych ciał niebieskich, któreśmy bliżej poznali. Wielkość słońca jest taka, iż możnaby z niego milion i cztery kroć sto tysięcy takich kul jak nasza ziemia ulepić; a tak niezmiernie daleko jest do słońca od nas, iż gdybyśmy strzelili z armaty, a kula armatnia miała siłę lecieć bez ustanku, toby musiała dwanaście lat lecieć, zaczemby do słońca doleciała. Nieogarniona to rozumem przestrzeń, bo wynosi dwadzieścia milionów i siedm kroć sto tysięcy mil! Już ztąd sobie łatwo wystawić, jaki to ogrom ono słońce, kiedy pomimo tego iż jest tak daleko od nas, przecież jeszcze możemy korzystać z jego światła i ciepła, bez czegoby ani śladu życia na ziemi nie było!

Wojtuś słuchając spoglądał na księżyc, więc przerwie ojcu czemprędzej:

— Mój tatusiu, a toć księżyc musi być jeszcze większy od słońca; niechże się tatuś przypatrzy.

— Widzę, widzę mój chłopcze, że się większy wydaje, lecz w istocie mniejszym jest nie tylko od słońca ale i od ziemi. Uważaj sobie, iż ztąd z góry drzewa na dole mniejsze się wydają niż gdy je z bliska oglądniesz. A dlaczego? bo wszystko w oddaleniu maleje, a więc i słońce, które jest tyle milionów mil od nas, musi się mniejsze wydawać od księżyca, tylko o pięćdziesiąt jeden tysięcy mil oddalonego. I tak, ta sama kula armatnia, któraby dwanaście lat czasu potrzebowała, żeby do słońca dolecieć: mogłaby na księżycu być już w dniach dwunastu. Księżyc jest tak mały, iż z naszej ziemi ulepiłby pięćdziesiąt kul jemu z wielkości podobnych, a tylko dlatego, iż jest najbliżej ziemi tak wielkim się nam wydaje. Już gołem okiem możesz rozróżnić na księżycu rozmaite plamy, a przez szkła sztuczne, które każdą rzecz pięćset razy powiększają, rozróżniają ludzie na księżycu głębokie doliny i wysokie góry skaliste, jak się zdaje trawą i drzewami wcale nie porośnięte. Księżyc pożycza swego światła od słońca, a raz na dni trzydzieści okrąża ziemię w około, zkąd też każde dni trzydzieści w roku miesiącem nazywamy. Ziemia nasza zaś obraca się najprzód naokoło siebie, a potem razem z okrążającym ją księżycem naokoło słońca, którą to ogromną drogę w jednym roku odbywa.

— To ja tego nic nie rozumię, mój tatku — odezwał się znowu Wojtuś. — Mówisz mi, że słońce i wszystkie gwiazdy są ogromnemi kulami, i że nasza ziemia i księżyc także są kulami. A jakże to może być, a na czemże one przywiązane czy oparte, że nie pospadają? I czem one tak kręcą się na około siebie?

— Mądrością boską są one powiązane ze sobą mój Wojtusiu — odrzekł pan Walenty — a na to, żebyś zrozumiał zkąd one tak a nie inaczej krążą, zaraz ci dam sposób. — Weź cienki patyczek i zasadź nań z jednego końca ziemniak jak najokrąglejszy i wielki, a z drugiego końca ziarnko grochu, i

rzuć to razem wysoko w powietrze tak, żeby się kręciło. Cóż wtedy? Oto ziemniak jako nierównie większy i cięższy będzie się trzymać zawsze w jednej mierze, podczas gdy drugi koniec z ziarnkiem grochu, będzie się w koło niego kręcił. Owoż jeśli sobie przedstawisz, że ziemniak jest słońcem, a ziarnko grochu ziemią: to masz zaraz wytłumaczenie, dlaczego nie słońce koło ziemi, ale ziemia koło słońca krąży.

— Więc ziemia i słońce także są patyczkiem ze sobą spojone? — zapytał Wojtuś nie dowierzając.

Roześmiał się na to pan Walenty:

— Oj ty nie mądra głowo! — rzecze wesoły — a tożby był piękny patyk na tyle milionów mil długi! Na samym początku, jak ci to już mówiłem, było słońce, ziemia i wszystkie gwiazdy jednolitą a ruszającą się parą; więc i potem, choć para ta skrzepła na różne ciała niebieskie, pozostał się tym ciałom ruch odwieczny za wolą Wszechmocnego, i dziś, regularnie jak skazówki na zegarze, krążą te ciała naokoło siebie, a jedno o drugie nigdy nie zawadzi. I otóż, choć bez żadnego połączenia krąży ziemia naokoło słońca, a czas, w którym je raz obiegnie, zowiemy r o k i e m; księżyc zaś krąży naokoło ziemi, a czas jego obiegu, to miesiąc.

— Ale ja tego nie rozumię — odezwał się znów Wojtuś — że my ztąd nie spadamy, skoro ziemia jest okrągłą kulą i wciąż się obraca. Mnie się zdaje, że ziemia musi być płaska.

— Zaraz ci to wyjaśnię. Jeździłeś ze mną nie dawno równiną do Jarosławia na jarmark, a gdyśmy się zbliżali do miasta, tom ci ukazywał, że najprzód wierzchołek wieży był widoczny, a potem dach na wieży, a potem dachy domów, i tak coraz niżej aż wreszcie całe miasto. Jušci gdzie są pagórki nad miastem, to zawsze tak bywa, ale gdzie równina, czegóż to dowodzi? Oto dowodzi tego, że ziemia musi być kulistą, bo gdyby ziemia nie była kulistą, tobyśmy na równinach już z bardzo daleka miasta i drzewa choć przez szkło widzieli, a to się nigdy nie trafi, bo ziemia jest kulistą, i każda jej przydłuższa, choćby najrówniejsza część, pagórek stanowi. Gdyby ziemia nasza była płaską jak talerz, toby ją słońce wszędzie naraz oświecało, a przecież tak nie jest: bo we Lwo-

wie prędzej słońce wschodzi jak w Krakowie, a w Krakowie prędzej jak w Paryżu; zaś zachód w Paryżu późniejszy jak u nas. Ale ty najlepiej sam o tem wiesz z myśli, jakie ci po głowie chodziły, gdyś był jeszcze młodszym. Otóż zdawało ci się, że tam, gdzie już oko nic dalej ujrzeć nie może, niebo ze ziemią się styka; a teraz, gdyś już ze mną w dalsze jeździł drogi, przekonałeś się, że to jest nie prawdą, że niebo zawsze nad ziemią, a oko tylko do pewnego widokręgu sięga. Lecz tak samo jak i ty, myśleli także inni ludzie; więc szli i jechali naprzód i ciągle naprzód chcąc dotrzeć do nieba, a wiesz co się wtedy działo? Oto przyjeżdżali ci ludzie na to samo miejsce zkąd wyszli, t. j. objechali całą ziemię do koła, coby się nigdy nie było stało, gdyby ziemia nie była kulistego kształtu.

Weź jabłko papierówkę, a przetknąwszy środkiem od ogonka drucik cieniuchny, rusz je potem palcem: to jabłko obróci się około drucika, jakby koło osi. Otóż i ziemia, podobna z kształtu do papierówki, bo z wierzchu i od spodu nieco przypłaszczona, wiruje najprzód około siebie, czyli około swej osi. Ruch ten sprawia iż mamy dzień i noc: Na tej półkuli którą się ziemia ku słońcu obróci wschodzi dzień, i to jest półkula wschodnia, podczas gdy na przeciwnej stronie, wraz z zachodzącem słońcem noc ciemna następuje, i to jest półkula zachodnia.

Jeden obrót ziemi około swej osi trwa dwadzieścia cztery godzin, więc i na dobę godzin dwadzieścia cztery wypada; a szybkość ziemi w okrążaniu słońca jest jeszcze większą, bo wynosi dwieście i czterdzieści mil na minutę! Jest to taka szybkość, o jakiej nam się ledwie śnić może. Atoli pomimo tej szybkości w krążeniu ziemi wszystko na niej bardzo spokojne: drzewa i domy stoją nie poruszone, ludzie nie upadają. Żebyś się przekonał jak to być może, dam ci znowu sposób: Weź małą obręcz, uwiąż ją na sznurku, a w środku obręcza położywszy kamyk, uchwyć za sznurek i pocznij obręczą czemprędzej w kółko obracać. Ujrzysz wtedy, że kamyk nie spadł, lecz owszem, jak gdyby przy największej spokojności na swojem pozostał miejscu. A jeżeli zamiast kamyka postawisz

w obręczy szklankę z wodą po brzegi, i nagle poczniesz prędko kręcić: to ci i szklanka spokojnie stać będzie, i ani kropelka wody z niej nie wybiegnie. Tak samo ma się z ziemią jak i z tą obręczą: prędki jej ruch wirowy i kolisty na około słońca utrzymuje wszystko w równowadze. Więc tym sposobem domy i drzewa stoją, człowiek nie upada, a z mórz wielkich na ziemi jak i z owej szklanki ani kropla wody nie wybryźnie. Oprócz tego nadał Pan Bóg ziemi taką wielką siłę przyciągającą, że choćbyś coś niewiedzieć jak wysoko w górę wyrzucił, to nie poleci ono ani na księżyc, ani na słońce, ale musi napowrót do swej ziemi wrócić.

Różne są ludy i morza na powierzchni ziemi, a te dzielą się na pięć wielkich lądów, które także częściami świata nazywają, i na pięć wielkich mórz czyli oceanów. Lądy są: Europa, Azya, Afryka, Ameryka i Australia, a oceany są: 1. ocean północny 2. ocean zachodni czyli atlantycki 3. ocean południowy 4. ocean wschodni czyli wielki, i 5. ocean indyjski. Na jednej półkuli ziemskiej leżą: Azya, Afryka, Australia i Europa, którą wraz z innemi narodami i my zamieszkujemy, a na drugiej półkuli leży Ameryka; więc gdy u nas dzień to w Ameryce noc, a gdy tam słońce zajdzie to u nas wschodzić zaczyna.

RÓŻNOŚCI.

Gołąb podpalaczem. Dziwny wypadek opisują gazety i nikt by temu nie uwierzył, gdyby nie poręczenie że to prawda. W Niższej Austryi w pewnej wsi chował chłop gołębie i miał na podwórzu wielki gołębnik. Otóż razu jednego wieśniak ten siedział sobie przed chatą i przypatrywał się, jak sobie gołębie ścieliły gniazda. Na podwórzu ktoś rozsypał był zapałki, a jeden gołąb dziubnął tę zapałkę i poniósł do gniazda, ot zwyczajnie bo mu taki patyczek był potrzebny. Wtem ledwie kilka chwil minęło, aż tu poczęło się ogromnie kurzyć z gołębnika a potem jasny płomień buchnął. Widać gołąb ów gdzieś rzucił w gołębniku ten siarniczek, a że słońce mocno paliło, lub też gołąb sam dziubem lub pazurkiem roztarł siarkę, dość że zapalił gołębnik. Patrzcie więc, jakie to dziwne wypadki się przytrafiają! Nauka jest z tego, aby siarniczki chować, to z lada jakiego przytrafunku może być nieszczęście.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. Nr. 15.

21. maja 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

POWSTANIE POLSKIE W ROKU 1831.

V. *Bitwa pod Grochowem.*

Kiedy jenerał Chłopicki, o którym wam zaraz z początku opowiadaliśmy, złożył najwyższą władzę czyli dyktaturę, to nie usunął się przecież całkiem od wojny, ale ofiarował dalej swą pomoc. Nie chciał Chłopicki już przyjmować żadnego dowództwa a to snać już dlatego, że sam przyznawał się w duchu, jako źle rzeczy zaraz z początku poprowadził — ale do pomocy z boku był zawsze gotów. A pomoc ta była bardzo ważna i dobra, bo jenerał Chłopicki był wodzem jakich mało na świecie, znał wszelkie sprawy wojenne na wylot, umiał wyśmienicie przewodzić wojskiem, a że był bardzo waleczny i w wojnie doświadczony, więc mu też i wojsko bardzo ufało.

Mianowano więc tylko na pozór jenerała Radziwiłła głównym wodzem wojska polskiego — a w istocie nie Radziwiłł jeno Chłopicki sam dowodził. Otóż tak stały rzeczy, gdy po bitwach pod Dobrem i Wawrem Moskale stanęli pod Grochowem naprzeciw wojsku polskiemu.

Straszna była swą mnogością ta siła moskiewska! Bo to widzicie było Moskali ni mniej ni więcej jak sto dwadzieścia tysięcy i mieli z sobą czterysta armat — a naszych było tylko 35 tysięcy i mieli tylko 100 armat! Jak więc to sami łatwo wyrachować sobie możecie, miał Moskal cztery razy tyle żołnierza i cztery razy tyle armat, co Polacy!

Nikt też w świecie nie byłby ani chwili wątpił, że taka okrutna siła Moskali zarzuci czapkami i zgniecie całkiem naszych — a przecież tak się nie stało, bo wojsko polskie, choć cztery razy mniejsze, było daleko waleczniejsze i dzielniejsze od Moskali. Sławna też będzie po wiek wieków ta wielka bitwa pod Grochowem, gdzie to Polacy z tak okrutną siłą moskiewską dali sobie radę.

Zaczęła się ta bitwa dnia 20. lutego a trwała przez kilka dni. Zaraz z rana 20. lutego zaczęli Moskale z wszystkich swych armat strzelać do Polaków i tak strzelali aż do południa. Wojsko polskie takie zajęło stanowisko, że po prawej stronie opierało się o Grochów a po lewej stronie o lasek olszynowy. Po południu tedy rzucili się Moskale wielką siłą na tę olszynkę, chcąc ją odebrać Polakom i kilka razy szturmowali do tego lasku, ale za każdym razem wojsko polskie ich odpędziło, tak że z wielkiemi stratami w zabitych i rannych cofnąć się musieli.

Poznał teraz jenerał moskiewski Dybicz, że nie taka to łatwa sztuka zgnieść polskie wojsko, choć go cztery razy mniej było. Kazał zaprzestać bitwy i czekał na posiłki a tymczasem zrobiono z polskiej i moskiewskiej strony zawieszenie broni na trzy godziny, aby trupów pogrzebać i rannych opatrzyć.

Ale nie trzy godziny jeno całe trzy dni nie zaczynali bitwy Moskale, tak się zaraz na początku popłoszyli dzielnem odparciem Polaków. Trzy dni czekali, a ściągnąwszy jeszcze więcej wojska wysłał dnia 24. lutego po południu moskiewski wódz Dybicz cały pułk huzarów na piechotę polską, co stała pod olszynką, ale nasi wojacy tak ich dzielnie skropili, że huzary czmychnęli nazad co prędzej. Tymczasem znowu noc zapadła i bitwa ucichła.

Na drugi dzień (25. lutego) moskiewski jenerał Szachowskoj rozpoczął ruchy naprzeciw naszym, ale polski jenerał Krukowiecki wyparł go i przepędził. Widząc tę klęskę swego jenerała, postanowił wódz moskiewski Dybicz całą siłą od razu uderzyć na Polaków i zakończyć bitwę. Ponieważ zaś lasek olszowy, o który się opierali nasi, bardzo im był pomocnym, więc Moskale postanowili bądź co bądź lasek ten Polakom odebrać.

Wyszło tedy aż szesnaście batalionów na ten lasek. Nasi bronili go długo i zacięcie, ale w końcu Moskale przemogli. Poległ w tej utarczce także jenerał polski Żymirski. Chłopicki widząc, że Moskale wzięli olszynkę, zaraz ją postanowił odebrać. Wysłał na to oddział polskiej piechoty i sławny pułk czwarty, co to taki był dzielny i waleczny. Jak się czwartacy rzucili na Moskali, to zuchy z takim ogniem ich przyparli — że Moskale musieli uciekać z lasku i tak znowu olszynka była w ręku polskiem. Moskale znowu poszli okrutną siłą na lasek, ale tym razem sam jenerał Chłopicki stanął na czele swoich i poprowadził ich na wroga. Strasznie się też Moskalom dostało po skórze! Przeszło sześć tysięcy padło ich odrazu! Musieli znowu uciekać co rychło z olszynki a na całe wojsko moskiewskie padł ogromny postrach i popłoch.

Wtedy to Chłopicki każe naszym szturmować na armaty i sam pędzi naprzód na kule. Sześć godzin bili się nasi ale wtem pada granat przed samym Chłopickim, pęka i rani go mocno! Gdyby nie to nieszczęście, byłoby całe wojsko moskiewskie zostało zniszczone!

Jenerał moskiewski postanowił wtedy ważyć się na ostatnie! Okrutną ćmę kawaleryi z armatami wysłał do ataku a dwóm innym moskiewskim jenerałom kazał zajść Polaków z dwóch stron z boku. Ale i to się nie udało. Polacy wytrzymali napad moskiewski i nieprzyjaciela znowu w tył rzucili. Jeden moskiewski pułk ułanów natrafił przy szturmie na swoje nieszczęście na naszych czwartaków, a ci go tak przywitali, że ledwie dziesiąty Moskal uszedł z całą skórą. Inny znów pułk moskiewski, kirasyerski, wpadł na piechotę polską dowodzoną przez półkownika Karskiego a ten go tak popłoszył,

że jak potem w dodatku przypadli jeszcze i polscy ułani pod jenerałem Kickim, to z całego pułku kilkadziesiąt zaledwie Moskali wróciło żywych do swoich!

Wtedy to Moskal widząc, że nie może naszego wojska przełamać i pobić, bał się już dalej zaczepiać i przerwał bitwę. Szczęście jeszcze mieli Moskale, że jenerał Chłopicki był ranny, bo inaczej byliby srogiej chłosty doznali! Tak się skończyła bitwa. Moskale stracili razem od początku wojny trzydzieści tysięcy żołnierza, nasi tylko dziesięć tysięcy. Z tego już macie przykład, jak dzielnie się spisywali polscy wojacy. Gdy rozrachować wszystko dokumentnie, to taki będzie rachunek: każdy polski żołnierz musiał się bić z czterema Moskalami odrazu — a mimo to za każdego jednego Polaka zabitego padło trzech Moskali.

Ponieważ jenerał Chłopicki został raniony, więc zaraz po bitwie obrano naczelnym wodzem wojska polskiego jenerała Skrzyneckiego. Co się zaś dalej stało, na drugi raz opowiemy.

Pieśń ułanów polskich

po zwycięztwie nad Moskalami.

Nie masz pana nad ułana,
A nad lancę nie masz broni!
Gdzie uderzy
Moskal leży,
Albo wilkiem w stepy goni:
Od tej dłoni, od tej broni
Moskal wilkiem w stepy goni!

Gdzie my bijem, gdzie my pijem,
Tam mogiły i posucha;
Byle przodem,
Chrobrym chodem,
Koń i ramie to posłucha:
Koń i ramie — oj, nie kłamię —
Nawet pułki djabłów złamie!

Boć też żwawo, w lewo, w prawo,
I nie blisko ruszać trzeba;
Rąk nie wiele
Przyjaciele!
Lecz kraj wielki dały nieba:
Ach, kraj żyzny dały nieba,
Więcej chleba niż potrzeba!

Rżą rumaki, znane szlaki,
— Jeżeli Bóg da zdrowie —
O niemyłnie
Będziem w Wilnie,
Będziem hulać po Kijowie!
Hej, panowie, po Kijowie!
Jeźli Pan Bóg da nam zdrowie —

Na Moskala pierwsza fala!
A jak nad nim kruk zakraka,
Nie zabawim
I oprawim
Naszą lancą i Prusaka:
Hej, Prusaka nieboraka
Spławim Wisłą bez flisaka!

Janusz.

Piękne przykłady.

Bractwo „Oświaty".

Miasteczko Kańczuga ma ludzi pobożnych, pracowitych, trzeźwych, a nadewszystko dobrych Polaków katolików. Jest tam urząd miejski, w którym zasiadają sami pobożni mieszczanie, a znowu pan Wojciech Sitarski jest burmistrzem nito wójtem miasta. Otóż cały urząd miejski dba bardzo o pobożność ludzi, o szkołę i naukę dzieci, a sam pan Wojciech Sitarski wiedzie rej dobry we wszystkiem. Toż kto jeno ciekawy, czy to z miasta, czy ze wsi zajdzie tam do Kańczugi i zacznie sobie gadać z mieszczanami, to się może dowiedzieć różnych ciekawości, jakich nie lada gdzie usłyszy.

Otóż i ja gazda ze wsi Krzeczowic, co sąsiaduję z Kańczugą, idę sobie co święto do tych pobożnych mieszczan na pogadankę, aby jakoś dobrze zakończyć dzień boży, kiedy się nabożeństwo kończy. A jak tam zalezę do nich, tobym od nich nie wylazł nigdy, gdyby nie robota w polu i koło domu. Otóż raz w niedzielę wlazłem do domu pana Sitarskiego — pochwaliłem Boga jak się patrzy na katolika i polaka, patrzę! a tu siedzą mieszczanie w izbie koło stołu jak mrówki i każdy sobie czyta i duma i nic nie gada, toż ja pomyślałem sobie:

— Ha! przyszedłeś nieboże nie w czas i pewnie będzie jakaś miejska narada, kiedy ci panowie radni czytają jakieś papiery i układają sobie w głowie, jakby tu zrobić, byle było dobrze i ładnie.

I tak zabierałem się do wychodu, aż tu pan wójt zagadał mię:

— Nie odchodźcie ojcze i gazdo, bo sobie pogadamy, jeno doczytamy nasze gazety.

A ja na to gadam:

— A dla Boga! to te wszystkie papiery są gazety — ja myślałem, że to jakie prawa nadeszły ze Sejmu dla nas, a to same gazety ze świata.

— A gazety polskie! rzecze pan wójt, bo widzicie ojcze i gazdo! my sobie sami sprowadzamy różne gazety i druki, mamy Dzwonek, Nowiny, Przyjaciel domowy, Gwiazdkę cieszyńską i t. d. i to sobie czytamy od końca do końca każdy po cichu, a potem gadamy o tem i kto ma więcej rozumu dobrego i nauki, to ten opowiada na głos, a drudzy słuchają i miarkują sobie dobrze, aby też przecie wiedzieć, co się robi po całym świecie między ludźmi.

A ja gadam tak:

— No! to pono nikt lepiej nie potrafił wysztuderować, jak tu w Kańczudze — bo to i nauka dobra dla każdego i przykład ładny dla młodych, a dla Boga chwała, że się przecie nie marnuje ani godzinki z dnia bożego, jeno się coś robi dla grzesznej duszy — wszak nauka dobra jest także dobrym uczynkiem, bo z jedzenia żyje i rośnie nasze ciało, a z nauki i z do-

brych uczynków żyje i bogaci się nasza dusza. No! ale kto wam to daje te gazety, może macie od xiędza albo że dworu?

— Ale gdzie tam, mówi pan wójt, to my Kańczużanie składamy się na to sami, a ja zamawiam te gazety z całego polskiego kraju i dostajemy każdy raz pocztą z Przeworska te papiery, które tu widzicie złożone na całym stole.

A ja gadam na to:

— A cóż wypadnie na każdego na rok?

— Ot nie wiele! rzecze pan wójt, jest nas na to do 30 mieszczan, każdy daje papierka co rok, i mamy do 30 papierków i za to mamy gazety, mamy naukę, rozrywkę i jeszcze rozpożyczamy kto chce sobie odczytać w domu czy to dzieciom, czy czeladzi, czy sąsiadowi.

— No! gadam ja, to dobrze, kiedy taka jedność i zgoda między wami, że co wójt uradzi, to gromada na to przystaje i nie żałuje grosza na druki polskie, aby się dowiedzieć o wszystkiem.

— A juści musi być zgoda! rzecze pan wójt, bo my tu mamy takie bractwo, co się stara o oświatę między mieszczanami, a to bractwo trwa u nas już kilka lat. Myśmy byli u xiędza, mamy osobną książkę naszą, do której zapisuje się każdy z nas, a xiądz co rok w każdy wtorek zaraz po świątkach odprawia dla nas z dobrej woli nabożeństwo, aby nas natchnął i oświecił Duch św., byśmy żyli pobożnie, i nauczali jeden drugiego. A jak kto do nas przystanie, to daje na rok papierka, a za to ma różne gazety i może sobie w tej izbie odczytać, kiedy mu czas pozwoli, a w każde święto przychodzimy tu razem i tak się pięknie ładnie zabawiamy.

— A jakże wy się tu pomieścicie? gadam ja.

Na to pali mi pan Walenty Cieleń radny:

— My mamy i na to sposób, aby nie było ścisku i ciżby w jednej izbie — oto na każdej ulicy w naszem mieście mamy u którego pobożnego mieszczanina takusieńką izbę, jak tu u naszego pana burmistrza, i tam się znowu schodzą mieszczanie z całej ulicy i czytają gazety, jak tu nas widzicie — a wolno i czeladnikom przyjść tu i czytać sobie i to za darmo — toż nie ma u nas pijatyki żadnej w święto, jeno każdy

uczy się za cały tydzień a w powszedni dzień to chyba kiedy wieczorem zaglądnie tu, aby się co ciekawego dowiedzieć.

— A to mi dopiero ładnie! mówię ja, jeno powiedzcie mi, czy wy każdego do takiego bractwa przyjmujecie? na ten przykład chłopa ze wsi?

A pan Walenty Cieleń rzecze:

— Juści uważamy na to, aby każdy taki brat znał potrosze na książce, a to dlatego, aby sobie mógł sam odczytać gazetę, albo aby się starał koniecznie poznać i składać litery na słowa, dalej aby był pobożnym i miłosiernym, a co rok aby ofiarował papierka na gazety. A tak nabierze każdy ochoty do książki, do nauki i sam się wyuczy i drugiego nauczy. Tożto nie wiele żądamy od takiego brata. A jakby który gazda ze wsi zechciał do nas przystać, to go z ochotą przyjmujemy i czytania go wyuczymy, jeno aby regularnie przychodził na czytanie do nas. A namawiamy każdego, aby do nas przystał, albo aby sobie takie bractwo u siebie zaprowadził.

A ja poderwałem pana Walentego i mówię:

— No! a czy tu czasem zaziera i xiądz albo ze dworu?

Na to rzecze pan Wojciech burmistrz:

— Xiądz nieraz zaziera tu do nas i jest także najstarszym bratem, daje na rok papierka, odprawia nabożeństwo za nas co rok w rocznicę założenia naszego bractwa „oświaty“; jeżli kto za młodu należał przez cztery lat do naszego bractwa i prowadził się dobrze, to mu da xiądz darmo ślub, a inni bracia posłużą mu z paradą do ślubu, a jeżli kto był przez dziesięć lat w tem bractwie i umiera, to go xiądz darmo pochowa, a bracia idą wszyscy na pogrzeb — a znowu raz na rok schodzimy się do xiędza, tam robimy obrachunek ze wszystkiego, co było przychodu, a co się dało na gazety, na druki inne, dajemy pochwałę tym, którzy się dobrze prowadzą i innych do nas zmawiają, albo u siebie dają izbę na czytanie, a potem wpisują się do książki na wieczną pamiątkę wszyscy bractwa naszego dobrodzieje i bracia zasłużeni. Otóż to wszystko dobre, co mamy z tego bractwa, a co najwięcej dobrego, to to, że się każdy uczy rozumieć dokumentnie, co się gdzie robi, wie co jest prawda, a co plotki i banaluki głupie, nie da się

lada komu oszukać, bałamucić i zna, czego dobrego ma się trzymać. Jak widzicie ojcze i gazdo, tobyście mogli u was na wsi w Krzeczowicach zrobić między gazdami takie samo bractwo, bo to nie trudno, a tyle ztąd dobrego, bo to i dnia bożego nie zmarnujesz i sam się uczysz na stare lata i dzieci się mogą uczyć, a jeźli zna które na książce, to ci przeczyta gazetę, a ty posłuchasz tego z ochotą i rozerwiesz się pięknie, jak patrzy na ojca i gazdę dobrego.

Ja na to mówię:

— Posłucham waszej rady dobrej panie burmistrzu! a jeźli mi się uda to zrobić na wsi to będzie ztąd dużo, dużo dobrego i chwały bożej.

— Co dobre to dobre! rzecze pan burmistrz, bo to ciekawość taka urośnie w tobie, że polecicie do gazety, jak mucha do miodu — tak na ten przykład, gdyby was było jeno czterech na początku, to już będą cztery papierki i możecie mieć Dzwonek na wsi, a jakby was przystało dziesięciu do bractwa, to już macie trzy gazety na wsi: naprzykład Dzwonek, Nowiny i Gwiazdkę cieszyńską, a izba na czytanie może być u was, albo i drugiego gazdy. I my tak robili na początku, a teraz mamy różne gazety polskie, a po roku można te gazety zeszyć do kupy, papierem mocnym oblepić i będzie dla gromady książka dobra do czytania znowu dla dzieci i wnuków. Albo możecie te gazety pożyczać na drugą wieś, aby wasi sąsiedzi czytali sobie to samo. A gdyby takie bractwa „oświaty“ były wszędzie po miastach i po wsiach, to sami uważcie, coby dobrego było ztąd tak dla starszych jak dla młodszych, a jaki przykład, jaka nauka, jaka chwała boża na każde święto i jakie błogosławieństwo dla katolików Polaków. My na ten przykład czytamy gazety, potem gadamy o tem i każdziusieńki odchodzi do domu pouczony i wie co się robi na świecie, choć tam nie był i nie będzie może nigdy, a jak też wypadnie co z kim pogadać, to wtedy nie stoisz jak cielę przy żłobie, albo jak kół w płocie i z otwartą gębą słuchasz, co drugi gada albo i plecie ni to ni owo, ale mu powiesz sam wszystko jak się patrzy. Ot i my w Kańczudze mamy stare papiery w skrzyni — ani nikt nie popatrzył na

to, bo jeden nie znał odczytać, a drugi nie chciał, a trzeci nie miał czasu. A teraz w kupie razem po odczytaniu gazety wydobywamy stare papiery nasze i czytamy tam ciekawości wielkie.

— No! jakie ciekawości? pytam ja.

— O wielkie, powiada pan burmistrz, ta to, jak był pod Wiedniem król nasz dawny polski Sobieski na pomoc cesarza niemieckiego, to od nas z Kańczugi była cała kompania z swoją chorągwią pod komendą krakowskiego wojewody Lubomirskiego, od którego pochodzi i pan Lubomirski co siedzi w Przeworsku dzisiaj, a między Kańczużanami wtedy bił się bardzo niejaki mieszczanin Dziedzicki, którego król zrobił zaraz koło Wiednia szlachcicem i dał mu i naszemu miastu na wieczną pamiątkę jednaki herb, nito znak chwalebny i rycerski, aby mieszczanie mieli znaczenie wielkie w Polsce między panami i xiężami. A powiadam wam, żeby bractwo nasze nie było tak ciekawe do czytania, tobyśmy nic a nic nie wiedzieli o dawnych polskich czasach. A dopiero czytaniem gazet nauczyliśmy się dużo dużo dobrzego.

— Ha! kiedy tak, mówię ja, to ja zaraz sprobuję zrobić takie bractwo u nas na wsi w Krzeczowicach.

I odszedłem do domu zadumany, a wróciwszy do wsi, zwołałem moich sąsiadów, zrobiłem bractwo oświaty i należy nas czterech gazdów i mamy cztery papierki i Dzwonek za to, a to wszystko opisuję do Dzwonka, aby inne miasta i wsie polskie tak samo robiły i takie bractwa zaprowadzały.

Karol Welwelo, gazda z Krzeczowic.

Opowiadanie starego Walentego.

Spisał Grześ z Mogiły.

II. O słońcu, księżycu, gwiazdach i różnych zjawiskach niebieskich.

(Ciąg dalszy.)

Wojtuś kiwał głową na znak że rozumie, ale wreszcie znowu się odezwał:

— Mówisz tatusiu, że ziemia krąży koło swej osi, a potem koło słońca, że zaś słońce w miejscu stoi i tylko około

swej osi się obraca. Otóż tego ja nie rozumię, bo przecież jak to widać, że księżyc się posuwa i chodzi naokoło ziemi, tak i słońce wschodzi i zachodzi, więc także ziemię okrąża?

— Tak się to wprawdzie zdaje — odpowie pam majster — że słońce po niebie chodzi, i dlatego mówią ludzie od dawna: wschód i zachód słońca, a to właściwie nie prawda, bo słońce zawsze w miejscu stoi, tylko ziemia chodzi. Jeżeli będziesz kiedy wozem jechał a prędko, to wychyl się i patrz długo pod koła na gościniec; będzie ci się wtedy wydawać, że gościniec płynie a wóz w miejscu stoi. Podobnie jadąc koleją żelazną wydaje ci się że siedzisz spokojnie, a drzewa i wsie przed oczami ci umykają; a jeśli poprzed księżycem w pełni wiatr mgły i rzadkie chmury gwałtownie przepędza, to ci się zdaje, że to nie mgły i chmury, ale księżyc tak gdzieś leci na złamanie karku. Zupełnie tak samo ma się i ze słońcem: ziemia wraz z nami prędko się obraca, a nam się zdaje, że to słońce koło ziemi chodzi.

— Mój tato, a jakże się o tem wszystkiem ludzie dowiedzieli?

— Spojrzyj tylko Wojtusiu na to niebo złotemi gwiazdami zasiane, a pojmiesz łatwo, iż ono zawsze ciągnęło wzrok ludzki ku sobie, i budziło w niejednym chęć zbadania tych niezgłębionych tajemnic. Czy to żeglarz na wodach bezdennego morza, czy samotny strzelec z bronią przez lasy idący, czy pastuszek przy owcach na szczycie gór wysokich: każdy z nich miał jedne i te same niebiosa nad sobą, każdy podziwiał Boga i czytał jego wielkość w tym bezmiarze światów! Nie jeden też zaznajamiał się bliżej z porządkiem gwiazd w różnych stronach nieba i opowiadał to drugim, aż nareszcie wynaleźli ludzie szkła powiększające, i przez nie zaczęli spoglądać na księżyc i gwiazdy, zaczęli mierzyć i liczyć, i przyszli do odkrycia wielu prawd niezbitych. Człowiek, który spogląda przez szkła na gwiazdy, zajmując się badaniem ich ruchu, zowie się a s t r o n o m, a nauka o gwiazdach a s t r o n o m i a. Otóż najsławniejszym takim astronomem, który nauczył i przekonał ludzi, że nie słońce koło ziemi, ale ziemia koło słońca się obraca, był rodak nasz z polskiej ziemi nazwiskiem Ko-

pernik. Żył ten mędrzec w mieście Toruniu nad Wisłą, lat temu trzysta pięćdziesiąt. I dziś jest wielu różnych astronomów, bo człowiek nie przestaje na jednem, ale bada coraz dalej dziwne twory Boga, dochodząc jego wielkości. Po wielkich miastach, gdzie tego wszystkiego uczą, znajdują się osobne dla astronomii budynki a przy nich wieże, z różnemi, do badań potrzebnemi szkłami i narzędziami.

W cichej gwiaździstej nocy, podobnie jak dzisiejsza, staje astronom na swojej wieży, i kieruje szkła dalekowidze na odległe gwiazdy, a co tylko ujrzy to kreśli na papierze, mierzy i oblicza. A gdy mu lekka chmurka zaćmi widokrąg niebieski, to opuszcza na chwilę swój dalekowidz, i zatopiony w myślach podziwia cudowność i ogrom w układzie ciał niebieskich.

Obok codziennych zjawisk, uderzają często oko ludzkie niezwykłe zjawiska na niebie. Każdego dnia pogodnego widzisz jedno i to samo słońce, każdej nocy pogodnej jedne i te same gwiazdy, lecz czasem widzisz na niebie komety, zaćmienia, tęcze, zorze i inne nie zwykłę i nie codzienne zjawiska, które niepotrzebnym ludzi napełniają strachem. Strach ten jest płonny, bo w urządzeniu światów taki z woli bożej panuje porządek, iż go nic zmienić, nic naruszyć nie może. Więc i owe, choć nie zwykłe zjawiska, mają swoje miejsce w powszechnym ładzie światowym. I tak komety, owe ogniste gwiazdy, są także innym ciałom niebieskim podobne, a głównie różnią się tem, iż ciała ich bardzo rzadkie, częstokroć jak para, a droga krążenia u niejednych tak długa, iż tylko co kilka set, a nawet kilka tysięcy lat na ziemi są widziane. Krążą one od wieków jak i cały świat krąży, a bajką jest, aby je Pan Bóg miał na jakieś strachy dla ludzi zesyłać. Podobnież straszyć nie powinny zaćmienia słońca i księżyca, bo także z odwiecznego ładu w światach wynikają. I tak, jeżli księżyc wstąpi pomiędzy słońce a ziemię, to bywa zaćmienie słońca; gdy zaś podczas pełni ziemia pomiędzy słońcem a księżycem przechodzi, to taki na księżyc cień rzuca, iż go nic nie widno, a to jest zaćmienie księżyca. Wytłumaczone są więc wszystkie te nie zwykłe zjawiska, jak owo i tęcza, którą ludzie nieświadomi

żórawiem wodę do nieba ciągnącym nazywają. Weź szkiełko trójgraniaste, podobne tym, jakie czasem w kościołach u pająka wiszą, i zwróć go jednym bokiem pod promienie słońca, a drugim ku białej ścianie lub kartce papieru: to zobaczysz małą tęczę ze wszystkich tych siedmiu kolorów złożoną, które i w tęczy na niebie się znajdują. Jeżli więc w jednem miejscu słońce świeci a w drugiem deszcz pada, to deszcz jest tu niby owem trójgraniastem szkiełkiem: białe promienie słońca przeglądają przez czyste krople deszczowe, a rozpadając się na siedm kolorów, z których są złożone, tworzą na niebie śliczną tęczę siedmiobarwną. Piękną jest tęcza, jak wstęga ogromna, ale jeszcze piękniejszem zjawiskiem jest zorza północna.

— Czy takie różowe światło, jakeśmy raz przeszłego roku wieczorem widzieli? — zapytał Wojtuś.

— Tak jest — odrzekł pan majster — choć ta zorza którą my tu widzimy, to jest tylko słaby, ostatni cień zorzy, która tylko w północnych krajach w całej swojej piękności występuje. Nazwawszy zaś zorzę najsilniejszem zjawiskiem, muszę ci ją opisać.

Otóż wystaw sobie kraj na północy pusty, ubogi i zaśnieżony; w tym kraju wieczna zima, więc gdzieniegdzie tylko osiedlili się ludzie wynędznieli, niskiego wzrostu jak karzełki, i ci chodzą za rybą do morza gdzie pełno skał lodowych, albo zaprzągłszy dwóch jeleni czyli renów do maleńkich sanek, jadą polować na morskie potwory. Długi tam u nich dzień, bo trwa do kilku tygodni, lecz krzątać im się potrzeba, bo oto robi się ciemno i coraz ciemniej i znowu na długie tygodnie zapada noc niewidna. Zesmutniał ubogi mieszkaniec, a kurcząc się od zimna zasiada przy skąpym ogniu ze mchu i z patyków i drzemie, a gdy się ocuci, to chodzi koło swych renów, ich mlekiem i rybą krzepiąc opadające siły. Lecz cicho... w powietrzu powstaje nagle szmer lekki, i oto nie zbyt wysoko nad ziemią ukazuje się pas żółtawo różowego światła. Uradowany mieszkaniec wybiega ze swej chaty, bo już wie że to zorza północna. A tu tymczasem owe blade światło rozjaśnia się coraz bardziej, i wreszcie wybiegają z niego to czerwone, to niebieskie, to żółte płomyki, i wszystko to igra i mięsza się,

raz bucha jasnością, to blednie. A gdy spojrzysz na góry i pagórki, to ci się wydaje, iż na nich spiera się to śliczne zjawisko, połowę nieba promieńmi swemi objąwszy; a biedni mieszkańcy sławią Boga za jego dobrodziejstwa, bo im ta zorza nieraz przez długą część nocy przyświeca, rozpędzając smutne i przykre ciemności.

III. O powietrzu i gazach.

Pewnego razu gdy pan Walenty siedział wraz z Wojtusiem przy kominie, na którym wesoło gorzał ogień — zapytał Wojtuś:

— Proszę was tatuniu, a że też to ten ogień tak gdzieś zniszczy drzewo, że nic po niem nie zostanie, tylko szczypta popiołu. Gdzie też się to podziewa?

— Zmienia się w coś innego — odrzekł ojciec.

— Jakże mój tatku; a przecież jak się drzewo albo węgle spalą, to już nic po nich nie ma?

— Oho, powoli! Wszystko zostaje! Zaraz ci to wytłumaczę. Jeżeli weźmiesz szczypkę drzewa, garść siana albo zboża i spalisz, to wiesz iż ci zostanie bardzo mała garstka popiołu. I żeby ten popiół przyszło zważyć, tobyś się łatwo przekonał, że naprzykład z kawałka drzewa albo ze snopka zboża, co dajmy na to ważył dwadzieścia funtów, to popiołu podobno i funta nie zostanie. Zdaje nam się więc że reszta gdzieś znikła, że już jej nie ma zupełnie.

— A juści że jej nie ma, skoro ją ogień strawił — przerwał Wojtuś.

— To się rozumie mój synu że się gdzieś podziało, ale wcale nie szczezło. Bo weźmyż taki przykład: Jeżeli ty siędziesz do barszczu i smacznie zajadasz, to choć potem na talerzu nic nie zostanie, przecież wiesz o tem, że barszcz nie zniknął, tylko żeś to ty po łyżce wlał do żołądka i tam teraz siedzi. Tak samo dzieje się z ogniem: choć on drzewo strawił jak mówisz, to przecież go nie połknął, tylko jedną część w dym przemienił, a inną część zostawił w popiele. Nie znikło więc to drzewo tylko poszło z dymem, jak się to zwykło mówić, a dym jestto jakby rozpuszczone drzewo. Otóż

z tego się ludzie przekonali, że czy to w człowieku czy w zwierzęciu, czy w drzewie czy w jakiejkolwiek innej roślinie znajdują się dwie rzeczy: jedna ta, co zostaje popiołem, a druga ta, co uchodzi z dymem w powietrze. Popiołu, jakem ci to już mówił, zostaje zwykle bardzo mało, gdyż znacznie większa część idzie z dymem w powietrze.

— Dobrze to, mój tatusiu — odezwie się Wojtuś — ale zawsze to, co idzie z dymem w powietrze, to już ginie, gdyż tego tam już ani dojrzeć ani uchwycić nie można.

— Otóż właśnie że nie ginie — rzekł pan Walenty — bo ze wszystkich tworów, co tylko Bóg stworzył nic nie ginie, tylko się przeinacza, to w to, to w owo, i raz człowiek widzi to oczami i dotyka się, drugi raz całkiem nie widzi jeno czuje nosem, albo wreszcie ani widzi, ani czuje, ani się tego dotknąć nie może. Ot jeżli naprzykład wieźmiesz bryłkę soli i wpuścisz ją do barszczu lub do wody, to ona się rozpuści, a ty wtedy nie powiesz że zginęła, jeno że się rozpłynęła w wodzie, i możesz potem zawsze językiem poczuć, że ona tam jest w każdej, choćby najmniejszej kropelce. Tak samo dzieje się i z tem, co z palącej się jakiej rośliny idzie z dymem w powietrze; więc to nie ginie, jeno rozpływa się...

Mówisz o dymie, że jest niczem, a mógłbyś jeszcze prędzej to samo powiedzieć o powietrzu, bo dym choć widzisz i nosem czujesz, a powietrze nie.

— Bo też powietrze, to także jakby nic — odpowie jąkając się Wojtuś.

— Nic mówisz? Ano weź na ten przykład butelkę i zanurzaj ją prędko we wodzie, a ujrzysz, że woda jeno bulkocze, co tak wlatuje do niej, zaś na wierzch wydobywają się bańki. A cóż to są te bańki? Oto jest to p o w i e t r z e, które było w butelce jakeś ją zanurzył, a które teraz woda z niej wypycha. To ci pokazuje jasno, że powietrze n i e j e s t n i c z e m, lecz jest właśnie czemś takiem jak woda lub co innego: bo gdyby w butelce nie było powietrza, toby się woda do niej wlała bez żadnego bulbotania. Że zaś z butelki ucieka, jak woda wpada i w wodzie idzie pod górę, to dlatego, że powietrze jest lżejsze od wody, ot, jak naprzykład jaka tłustość, co choć ją wlejesz

do wody, i pomięszasz choćby nie wiem jak, zawsze potem cała pójdzie do góry i uszykuje się na wierzchu wody.

— A prawda, teraz rozumię mój tatusiu — odrzekł Wojtuś — lecz pierwej nie mogło mi się to w głowie pomieścić, że powietrze jest tak jak każda inna rzecz na świecie, jak woda, drzewo, kamień...

— Atoli teraz przekonałeś się dowodnie, że powietrze jest tak samo ciałem, jak każda inna rzecz na świecie, z tą tylko różnicą, że jest bardzo delikatne, przezroczyste, lekkie i bezfarbne, więc w oczy nam tak nie wpada, jak kamień, drzewo albo woda. Że jednak jest, to się możesz przekonać każdej chwili. I tak: zatrzymaj w sobie przydłużej dech, to się zaraz zaczniesz dusić, czyli jak głodny łaknąć odetchnienia. Żeby więc powietrze było niczem, toby człowiek nie potrzebował oddychać, a że oddycha i widocznie coś wciąga w siebie, więc musi być czemsić. Zacznijże znowu rękoma albo płachtą machać, ile się to wiatru narobi! Otóż widzisz wtedy z powietrzem robi się jak z wodą, zmąconą gwałtownie w jakiem naczyniu; więc powietrze nie może być niczem, skoro raz jest spokojne, to znowu porusza się zwolna, albo co więcej świszczy, zdziera strzechy, przewraca domy, wyrywa drzewa, kiedy ludzie mówią, że wielka burza na świecie. Jak więc widzisz, powietrze jest to taka rzecz jak każda inna, a z każdej rośliny, drzewa lub innego jakiego tworu zostaje przy spaleniu mała tylko część w popiele, czasem dziesięć, a czasem trzy lub dwie części na sto wszystkiego, reszta zaś idzie z dymem w powietrze. W dymie z drzewa lub jakiejkolwiek rośliny jest dużo węgla czyli sadzy, przytem innych wiele grubszych cząstek, dlatego dym ten jest bury i widoczny; z węgla zaś, jeżeli jest dość czysty, najmiej zostaje popiołu i dym też bardzo rzadki i niewidoczny, bo czarny węgiel jest już jak wiesz niedopalonem drzewem, którego grubsze części już odeszły, a ztąd węgiel czy to kamienny czysty, czy drzewny, po zapaleniu w przezroczyste, najmniej widzialne powietrza czyli gazy się przemienia.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. Nr. 16.

1. czerwca 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Szpital w Moszczanach.

Niedaleko Jarosławia i Radymna stoi nad rzeką Sanem wieś Moszczany. Jest to wieś dawna polska, od bogatych panów polskich fundowana, a jest tam starodawny polski klasztor z zakonnicami, które opiekują się chorymi po szpitalach i nauczają małe sierotki, a zowią się takie zakonnice Siostry Miłosierne. Otóż chodzą tam po różne rady i lekarstwa ludzie z dalekich stron, albo przywożą tam różnych chorych i oddają pod opiekę tych sióstr miłosiernych. Razu pewnego przyjechało tam kilku gazdów polskich, aby zobaczyć ten klasztor polski i cały szpitał. Zakonnica najstarsza przyjęła ich mile i pięknie, kazała im pokazać kościół a potem oprowadzać do każdej izby, gdzie leżą chorzy i gdzie się sierotki uczą. Otóż jak już gazdowie ciekawi opatrzyli wszystko dobrze, jeden gazda Michał Pelczar zapytał:

— A kto to taki fundował ten klasztor i dał na tyle pola, aby tu mogli być chorzy i uczyć się sierotki?

Na to mówi mu zakonnica:

— To wszystko fundowała jedna pobożna i bogata polska pani, niejaka xiężna Marya, której ojcowie siedzieli w Puławach koło Warszawy i tam fundowali pałac, gdzie zebrali różne staropolskie ciekawości na pamiątkę i naukę wszystkim Polakom.

— A jakto zwali się ci dobrzy jej ojcowie? zapytał drugi gazda Kuba Kruk.

Na to mówi zakonnica tak:

— Ojcowie tej pobożnej Marysi zwali się: Adam i Elżbieta Czartoryscy, byli oni na całą Polskę wtedy najbogatszymi i najpierwszymi polskimi panami, ojciec był tak jak pierwszy po samym królu polskim, a miał tyle prawie miast i wsi po całej Polsce, ile dni potrzeba na cały rok.

— Ho! ho! gada trzeci gazda Sobek Wrona, toż można mu było jeno jeździć po swoich wsiach i miastach przez cały rok i na każdy dzień zajechać do innego dworu.

— A dobrze uważcie sobie, mówi zakonnica, takieto były dawno bogactwa w polskim kraju, a dziś nie zobaczysz tego i ze świecą. Otóż tacy ojcowie bogaci mieli i tu dobra wielkie w Wysocku, gdzie stoi dziś klasztor i szpital dla nas i dla was chudaków, a to ma dziś już innego pana, co się zowie Zamojskim. Ta Marysia urodziła i chowała się w Puławach, była ona tak miłosierna i dobra, że zaraz miała łzy w oczach, jak jeno zobaczyła jakiego biednego i zaraz też dawała mu jałmużnę i okrycie a na drogę nakarmiła ciepłą strawą i sama odprowadziła na drogę i pokazała, którędy trza było iść, aby nie pobłądzić. A co jeszcze dziwnego w niej było, że nawet biednym zwierzątkom nie robiła nic złego i bardzo lamenciła na to, jak kto niepotrzebnie katował zwierzątka albo nie dbał o nie, albo męczył niemiłosiernie — a znowu dbała nawet o kwiatki i drzewka które miała w ogródku i nie dała temu nigdy uschnąć ani zmarznąć, a broń Boże jakby kto łamał niepotrzebnie gałązki.

A gazda Sobek Wrona wawołał:

— A dla Boga świętego! cóż to za dusza dobra była w tej panience polskiej, że pod jej opieką i okiem ani człek biedny nie zaginął, ani kwiateczek i szczepki marne nie spo-

niewierały się nigdy. Toż to musiało tam być dobrze i chłopom polskim!

— Oj co dobrze, to dobrze! mówi zakonnica, bo to uważacie, jak inne panienki ze dworu szły na jaką zabawę, to ta Marysia ani pomyślała o zabawie, ale poszła sobie na wieś między chłopów, tam im gadała o Bogu, o gospodarstwie, o różnych królach i panach i biskupach polskich, co to oni robili dobrego w polskim kraju — albo poleciała do chałupy na wieś, gdzie kto zachorował i ratowała sama różnemi lekarstwami — a znowu zbierała dzieci po wsi, zabierała do dworu, tam pouczyła i dała im po kawałeczku bułki albo jaki obrazek i do domu sama odprowadziła albo kazała komu odprowadzić. A znowu fundował jej ojciec taką szkołę dla parobków i dziewek w Puławach, gdzie ta Marysia co święto sama ich uczyła wszystkiego dobrego, z czego byli mądrzy i dobrzy słudzy na wsi.

— Ha! mówi gazda Kuba Kruk, jak się co uda, to się uda na prawdę, tak to daje Pan Bóg i między królami, panami, xiężami a nawet i między chłopami na wsi, nie raz dużo dobrego — ale jak też co ladaco, to już na prach ladaco, a to pono tak być nie powinno, bo Pan Bóg daje życie każdemu na to, aby też co robił dobrego dla siebie i drugiego, a nie na to, aby był ni to, ni owo i tak zmarnował.

Toż pewnikiem zapłacił Pan Bóg i tej panience za jej dobroć.

A zakonnica rzecze:

— Nie każdemu płaci Pan Bóg odrazu na rękę albo na jaką godzinę, ale chowa nieraz zapłatę na tamten świat, toż uważacie mię, bywa i tak nieraz, że pobożni biedują na tym świecie, aż strach bierze patrzyć na to. Tak dał Pan Bóg i tej dobrej Marysi! Oto miała 16 roczków i była milutka jak malowany Aniołek i w całej Polsce i poza granicą gadali o niej bogaci i ubodzy, a że ojciec był strasznie bogaty, toż bogacze upodobali sobie bardzo Marysię i przyjechał do Puław jeden niemiecki xiąże, co się zwał jakoś nie po naszemu, pono Ludwik Wirtemberski, a którego ojciec był u Niemców królem, i jak zaczął zalecać się ten niemczysko tej Marysi, jak

*

zaczął szwargotać po swojemu, jak zaczął jeździć karetami i stroić się w różne liberye i rozdawać dukaty, to się aż zawróciło w głowie jej ojcom i ci koniecznie wydali ją za tego Ludwika Niemca. A z początku był on dla niej jaki taki, niby ją lubił i przepadał za nią, siedział sobie w Puławach albo w Warszawie, toż Polacy przyjęli go za swego krajowca, pozwolili mu siedzieć w Polsce i mógł sobie kupować wsie i miasta, ba! co jeszcze, zrobili go takim jenerałem nad wojskiem polskiem.

A gazda Michał Pelczar pokiwał głową i mówi:

— Ta co to pomogło! ja sobie tak uważam, że jak ja na ten przykład nie mogę być już nigdy niemcem, ani niczem innem, jeno takim, jakim mię Bóg stworzył a ojcowie wychowali, tak samo i ten bogacz Ludwik nie mógł już być dobrym i prawdziwym naszym rodakiem, bo na taką zmianę trza czasu i wychowku i nauki. Boć jakbym ja zalazł między samych Niemców albo Francuzów, to pono nikt mię nie przegada, że ja już Francuzem albo Niemcem naprawdę — jak we mnie nauka polska i wychowek polski, toć i moja dusza jest taka samiuteńka, a wtedy niech mi tam szwargoce koło ucha, jak kto chce, to mię nie potrafi przerobić i przyciągnąć do siebie.

— A bardzo dobrze gadacie, rzecze zakonnica, bo jakim cię Bóg stworzy, takim umieraj, a jak polecisz za cudakiem i zechcesz sam być takim, no! to zostaniesz na końcu dziwakiem, i każdy cię ośmieje. Toż widzicie i ten Ludwik nie był ani dobrym mężem dla tej Marysi, ani dobrym zięciem dla ojców bogatych, ani dobrym krajanem dla Polaków, a Marysia płakała po całych dniach i nocach, wychudła jak śmierć malowana, trapiła się, modliła się prawie zawsze i myślała sobie, że przecie jej mąż upamięta się i poprawi — ale gdzie tam! bo to uważacie mię, że biedny nie tak prędko leci do grzechu i ucieka od ludzi, jak to robi bogaty — i chudaczek prędzej się upamięta, niż bogacz! Toż i Marysia była bardzo nieszczęśliwą, mąż jej uciekł z Warszawy do Prusaka, przystał do niego i tam został jenerałem dla wojska niemieckiego, Marysia poszła za nim, jako dobra żona, ale to wszystko nie pomogło i mąż jej nie był już dla niej nigdy dobrym.

A gazda Kuba Kruk rozmarkocony gada:

— A trza jej to było tego! nie mogła to ona wydać się za krajana jakiego? bo to i dla niej samej wielka bieda, a jeszcze gorzej dla dzieci boć jakiż to przykład z takiego ojca dla dzieci, jak są w domu z woli Boga?

Na to rzecze zakonnica:

— Prawdę świętą gadacie, jak na kazaniu, bo tak akuratnie było i z synalkiem tej Marysi biednej. Ona sama chuchała na to, jak na młode kurczątko, uczyła, gadała, pilnowała, ale cóż? kiedy ojczaszek psuł syna małego i co matka nauczyła, to ojciec swemi grzechami do razu wszystko popsuł. Toż oczywiście wyrósł chłopak czysty, jak malowany, ale dusza u niego zła, aż strach pomyśleć!

— No! cóż on takiego narobił? — pytali gazdowie.

— Bardzo źle robił! rzecze zakonnica, był on wojakiem, a kiedy wojna polska z Moskalami roku pańskiego 1831, jak Moskale przyszli koło jesieni pod Warszawę, to ten wyrodny syn napadł z wojakami na Puławy, gdzie byli jego dziadkowie i jego matka, i rabował sam ten dwór dziadka i palił.

— A dla Boga świętego! zawołali gazdowie, żeby też rabować i okradać rodnego dziadka i rodną matkę i palić dwór, gdzie się urodził, wychował i to pomagać niewiarom Moskalom, no! i cóż się stało potem?

Zakonnica gada na to:

— Ot! jakie życie twoje, taki sam koniec! ojciec jego niedobry umarł brzydko w cudzym kraju, zkąd przyszedł, a ten synalek jego bezbożny i zdrajca, umarł haniebnie między Moskalami bezbożnikami, dziadkowie oboje zagryźli się, że wydali taką dobrą panienkę za cudzego i nieznajomego człowieka, a ta Marysia biedna przyszła aż tu pod Radymno, gdzie miała dwór swój w Wysocku i tu fundowała ten klasztor miłosierny, dała do klasztoru folwark, a koło tego klasztoru urosła znowu wieś, która się dziś zowie Moszczany. Otóż uważacie teraz, że te wsie naokoło klasztoru należały niedawno jeszcze do bogatego pana polskiego, co się zwał Adam Czartoryski, od niego pochodzi ta dobra Marysia, która wydała się za Niemca Ludwika Wirtemberskiego i nazwaną jest dla tego

xiężną Maryą Wirtemberską, i że ta pobożna pani polska fundowała Moszczany i klasztor ten miłosierny.

— A gdzie też ona pochowana? pytali gazdowie.

Zakonnica rzecze na to:

— Uważacie mię! jak fundowała ten klasztor, to potem sama poszła do jednego klasztoru, ale nie mogła nigdy zapomnieć o tych chłopach, których uczyła za młodu w Puławach, toż napisała ona taką mądrą książkę dla chłopów, co to zowie się: Pielgrzym z Dobromila, a z tej książki, kto umie czytać, może się dowiedzieć o królach polskich i inne piękne ciekawości. A potem pojechała do Paryża, gdzie był jej rodzony brat Adam na wygnaniu i tam razem z bratem i bratową żyła cicho i spokojnie, aż umarła roku pańskiego 1854 w sam dzień św. Urszuli i u Francuza w mieście Paryżu leży pochowana na cmentarzu polskim. A dał jej Bóg długie życie, bo przeżyła 87 lat i napatrzyła się na wiele rzeczy na świecie.

A gazdowie powiedzieli na to:

— No! to tak stoją rzeczy o tym klasztorze w Moszczanach, to już teraz wiemy. Ale pójdziemy jeszcze raz do kościoła, aby zmówić paciorek za duszę tej pobożnej pani i matki chłopów.

I pomodlili się szczerze, a potem sami rozpowiadali każdemu prawdę o tym klasztorze.

Xiądz Wojciech z Medyki.

PACIERZ.

Póżno już, póżno,
Przyszedł wieczorek,
Klęknijcie dziatki,
Zmówcie paciorek.
I powszedniego
Uproście chleba,
Zdrowia dla ciała,
Dla duszy — Nieba!
Boga-Rodzicę
Pozdrówcie szczerze,
Niechaj was w świętej
Opiece strzeże...
Skład Apostolski
Zmówcie — i wierzcie...
Potem się w piersi
Z skruchą uderzcie,
I niechaj czoło
Kornie się zniża,
Gdy kłaść będziecie
Swięty znak krzyża

Na skroni, na ramiona,
I piersi swoje.

A po pacierzu,
Dziateczki moje!
I Anioł Pański,
Przed tym obrazem
Za dusze zmarłe
Odmówcie razem..

Bo ludzie w grzechach
Schodzą z tej ziemi,
Godzi się żywym
Modlić za nimi,
Może i po nas,
Łzą kto grób zrosi,
I duszy naszej,
Spokój uprosi.

Jan Prusinowski.

Złamana przysięga.

— Sława Bogu!

— Sława na wieki! — pozdrowiło się dwóch ludzi mijających na drodze koło lasu.

Jeden z nich prowadził parę wołów zaprzęgniętych do wozu, na którym pług i żywność dla bydła; widać wybrał się w pole do pracy, woły duże i ładne, wóz kuty, znać dostatniego gospodarza są własnością — a drugi zdaje się pobereżnik przyległego lasu, bo i blacha na rzemieniu i strzelba na ramieniu to okazuje.

— A co tam Jacku, kiedy mi oddacie ćwierć jęczmienia, którą wam pożyczyłem? zapytał pobereżnika właściciel wołów.

— Ot! mój Wasylu, jakoś tak schodziło, że nie mogłem wam w tych ciężkich czasach tak prędko jak chciałem oddać, ale teraz mi pan darował stos pręcia świeżo wyrąbanego, więc za tę ćwierć jęczmienia dam go wam, przyjedźcie kiedy do lasu to sobie go zabierzecie, ale uważajcie aby pan leśniczy nie był w lesie, bo by się na mnie gniewał że darowany mnie przez pana stos pręcia wam daję.

— No, no, dobrze, przyjadę, odpowiedział Wasyl, kiedy, jak będę miał czas, po ten stos, zostańcie zdrowi — Jedźcie zdrowi! — odrzekł pobereżnik.

Wtem dała się słyszeć w pobliżu trąbka leśniczego i pobereżnik poskoczył w las a niebawem wyszedł na dróżynę, na której stał leśniczy oparty na strzelbie.

— A co tam Jacku słychać w lesie? czy nie ma żadnej szkody? czy wszystko w porządku? zapytał leśniczy nadchodzącego pobereżnika.

— Wszystko panie dobrze, a odczegoż ja, wszakżem przysięgły pobereżnik i pilnuję pańskiego dobra jak oka w głowie.

— Pamiętaj Jacku zawsze na to żeś przysięgły, bo masz wielką odpowiedzialność przed Bogiem, gdybyś złamał twoją przysięgę.

— Panie! taż ja wiem, żeby mię Pan Bóg skarał gdybym zrobił jakie oszukaństwo, ale przecież mię pan znają, że ja nic złego nie zrobiłem — ledwie domówił te słowa, gdy zbladłszy raptem uchwycił się drzewka stojącego obok.

— Co tobie Jacku? zapytał go leśniczy.

— Tak mi się jakoś niedobrze zrobiło — żeby tylko nie zachorować, bo coś ludzie bardzo słabują.

Po chwili ruszyli leśniczy z pobereżnikiem dróżyną leśną, i ledwie przyszli na kraj lasu, pobereżnik odezwał się:

— Proszę pana, ja bardzo słaby, nie będę mógł obchodzić koło lasu, coś mi się ćmi w oczach, nie wiem jak trafię do chaty.

— No to idź do domu a ja każę Dmytrowi, aby za ciebie pilnował twoją część, nim wyzdrowiejesz.

Na te słowa nadszedł jakby wołany drugi pobereżnik.

— Dobrze żeś przyszedł Dmytro, będziesz Jacka część lasu obchodził, bo on mówi że chory — i pamiętaj żeby mi wszystko w porządku było.

Jacko powlókł się do chaty a leśniczy z Dmytrem pobereżnikiem poszli w głąb lasu.

W kilka dni tą samą dróżyną leśną, na której pobereżnik Jacko zachorował tak raptem — jechał ten sam gospodarz, który za ćwierć jęczmienia Jackowi pożyczonego miał stos pręcia niby jemu podarowanego przez pana z lasu zabrać, a nie wiedział że Jacko mocno chory i doktor przysłany ze dworu bardzo kiwał głową nad jego słabością.

Tą dróżyną wyjechał na zrąb i nie pytając się nikogo zajechał pod pierwszy stos który nadybał.

— A co tam Wasylu bierzecie stos pręcia, pewnie macie kwit na nie? — odezwał się z boku głos Dmytra pobereżnika.

— Nie! nie mam kwitu odpowie Wasyl, bo Jacko dał mi swój stos za ćwierć jęczmienia, który mu pan darował.

— No to pewnie on ma u siebie kwit, ale teraz słaby i ja za niego muszę tu pilnować — bierzcie więc a ja się go zapytam o to.

Jeszcze nie dokończył nabierać Wasyl furę, gdy nadszedł leśniczy, któremu Dmytro całą rzecz opowiedział.

— Jakto! zawołał zdziwiony mocno leśniczy — Jacko wam pozwolił brać pręcie bez kwitu, to jest jakieś oszukaństwo, będziecie za to odpowiadać, bo wiem dobrze, że pan tego roku nic Jackowi nie darował — a zresztą wy wiecie, że do lasu bez kwitu nie można jeździć, rzucajcie pręcie — nie darmo Jacko tak mocno zachorował, zrobił jakieś nadużycie i Pan Bóg go zaraz ukarał.

Wasyl skrobiąc się w głowę, zabrał się jak nie pyszny do zrzucania pręcia z fury i pojechał do domu narzekając na Jacka, że go w taką biedę wprowadził. A leśniczy wydawszy stosowne rozkazy pobereżnikowi, oddalił się na obchód lasu.

Znowu minęło dwa tygodnie od tego czasu. Jacko już podobrzał, i zaczął się powoli przechadzać po chacie, ale czegoś bardzo smutny i zgryziony, widać że nietylko choroba go zmogła, ale coś na sumieniu sto razy gorszego od choroby go trapi.

— Jak się masz Jacku? zapytał się wchodzący leśniczy do chaty schorowanego pobereżnika.

— Ot! trochę lepiej, odpowiedział smutno Jacek.

— Słuchaj no Jacku, powiedz prawdę, co ty porobił z pręciem w lesie, jakiem prawem pozwoliłeś brać Wasylowi bez kwitu?

— O mój Boże! zajęczał Jacko, już mię Bóg dosyć ukarał za mój grzech chorobą, a teraz jeszcze i ludzie będą karać.

— Widzisz jak to się nic złego nie ukryje, a ile to razy ja ci mówiłem, że jako przysięgły pobereżnik masz wielką odpowiedzialność na sobie, widzisz! za złamanie przysięgi już cię Pan Bóg ukarał i jeszcze będzie karał. Pan uważając na

twoje drobne dzieci, nie odda cię jakby powinien do urzędu, gdzie byłbyś bardzo ukarany, ale tylko kazał mi tobie powiedzieć abyś się zaraz wyprowadzał z chaty pańskiej, bo takiego człowieka nie chce mieć sługą u siebie — jak sobie pościeliłeś tak się wyspisz — tem bardziej, że ty mówiłeś, że wiesz co to przysięga znaczy, bywaj zdrów i niech ci Pan Bóg nie pamięta twego grzechu. To powiedziawszy oddalił się leśniczy z chaty zostawując Jacka narzekającego wraz z żoną nad swoją niedolą.

Widzicie moi kochani jak to Pan Bóg karze za złamanie przysięgi — Jacko był pierwej porządnym człowiekiem, miał łaskę u swego pana, a teraz i Pan Bóg skarał go chorobą ciała a jeszcze gorszą drugą chorobą bo zgryzotą sumienia — pan kazał mu się ustąpić z chaty, i on bez chaty z żoną i dziećmi musi iść na poniewierkę ludziom.

Jeżeli uznał swoją wielką winę to może mu przebaczą, a jeżeli nie, to jeszcze wiele biedy wycierpi niepoczciwy sługa.

To co wam opisałem jest prawdziwe wszystko i stało się w naszej wiosce temi czasami — przeczytawszy to weźcie sobie na uwagę dobrze, i zachowajcie w pamięci, że przysięga jest świętą rzeczą, którą w najmniejszej nawet rzeczy łamać — grzechem jest wielkim.

Józef z Gwoździca.

Opowiadanie starego Walentego.

Spisał Grześ z Mogiły.

III. O powietrzu i gazach.

(Dokończenie.)

Dym i te g a z y wszystkie, przy paleniu powstające, jako bardzo lekkie unoszą się w powietrze. A cóż one tam robią? Owoż te powietrze i rozpuszczone w niem gazy są znowu pożywieniem dla świeżo rosnących roślin. Jak człowiek i zwierzęta mają piersi i płuca, tak i wszystkie rośliny mają liście,

a w liściach do oddechania przeznaczone takie maleńkie dziureczki, które i ujrzeć trudno, chyba przez bardzo mocne okulary. Więc jak ztąd widzisz roślinie trzeba tego powietrza jak równie i dla każdego człowieka, gdyż i roślina przecie rośnie, rozwija kwiatek i rodzi owoce, jeno tyle, że się ruszać nie może, bo ma korzeń, a tym to korzeniem bierze pożywienie z ziemi, co jest rozpuszczone we wodzie, i idzie maleńkiemi rurkami jak żyłkami het po całej łodydze.

Wojtuś słuchał tego wszystkiego z natężoną uwagą i oczy mu się jeno świeciły, a teraz przerwał ojcu, mówiąc:

— Więc węgiel kamienny choć się spali w jakiej fabryce to nie zginie, bo dym i gazy jego służą znowu dalej jako pożywienie świeżym roślinom?

— Tak, tak mój chłopcze — odeprze żywo Walenty — gazy powstałe z węgla rozpuszczają się w powietrzu, i karmią dalej zielone pola i wzrastające lasy, które człowiek znowu, jeżeli by mu paliwa zabrakło, na węgiel obrócić może. Podziwiaj tu mądrość wszechmocnego Stwórcy, który tak zmyślnie wszystko urządził, że żaden, choćby najmniejszy włosek tu na tej ziemi nie ginie, znowu w inne twory, dla człowieka pożyteczne przechodząc. Nie zabraknie nam więc nigdy pożywienia, opału w zimie i paliwa do fabryk, choćbyśmy nawet i te ogromne składy węgla kamiennego zupełnie wypotrzebowali, w czem atoli żadnego nie ma strachu. Dość jest tego węgla i na nieprzeżyte czasy wystarczy, aby opalać huty żelazne, pędzić maszyny kolejowe, oświetlać gazem i puszczać balony!

— Mój tatusiu — przerwie Wojtuś żywo — ja nie rozumię, co to jest oświecać gazem i puszczać balony.

— Więc słuchaj — rzecze pan Walenty — wiesz już o tem, że z węgla, także z drzewa i innych roślin powstają lekkie gazy przy paleniu. Otóż doszli ludzie, że te gazy zamiast puszczać wolno w powietrze, można rurami nieprzymierzając jak wódkę w gorzelni przepędzać. A bardzo się to przydać może, bo odkryli ludzie, że jeżeli przytknąć zapalony patyczek do rurki, którędy taki gaz przechodzi, to się on zapala, i powstaje płomień taki biały, jasny i mocny, jak gdybyś grubych

dwanaście świec łojowych odrazu zapalił. Wynalazek ten posłużył ludziom bardzo ku wygodzie. Otóż po wszystkich wielkich miastach, gdzie się to opłaci, stawiają wielkie fabryki gazu, podobnie jak gorzelnie do pędzenia spirytusu, a od tych fabryk kładą het w ziemi po ulicach grube jak armaty rury, a do tych grubych przyśrubowują znowu cieńsze, i te prowadzą do kamienic i do środka izb w murach, a każda z tych rurek jest, jakby czopkiem u beczki, małym kurkiem zakręcona. Jeżeli więc ściemni się na dworze, a ty chcesz mieć światło w izbie, to tylko odkręcisz kurek i przytkniesz zapalony papierek a już ci bucha światło białe i jasne, i jak słońce izby oświeca.

— Mój Boże, jakie to śliczne wynalazki! — zawołał Wojtuś uradowany.

— Zdziwisz się jeszcze więcej, jak ci powiem o balonie — odezwał się znowu pan Walenty. Wspomniałem ci już, że gazy są bardzo lekkie, i o wiele leksze od tego zwykłego powietrza, co ziemię do koła otacza. Uważałeś nieraz, że rzeczy bardzo lekkie jak naprzykład bańka z mydła lub pióro maleńkie nie spadają odrazu na ziemię, lecz idą najprzód w górę. Ale cóż tam! rzeczy takie jak bańka lub piórko, które my lekkiemi nazywamy, wcale nie są lekszemi, lecz owszem cięższemi od powietrza; idą więc tylko wtedy w górę, jak jest choćby słaby wiaterek. Wyobraź sobie jednakże jak to prędko musi i bez wiatru lecieć w górę rzecz taka, co jest z dziesięć razy leksza od zwykłego powietrza! Choćbyś jej wtedy i ciężarów nawieszał, to tak i ciężary ze sobą porwie i w górę poleci, jak nieprzymierzając oliwa we wodzie, którą choćbyś niewiedzieć jak na dół spychał i kłócił, zawsze na końcu do góry pójdzie i stanie na wierzchu wody. Otóż zmiarkowawszy ludzie o ile lżejszym od powietrza jest ten gaz świetlany tudzież inne, jeszcze czyściejsze gazy, i z jaką prędkością w górę się wzbijają; zastanawiali się, czyby nie można za pomocą tych gazów po powietrzu latać. Jakoż utkali z jedwabiu wielki worek, ale taki gęsty i mocny, że żadnej pary ani powietrza nie przepuszczał. Utkawszy taki worek, wzięli go na liny, liny zaś palikami przybili do ziemi, i dalejże napuszczać gazu do środka. Gaz wypełniał coraz bardziej środek onego worka czyli ba-

lonu, wypychając zeń dołem powietrze; a gdy już zmiarkowali, że wewnątrz powietrza nic już nie ma, jeno sam gaz szczery, wtedy zawiązali worek mocno u dołu i spuścili go z lin. Trzebaż było dopiero widzieć, jak szybkim lotem, jak gdyby ptak żywy poleciał balon do góry i zniknął ludziom wnet z oczu!

Podobał się niektórym śmiałkom ten sposób latania w powietrzu, i zaczęli przemyśliwać, czyby się nie można z takim balonem puszczać do góry. Lecz jak? we środku balonu nie można: nie ma powietrza, więc ani rusz oddychać; liny się uczepić? a nuż ręce omdleją, i trzeba potem z góry jak żabie na dół spaść! Lecz od czegoż przemyślność ludzka! wnet sposób wymyślili. Do lin wiszących u dołu przywiązali łódkę głęboką i wygodną, gdzieby bezpieczne siedzieć można, a tam powsadzali to psa to kota, usiedli wreszcie sami, i dalejże wio w powietrze! Nie jeden z najpierwszych śmiałków łeb skręcił, puściwszy się w taką podróż, bo albo balon pękł na wysokościach z wielkiego wytężenia, albo go wiatry na morza zagnały, i razem z żeglarzami zatopiły, albo się wreszcie przez nieostrożność zapaliło wszystko, i śmiałek zginął marnie po krótkiej przyjemności bujania w powietrzu. W ostatnich czasach ulepszono znacznie balony: są klapy do powolnego wypuszczania gazu, jeżeli balon zanadto w górę się wzbija; a biorą też do łodzi worki z piaskiem do obciążenia, który zwolna wysypują, jeżeli podróżnicy jeszcze w górę się wznosić pragną. Pomimo tego jest to jeszcze bardzo niepewna jazda, i jak na stracenie puszcza się człowiek balonem, bo nie tylko, że nie ma sposobu kierowania się w górze, jak cię wiatry pochwycą w obroty, i gdzie nad morza zaniosą, ale przytem powietrze w znacznej wysokości takie już jest rzadkie, że nie sposób oddychać, a słabszym ludziom rzuca sie krew nosem, ustami i uszami. Mało też dziś ludzie puszczają się balonami, a przemyśliwają ciągle nad udoskonaleniem tego wynalazku w ten sposób, żeby i kierunek balonu od woli powietrznego żeglarza zależał.

Gdyby była pewność kierowania się w powietrzu, a więc tem samem i niebezpieczeństwo złamania karku odsunięte: nie

byłoby wznioślejszej i pyszniejszej jazdy nad jazdę balonem. Tak często zazdrości człowiek skrzydeł ptakowi, a owo miałby tutaj skrzydła. Bo wyobraź sobie mój chłopcze człowieka balonem lecącego: pod sobą widzi ziemię małą jak orzech, w koło siebie nie tylko powietrze i huczące wiatry, nad sobą słońce, księżyc i przeczyste gwiazdy, a tam nad gwiazdami przeczuwa dusza wszechmocnego Stworzyciela świata, otoczonego chórami jaśniejących, skrzydlatych Aniołów!

Wojtuś tak się wsłuchał w opowiadanie ojca, że zapomniał o sobie i o wszystkiem co go otacza; uszyma tylko chwytał chciwie słowa, a oczy wlepił w niebo, jak gdyby patrząc na lecący balon. Toż choć pan Walenty skończył opowiadać i cicho się zrobiło, chłopiec siedział tak ciągle zachwycony bez najmniejszego ruchu. Więc pan rymarz odchrząknął, a powstając z ławy odezwie się:

— No powiedziałem ci już wszystko, więc teraz marsz do szkoły, bo już druga godzina!

Zerwał się na te słowa Wojtuś, podziękował ojcu ślicznie za piękne opowiadanie, a po szkole powtarzał innym chłopcom wszystko co tylko słyszał.

RÓŻNOŚCI.

Straszna zbrodnia Z wołynia donoszą o strasznej zbrodni jaka się przydarzyła w Berdyczowie w klasztorze OO. Karmelitów, gdzie został przełożony tego klasztoru zamordowany. Jeden cyrulik, drugi faktor starozakonny, który dostarczał żywności do tego klasztoru są sprawcami tej zbrodni.

Tak było: Przeor odprawiwszy Mszę świętą, wrócił do swej celi, gdzie mu podano herbatę na zwykłe śniadanie, poczem chłopak usługujący wyszedł z celi. Na korytarzu spotkał cyrulika idącego do celi przeora. W parę godzin potem, chłopiec poszedł do celi przeora, lecz przyszedłszy do drzwi, znalazł je zamknięte na klucz, wrócił więc, i znów na korytarzu spotkał faktora, który mu powiedział, że idąc z miasta, spotkał w bramie klasztornej przeora wyjeżdżającego.

Myślano więc, że pojechał. Nadszedł obiad, przeor nie wrócil: myśleli że jakiś nadzwyczajny interes zatrzymał go w mieście, — lecz gdy i na noc nie wrócił, zdziwiło to wszystkich, i postanowili zajrzeć przez

okno do celi. Musieli użyć drabiny, aby po niej dostać się do piętrowego okna, i gdy się tam dostali, jakiż okropny widok uderzył oczy! Oto przeor zamordowany leżał na środku celi, której cała podłoga była krwią zalana. Dali znać do policyi, która wyważywszy drzwi, dostała się do celi. Podejrzenie padło zaraz na cyrulika, jakoż w rewizyi znaleziono u niego nóż zakrwawiony, i krew na sukni. Cyrulik udał, że ma zmysły pomięszane do takiego stopnia, iż z niego indagacyi ciągnąć nie było można.

Powodem morderstwa była kasa klasztorna, w której nic nie znaleźli. Policya moskiewska, nie dozwoliła Karmelitom, uczcić chrześciańskim pogrzebem zamordowanego kapłana. Biskup doniósł o tem carowi. Nie wiadomo czy odebrał na tę skargę odpowiedź, i jaką?

Czcigodny biskup. Wiecie już choćby ze słychu, jak to Moskale prześladują na Litwie wiarę naszą polską, katolicką. Otóż jest tam biskupem xiądz Wołonczewski, prawy Polak, który mimo srogości moskiewskiej spełnia swe pasterskie obowiązki. Nie boi się on moskiewskich gubernatorów, bo jest prawdziwym mężem Bożym. Otóż o tym biskupie podają gazety taki wypadek.

W mury miasta Wilna zawitał przezacny xiądz biskup żmudzki Wołonczewski, który po długich zabiegach i staraniach otrzymał od Kaufmana pozwolenie udzielenia tutejszemu ludowi Sakrament Bierzmowania. Czcigodny ten biskup przez trzy dni od godziny szóstej rano do pierwszej z południa a nawet i po obiedzie aż do wieczora bierzmował niezliczoną dziatwę, młodzież a nawet ludzi dojrzałych, którzy na wieść o przybyciu biskupa do Wilna ze wszech stron się zbiegali. Kościół św. Jana był jak nabity i patrząc na te tłumy zdawało się, że ludność tutejsza już od lat kilkunastu nie przystępywała do sakramentu bierzmowania. Jeszcze w roku przeszłym za znanego okrutnika Murawjewa ten sam xiądz biskup Wołonczewski przyjechał do Wilna w celu bierzmowania i wyświęcenia xięży, ale za to musiał 300 rubli sztrofu zapłacić. Mieszkańcy okazywali największą cześć dla tego zacnego pasterza, który jest istotnie najpiękniejszym wzorem dla naszych kapłanów. Obowiązek u niego zawsze jest świętym, aby go dopełnić, nie zważa na żadne przeszkody lub prześladowania. W Wilnie moskiewski gubernator Kaufmann pozwolił mu tylko trzy godziny dziennie bierzmować, on potroił tę liczbę. W Kownie, jak powiadają, miał dostojny ten biskup następny wypadek. Kowieński gubernator Murawjew pozwolił mu wyświęcić pięciu xięży; xiądz biskup Wołonczewski wyświęcił dwudziestu. Rozgniewany gubernator w towarzystwie policmajstra zjeżdża do jego kwatery:

— Iluś pan xięży wyświęcił? pyta surowo czcigodnego pasterza.

— Dwudziestu, odpowiada tenże odważnie.

— Jak to! alboż pan nie pamiętasz, żem tylko powolił 5 wyświęcić?

— I owszem, pamiętam; ale u mnie obowiązek przedewszystkiem. Jako pasterz tutejszy nie mogłem patrzeć obojętnie, że lud skutkiem braku kapłanów zaniedbuje swe obowiązki, nie chodzi do spowiedzi a często i mszy świętej nie ma gdzie wysłuchać, bo kapłani od kilku lat u nas ubywają, nowych zaś wyświęcać nie wolno.

— A wiesz, podchwycił gubernator, czem to pachnie? pan nam sztrof zapłacisz.

— Co robić, ale wiadomo panu zapewne, że kasa moja zupełnie pusta.

— A to nic nie znaczy; sprzedamy rzeczy pańskie.

— Bardzo dobrze! A czy zostawiasz mi pan prawo rozrządzania moją osobą?

— Nie inaczej — pan jesteś wolnym.

— A mój pastorał pozostanie przy mnie?

— Naturalnie.

— W takim razie pozwól mi pan pożegnać siebie.

I to mówiąc wziął xiądz biskup pastorał i zbliżył się ku drzwiom.

— Dokąd pan idziesz? zapytał zdziwiony gubernator.

— Idę w świat na żebraninę. Może się kto ulituje i da mi choć kęs chleba. Dłużej nie widzę potrzeby zatrzymywać się. Przecież panowie całą mą ruchomość zamyślacie sprzedać.

Zastanowił się gubernator i nie ściągnął sztrofu z biskupa obawiając się następstw, jakieby wywołał widok biskupa żebrzącego.

Sumienie. We wsi Świrczków pod Tarnowem, znaleziono na strychu we własnym domu powieszonego niejakiego Piotra Pokutę. Jak się pokazało potem, że sumienie go tak gryzło, że podpalił dom brata swojej żony, która była uciekła do niego, przed złem jej męża z nią się obchodzeniem. Widzicie, jak to sumienie ciężko zagłuszyć, i jak to jedna zbrodnia, znowu do drugiej większej prowadzi.

Zbrodnia. W Kosowie dnia 18. kwietnia okropną popełniono zbrodnię. Zamordowano sześć ludzi, a to starozakonnego Mortka Margulesa, żonę jego, troje dzieci i służącą. Żaden jęk ani głos wołający o ratunek nie był słyszany. Mordercy pozatykali okna poduszkami i płachtami, i zdaje się pojedynczo śpiących pomordowali.

Na biednych zgłodniałych, w stronach wschodniej Galicyi, ludzie miłosierni, z całego polskiego kraju, przesyłają różne dary, między innemi posłał dla głodem nawiedzonych, pan hrabia Leonard Piniński z Grzymałowa, pięćdziesiąt cetnarów mąki.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. Nr. 17.

11. czerwca 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

POWSTANIE POLSKIE W ROKU 1831.

VI. Dalsze bitwy.

Po owej bitwie wielkiej pod Grochowem, o której wam ostatnim razem opowiadałem, obrany został naczelnym wodzem polskiego wojska jenerał Skrzynecki. Nie był to już taki dzielny i zdolny jenerał jak Chłopicki, ale jeszcze rzeczy dobrze stały, i można było dać sobie z Moskalami radę. Po bitwie grochowskiej było kilka dni pokoju, bo Moskal, jak już wziął dobre cięgi, więc jeno lizał się i czekał, a nasi też odpoczywali.

Ale nie długo dali odpoczywać Moskalom Polacy. Pierwszy jenerał Dwernicki, zuch nad zuchy, chwat nad chwaty, rozpoczął z nimi dziarski taniec na nowo. Zaraz po owej sławnej bitwie pod Stoczkiem, gdzie to ten jenerał skropił jak się należy Moskali i tak szczęśliwy zrobił początek — pociągnął Dwernicki na moskiewskiego jenerała Krajca, który nadchodził z swem wojskiem, i dotarł go pod Nową wsią.

Zaraz też kazał jenerał Dwernicki po swojemu ułanom i krakusom uderzyć na Moskala, a chłopcy ci wpadli jak błyskawica na wroga, rozbili całe wojsko moskiewskie jak czerep i 11 armat zabrali. Bitwa ta była dnia 19. lutego. Poczekawszy dni kilka ruszył jenerał Dwernicki naprzód, trafił na Moskali pod Kurowem, pobił ich i dwie armaty odebrał, a idąc dalej do Lublina, dopadł ich znowu po drodze pod Markuszowem, przetrzepał znowu porządnie i dwie znowu armaty zdobył.

Moskale nauczeni dobrze, czem to pachnie zejść się z jenerałem Dwernickim, wymijali go już potem ostrożnie i nieśmieli zachodzić mu drogi.

Następnie podzielili Moskale swą siłę na mniejsze części i poczęła się wszędzie bitwa, w której prawie zawsze Polacy byli górą. Jenerałowie polscy Rybiński, Umiński, Kamiński podrywali, gdzie mogli, Moskala, który też znowu przy końcu marca wziął porządnie w skórę pod Dębem, choć był kilkakroć silniejszy, niż nasi. Jenerał moskiewski Rozen, który wziął po grzbiecie pod Dębem, umykał, co miał tchu, a nasi ułani pędzili go i trzepali, co się wlazło. Gdzie też tylko nasi ułani dopadli Moskali, tam ich jak naprzykład pod Kałuszynem zawsze srodze potłukli, tak że podczas tej rejterady jenerała Rozena w przeciągu dwóch dni było Moskali rannych i zabitych 15 tysięcy a cztery tysiące dostało się tego tałałajstwa do niewoli.

Tak nadeszła wiosna. Jenerał Prądzyński swymi ułanami przeczesał znowu Moskali porządnie pod Domaniewiczmi, a potem przytarł ich pod Iganiami, gdzie stoczył z nimi dzielną bitwę. Moskale wzięli tu znowu po skórze, padło ich około 3000, a drugie 3000 i trzy armaty zabrali Polacy. W bitwie tej padło także trzech moskiewskich pułkowników, a trzech dostało się do niewoli. Było jeszcze kilka innych potyczek w których nasi zwyciężyli — a tymczasem zaszedł bardzo ważny wypadek.

Oto na Litwie, który to kraj od dawnych wieków należał do Polski, wybuchło powstanie przeciw Moskalom. Litwini, ród dzielny i waleczny, zawsze byli dobrymi Polakami, więc

też i teraz chwycili za broń, aby przyjść swoim braciom w pomoc i wypędzić Moskalów z swojej ziemi. Powstanie Litwinów wybuchło było jeszcze w marcu. Nie miało to biedactwo nawet dobrej broni, jeno kto mógł chwytał za kosę lub jaką strzelbinę a prażył w imię Boże Moskala. Rozlecieli się też Litwini po lasach i po górach i robili wycieczki na wroga — a ile tam tych dzielnych Polaków poległo za ojczyznę, to tylko Pan Bóg policzył w niebie.

Źle się bardzo stało, że biedakom Litwinom nie posłano zaraz na pomoc trochę wojska, ale już to w całej tej wojnie nie jedno źle się działo, bo inaczej nie byliby Polacy nigdy przegrali, bo byli waleczniejsi i bitniejsi od Moskali. Ale cóż z tego, że żołnierz się dobrze bije, jeżeli kierunek cały zły. Tak też było podówczas i w Polsce.

Kiedy tak stoją rzeczy, dano jenerałowi Dwernickiemu nakaz, aby maszerował do Wołynia na Moskali. Dwernicki mając ledwie 5000 wojska pod sobą, ruszył zaraz w drogę i wnet 11. kwietnia pobił Moskali pod Poryckiem. Wkroczył zaś jenerał Dwernicki na Wołyń dlatego, że miało tam także wybuchnąć powstanie między ludem przeciw Moskalom, ale że powstanie to jakoś się zwlekało, a Moskali była ogromna siła, więc Dwernicki nie mógł, jakby był chciał, posuwać się w głąb kraju, ale trzymał się tuż przy granicy austryackiej. Dnia 16. kwietnia stanął jenerał Dwernicki w samo południe pod Boremlem. W kilka dni wyszedł na niego jenerał moskiewski Rydygier z wielką siłą. Ale jenerał Dwernicki nie pytał o to, że Moskali jak maku, rzucił się z swem wojskiem na nich i dnia 19. kwietnia pobił armię moskiewską jak to mówią, na łeb, na szyję. Moskale pobici uciekli coprędzej, a było ich trzy razy więcej niż naszych. Polacy zabrali im ośm armat, a w bitwie poległ także jeden jenerał moskiewski.

Ale choć tak walecznie spisał się jenerał Dwernicki, nie pomogło już to wiele, bo Moskali coraz większa siła na niego nachodziła. Powstanie wołyńskie, na które Polacy rachowali wybuchło wprawdzie, ale już za późno, bo Moskwy moc ogromna się zwaliła. Tymczasem nikt nie szedł Dwernickiemu na pomoc, a on ledwie cztery tysiące miał już żołnierza. Nie było

innej rady, jak tylko cofać się ku granicy austryackiej, to jest ku Galicyi. Uczynił też tak Dwernicki i stanął na samej granicy.

Jenerał moskiewski Rydygier zebrał tymczasem kilkanaście tysięcy wojska i 50 armat i szedł na Dwernickiego, który i czwartej części tego wojska nie miał. Ale mimo to stanął Dwernicki gotów do boju i oparłszy się o las nad granicą czekał na Moskala. Ale Moskal, zdrajca podły, bał się uderzyć na niego z przodu, choć było czterech a nawet pięciu Moskali na jednego Polaka, jeno przekroczył granicę austryacką, choć to nie było wolno, bo Austrya była neutralnem państwem, to jest nie mięszała się do niczego. Tak zaszli Moskale zdradziecko i przeciw wszelkim prawom wojennym z tyłu Dwernickiego. Dwernicki widząc się obsaczonym do koła, musiał się cofnąć i przejść do Galicyi, na ziemię austryacką.

Skoro nasi przeszli już na ziemię do Austryi należącą, przestali zaraz strzelać, bo szanowali obcą granicę, jak na uczciwe wojsko przystało, ale Moskale jak rozbójniki strzelali za nimi i pędzili, tak że aż austryackim huzarom, co pilnowali granicy, było tego za wiele i dopiero Moskalom drogę zagrodzili.

I tak stał się ten smutny wypadek, że jenerał Dwernicki, co najdzielniej się spisywał i najlepiej bił Moskali, musiał schronić się za austryacką granicę. Była to pierwsza, ciężka klęska dla Polaków, bo nietylko że stracili jednego z najlepszych jenerałów, ale jeszcze i reszta na duchu upadła, bo i żołnierze polscy i lud mówili sobie z smutkiem:

— Oj źle to, źle, że już nie ma naszego Dwernickiego! Kto nam za takiego chwata stanie!

Skoro tylko Dwernicki z swą garstką stanął w Galicyi, zaraz go Austryacy rozbroili. Żołnierzom poodbierano broń i porozsełano pod strażą po miastach.

Tymczasem wojna w Polsce wrzała ciągle. Jenerał polski Romarino zniósł ze szczętem całą moskiewską brygadę pod Firlejem i zabrał Moskalom 500 niewolnika, a jenerał Chrzanowski pobił znowu daleko liczniejszego wroga pod Le-

wartowem, gdzie bitwa przez pięć godzin trwała. Tam to jedna kompania polskich żołnierzy, w której było coś około sto ludzi, zamknęła się w klasztorze i tak się dzielnie broniła, że cała armia moskiewska nie mogła jej dać długo rady. Moskale myśleli, że w tym klasztorze jest kilka tysięcy wojska polskiego — cóż to więc była za hańba dla Moskali, gdy się pokazało, że wszystkich Polaków ledwie stu było!

Dalej znowu jenerał polski Umiński, który spieszył na pomoc Litwie, napadnięty został przez Moskali pod Jędrzejowem i pobił też Moskali tęgo. Po tych małych bitwach i utarczkach przyszło dnia 26. maja do wielkiej i krwawej bardzo bitwy pod Ostrołęką. Była to prawie największa batalia w całej wojnie. Walczyła w niej cała armia moskiewska i polska. Bitwa była strasznie zacięta, nasi bili się z cudowną walecznością, choć nie mieli armat, podczas gdy Moskale i więcej żołnierza i dużo armat posiadali. Okropny był przelew krwi po obu stronach. Gdy się bitwa skończyła, pokazało się, że ani moskale ani nasi nie wygrali. Moskale nawet stracili więcej niż Polacy, bo Moskali padło w tej bitwie zabitych i rannych 15 tysięcy, naszych wszystkich ubyło tylko 7 tysięcy. Poległo w tej bitwie, która naszym mimo waleczności nie przyniosła korzyści jeno stratę, także dwaj dzielni polscy jenerałowie Kicki i Kamiński. Odznaczył się tu w boju świetnie polski jenerał Bem.

Powrót konia.

Kurz się drogą bałwani
Świat tumany ciemią;
Jadą, jadą ułani
Sandomierską ziemią.

Białe na nich wyłogi:
Dyć to pułk nam znany!
„A gdzież Jonek z Ożogi?
„Gdzie brat nasz kochany?

„Wszyscy święci Anieli!
„Cały pułk już minął!
„Gdzieście brata podzieli?“
— Zginął — rzekli — zginął!

A w tem znowu ktoś jedzie
Dwóch ułanów czesze,
Jeden konia z nich wiedzie,
Drugi ognia krzesze.

Koń się potknął przed górką,
Zarżał, urwał wodze,
I poleciał po drodze,
Co wyskoku w podwórko!

A obadwa ułani
W podwórko przybyli,
I obadwa stroskani
Na dziewkę patrzyli.

„O dla Boga, dla Boga!
„Skądże to go macie?
„Wszak to konik z ożoga,
„Konik po mym bracie!

— „Zatrzymajcie go sobie
„Nikt go wam nie bierze,
„Oj wasz Jonek już w grobie
„To jego szkaplerze!

„Oj sierota już chata
„Kiedy on zabity,
„Gdzieżeś podział mi brata
„Koniu jabłkowity?“

„Jam je zabrał w szczerości,
„Bo legł od Moskala,
„A tych naszych świętości
„Niech Moskal nie kala!

„Może moje szkaplerze
„Da tam kto ojcowi —
„No bywajcie nam zdrowi!
„Niech was Bóg tu strzeże!“

Janusz.

O zamorskich zwierzętach.

(Opowiadanie pana Walentego.)

Pewnego wieczora w kilka dni potem, kiedy to pan Walenty opowiadał Wojtusiowi o gazach i balonach, siedzieli sobie znowu ojciec i syn przed chatą. Wojtuś tak się odezwał:

— Prosił bym też tatusia, żeby mi znowu coś ciekawego opowiedział, bo mi się tamto, com już słyszał, bardzo podobało!

— A o czemże chcesz, abym ci opowiadał?

— Tatuś mi raz wspominał, że tam w ciepłych krajach są dziwne rozmaite ptaki i zwierzęta, których u nas nie ma, otóż ja radbym coś dowiedzieć się o nich.

— No, poczekajże, więc najprzód opiszę ci najmądrzejszego ptaka z ciepłych krajów, który się zowie papuga.

Ma ona dziób krótki a gruby i z góry na dół zakrzywiony; łeb szeroki i z góry spłaszczony, a oczka bardzo zmyślne; nogi u papugi są grube, mięsiste i do wspinania się po

drzewach bardzo przydatne; kolor ich piór jest nadzwyczaj rozmaity, a często z najświetniejszych barw złożony: zielone, złocisto błyszczące, czerwone, czarne, szare, żółte, białe i Bóg wie jakie tam jeszcze na nich piórka bywają. Bardzo sprytnie i poważnie łazi i wiesza się papuga po gałęziach drzew, żywi się ziarnami, owocami i różnemi innemi rzeczami, łapy swej bardzo często niby ręki używając. Krzyczy mocno i przeraźliwie, ma atoli wielką łatwość wymawiania ludzkich wyrazów tak, że oswojoną papugę nie trudno to i owo gadać nauczyć, choć jušci sama wtedy nie rozumie co plecie. Dlatego to mówią o człowieku, co plecie koszałki opałki lub cudze rzeczy powtarza, że gada jak papuga.

Najpyszniejszym ptakiem zagranicznym jest ptak rajski, dla swoich pięknych piórek niby z raju pochodzący. Nie bywa on większy od drozda, ale ma niektóre pióra nad skrzydłami i u ogona takie długie i powiewne, a jak jedwab miękkie, iż się o wiele większym wydaje. Barwa piór jest przeważnie brunatna, głowa, szyja i łopatki żółte, a czoło i podgarle złocisto zielone. Żyją te ptaki na niektórych wyspach Australii, a pożywieniem ich są różne jagody, choć i za motylami chętnie się uganiają. Ptak rajski ma zwyczaje do kruka podobne, kracze też podobnie do kruka, albo krzyczy jak szpak. Trafi się nieraz, że gdy ptak rajski leci a wiatr jest mocny, to mu tak owe długie pióra poplącze i zawikła, że nie może dalej lecieć i spada na ziemię. Chwytają go wtenczas tamtejsi ludzie, a zastawiają mu także i lep dla jego pięknych piórek.

A teraz, żeby była trójka, opowiem ci o największym ptaku, który się struś zowie. Ma on wysokie nogi i długą szyję, bywa przeto od trzech do czterech łokci wysoki; główkę ma zaś maleńką i zupełnie łysą, a przy niej dziób do gęsiego podobny. Skrzydła u strusia są tak króciutkie, że niemi latać nie może: biega więc po ziemi na grubych i mocnych nogach, skrzydełkami sobie w biegu pomagając. Pierze na strusiu białe, a osobliwie śliczne są wielkie pióra w ogonie i skrzydłach, miękkie i powiewne, jak śnieg białe, niektóre z czarnym czubkiem lub brzeżkiem.

Żyją te strusie w Afryce i w Arabii, a żywią się trawą, zbożem i różnemi owocami, połykają zaś często kamyczki, kawałki żelaza i tym podobne rzeczy, które im do utarcia pożywienia w ich mocnym żołądku są potrzebne. Gnieżdżą się i składają jaja w piasku, a jajo strusie to nielada, bo jest przynajmniej tak wielkie jak głowa dwuletniego dziecka, a skorupa na niem tak twarda, że robią z niej różne kubki i czarki do picia.

Z powodu swych bielutkich a powiewnych piór, za które dobrze płacą, polują często Murzyni i Arabowie na strusia; a śmieszne to polowanie, bo nie potrzeba doń ani strzelby, ani żadnej innej broni prócz drążka z ciężkiego drzewa, lub długiego sznurka z ołowianemi kulkami na końcu. Otóż wybierając się na strusia dosiada łowiec tęgiego konia, i skoro tylko owego ptaka w piasczystej pustyni wytropi, tak dalejże za nim co koń wyskoczy, i musi gonić tak długo dopóki struś się nie zmęczy i nie zwolni szybkiego biegu; wtedy popędzasz konia i dobiegłszy na kilkadziesiąt kroków z tyłu, rzucasz sznurem z owemi kulkami, które, gdy dobrze trafione, zaraz się trusiowi koło szyi lub koło nóg okręcając, w biegu go zatrzymują. Inny sposób jest ten, że zabiegasz strusiowi nagle z boku i ciężkim drążkiem uderzasz go po łysej głowie, która jest bardzo słaba; jakoż po jednem uderzeniu pada struś nieżywy.

Skończywszy o ptakach zagranicznych, poprawił pan Walenty ogień we fajeczce i tak się odezwał:

— Powiedziałem ci o największym z ptaków; posłuchajże więc teraz o słoniu, który jest największym ze zwierząt czworonożnych. Słoń, niezgrabnie zbudowany i szarą krótką sierścią pokryty, ma nogi grube jak kłody z wielkiemi równemi paznokciami, uszy wielkie i kłapciaste, zamiast nosa ryjak długi, czyli trąbę, którą sobie wszystko ze ziemi podejmuje i chcąc żreć gałęzie drzew nagina, a z pyska wystają mu dwa kły ogromne, do góry wygięte, którémi broniąc się uderza i wszystko przebija. Ze swej natury i budowy dadzą się słonie najwięcej do naszego wieprza przyrównać, tylko że są kilka

razy tak duże, a żyją w ciepłych krajach, najwięcej w Indyach i w Afryce.

Teraz zaś posłuchaj, jak tu jest polowanie na słonia opisane.

To rzekłszy otworzył pan rymarz książeczkę, przerzucił kilka kartek i tak jął czytać:

„Już cały miesiąc albo i dwa przed rozpoczęciem polowania, ogradzają Indyanie wielki kawał kraju pomiędzy lasami kokosowemi, i kopią w środku sadzawkę, gdzie się woda zbiera. Do ogrodzenia używają mocnych pali, które się w ziemię wbija, sznurami mocuje, i dopiero gałęziami nakrywa, żeby pale zpod onych nie wyglądały. Droga, która do ogrodzenia prowadzi, bywa zwykle w różne strony kręta, a tylko o tyle szeroka, żeby nią słoń wygodnie mógł biegnąć; zaś obok tych dróg są jeszcze inne wązkie ścieżki dla ludzi, gdzie już słoń zmieścić się nie może. Oprócz tego są jeszcze wewnątrz różne mniejsze przegrody, a z drugiej strony prosta i wygodna droga, którą już związanego słonia wyprowadzają.

Skoro to wszystko jest już gotowe, natenczas zbiera się z sąsiednich okolic wielka liczba ludzi, między temi kobiety i dzieci z bębnami, trąbkami i innemi hałaśliwemi narzędziami. Ta gromada okrąża lasy ze wszech stron i zaczyna straszyć, nie przestając i nocą, w czasie której pochodniami wśród zarośli sobie przyświecają. Trzeba atoli wiedzieć, że już kilka dni przedtem obsadzono ludźmi wszystkie strumyki i bajora w lesie, a ci nie przypuszczają do nich żadnego słonia, tak, że one w końcu pragnieniem i trwogą przed napastującą gromadą przejęte, zbiegają się na drodze, wiodącej do owego ogrodzonego miejsca, gdzie jest zupełnie cicho. Przybiegłszy do wchodu, miarkują często po płocie, że to jakaś zasadzka i chcą się nawracać; lecz nie ma już czasu do tego, bo ludzie tuż, tuż za niemi z niesłychanym brzękiem i hałasem. Wpadają więc wązką dróżyną aż w środek ogrodzenia, gdzie już jest woda i miejsca podostatkiem, a wtedy dopiero, zagnawszy tam i ułaskawionych słoniów, zawalają Indyanie wchód główny, zostawiając tylko wolno owe ścieżeczki dla ludzi, gdzie się słoń w żaden sposób pomieścić nie może. Temi ścieżkami

podchodzą teraz łowcy aż do samego środka i tam starają się słoniów pojedyńczo do pomniejszych przegród zapędzać, gdzie każdemu z osobna sznury na szyję i na nogi zarzucają, a skrępowanego jak się należy wyprowadzają drugą stroną, i do pni mocnych na wolnem polu przywiązują. Przy tej pracy bywa człowiekowi łaskawy słoń bardzo pomocnym; bo gdy tylko ujrzy że jego braciszek dziki rzuca się lub zapiera, wtedy przypada zaraz i tak długo dzikiego swoją trąbą bije, dopóki się tenże zupełnie nie uspokoi.“

Przestał czytać na chwilę pan Walenty, a Wojtuś zapytał:

— Mój tatusiu, i dużo to słoniów naraz łapią w taki sposób?

— Różnie mój chłopcze — rzecze pan rymarz — po sto sztuk, a czasem po stokilkadziesiąt i więcej.

— I do czegoż to potem używają tych słoniów, czy na mięso?

— Nie mój Wojtku, mięso by było za twarde, lecz używają słonia do dźwigania ciężarów, bo jest bardzo silny, używają go nawet tamte narody do wojny, stawiając na nim wieżyczkę, gdzie kilku wojowników się mieści, i doskonale ztamtąd nacierać może. Zresztą do polowania i innych usług da się łatwo włożyć. Mają też potemu słonie wiele sprytu i zręczności: wiesz już, że biorą najprzód pożywienie trąbą i dopiero do pyska kładą; lecz nieraz trafi się i tak wyuczony, który sobie potrafi butelkę z winem otworzyć, a potem wziąwszy trąbą przewraca ją szyjką do pyska i pije. Jak więc słonie są straszne w swojej dzikości, tak znowu po ułaskawieniu mają z nich ludzie nie jeden pożytek, zwłaszcza że i chodowanie nie wiele kosztuje, bo się najwięcej liściami z drzew niektórych żywią, a zresztą i inne ludzkie potrawy chętnie zjadają.

Podobnym nieco z budowy do słonia zwierzęciem jest nosorożec, od tego nazwany, że ma róg na nosie, którym napadając uderza. Dziki ten zwierz jest odziany brunatno-szarą, rogową skórą, która jest tak gruba i twarda, iż ją żadna kula nie przebije. Straszny on jest i zaciekły w swych napadach, gdzie wszystko rozbija i niszczy, co mu tylko na zawadzie

stoi. Żyje on w południowej Afryce i w Indyach, a żre tylko same rośliny.

Polowanie na nosorożca nie jest zbyt trudne, ale trzeba sobie w tem rozsądnie postępować. Owoż bacząc, że nosorożec ma słuch i węch bardzo dobrzy, zaś wzrok dość tępy, trzeba doń zawsze pod wiatr się zbliżać a z wszelką cichością, żeby nie zwietrzył ani usłyszał. Podstąpiwszy w ten sposób blisko, należy na cel brać oko, gdyż tu tylko kula ugrzęźnie. Jeżeli zaś strzelisz i chybisz, lub draśniesz gdzie po skórze, a potwór się zerwie i skoczy na ciebie: wtedy jedynym ratunkiem jest, w bok na kilkadziesiąt kroków pod wiatr odskoczyć, bo nosorożec tę ma naturę, że zamrużywszy oczy i łeb na dół spuściwszy, wprost tylko biegnie na nic nie pytając. Umknął więc już w ten sposób nie jeden od niechybnej śmierci.

— Proszę taty, ale nosorożec nie jest tak wielki jak słoń? — zapytał Wojtuś.

— Jest trochę mniejszy i niższy od słonia.

— Więc słoń jest najwyższym ze wszystkich zwierząt czworonożnych? — zagadnął znowu chłopiec.

— Słoń jest największym — odparł pan Walenty — ale nie najwyższym. Wyższą od niego jest żyrafa, choć to zresztą małe i słabe stworzenko.

— Mój tatusiu, a jakże wygląda żyrafa?

— Żyrafa należy do tego rodzaju zwierząt co i koń, to jest ma kopyta i głowę bardzo do konia podobną, ale zresztą dziwne tam jest wszystko. Bo tak: nogi ma wysokie, a przednie wyższe od tylnych, tułów dość szczupły i nie dłuższy nad trzy do półczwarta łokcia, a zato szyja także do czterech łokci długa, a u jej wierzchu końska głowa z uszami jak u osła i nie wielkie rogi. Mierząc więc z przodu od kopyt aż do końca rogów, jest żyrafa na ośm lub dziewięć łokci wysoka, musisz wię dobrze głowy zadzierać, żeby jej w oczy zajrzeć. Z tem wszystkiem piękne jest to zwierzę, a łakome dla strzelca dlatego, że je okrywa śliczne futro żółtawo szare z kanciatemi brunatnemi cętkami. Żyrafa żyje we wschodnich i południowych stronach Afryki, a żywi się trawą, ziołami różnemi i liśćmi; najlepiej atoli smakują jej czubałki niektórych drzew

młodych, które juści przy swojej wysokości z łatwością może obgryzać. Śmieszna jest rzecz widzieć jak to zwierzę biegnie, musi bowiem to naprzód to wtył szyją swą przegina, którać mu w biegu waży i równowagę odbiera. Że zaś ma nogi wysokie, więc kroki stawia wielkie, i tak choć szybko nie lecąc, przecie się dobrze naprzód posuwa.

— Proszę tatusia, ale żyrafa nie jest taka mądra i sprytna jak słoń? — zapytał Wojtuś.

— Nie jest ona wprawdzie taka mądra jak słoń — odrzecze pan rymarz — ale zawsze dwina i pożyteczna. Zresztą są i od słonia mądrzejsze zwierzęta, a najmądrzejszą jest małpa.

— To niechże mi tatuś jeszcze co o małpie opowie! — zawołał chłopiec.

— Ho, ho, mój Wojtku, ty mię dziś zmordujesz — prawi pan rymarz z uśmiechem. Ale ciekawy chłopiec chwycił za rękę i dalejże całować i prosić:

— Mój tatusiu złoty, jeszcze też tylko o małpie!

Więc pan Walenty nie mogąc się już oprzeć naleganiom syna tak jął dalej prawić:

— Małp jest bardzo wiele gatunków, a wszystkie żyją w owych ciepłych krajach. Mają one z przodu ręce, a z tyłu zamiast nóg także ręce, morda u nich dość płaska i najczęściej włosami nie pokryta, uszy zupełnie takie same jak u człowieka, a że też potrafią niektóre na tylnych rękach prosto chodzić, więc jest największe podobieństwo tych zwierząt do ludzi. Nie umiałbym ci opowiedzieć o wszystkich gatunkach małp, z których jedne są z ogonami, drugie bez ogonów, jedne z długiemi przedniemi rękami drugie z krótkiemi: lecz powiem ci o jednym gatunku małpy, o której najwięcej słyszałem, a którą orangutanem zowią.

Orangutany, osobliwie też te, co w Afrycy po lasach się chowają, są bardzo podobne do człowieka, a objawiają najwięcej sprytu i pojętności. Ciało ich okrywa włos rzadki czarny lub brunatny, najbujniejszy na głowie i na krzyżach, twarz i dłonie zupełnie nagie, oczy ludzkie i bardzo sprytne. Wyrosłe orangutany są tak wysokie jak człowiek, czasami i

wyższe, a najczęściej grubsze; mocne są bardzo, tak, że i dziesięciu ludzi jednemu nie da rady, spinają się zręcznie po drzewach i biegają dobrze na dwóch tylnych łapach.

Różne ciekawe rzeczy opowiadają żeglarze o tych małpach. Raz złapali taką małpę żywcem i wzięli ją ze sobą na okręt, więc się wnet do ludzi przyzwyczaiła. Jakoż siadała razem do stołu i jadła porządnie łyżką, wino umiała też dobrze łykać, otworzywszy wprzód flaszkę i nalawszy do szklanki, jak się należy. Jeżeli jej co dać nie chcieli to krzyczała i płakała jak dziecko, a w złości nawet biła kijem, choć najczęściej dość była potulną. Gdy okręt wpłynął już w zimniejsze okolice, natenczas małpie przyzwyczajonej do gorącego słońca zaczęło być zimno: kradła więc żeglarzom różną przyodziewkę i okrywała się tem starannie. Jadła wszystko co jej tylko dano: najchętniej różne owoce i słodkie rzeczy, mleko, kawę, słodką wódkę, a co najmniej to mięso. Wszystkie małpy przywiązują się bardzo do swoich młodych, a karmiąc własną piersią, pieszczą je jak najczulsze matki. Jeżeli młode przypadkiem się skaleczy, to matka krzyczy przeraźliwie, niesie do wody i obmywa ranę starannie. Pewien myśliwy strzelił był raz do małpy, co uciekała z młodym na rękach, i trafił ją w serce; małpa czując, że wnet żyć przestanie z największą trudnością wysadziła jeszcze swoje maleństwo na gałęź, żeby uciekało, a sama padła nieżywa. Tak to wszechmocny Stwórca obdarzył miłością rodzicielską i nieme zwierzęta, i dał im stopniowo sprytu i rozumu po troszę, aż dopiero swoim duchem napełnił człowieka, który nad wszystkie stworzenie ziemskie jest wyniesiony. Żadno też ze źwierząt nie posiada mowy tylko jeden człowiek; małpy choć tak sprytne i rozumne nie umieją mówić, zkąd też murzyni bają, że orangutany, to są ludzie z obcych stron, którzy dlatego nic nie mówią, żeby ich do roboty nie napędzono.

Wojtuś był niezmiernie uradowany tą ciekawą historyą o małpach, co widząc ojciec, tak się odezwał.

— Jak uważam, nie myśli nam coś matka zastawić obiadu, choć to już południe. Więc żeby nie pamiętać na to że człowiek głodny, przeczytam ci co jeszcze z tej książki.

Wojtuś podskoczył aż z radości, a pan rymarz odłożywszy fajkę na bok w ten sens czytał z książki:

„Najstraszniejszemi zwierzętami drapieżnemi są tygrys i lew. Oba należą do gatunku kotów, ale są wielkie, niezmiernie mocne i krwi chciwe.“

„Tygrys będzie półtora łokcia wysoki a półtrzecia długi, głowę ma okrągławą, okryty siercią krótką czerwonawo-żółtą, przez którą od grzbietu na dół czarne pasy idą, spodem zaś jest biały. Żyje w Azyi, a szczególniej w Indyach, napada i rozdziera ludzi i słabsze od siebie zwierzęta.“

„Nie mało zajmującem jest polowanie na tygrysa, na to tak niesłychanie drapieżne zwierzę. Ponieważ zaś brałem udział w takiem polowaniu, więc rad je opowiem.

„Było nas siedmiu w jednej o odludnych wiosek indyjskich, gdyśmy nagle zasłyszeli, że w okolicy tygrysy wielkie szkody czynią. Młoda krew i odważna, więc nie długo myśląc postanowiliśmy wyruszyć na te potwory. Jakoż wybraliśmy siedm słoniów, na każdym z nich siadł jeden z nas pośrodku, a wziąwszy jeszcze przed siebie przewodnika Indyanina, za sobą zaś służącego, do tego dobre fuzye i inną broń, ruszyliśmy w drogę. Wesoła była podróż; przewodnik krótkim dzirytem kierował słonia, a tu i owdzie przelatywały śliczne ptaki lub dzikie kozy w niesłychanym pędzie. Tak przybyliśmy do samotnego sioła, zarośniętego gęstemi krzakami i i bujnem zielskiem, które służyły tylko za kryjówkę jadowitym wężom i innym gadom obrzydłym. Zaledwie znaleźliśmy wązką dróżynę, wiodącą przez ciemny las i owe zarośla do sioła. Kilku z nas musiało nawet zsiąść z słoni, bo trudno się było przedrzeć, aż wreszcie stanęliśmy na miejcu.“

„Dwanaście morgów ornego gruntu i kilka chałup, oto cała osada! Z nieufnością i ponurem wejrzeniem przyjęli nas mieszkańce; lecz gdy się dowiedzieli pocośmy przyjechali, zaraz nam byli chętniejsi, zwłaszcza że świeży a straszny wypadek z tygrysem mocno ich zatrwożył. Oto w nocy przed naszem przybyciem wpadł tygrys do jednej z chat, i rozszarpał najpoważniejszego starca w osadzie. Na krzyk przeraźliwy ocknęli się ludzie, przypadają do zagrody starca, a tu tygrys

rozdziera właśnie siwą jeno głowę. Nie było już dla staruszka ratunku! więc ludzie zapierają czemprędzej chatę wraz z tygrysem, i postanawiają zabić potworne to zwierzę. Lecz jakże strzelać, którędy? Chyba z dachu wyjąwszy trochę słomy. Wyłazi więc jeden z młodych na dach, zczerniały od starości, lecz niestety, zaledwie stanął u szczytu, załamują się pod nim krokwie, sypie się słoma i młody Indyanin wpada do środka! Przerażenie ogarnęło wszystkich, bo znowu świeża zdobycz dla krwiożerczego zwierzęcia: lecz nagle płomień ogarnął całą chatę, gdyż słoma wpadła do środka od płonącego kaganka się zapaliła. Rozpaczliwy krzyk Indyanina i straszny ryk tygrysa ozwały się we środku; ratunek wszelki był daremny, tygrys przywalony belką nie mógł się ruszyć. Gdy więc po krótkim czasie resztki już dogorywały, wyciągnięto ze zgliszczów okropne zwęglałe szczątki dwóch ludzi i tygrysa. Owoż więc wypadek ten straszny przyczynił się znacznie do tego, żeśmy przyjaźnie przyjęci byli przez miejscowych ludzi.“

„Nie zabawiliśmy tu długo; wywiedziawszy się o miejsce, gdzie zwykle tygrysy przesiadują, puściliśmy się ku rzece z dala już błyszczącej, nad którą gęsty bór szumiał. Umyśliliśmy dojść do rzeki, tam słonie nasze wykąpać i chwilę odpocząć; lecz zaledwo zbliżyliśmy i się pod las, gdy nagle słonie trąby w górę podniosły i mocno zaczęły tupać przedniemi nogami, lecz szły odważnie naprzód. „Tygrys jest w bliskości! — zawołał mój przewodnik — strzelaj pan tam, gdzie ta wysoka trawa się kołysze.“ Podniósłem strzelbę, wtem tygrys wychylił się z trawy; strzeliłem, mój sąsiad strzelił także lecz obaśmy spudłowali, a tygrys odwrócił się, zniknął w lesie, i słyszeliśmy tylko mocny plusk wody. Pospieszyliśmy, i ujrzeliśmy tygrysa na środku rzeki, jak płynął ku drugiemu brzegowi. W ślad za tygrysem i myśmy rzekę przepłynęli, nie widzieliśmy go już atoli na drugim brzegu; skrył się gdzieś między zarośla, z pomiędzy których postanowiliśmy go wypłoszyć. Niezadługo wytropiliśmy go, a otoczywszy do koła nie dozwoliliśmy mu już ucieknąć. Rzucił się więc ku mnie i chciał właśnie potężnym skokiem chwycić słonia za garło, gdy go tenże w tej chwili tak zręcznie na swe kły naszpikował,

że tygrys odurzony i bez głosu pozostał na ziemi. Słoń zaś nie zadowolony jeszcze tą zemstą, stąpił na niego swemi ciężkiemi nogami i tak roztratował, że trudno potem było nawet poznać, że to tygrys, takie wspaniałe zwierzę.“

„Zaledwo słoń mój dokonał swego dzielnego zwycięztwa, a myśmy w dalszą drogę ruszyli, gdy się coś w mojem siodle zerwało, i gwoli naprawy zatrzymaliśmy się chwilkę w dali za naszemi towarzyszami podróży. Wnet było wszystko naprawione, i właśnie chcieliśmy dalej pospieszać, gdy nagle ozwał się straszny ryk, a zaczem zdołaliśmy chwycić za strzelbę, rzucił się świeży tygrys, jeszcze większy od poprzedniego na mojego słonia. Zręczniejszy od tamtego ominął kły słonia i wbiwszy mu swe straszne pazury w gardło, tak mocno piersi się uczepił, że słoń z jękiem padł na ziemię. Strach nas ogarnął; przewodnik spadł pierwszy, a tak niszczęśliwie, że obalający się słoń nakrył go swojem cielskiem i rozgniótł; my dwaj odlecieliśmy dalej i jakoś dziwnym trafem bez uszkodzenia. Słoń z tygrysem pasowali się tymczasem w śmiertelnej walce, a my nie mogąc iść z pomocą naszemu wiernemu słoniowi, biegliśmy czemprędzej w stronę, gdzie znikli nasi towarzysze. Jakież było ich zadziwienie, gdy nas ujrzeli dwóch i pieszo; pokrótce opowiedzieliśmy im cały wypadek, i wszyscy nawrócili na miejsce straszliwej walki. Przybywszy, strzeliliśmy razem do tygrysa; kilka kul przeszyło go: zaryczał okropnie i upadł nieżywy. Zbliżyliśmy się do słonia: był strasznie poraniony i gardło zupełnie rozdarte, jakoż po niedługiej chwili nie żył już także. Przewodnik leżał pod nim bez duszy mocno pognieciony. Ścisnęły się nam serca na ten widok, a ja nie mogłem się najdłużej opędzić żalowi za poczciwym przewodnikiem i odważnym słoniem.“

Przestał czytać pan Walenty, a Wojtuś ocierał łzy z oczu, tak go ta historya dziwnie rozrzewniła.

Grześ z Mogiły.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIV. Nr. 18.

21. czerwca 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

POWSTANIE POLSKIE W ROKU 1831.

VII. Wojna na Litwie.

Mówiliśmy już wam, że kiedy wybuchło powstanie Litwinów przeciw Moskwie, to im zrazu pomocy nie posłano, co było wielkim bardzo błędem, bo sami biedni Litwini rady sobie w żaden sposób dać nie mogli. Jednakże wysłano w końcu i Litwinom pomoc. Poszedł tam najpierw jenerał polski Chłapowski. Było to jeszcze przed bitwą pod Ostrołęką.

Jenerał Chłapowski miał z sobą tylko małą ilość wojska i tylko dwie armatki, ale spisywał się dzielnie. Dnia 21. maja dostał się jenerał Chłapowski do Litwy i stanął nad rzeką Niemnem. W nocy przeprawił się przez rzekę i zaraz na drugi dzień zabrał Moskalom jeden magazyn, a potem napadł na moskiewskie wojsko pod Białowiejską puszczą i pobiwszy je zabrał 300 niewolnika. Zaledwie się uporał z jednymi, dopadł jenerał Chłapowski zaraz i innych Moskali, rozbił ich, odebrał im jedną armatę i zabrał znowu 150 ludzi do niewoli.

Następnie ruszył jenerał Chłapowski pod Grodno. Moskale dowiedziawszy się o tem uciekli z miasta, lecz Chłapowski dopędził ich i cały prawie oddział z dwoma armatami i z chorągwią zabrał. Z tamtąd ruszył jenerał Chłapowski pod Troki, a po drodze łączyli się do niego Litwini, aby z nim wspólnie bić Moskala. W wszystkich tych bitwach miał jenerał Chłapowski tylko 600 żołnierza — a zabrał do niewoli razem 1800 Moskali, a więc trzy razy tyle, ile sam miał wojska. Z tego już najlepiej dorozumieć się możecie, jak tędzy byli jenerałowie i jak waleczni byli żołnierze polscy.

Kiedy tak jenerał Chłapowski bił Moskali w Litwie, spieszył na Litwę z nową pomocą jenerał Giełgud, który miał pod sobą dwóch innych jenerałów Dembińskiego i Rolanda. Jenerał Giełgud spotkał dnia 29. maja pod Rajgrodem 7000 Moskali z szesnastu armatami, napadł na nich, rozbił i 1200 Moskali do niewoli zabrał.

Po tej wygranej pospieszył jenerał Giełgud do Kiejdan, gdzie się z owym jenerałem Chłapowskim połączył. Złożono radę wojenną i jenerałowie zgodzili się na to, aby iść na stolicę litewską Wilno, i wypędzić z tamtąd Moskali. Ale tymczasem ściągnęli się dla swej obrony Moskale w wielkiej liczbie pod Wilno. Było ich razem przeszło dwadzieścia tysięcy, a mieli z sobą sześćdziesiąt armat — naszych zaś wszystkich było tylko dziesięć tysięcy i mieli tylko dwadzieścia armat. Bitwa była zacięta i trwała przez jedenaście godzin, Polacy i powstańcy litewscy bili się wielką walecznością, ale Moskale siłą, i dobrem, obronnem stanowiskiem przemogli, bo stali za górami lasami. Tym sposobem bitwa ta pod Wilnem nieszczęśliwie się skończyła dla Polaków i jenerał Giełgud musiał się cofać. Wielka to była szkoda i klęska, bo przez to Moskale odrazu wzięli górę na Litwie, a powstanie, które tam wybuchło, już nie mogło się dalej trzymać.

Jenerałowie polscy którzy byli pod dowództwem Giełguda, zrobili radę wojenną i postanowili podzielić się wojskiem i bić się z osobna. Podzielono tedy całe wojsko na trzy korpusy i nad temi korpusami objęli dowództwo jenerałowie Chłapowski, Roland i Dembiński. Ale z tych trzech korpusów

już tylko jeden się uratował. Jenerał Dembiński przeprowadził swoją część do Warszawy, przyczem z okropnemi trudnościami pomiędzy wojska moskiewskie przekradać się musiał. Nie tak się już powiodło Chłapowskiemu i Rolandowi. Obsaczeni zewsząd przez ogromną ćmę Moskali nie widzieli innej rady, jak tylko przejść granicę pruską i złożyć broń w kraju króla pruskiego. Jakoż zrobili to dnia 15. lipca.

VIII. Warszawa się poddaje.

Kiedy tak już rzeczy stały, Moskale poczęli się ściągać ku Warszawie. Ich główny dowódzca, Dybicz, który się przechwalał, że od razu zgniecie Polaków, widząc, że to się nie udaje, zachorował z zgryzoty i umarł. Na jego miejsce objął dowództwo nad Moskalami jenerał Paszkiewicz. Tymczasem jenerał Chrzanowski skropił dzielnie Moskali pod Mińskiem, gdzie im zabrał 1000 ludzi i jedną armatę. Ale choć to nasi tłukli i tłukli Moskali, rady dać im nie mogli, a to z dwóch przyczyn: najpierw, że ich była okropna moc, powtóre, że jenerał Skrzynecki, który nad polskiemi wojskami przewodził, źle się spisał i rzeczy niedołężnie prowadził. Bo to na wojnie nie dość jest bić i pobić, ale trzeba jeszcze zręcznie manewrować wojskami, wiedzieć gdzie jakie miejsce obsadzić, jaką drogę nieprzyjacielowi odciąć, kiedy przyjąć bitwę, kiedy nie itd.

Otóż Moskale całą swą ogromną armią przeszli Wisłę, a jenerał Skrzynecki, zamiast tak zatrudnić Moskali, aby się musieli dzielić i po kraju rozdrabniać, dopuścił, że się skupili w jedną wielką siłę. Zaszła jeszcze dalej bitwa pod Raciążem, gdzie jenerał Turno z honorem walczył przeciw Moskalom, choć ich nie pobił, bo mu na tyle wojska nie starczyło.

Tymczasem obudziła się niechęć przeciw jenerałowi Skrzyneckiemu. Widziano, że nie umie rzeczy prowadzić, jak się należy. Myślano tedy o nowym naczelnym wodzu. Właśnie w tej porze powrócił jenerał Dembiński z Litwy. Powrót ten jego był prawie cudem. Kiedy inni jenerałowie, co byli razem z Dembińskim na Litwie, przeszli jak już wiecie, na pruską ziemię, on sam przedarł się pomiędzy wojska moskiewskie,

zrobił 150 mil w krótkim czasie, nie stracił ani jednej armaty i wrócił do Warszawy. Była to sztuka nie lada i tylko taki dzielny jenerał jak Dembiński mógł jej dokazać.

Wielką sobie tem sławę zjednał między Polakami Dembiński i zaraz, jak tylko stanął w Warszawie, wołali wszyscy, aby go zrobić naczelnym wodzem. Jakoż mianowano zaraz jenerała Dembińskiego naczelnym wodzem. Wszystko wojsko polskie ściągało się też pod Warszawę, bijąc się po drodze z Moskalami.

Tymczasem w Warszawie zaszły okropne wypadki. Lud widząc, że mimo to, iż żołnierz polski tęgo się bije i zwycięża, przecież Moskale biorą górę, jedynie dla tego że niektórzy jenerałowie kiepsko i niedbale prowadzą rzeczy, począł się ogromnie burzyć, a w nocy z dnia 15. na 16. sierpnia wybuchły ruchy. Skoro tylko powstanie wybuchło, dopominał się lud, aby wszystkich zdrajców i szpiegów moskiewskich ukarać śmiercią, ale jenerał Chłopicki sprzeciwiał się temu, i nie chciał ich wydać ludowi, mówiąc, że ich samo prawo polskie ukarze. Kontentował się tem lud a potem i zapomniał całkiem, bo go zwycięztwa polskie radowały, kiedy jednak rzeczy zaczęły znowu brać zły obrot, lud się wzburzył i domagał się, aby tych zdrajców, którzy jeszcze żyli i tych jenerałów polskich, którzy z umysłu lub niedbalstwa źle rzeczy kierowali, wydać w jego ręce.

Owoż dnia 18. sierpnia w nocy musiano wydać ludowi warszawskiemu wszystkich oskarżonych i wszyscy padli trupami pod zemstą ludu. Trzydziestu pięciu odniosło karę śmierci. Między nimi byli także jenerałowie Jankowski, Hurtig, Bukowski, Sałacki. Po tej strasznej nocy zaszły zmiany i w rządzie narodowym. Książe Czartoryski, który dotąd był naczelnikiem rządu, ustąpił, a na jego miejsce nastąpił Krukowiecki, człowiek, na którym się nie poznano od razu, bo myślano, że to dobry Polak i dzielny, a on tymczasem był bez czci i wiary i nie chodziło mu o ojczyznę tylko o własną pychę. Tak to nieszczęście zaślepiło Polaków! Otóż ten Krukowiecki otrzymał największą władzę, taką, jaką miał zrazu jenerał Chłopicki, to jest, został dyktatorem. Krukowiecki

zaraz odebrał naczelne dowództwo jenerałowi Dembińskiemu i powierzył tę godność Małachowskiemu.

Wszystko wojsko polskie było, jak już wam powiedziałem, ściągnięte pod Warszawę. Było tego wojska około pięćdziesiąt tysięcy. Ale z tych pięćdziesięciu tysięcy poszło potem około dwadzieścia tysięcy w województwo podlaskie, aby tę część kraju oczyścić z Moskali i tym sposobem zapewnić Warszawie żywność na przypadek, gdyby Moskale ją oblęgali. Udało się to ostatnie. Pod Rogożnicą pobili nasi na głowę moskiewskie wojsko pod dowództwem Werpachowskiego i nietylko, że mnóstwo Moskali położyli ale nadto wzięli do niewoli dwa tysięce moskiewskich żołnierzy i komenderującego jenerała.

Wojsko polskie pod Warszawą wynosiło teraz trzydzieści tysięcy i miało dziewięćdziesiąt dwie armat. Wzięto się do obwarowania Warszawy. Usypano trzy pasma szańców i obstawiono je armatami, których tam było sto ośm. Dopiero przy obronie się pokazało, jacy to niedbali, głupi i niedołężni ludzie byli, którzy stali u steru rządu. Wojsko było dzielne i takie walczne, jakiego w całym świecie nie ma. Ale nie było dobrej głowy, którąby się starała, aby to wojsko miało wszystko, co potrzebuje, zapomniano o wszystkiem, nic nie przygotowano. Nie ulano dosyć armat choć był czas na to. Zamiast coby ulać kilkaset armat, ulano trzydzieści. Ztąd też, choć żołnierz był, choć ten żołnierz był waleczny — nie można było bronić się dobrze. Strasznie odpowiedzą ci ludzie przed Bogiem, którzy się takiej niedbałości dopuścili! Na dobitek wszystkiego złego, źle jeszcze porozstawiano wojska na szańcach i to do reszty zgubiło Warszawę.

Tymczasem stanęło pod Warszawą około sto tysięcy Moskali pod dowództwem Paszkiewicza.

Dnia 6. września uderzyli Moskale na Warszawę od wsi Woli, a potem napadli odrazu na wszystkie prawie szańcy. Rozpoczęła się okropna bitwa i straszne strzelanie z armat. Polacy, choć ich tak było mało, i choć nie mieli armat w dostatecznej ilości, bili się z niesłychaną walecznością i zaciętością. Za każdą stopę ziemi, płacić musieli Moskale okropnym przelewem swej własnej krwi. Nasi żołnierze cudów wale-

czności dokazywali. Cały świat podziwiał potem i uwielbiał tę waleczność i miłość ojczyzny. Na jednym szańcu bronił się oddział polski tak walecznie, że tylko czterech Polaków zostało przy życiu, na innym tylko szesnastu polskich żołnierzy ocalało. Każdy bowiem wolał ponieść śmierć za ojczyznę, niż poddać się Moskalowi. Żaden polski żołnierz nie dawał i nie przyjmował pardonu. Gdy Moskale przez zdobyty szaniec wdarli się z jednej strony do Woli, zamknął się sześćdziesiątletni starzec, jenerał polski Sowiński, który stracił był jedną nogę jeszcze w wojnach napoleońskich pod Mozajskiem. W kościele tym bronił się z swymi żołnierzami do ostatniego tchu, gdy mu już wszystkich żołnierzy wybito, on sam jeden bił się jeszcze dalej i nie przyjmując pardonu, który mu dawali Moskale, padł śmiercią świętą, bohaterską! Uchylcie głowy z czcią na wspomnienie tego szlachetnego starca! Zapisany on między największymi synami ojczyzny. Jest pieśń o tym jenerale Sowińskim i jego śmierci, która tak opiewa zgon jego:

Śmierć Sowińskiego.

Gdy trzechset dział gromy grzmiące
Dały hasło na bój krwawy,
A moskiewskich rot tysiące
Biegły na szaniec Warszawy.

Garstka naszych za wałami,
Przy wolskim stała kościele,
Witając wrogów strzałami,
Z ich trupów wał drugi ściele!

Wódz o szczódle im przewodzi,
Włos jego kryje siwizna,
Lecz młodzieńczą siłę rodzi
Honor, wolność i ojczyzna!

To Sowiński — krwią okryty
Darmo wygląda pomocy,
Szańce przez wroga zdobyte
Męztwo uległo przemocy.

Na kilku żołnierzy czele
Co z nim przysięgli umierać,
Szablą drogę sobie ścieli,
Tysiącom chce się opierać!

W święcone mury kościoła,
Cofa się wódz ze swoimi,
I na swoją garstkę woła:
– Gińmy, lecz gińmy wolnymi!

Biegną tłumy rozsrożone,
Nowa je wściekłość zagrzała,
Już drzwi kościoła skruszone,
Ale walka nie ustała.

Bronią się Polacy śmieli,
Lecz co chwila ich nie staje,
Wszyscy wreszcie poginęli,
A Sowiński sam zostaje!

Sam został lecz nie ugięty,
Przed przemocą się nie zniża!
Poszanowaniem przejęty,
Sam wódz moskiewski się zbliża:

— Krzycz pardon! — Moskal go wzywa —
Szaleństwem jest walka taka!
Sowiński pierś mu przeszywa:
— Oto jest pardon Polaka!

Już nie żył a dzikie wrogi,
W milczeniu wstrzymali kroki,
Okiem szacunku i trwogi,
Patrzyli na jego zwłoki!

W innem miejscu porucznik polski Nowosielski, który obsadził był magazyn prochu, podpalił proch i sam się z całym magazynem w powietrze wysadził! Zginął sam ale proch i mnóstwo Moskali w powietrze wyrzucił! Tak umierał waleczny żołnierz polski!

Ale mimo tych cudów waleczności i poświęcenia źle się ta bitwa skończyła! Jeszcze była nadzieja, choć Moskal ze

wszystkich stron wpadał, jeszcze nasi trzymali się dzielnie, kiedy Krukowiecki, istny zdrajca, nietylko, że obroną Warszawy najgorzej kierował ale nadto ni ztąd i zowąd, po cichu i skrycie zwąchał się z Moskalami i miasto dobrowolnie im wydał. Ogłosił wojsku, że miasto Warszawa poddaje się Moskalom, czyli jak na to jest wyrażenie takie: zawiera kapitulacyę i kazał się cofnąć z miasta na przedmieście. Wojsko polskie, słuchając dyktatora, cofnęło się na przedmieście Pragę a Moskale dnia 8. września wkroczyli do Warszawy! Za te niedołęztwo, za te podłe postępki imię tego Krukowieckiego hańbą się wieczną okryło!

Przy tej walce o Warszawę ranionych i zabitych Moskali było piętnaście tysięcy. Pięćset oficerów moskiewskich i czterysta podoficerów padło lub odniosło ciężkie rany. Polaków zabitych i rannych było tylko trzy tysiące. Skoro jednak Warszawa dostała się w ręce moskiewskie, wojna już była tak jakby skończoną!

Wojsko polskie opuściwszy Warszawę udało się pod Modlin. Było jeszcze kilka utarczek i bitw z Moskalami — ale już wszystko się nie wiodło i dziesięć tysięcy wojska polskiego musiało znowu przejść dnia 17. września na ziemię austryacką, gdzie też pod Chwałowicami broń złożyło. W końcu potem i inny oddział polski pod jenerałem Różyckim schronić się musiał do Krakowa, który był jeszcze podówczas wolnym. Ale Kraków został zajęty także przez Moskali i wojsko polskie przeszło do Austryi. Zostało jeszcze wojsko polskie pod jenerałem Rybińskim. Ale i to przeszło na pruską ziemię pod Brodnicą dnia 3. października.

Tak nieszczęśliwie skończyło się po ośmiu miesiącach powstanie — i Polska wpadła znowu w ręce okrutnych Moskali, którzy odtąd mszczą się ciągle na niej nieludzko. Aż się serce krwawi, że mimo polskiej waleczności i tylu zwycięztw Polska uledz musiała. Nie była to wina żołnierzy, ale wina tych co rządzili i tych co dowodzili. Oni to głupotą i niedołęztwem zgubili Polskę.

Opowiedzieliśmy wam tu tylko najgłówniejsze rzeczy i to bardzo króciutko, abyście sobie łatwiej spamiętać mogli cały

przebieg sprawy. Później zaś dopowiemy wam jeszcze to, cośmy opuścili i opiszemy wam rozmaite śliczne przykłady waleczności polskiej.

Jan Sobieski na łowach.

Dwie mile od Złoczowa leży miasto Pomorzany. Pomorzany były niegdyś własnością Sobieskich — a Jan Sobieski, nim polskim królem został obrany, często tam przyjeżdżał. Osobliwie lubił Jan Sobieski polować w pomorzańskich lasach, gdzie było bardzo dużo zwierzyny. Otóż w Pomorzanach, w księgach miejskich i zamkowych zapisany jest taki dziwny wypadek, który się zdarzył Sobieskiemu w polowaniu.

Jakoś w drugiej połowie stycznia 1665 roku na przybycie Sobieskiego urządzono wielką obławę w lasach Pomorzańskich od strony Dunajowa i od starego zamczyska w Buszczu. Niedostępne wąwozy i jary, częste ściekiem wody wyżłobione przepaście, górzyste położenie, przytem gęsty odwieczny las buczyną i dębiną obrosły, przeplatany od czasu do czasu polankami bujnem zielskiem porosłemi — dozwalał zwierzom licznego i swobodnego przybytku; to też las ten był wówczas najulubieńszem miejscem dla młodego pana, jak nazywano Sobieskiego w czasie łowów.

Wyszedł tłum gajowych z ludźmi już równo z dniem w las do obsaczenia miejsc wyznaczonych przez leśniczego Jarchockiego. Ale tą razą dla przeszkód różnych polowanie rozpoczęło się już dobrze ku południu. Sobieski stanął na stanowisku dziś zwanem „bracką pasieką“, przy nim kozacze pacholę podające broń; od miejsca tego ciągnął się długi a szeroki wąwoz ku północy, jako droga leśna do grobli Dunajowskiej — od zachodu na wschód ledwie dojrzana ścieżka gubiąca się po obu stronach w dziko zarośniętych jarach; od południa była polanka obszerna, punkt na który nieomylnie liczny zwierz miał wypaść.

Wtem na dany znak ruszyła obława — pędzono zwierza od granicy Dunajowskiej, w Mieszczuckim (gdzie dzis Nestiuki)

lesie rozstawieni strzelcy dawali ognia; Sobieski tą razą strzelał ale nieszczęśliwie, przeszło kilka rogaczy, poszedł niedźwiedź potężny, ledwie że ubił coś z mniejszej zwierzyny. Alić łomot i trzask dał się słyszeć — oznaka grubego zwierza: wyszedł ogromny odyniec prosto na Sobieskiego — za strzałem aż przykląkł, już pacholę rogiem poczęło sygnować padłego zwierza od pańskiego strzału, gdy ten za zbliżeniem się Sobieskiego porwał się i słaby ale wściekły ruszył w gąszcz. Sobieski dobywszy kordelasa puścił się za nim.

Pachole znacznie pozostałe w tyle znaczyło, pochód odcinaniem gałęzi, ale rychło zgubiło z oczu pana, niebawem ponowny łomot, krzyk obławy, przybycie strzelców, zmyliło mu ślad.

Nie wiedziano co począć; gdy na liczne nawoływania nie było słychać odpowiedzi, rozporządził dwór iść w ślad za panem, ale był to czas mglisty, a do tego już zapadał zmrok, i zamiast co miało tyle ludzi co pomódz, to jeszcze jeden drugiego mylił. Wardeński, sługa Sobieskiego, w najwyższym niespokoju zostający, kazał dawać salwy z palnej broni, to rozpalać ognie — wszystko na darmo, o panu ani słychu.

Tymczasem gdy wszyscy w takiej trwodze, Sobieski tuż-tuż następywał na zwierza, który coraz częściej upadał — słyszał z razu nawoływania i sygnały, ale nie odpowiadał na nie, bo broń palną i róg myśliwski u pachołka zostawił. Tymczasem już dobrze zaczęło szarzeć, gdy Sobieski daleko zapędził się za zwierzem na darmo. Trza było myśleć o powrocie do swoich, a tu już i noc ciemna zapadła, śnieg zaczął pruszyć i o trzy kroki nic nie widzisz, głuche tylko echo trąb licznych, strzały rzucane dawały do zrozumienia, że daleko zapędził się Sobieski.

Zgłodniały i zmarznięty próbował koniecznie dostać się do swoich, lub gdziekolwiek, bo z różnych stron odzywano się a nikt w głęboki jar, gdzie zaszedł Sobieski, nie przybywał. Wolnym krokiem co moment zapadając w śnieg szedł Sobieski jarem w górę, zkąd miarkował, że się wydostanie na równiejsze miejsce i łatwiej zejdzie się ze swoimi. Tak gramolił się dość długo i wyszedł na dolinkę obszerną z której jednego kąta słabo przebijało światełko z gęstwiny leśnej.

Wtem nagle duży jeleń porwał się prawie z pod nóg jego i pobiegł prosto ku miejscu zkąd światło biło, a śladem jego podążył Jan. Rogacz stanął u chaty niziutkiej, z której malućkiem okienkiem przebijało światło, uderzył rogiem o drzwi i rozwarły się. Niebawem rozwarły się i drugie, a z izdebki łuczywem oświeconej wyszedł poważny w kutę zakonną odziany starzec, któremu rogacz przypadł do nóg, i tak leżał czas cały, aż Sobieski wszedłszy do chaty powitał gospodarza:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

Na co mu odpowie poważny starzec:

— Sława Bogu, sława Jezusowi, sława i wam na wieki.

Na co mu rzecze Sobieski:

— Kto jesteś starcze, nie bluźnij Bogu, i nie mów, że i mnie sława na wieki, bo tylko Boska sława trwa wieki, a ludzie znikomi i sława ich znikoma. Powiedz gdzie jestem i co tu robisz?

— Nie lękajcie się panie — odrzekł staruszek — ja zakonnik i pustelnik biedny! Raduję się bardzo, że was przyjąć mogę w mojej chacie, bo na głowie waszej widzę królewską koronę, a na waszem sercu czytam wieczną chwałę!

I przypadł starzec do nóg i ucałował ręce Sobieskiego, a łzy gorące uczuł Jan na obliczu starca. Przerażony, pomięszany a przytem dziwnem przejęty uczuciem, podniósł Jan sędziwego starca, łzy mu stanęły w oczach, i wzruszony zawołał:

— Powstań człowiecze, jesteś mąż Boży, niech się dzieje święta wola Jego, dziś będę u ciebie w gościnie zmarzły i głodny — jutro was wezmę do siebie!

I wszedł Jan do izdebki pustelniczej ojca Gedeona, bo tak się nazywał ów pustelnik; na małym kominku pryskał ogień, a w garnku nie wielkim gotował się groch, który służył na wieczerzę Sobieskiemu; starzec dołożył drewek, zrobiło się jaśniej i weselej.

Za wolą starca Jan legł na mchem i wonnem zielem uścielonem łożu, i rozmawiał swobodnie, gdzie jest, zkąd starzec i od kiedy w pustyni zamieszkał. Z rozmowy dowiedział się Sobieski, że ów jeleń był starca chowu, że dziwnym spo-

sobem żaden zwierz, żaden myśliwy dotąd mu nie szkodził, dlatego nazwany był ten jeleń od starca królem.

Na liczne zapytania Jana, starzec prawił: Jako dawno, już bardzo dawno, gdy szczęście było na kozaczej Ukrainie przystał do Kozaków, był w Tataryi i w Tureczczyźnie, był daleko aż w moskiewskiej stolicy z starym hetmanem Żółkiewskim w kozaczym zaciągu; potem złe nastały czasy, Gedeon przerażony strasznym mordem i zniszczeniem, skrył się do klasztoru, ztamtąd wyciągnięty musiał służyć w kozackiej wyprawie Chmielnickiego, a w bitwie uszedł samotrzeć w lasy, aż przyszedł na miejsce dawnej pogorzeli, gdzie przed laty stała wieś Krasnopuszcza, zastał szczątki pieca, ścian, własną ręką dorobił co brakowało, w czem mu jeden poczciwy wieśniak Plichowski, dziś mu jeszcze żywności dostarczający, dopomógł; teraz modli się za ludzkie i sa swoje grzechy, jako wierny wyznawca zakonu św. Bazylego wielkiego.

— Raz miałem sen, rzecze starzec w końcu, w śnie widziałem cię jako dziś w koronie, z mieczem w ręku, u stóp twych padały pogańskie głowy, buńczuki liczne, a kędyś się ruszył, rosły krzyże za tobą. I oto urodziło się dziecię na imię Jan na zamku Oleskim, toś ty był panie, a naznaczono mi jest pierw nie umierać, aż cię królem obaczę!

I padł na kolana i począł się gorąco modlić, a było to już późno w noc. Sobieski wpatrywał się długo w starca z zachwyceniem, wreszcie sen oczy mu skleił, i spał miło jak nigdy. I zdało mu się, jako na ulubionym cisawym koniu dalekie przebiegał strony, a z nim wierna drużyna zbrojna; u stóp jego padały muzułmańskie głowy — a kędy się ruszył wyrastały krzyże, i na swej piersi widział krzyż wielki złocisty, a na swej głowie poczuł ciężką koronę królewską, a tłumy ludu cisnęły się do stóp jego, i wołały:

— Sława, sława na wieki!

Gdy Jan oczy otworzył było już późno w dzień, u stóp jego stał Gedeon o piec oparty, u drzwi stary sługa Wardeński, na dworze słyszał głosy zebranych ludzi. Ale w uszach jego jeszcze mu brzmiało owe „sława, sława na wieki;“ kilkakroć

mimowoli chwycił się za głowę, jak gdyby go już gniotła ciężka korona królewska którą mu pustelnik wywróżył.

Długo tego ranku modlił się; gdy chciał powstać z klęcznika, stary Gedeon włożył ręce na jego głowę i błogosławił mu. Poczem Jan powstawszy rzecze do Gedeona:

— Święty starcze, chcę aby na miejscu, gdzie dziś byłem u ciebie w gościnie, stanął klasztor twego zakonu! Wardeńskiemu rozkazuję, aby obrosłe dziś i puste to miejsce oczyszczono, a ile na dzień człek drogi dokoła tego miejsca zbiegnie, tyle ziemi dam na własność mnichom. Ty zaś święty starcze pojedziesz ze mną, by dla nowej fundacyi ułatwić co należy, gdyż chcę, byś w nowym klasztorze był przeorem.

I oto z tym wypadkiem od roku 1665 datuje się fundacya klasztoru obecnie w lesie Pomorzańskim położonego w Krasnopuszczy.

Gedeon odjechał natychmiast z Janem Sobieskim do Lwowa, gdzie Jan pod dniem 7. marca 1665 w jednym czasie dwie fundacye na piśmie mnichom św. Bazylego wielkiego uczynił, jedną dla Krasnopuszczy, i tego klasztoru przełożonym został Gedeon, drugą dla Złoczowa. Po czem niebawem uposażył Jan jeszcze trzeci dawny klasztor Bazyliański w Podhorcach. Gedeon już z wiosną 1665 miał gotowy klasztor drzewniany w Krasnopuszczy i trzech zakonników pod sobą, doczekał się w lat dziesięć że się jego wróżba spełniła, to jest że Jan Sobieski został królem obrany i ukoronowanym, i doznał obfitych łask jego, bo nietylko Jan uposażył klasztor obszarem tysiąc morgowym, ale nadto udzielił dzwonów lanych z dział zdobytych na Turkach, i rozkazał nadwornemu malarzowi swemu Bazylemu ze Lwowa wykonać cały ołtarz w cerkwi bazyliańskiej Krasnopuszczańskiej, która robota tegoż znakomitego malarza jest tak piękną, że obecnie ceniony jest na sto tysięcy guldenów! Są na nim apostołowie i ewangieliści, Chrystus na krzyżu, Matka bolejąca, stacye, wniebowstąpienie i wniebowzięcie Pańskie.

Obdarzył też Jan klasztor Krasnopuszczański pięknymi portretami królewskiej rodziny Sobieskich. Z czasem Krasnopuszcza stała się ulubionem miejscem Jana Sobieskiego, z ścieżki

wązkiej leśnej kazał zrobić szeroką drogę królewską, na miejscu dzisiejszej „brackiej pasieki“ stał letni pałac królewski z drzewa; w nim zbierano się na łowy, dawano uczty i zabawy, ślady tegoż są po dziś dzień.

Wdzięczni Bazylianie obdarzeni hojno za staraniem Ojca Gedeona, pochowanego w Krasnopuszczy w dzwonnicy r. 1689, oznaczyli granice Krasnopuszczy kamieniami, jako niegdyś kazał król Jan III. poznaczać, na nich wypisano:

Dlatego ta jest tablica wyryta,
Niechaj świat cały pochwały wyczyta,
Że Krasnopuszczy grunta konferował
JAN Najjaśniejszy kiedy suplikował,
Ojciec Gedeon hegumen z braciami
Znaki uczynił granic kamieniami.

Na odwrotnej stronie kamienia napisano dokoła orła polskiego:

Jakób Ludwik królewic polski 1736.

Na innym kamieniu daleko starszym przy dawnej drodze na padole stało:

Ojciec Gedeon Bujnicki otrzymał od króla Jana III. Sobieskiego dla Bazylianów w Krasnopuszczy fundacyą i grunta roku 1679.

Rady gospodarskie.

Jak dobry gospodarz powinien gnój przechowywać?

Niezawodną jest rzeczą, że gnój jest najgłówniejszą podporą gospodarstwa; a jednakże jak mało starania dokładają gospodarze nasi do przechowywania tegoż? Wnijdźmy w ich podwórza a przekonamy się, jak smutny obraz przedstawi się naszym oczom. Gnój wyrzucony z obór i stajen na kupy bez ładu, wystawiony na palące promienie słońca, albo też na deszcze ulewne i śniegi, traci najgłówniejsze części pokarmu roślinnego; w kilku miejscach potworzyły się smrodliwe kałuże,

które nęcą rozmaitego rodzaju owady i są plagą dla ludzi i bydląt; tworzące się wapory z tych kałuż zarażają powietrze i są bardzo szkodliwe dla zdrowia.

Tam, gdzie obora jest tak urządzona, iż gnój można w nich pob bydłem przechowywać, nie masz tych strat i niedogodności; gdy przecież gospodarstwa wasze po większej części takich budynków nie posiadają, trzeba temu złemu zaradzić w inny sposób, który jest łatwy i tani, to jest przez urządzenie gnojowni i przez odpowiednie przechowywanie gnoju w tejże. Gnojownia taka prawie nic nie kosztuje, bo każdy gospodarz może ją sam sobie zrobić. Najstósowniej jeżeli się tą robotą zajmie po zasiewach jarzynnych, bo od tego czasu aż do żniw ma najwięcej wolnego czasu. Poprzednio jednakże, najlepiej podczas późnej jesieni i zimy, trzeba sobie przysposobić materyały to jest sporą ilość kamieni na bruk przydatnych, wielkości od pięści aż do głowy ludzkiej, także piasku żwirowatego do bruku potrzebnego, bo spód gnojowni i brzegi jej powinny być wybrukowane. Gnojownia powinna się znajdować tuż przy oborze, jednakże nie bliżej niej jak 15 stóp, po stronie północnej, i być cokolwiek wgłębioną na jedną do dwóch stóp. Objętość jej winna się stósować do ilości bydła; kształt jej powinien być podłużnym czworobokiem, długość dwa razy większa aniżeli szerokość; w gospodarstwach waszych zwyczajnych np. 40 stóp długości a 20 stóp szerokości. Po jednej stronie w środku gnojowni powinien się znajdować zbiornik czyli studnia do gnojówki; ta studnia musi się znajdować w miejscu najniżej położonem, a pochyłość spodu gnojowni winna się do tej studni tak stósować, iżby gnojówka z każdego punktu gnojowni mogła do niej spływać. Głębokość jej może być 5 stóp, szerokość zaś w kwadrat 3 stopy; powinna być wyłożona cegłą, lub też kamieniami i musi być przykrytą. Boki gnojowni należy wyłożyć kamieniami, a w obydwóch końcach gnojowni urządzić wygodny wjazd. Całą gnojownię trzeba obtoczyć rynną wybrukowaną dlatego, aby woda deszczowa z podwórza ani z dachów nie mogła do niej spływać. W końcu należy ją opasać płotem, aby świnie ani drobiazg nie miały przystępu. Korzystnie jest także zasadzić

w około gnojowni drzewa, dające wiele cieni, aby gnój chronić przed promieniami słońca.

W tak urządzoną gnojarnię wynosi się gnój według potrzeby codziennie lub co kilka dni i układa go się porządkiem warstwami, zacząwszy na jednym końcu, mięszając gnój bydlęcy z końskim i ze świńskim.

Jeżeli inne zatrudnienia gospodarskie nie pozwalają dłuższy czas gnoju wywozić w pole, nie potrzeba się obawiać, iżby się psuł, bo można temu bardzo łatwo zaradzić. W studni zbiera się bowiem zbyteczna gnojówka, którą można użyć do polewania a jeszcze lepiej do skrapiania gnoju, co zapobiega zepsuciu.

Kto gnój przechowuje w sposób powyższy, korzysta na ilości i jakości. Mogę zaręczyć, że będzie go miał jeszcze raz tyle jak dawniej, i że jedna fura będzie znaczyła tyle co dwie dawniejszych. W skutek tego gospodarstwo jego będzie się znajdowało w kwitnącym stanie a zysk powiększy się w dwójnasób.

Sz. N.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Kończymy z tym numerem siódmy rok DZWONKA i rozpoczynamy w Imię Boże ósmy. Mamy nadzieję, kochani bracia czytelnicy, że i w tym nowym roku naszej pracy będziecie nam życzliwi całem sercem, tak jako my dla was, i że pomiędzy sobą rozszerzać będziecie DZWONEK, tak aby go z czasem nie brakło w żadnej poczciwej chacie wiejskiej. DZWONEK kosztuje tyle co zawsze: **2 zł.** *na rok, a* **1 zł.** *na pół roku. Kartki, w których przesyłać macie pieniądze, już z poprzednim numerem rozesłaliśmy — teraz zaś posełamy wam spis rzeczy i okładzinkę z całego tomu. Panu Bogu was oddajemy!*

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.